TWÓRCZOŚĆ

6

CZERWIEC

ROK IX 1953

NOTICE

THIS VOLUME IS INCOMPLETE

THE FOLLOWING ISSUES ARE NOT AVAILABLE:
no. 9-12 1953

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK IX ZESZYT 6

WARSZAWA, CZERWIEC 1953 ROK

Zakłady Graficzne i Wydawnicze Dom Słowa Polskiego, Warszawa
Zamówienie 2255/c z dnia 4.5.53 r. Nakład 5.310. Druk ukończono w czerwcu 53 r. 4-B-16918

JÓZEF STALIN

Przeciw wulgaryzacji hasła samokrytyki*)

Hasła samokrytyki nie można uważać za coś przemijającego i krótkotrwałego. Samokrytyka — to szczególna metoda, bolszewicka metoda wychowania kadr partii i w ogóle klasy robotniczej w duchu rewolucyjnego rozwoju. Już Marks mówił o samokrytyce jako o metodzie wzmacniania rewolucji proletariackiej. Co się tyczy samokrytyki w naszej partii, to początek samokrytyki sięga początku pojawienia się bolszewizmu w naszym kraju, już pierwszych dni jego narodzin jako odrębnego prądu rewolucyjnego w ruchu robotniczym.

Wiadomo, że Lenin już wiosną 1904 roku, kiedy bolszewizm nie był jeszcze samodzielną partią polityczną, lecz działał razem z mieńszewikami wchodząc w skład wspólnej partii socjaldemokratycznej — wiadomo, że Lenin już wówczas wzywał partię do „samokrytyki i nieubłaganego demaskowania własnych minusów". Oto co pisał wówczas Lenin w swojej broszurze Krok naprzód, dwa kroki wstecz:

„Tryumfują oni (tj. przeciwnicy marksistów. — J. St.) złośliwie i robią błazeńskie miny obserwując nasze spory: postarają się, rzecz prosta, wyrywać dla swych celów poszczególne ustępy z mojej broszury poświęconej brakom i niedomaganiom naszej partii. Rosyjscy socjaldemokraci są już dostatecznie ostrzelani w bitwach, by nie przejmować się tymi ukłuciami, by wbrew nim prowadzić nadal pracę *samokrytyki i bezlitosnego odsłaniania własnych minusów* **), które zostaną bezwarunkowo i niechybnie przezwyciężone przez potężniejący ruch robotniczy. A panowie przeciwnicy niechaj spróbują przedstawić nam obraz *rzeczywistego* stanu rzeczy w ich „partiach", choćby z lekka zbliżony do tego obrazu, który dają protokóły naszego Drugiego Zjazdu!" (t. VI, str. 161).

Dlatego też zupełnie nie mają racji ci towarzysze, którzy sądzą, że samokrytyka jest zjawiskiem przemijającym, modą, która wkrótce musi się skończyć, podobnie jak kończą się zwykle wszystkie mody. W rzeczywistości samokrytyka jest w arsenale bolszewizmu nieodłącznym i stale działającym orężem, nierozerwalnie związanym z samą naturą bolszewizmu, z jego rewolucyjnym duchem.

Mówi się niekiedy, że samokrytyka — to dobra rzecz dla partii, która nie doszła jeszcze do władzy i która „nie ma nic do stracenia", ale że jest ona niebezpieczna i szkodliwa dla partii, która doszła już do władzy, która otoczona jest wrogimi siłami i przeciw której wrogowie mogą wykorzystać ujawnianie jej słabych stron.

Jest to niesłuszne. Jest to zupełnie niesłuszne! Przeciwnie, właśnie dlatego, że bolszewizm doszedł do władzy, właśnie dlatego, że bolszewicy mogą się stać zarozumiali wskutek sukcesów naszego budownictwa, właśnie dlatego, że bolszewicy mogą nie zauważyć swoich słabych stron i w ten

---

*) J. W. Stalin: Dzieła. Warszawa, 1951. Książka i Wiedza; t. XI, str. 136—147.
**) Kursywa moja — J. St.

sposób ułatwić sprawę swoim wrogom — właśnie dlatego samokrytyka potrzebna jest w szczególności obecnie, w szczególności po zdobyciu władzy.

Samokrytyka ma na celu ujawnianie i likwidację naszych błędów, naszych słabych stron — czyż nie jest jasne, że samokrytyka w warunkach dyktatury proletariatu może tylko ułatwić sprawę walki bolszewizmu z wrogami klasy robotniczej? Lenin uwzględniał te właściwości sytuacji po zdobyciu władzy przez bolszewików, gdy pisał w swojej broszurze Dziecięca choroba „lewicowości" w komunizmie w kwietniu — maju 1920 roku:

„Stosunek partii politycznej do jej własnych błędów jest jednym z najważniejszych i najpewniejszych sprawdzianów powagi partii i *rzeczywistego* wykonywania przez nią swoich obowiązków wobec swojej *klasy* i wobec *mas* pracujących. *Otwarte przyznanie się do błędu* *), wykrycie jego przyczyn, zanalizowanie warunków, które go zrodziły, gruntowne omówienie środków naprawienia błędu — oto oznaka powagi partii, oto wykonanie przez nią swych obowiązków, oto — wychowywanie i szkolenie *klasy*, a następnie również *mas*" (t. XXV, str. 200).

Lenin miał po tysiąckroć rację, kiedy na XI Zjeździe partii w marcu 1922 roku mówił:

„Proletariat nie boi się przyznać, że w rewolucji to a to udało mu się znakomicie, to a to zaś nie udało się. Wszystkie partie rewolucyjne, które dotychczas ginęły — ginęły dlatego, że *stawały się zarozumiałe* i nie umiały dostrzec, na czym polega ich siła, oraz *bały się mówić o swoich słabych stronach* *). A my nie zginiemy, ponieważ nie boimy się mówić o swoich słabych stronach i nauczymy się je przezwyciężać" (t. XXVII, str. 260—261).

Wniosek jest jeden: bez samokrytyki nie ma należytego wychowania partii, klasy, mas; bez należytego wychowania partii, klasy, mas — nie ma bolszewizmu.

Dlaczego hasło samokrytyki stało się szczególnie aktualne właśnie teraz, właśnie w obecnym momencie historycznym, właśnie w 1928 roku?

Dlatego, że obecnie wyraźniej niż przed rokiem czy dwoma laty ujawniło się zaostrzenie stosunków klasowych zarówno w dziedzinie wewnętrznej jak i zewnętrznej.

Dlatego, że obecnie wyraźniej niż przed rokiem czy dwoma laty wyszła na jaw krecia robota wrogów klasowych władzy radzieckiej, wykorzystujących przeciwko klasie robotniczej naszego kraju nasze słabe strony, nasze błędy.

Dlatego, że nauki sprawy szachtyńskiej i „manewrowanie wobec skupu", uprawiane przez kapitalistyczne elementy wsi, plus nasze błędy w dziedzinie planowania nie mogą i nie powinny przejść dla nas bez śladu.

Jeśli chcemy umocnić rewolucję i spotkać wrogów w pełnym uzbrojeniu — musimy *jak najprędzej uwolnić się* od błędów i słabych stron, które ujawniła sprawa szachtyńska i trudności w skupie zboża.

Jeśli nie chcemy dać się zaskoczyć znienacka przez wszelkiego rodzaju „niespodzianki" i „przypadki" ku radości wrogów klasy robotniczej — mu-

---

*) Kursywa moja — J. St.

simy *jak najprędzej ujawniać* nasze słabe strony i błędy, które *nie zostały jeszcze ujawnione,* ale które niewątpliwie istnieją.

Zwlekać z tym — to znaczy ułatwiać sprawę naszym wrogom, pogłębiać nasze słabe strony i błędy. Nie można jednak tego wszystkiego dokonać nie rozwijając samokrytyki, nie wzmagając samokrytyki, nie wciągając milionowych mas klasy robotniczej i chłopstwa do sprawy ujawniania i likwidowania naszych słabych stron, naszych błędów.

Dlatego kwietniowe plenum KC i CKK miało całkowitą rację stwierdzając w swojej rezolucji o sprawie szachtyńskiej, że :

„*Najważniejszym warunkiem* zapewnienia pomyślnej realizacji wszystkich zamierzonych posunięć powinna być *rzeczywista realizacja* *) hasła XV Zjazdu o samokrytyce".

Aby jednak rozwinąć samokrytykę, trzeba przede wszystkim przezwyciężyć szereg trudności piętrzących się przed partią. Należy do nich zacofanie kulturalne mas, niedostatek sił kulturalnych awangardy proletariackiej, nasza skostniałość, nasza „komunistyczna pycha" itp. Jedną z najpoważniejszych przeszkód, jeśli nie najpoważniejszą przeszkodą, jest jednak *biurokratyzm* naszych aparatów. Chodzi o to, że w naszych organizacjach partyjnych, państwowych, zawodowych, spółdzielczych i wszelkiego rodzaju innych istnieją elementy biurokratyczne. Chodzi o elementy biurokratyczne, które żyją dzięki naszym słabym stronom i błędom, które boją się jak ognia krytyki mas, kontroli mas i które przeszkadzają nam rozwinąć samokrytykę, przeszkadzają nam uwolnić się od naszych słabych stron, od naszych błędów. Na biurokratyzm w naszych organizacjach nie można patrzeć jedynie jako na mitręgę i kancelaryjną formalistykę. Biurokratyzm jest przejawem burżuazyjnego wpływu na nasze organizacje. Lenin miał rację, gdy mówił:

„...trzeba, abyśmy zrozumieli, że walka z biurokratyzmem jest walką *absolutnie konieczną* i że jest ona równie skomplikowana, jak zadanie walki z żywiołem drobnoburżuazyjnym. Biurokratyzm w naszym ustroju państwowym stał się takim niedomaganiem, że mówi o nim nasz program partyjny, a to dlatego, że *jest on związany z tym żywiołem drobnoburżuazyjnym i jego rozproszeniem*" *) (t. XXVI, str. 220).

Z tym większą uporczywością należy prowadzić walkę z biurokratyzmem naszych organizacji, jeśli rzeczywiście chcemy rozwinąć samokrytykę i uwolnić się od niedomagań naszego budownictwa.

Z tym większą uporczywością musimy mobilizować milionowe masy robotników i chłopów wokół spraw *oddolnej* krytyki, wokół sprawy *oddolnej* kontroli jako podstawowej odtrutki przeciwko biurokratyzmowi.

Lenin miał rację, gdy mówił:

„Jeśli chcemy walczyć z biurokratyzmem, musimy *przyciągnąć do tego doły*" ...albowiem „w jakiż inny sposób można położyć kres biurokratyzmowi, jeśli nie przez *przyciągnięcie robotników i chłopów?* *) (t. XXV, str. 496, 495).

Aby jednak „przyciągnąć" milionowe masy, trzeba we wszystkich masowych organizacjach klasy robotniczej, a przede wszystkim wewnątrz sa-

---

*) Kursywa moja — J. St.

mej partii rozwinąć demokrację proletariacką. Bez spełnienia tego warunku samokrytyka jest zerem, pustym dźwiękiem, frazesem.

Nie *każda* samokrytyka jest nam potrzebna. Potrzebna nam jest taka samokrytyka, która podnosi poziom kultury klasy robotniczej, rozwija jej ducha bojowego, umacnia jej wiarę w zwycięstwo, pomnaża jej siły i pomaga jej stać się rzeczywistym gospodarzem kraju.

Niektórzy powiadają, że skoro jest samokrytyka, to nie potrzeba *dyscypliny pracy,* można porzucić pracę i zająć się gadaniną o wszystkim po trochu. Jest to nie samokrytyka, lecz naigrawanie się z klasy robotniczej. Samokrytyka potrzebna jest nie dla zniweczenia dyscypliny pracy, lecz dla jej *umocnienia,* potrzebna jest po to, aby dyscyplina pracy stała się *świadomą,* taką, która potrafi wytrzymać napór drobnomieszczańskiej rozlazłości.

Inni powiadają, że skoro jest samokrytyka, to nie potrzeba więcej *kierownictwa,* można odejść od steru i pozostawić wszystko „naturalnemu biegowi rzeczy". Jest to nie samokrytyka, lecz hańba. Samokrytyka potrzebna jest nie po to, by osłabić kierownictwo, lecz po to, by je *umacniać,* potrzebna jest po to, aby z kierownictwa papierkowego i posiadającego mały autorytet przekształcić je w kierownictwo *związane z życiem* i posiadające rzeczywisty *autorytet.*

Istnieje jednak także innego rodzaju „samokrytyka", prowadząca do *zniweczenia* partyjności, do *zdyskredytowania* Władzy Radzieckiej, do *osłabienia* naszego budownictwa, do *rozkładu* kadr gospodarczych, do *rozbrojenia* klasy robotniczej, do gadaniny o *wyrodzeniu się.* Do takiej właśnie „samokrytyki" nawoływała nas wczoraj trockistowska opozycja. Nie trzeba nawet dowodzić, że partia nie ma nic wspólnego z taką „samokrytyką". Nie trzeba nawet dowodzić, że partia wszystkimi siłami, wszelkimi środkami walczyć będzie z taką „samokrytyką".

Trzeba ściśle odróżniać tę *obcą* nam, destrukcyjną, antybolszewicką „samokrytykę" od *naszej,* bolszewickiej samokrytyki, mającej na celu *krzewienie* partyjności, *utrwalenie* Władzy Radzieckiej, *udoskonalenie* naszego budownictwa, *wzmocnienie* naszych kadr gospodarczych, *uzbrojenie* klasy robotniczej.

Kampania o wzmożenie samokrytyki zaczęła się u nas zaledwie przed kilku miesiącami. Nie mamy jeszcze danych niezbędnych do tego, by podsumować pierwsze wyniki kampanii. Jednakże już teraz można powiedzieć, że kampania zaczyna dawać pozytywne rezultaty.

Nie można zaprzeczyć, że fala samokrytyki zaczyna narastać i rozszerzać się, ogarniając coraz szersze warstwy klasy robotniczej i wciągając je do budownictwa socjalistycznego. Świadczą o tym chociażby takie fakty, jak ożywienie narad wytwórczych i tymczasowych komisji kontroli.

Co prawda, ciągle jeszcze zdarzają się próby odkładania pod sukno uzasadnionych i sprawdzonych wskazań narad wytwórczych i tymczasowych komisji kontroli, z czym trzeba bezwzględnie prowadzić najbardziej zdecydowaną walkę, gdyż próby takie mają na celu odebranie robotnikom ochoty do samokrytyki. Ale nie ma chyba podstaw wątpić, że tego rodzaju biurokratyczne próby zmiecie do ostatka narastająca fala samokrytyki.

Nie można zaprzeczyć również temu, że w rezultacie samokrytyki nasze kadry gospodarcze zaczynają się podciągać, stają się bardziej czujne, zaczynają poważniej traktować sprawę kierowania gospodarką, a nasze kadry

partyjne, radzieckie, związkowe i wszelkie inne zwracają baczniejszą uwagę i bardziej reagują na potrzeby mas.

Co prawda, nie można uważać, że demokracja wewnątrzpartyjna i w ogóle robotnicza została już w pełni zrealizowana w masowych organizacjach klasy robotniczej. Ale nie ma podstaw, by wątpić, że dalszy rozwój kampanii pchnie naprzód tę sprawę.

Nie można zaprzeczać także i temu, że w rezultacie samokrytyki nasza prasa stała się żywsza i bardziej związana z życiem, a takie oddziały naszych pracowników prasowych, jak organizacje korespondentów robotniczo-chłopskich, zaczynają już stawać się bardzo poważną siłą polityczną.

Co prawda, nasza prasa wciąż jeszcze niekiedy ślizga się po powierzchni, nie nauczyła się jeszcze przechodzić od poszczególnych uwag krytycznych do głębokiej krytyki, a od głębokiej krytyki do uogólniania rezultatów krytyki, do ujawnienia tego, jakie *osiągnięcia* mamy w dziedzinie naszego budownictwa w rezultacie krytyki. Ale nie można chyba wątpić, że dalsza kampania pchnie naprzód tę sprawę.

Obok tych plusów trzeba jednak wymienić minusy naszej kampanii. Chodzi o wypaczenia hasła samokrytyki, które zdarzają się już teraz, na początku kampanii, i które rodzą niebezpieczeństwo wulgaryzacji samokrytyki, jeśli natychmiast nie da się im odporu.

1) Przede wszystkim trzeba zaznaczyć, że w szeregu organów prasowych daje się zauważyć dążenie do zepchnięcia kampanii z gruntu rzeczowej krytyki braków naszego *budownictwa socjalistycznego* na grunt reklamiarskich krzyków przeciwko nieumiarkowanemu *w życiu osobistym*. Może się to wydać nieprawdopodobne. Ale jest to, niestety, fakt.

Weźcie na przykład gazetę Włast' Truda *), organ irkuckiego komitetu okręgowego oraz okręgowego komitetu wykonawczego (nr 128). Znajdziecie tam całą stronę upstrzoną reklamiarskimi „hasłami": „Nieopanowanie w życiu płciowym — to zjawisko burżuazyjne". „Jeden kieliszek pociąga za sobą drugi", „Do własnego domku pasuje własna krówka", „Bandyci dwuosobowego łóżka", „Wystrzał, który się nie rozległ" itd. itp. Powstaje pytanie, co może być wspólnego między tymi „krytycznymi" krzykami, godnymi „Birżowki", a bolszewicką samokrytyką, mającą na celu udoskonalenie naszego *budownictwa socjalistycznego*? Bardzo możliwe, że autor tych reklamiarskich notatek jest komunistą. Możliwe, że pała on nienawiścią do „wrogów klasowych" Władzy Radzieckiej. Ale że schodzi on tu z właściwej drogi, wulgaryzuje hasło samokrytyki i przemawia głosem *nie naszej* klasy — co do tego nie może być wątpliwości.

2) Trzeba dalej zaznaczyć, że nawet te organy prasowe, które na ogół biorąc nie są pozbawione zdolności do słusznej krytyki — nawet one schodzą czasem na manowce krytyki *dla krytyki*, czyniąc z krytyki *sport* goniący za *sensacją*. Weźmy na przykład Komsomolską Prawdę. Wszyscy znają zasługi Komsomolskiej Prawdy w dziele rozwijania samokrytyki. Ale weźcie ostatnie numery tej gazety i przejrzyjcie „krytykę" kierowników WCSPS, szereg niedopuszczalnych karykatur na ten temat. Powstaje pytanie, komu potrzebna jest taka „krytyka" i co ona może przynieść poza kompromitacją

---

*) — „Władza Pracy". — Red. przekł. polsk.

hasła samokrytyki? Na co się zda taka „krytyka", jeśli oczywiście mieć na względzie interesy naszego budownictwa socjalistycznego, a nie tanią sensację, obliczoną na to, by dać mieszczuchowi sposobność pochichotać? Oczywiście samokrytyka musi posługiwać się wszelkimi rodzajami broni, a więc również „lekką kawalerią". Ale czyż z tego wynika, że lekka kawaleria musi stać się *lekkomyślną* kawalerią?

3) Trzeba wreszcie podkreślić, że istnieje pewna skłonność szeregu naszych organizacji do przekształcania samokrytyki w *nagankę* na naszych działaczy gospodarczych, w *dyskredytowanie* ich w oczach klasy robotniczej. Faktem jest, że niektóre organizacje terenowe na Ukrainie i w Rosji Centralnej wszczęły wprost *nagankę* na naszych *najlepszych* działaczy gospodarczych, których cała wina polega na tym, że nie posiadają w całych 100 procentach gwarancji niepopełniania błędów. Jakże inaczej można rozumieć uchwały organizacji terenowych o usunięciu ze stanowisk tych działaczy gospodarczych, uchwały, które nie posiadają żadnej mocy obowiązującej, ale wyraźnie zmierzają do dyskredytowania tych działaczy? Jakże inaczej można rozumieć fakt, że krytykować — krytykuje się, lecz nie pozwala się działaczom gospodarczym odpowiedzieć na krytykę? Od kiedy to „sąd Szemiakowy" *) jest uważany u nas za samokrytykę?

Nie możemy oczywiście wymagać, by krytyka była w całych 100 procentach słuszna. Jeśli krytyka wychodzi z dołu, to nie powinniśmy lekceważyć nawet takiej krytyki, która jest słuszna zaledwie w 5—10 procentach. Wszystko to prawda. Ale czyż z tego wynika, że powinniśmy żądać od działaczy gospodarczych stuprocentowej gwarancji niepopełniania błędów? Czyż są na świecie ludzie, którzy posiadają w całych 100 procentach gwarancję niepopełniania błędów? Czy trudno jest zrozumieć, że na wychowanie kadr gospodarczych potrzeba wielu lat, że do działaczy gospodarczych powinniśmy odnosić się jak najbardziej oględnie i troskliwie? Czy trudno jest zrozumieć, że samokrytyka jest nam potrzebna nie dla naganki na kadry gospodarcze, lecz dla ich udoskonalenia i wzmocnienia?

Krytykujcie braki naszego budownictwa, ale nie wulgaryzujcie hasła samokrytyki i nie czyńcie z niego narzędzia reklamiarskich wprawek w rodzaju: „Bandyci dwuosobowego łóżka", „Wystrzał, który się nie rozległ" itp.

Krytykujcie braki naszego budownictwa, ale nie dyskredytujcie hasła samokrytyki i nie przekształcajcie go w kuchnię dla przyrządzania tanich sensacji.

Krytykujcie braki naszego budownictwa, ale nie wypaczajcie hasła samokrytyki i nie przekształcajcie go w narzędzie naganki na naszych pracowników gospodarczych i wszelkich innych.

I co najważniejsze: nie zastępujcie masowej *oddolnej* krytyki „krytycznym" gadulstwem *z góry*, pozwólcie masom klasy robotniczej wciągnąć się do tej sprawy i przejawić swą twórczą inicjatywę w dziele korygowania naszych braków, w dziele udoskonalania naszego budownictwa.

Prawda nr 146,
26 czerwca 1928 r.

Podpis: **J. Stalin**

---

*) Niesprawiedliwy sąd, wydający niesłuszne wyroki. Zwrot pochodzi od nazwiska sędziego Szemiaki, który występuje w starej powieści rosyjskiej pt. Sąd Szemiakowy. — Red. przekł. polsk.

BOHDAN CZESZKO

Kilka myśli po przeczytaniu 3(45) zeszytu Nowych Dróg

Wybuchy atomowych ładunków wyważyły Bramę Turgajską, otwarły się wrota śluz kanału Wołgo-Dońskiego. Ludzie radzieccy otwarli bramy epoki komunizmu. Na progu tej nowej ery w dziejach ludzkości towarzysz Stalin złożył swą ostatnią pracę: „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR".

Odszedł, choć do tej pory trudno w to uwierzyć.

Był naszym przyjacielem. „Możecie być pewni" — pisał do uczestników zjazdu Związku Patriotów Polskich w ZSRR — „że Związek Radziecki uczyni wszystko, co jest w jego mocy, aby przyśpieszyć klęskę naszego wspólnego wroga — hitlerowskich Niemiec, umocnić przyjaźń polsko-radziecką i wszelkimi środkami przyczynić się do odbudowania silnej i niepodległej Polski".

Z bezpośrednich doświadczeń wiemy, jak bez reszty wypełnione zostały już i jak wypełniają się coraz nowymi treściami przyrzeczenia Wielkiego Przyjaciela.

Przejawy tej pomocy łatwe są do odczytania i w dziedzinie naszej pracy — w dziedzinie kultury. Od radiostacji raszyńskiej, z której słowo polskie uniosło się pełnym brzmieniem nad krajem jeszcze nieostygłych pogorzelisk, do Pałacu Kultury i Nauki imienia Stalina ręce radzieckich ludzi składają kulturze polskiej materialne dary przyjaźni.

Wiele jest darów, których nie podobna wymierzyć. Przykładowi radzieckich towarzyszy-literatów, ich doświadczeniom organizacyjnym zawdzięczać mogą literaci polscy, że ich Związek ma już poza sobą okres chałupnictwa, bezradności, skazania na żywioł w swej pracy organizacyjnej, że stał się jedną, śmiało to można powiedzieć, z przodujących organizacji inteligencji twórczej.

Z doświadczeń radzieckich towarzyszy korzystając, uniknęliśmy w znacznym stopniu mielizn rappowskich i proletkultowskich, które nam nie zagrodziły drogi w tym stopniu, co im.

Z doświadczeń radzieckich towarzyszy korzystając, wypracowaliśmy właściwy stosunek do naszych tradycji kulturalnych, do bogactwa realistycznych wartości w nich zawartych.

Pionierska myśl radzieckich literaturoznawców jest pomocą w pracy naszych krytyków i działaczy w dziedzinie kultury.

Szerokim, ożywczym, ostrym nurtem weszła w nasze życie literatura radziecka. Dzieła klasyków realizmu socjalistycznego, najcenniejsze dzieła współczesnych pisarzy radzieckich stały się u nas czytelniczym chlebem powszednim. Stworzyły te dzieła w świadomości naszego czytelnika proporcje, o których pod karą pogardy musimy pamiętać „układając słowa dla Polaków". Proporcje te są argumentem dźwignięcia na wyższy poziom ideowo-artystyczny naszych poczynań literackich, przewartościowują one uznaną, ocenioną czy przecenioną przydatność społeczną utworów i twórców.

Gorki, Szołochow, Serafimowicz, Aleksy Tołstoj, Leonow, Pawlenko... — co „naszego" dajemy czytelnikowi, który zaznał tych pisarzy?

Przyjazne natarcie literatury radzieckiej wytworzyło warunki, w których „ratuje nas" bezustanne równanie wzwyż, bezustanne bogacenie naszego pisarstwa. Inaczej nie zrodzimy dobrej pamięci o nas w sercach naszych ludzi. Praca nasza nie będzie miała żadnej trwałości, nie ostaną się jej wyniki przed bezlitosnym odsiewem historii. A kto z nas nie marzy o trwałości lub nie powinien marzyć!

Grubym i nieporadnym konturem obrysowuję znamiona przyjacielskiej pomocy na polu naszej działalności. Niesposób ogarnąć myślą od razu ogromu tej świadczonej od serca pomocy we wszystkich dziedzinach życia naszego kraju. Oto jak żyje hasło proletariackiego internacjonalizmu. Oto jak żyją skąpe słowa komunistów.

Towarzysz Bierut omawiając zadania, jakie stanęły przed naszą partią, wobec niewymiernej w swym tragizmie straty, ujął je w dziesięć podstawowych punktów.

Rozpatrując te wskazania przyjęte uchwałą plenarnego zebrania Komitetu Centralnego za wytyczne w pracy całej partii, wszystkich instancji i organizacji partyjnych trzeba przemyśleć braki w pracy Organizacji Partyjnej literatów i z przemyśleń tych wyciągnąć wnioski.

Środowisko literackie ma swoją trudną specyfikę, wielka jest złożoność problemów istniejących w tym środowisku. Ocena wzrostu ideologicznego lub ocena zahamowań tego wzrostu podejmowana musi być z wielką rozwagą w bezustannym powiązaniu z praktyką twórczą. Specyfika ta opóźnia takie procesy jak regulacja kadr partyjnych. Przyznać jednak trzeba, że Organizacja Partyjna wiele uczyniła, aby włączyć w swe szeregi pisarzy najbardziej aktywnych, odznaczających się w swej twórczości wartościami ideowo-artystycznymi, zwłaszcza młodszego pokolenia. Poczyniła też kroki na drodze oczyszczania swych szeregów z ludzi obcych ideologicznie, chwiejnych, przypadkowych. Działanie to i w jednym i w drugim kierunku jest na pewno niedostateczne. Trwa ono jednak i przebieg jego jest bezustanną troską Organizacji Partyjnej i jej Egzekutywy. Jest także z drugiej strony sprawą każdego z poszczególnych towarzyszy-literatów zastanowić się nad tym, czy „wysoko dzierży wielkie miano członka partii i czy „strzeże czystości tego miana".

Pisarze polscy zajmują poczesne miejsce w czołówce polskiej inteligencji twórczej. Organizacja Partyjna jest przodującą siłą tej grupy twórców. Stwierdzenie to powinno uprzytomnić ogrom odpowiedzialności, jaka spoczywa na każdym z partyjniaków. W bezustannej konfrontacji własnej praktyki pisarskiej i własnego stylu życia, własnej gotowości w podejmowaniu zadań społecznych z zaszczytnym mianem pisarza partyjnego powinni towarzysze znajdować odpowiedź na pytanie, czy odpowiedzialność tę niosą na swych barkach, czy też nie dorastają do jej podjęcia.

Jeśli ogólniej spojrzeć na skład osobowy Związku Literatów Polskich, to okaże się, że wielu jest ludzi posiadających legitymację Związku, uprawnionych do korzystania z Domów Pracy i wszelkich innych przywilejów wypływających z faktu przynależenia do ZLP, którzy nie są pisarzami i nic wspólnego z literaturą nie mają, dłubią coś na marginesach życia literackiego, „murzynują" w wydawnictwach, dyrektorują w terenowych placówkach

kulturalnych, czynią słowem wiele rzeczy, które jeśli nawet można nazwać twórczością, to nie w sensie pisarskim. Ludzie tacy stanowią balast dla naszego Związku. Balastu tego trzeba się wyzbyć. Z drugiej strony należy tak, jak dotychczas to czyniliśmy, sięgać śmiało do młodych, rosnących ludzi w organizacjach terenowych Związku.

W toku życia naszej Organizacji Partyjnej dają się zaobserwować zjawiska takie jak: brak dostatecznie pogłębionej krytyki, a zwłaszcza samokrytyki, który zaznaczał się wówczas, gdy omawialiśmy sprawy poszczególnych towarzyszy, kiedy to w porządku dziennym zebrania był punkt: sprawy pesonalne, drugie zjawisko stale występujące, to niezmienność listy dyskutantów, kiedy omawiamy węzłowe sprawy natury ideologicznej. Zjawiska te, i nie tylko te, świadczą o niedostatecznym jeszcze uzbrojeniu ideologicznym naszych towarzyszy, choć i do naszej Organizacji, ogólnie rzecz charakteryzując, można by odnieść słowa towarzysza Bieruta o wzmaganiu się tętna pracy ideologicznej.

„Praktyka staje się ślepa, jeśli nie oświetla sobie drogi rewolucyjną teorią" — stwierdza towarzysz Stalin.

Wielka jest ilość uchybień w naszej pracy pisarskiej, wielki jest obszar nędzy piśmiennictwa spowodowanej brakiem opanowania rewolucyjnej teorii. Wspomnę schematyzm, wspomnę nawroty tendencji estetyzmu burżuazyjnego i pseudo-proletariackiego antyestetyzmu, wspomnę ów dławiący dech w piersiach widzów taniec na szkle, jaki rozpoczynają niektórzy krytycy, gdy zapragną być marksistowscy. Wspomnę także o tych pisarzach i krytykach, którzy porównywalni są do króla Midasa z pewnej bajki. Długo, długo jak ów król, śnią sen całkowicie niebieski, a kiedy przychodzi Sindbad i dotyka ich piersi płomiennym kwiatem, odwracają się na drugi bok, aby śnić sen całkowicie purpurowy, całkowicie żółty lub całkowicie fioletowy. Odczuwają czczość i miotani są niepokojem, kiedy Sindbad zajęty wieloma podróżami nie przybywa na ich senną wyspę.

Poszukajmy korzeni tych zjawisk, okażą się te same — niewiedza ideologiczna powodująca niepewność, strach przed szeroką, bujną rzeką problemów naszego życia, powodująca poszukiwanie recept, formuł, powodująca poszukiwanie dogmatu zamiast światopoglądu.

Nieraz padały słowa o nieodzowności głębokiej marksistowskiej wiedzy o świecie, jaka powinna cechować pisarza współczesnego, wiedzy popartej gorącym humanizmem proletariackim, miłością do człowieka, do jego trosk i dążeń.

Szkolenie ideologiczne mimo wysiłków poczynionych przez egzekutywę szwankuje wciąż jeszcze w naszej Organizacji Partyjnej, wciąż jeszcze jest niedostateczne. Słusznie jednak mówił kiedyś towarzysz Ważyk, że żadne szkolenie nie zastąpi indywidualnej pracy towarzyszy nad przyswojeniem sobie wiedzy marksistowskiej. Pracą indywidualną w tym kierunku podjętą mierzyć należy stosunek towarzyszy do swego rzemiosła. Stosunek poważny i pełen odpowiedzialności lub stosunek pogardliwy oparty na znanym twierdzeniu „jakoś to będzie".

Partia nasza wezwała masy pracujące Polski do wzmożonego wysiłku produkcyjnego.

Przodujący ludzie klasy robotniczej podjęli to wezwanie, pociągając za

sobą liczną armię. W pierwszym kwartale dzięki rytmicznej wykonywaniu planów szczegółowych przekroczyliśmy ogólny plan produkcyjny.

Świadomi trudnych zadań, w obliczu ciężkiej straty, jaką ponieśli, robotnicy polscy ruszyli do kolejnego natarcia na froncie produkcji. I godnością i dumą powitają oni rok dziesięciolecia Polski Ludowej. A... my?

Trzeba, aby każdy z towarzyszy zrewaloryzował w swym sumieniu to pytanie. Pragnę nie być tu zrozumiany. Nie chodzi tu tylko o jednorazowy zryw, choć i w gratach związanych bezpośrednio z dziesięciolecia [illegible] będziemy. Chodzi także o wnikliwy bilans osiągnięć lub braku osiągnięć o podjęcie własnych niekiedy głośnych zobowiązań, tych najtrudniejszych zobowiązań artysty wobec swego narodu.

W referacie swym towarzysz Bierut wskazując na przeszkody, które paraliżują możliwości wykorzystania energii zawartej w masach, mówił o biurokratyzmie.

Elementy biurokratyzmu istnieją w pracy i naszej Organizacji Partyjnej, zwłaszcza w dziedzinie wykorzystania rezerw ludzkich w pracy związkowej.

Są w naszej Organizacji, a zwłaszcza w tzw. „kole twórczym" towarzysze, o których wiemy niewiele. Są zapisani na liście, przydzielają na zebrania, a kiedy zdarzy im się wystąpić w dyskusji, inni towarzysze podnoszą głowy ku sobie i pytają: „kto to?"

Są też znani nam towarzysze, należący do macierzystej organizacji poza Związkiem. Co czynią? Jakie funkcje pełnią? Czy w pełni wykorzystano ich możliwości? Nie wiemy. Jak nazwać te fakty, jeśli nie przejawami biurokratyzmu?

Pracujemy wciąż zbyt wąskim aktywem w naszym Związku, aktywem partyjnym i bezpartyjnym. Ciężar pracy związkowej spoczywa na barkach niewielkiej grupy ludzi. Stąd środnie się chorobliwe zjawisko „urlopów twórczych". Czy jest do pomyślenia, żeby wykwalifikowany budowlaniec-murarz brał urlop po to, aby położyć w pośpiechu kilka cegieł.

Pisarz jest od tego, aby pisał. I nie z dość wysłuchanych referatów, odbytych inspekcji, podjętych wniosków, choćby były najsłuszniejsze i najbardziej konieczne dla rytmu organizacyjnego Związku, będą go pytać, kim a co napisał.

Towarzysz Bierut mówił, „wiemy... wzmacniać bezustannie aktywność każdego członka partii, uczynić ją lepszą, energiczniejszą, wszechstronniejszą, nie bezczynność a wzrost ludzi, to znaczy o wzrost ich wiedzy, ich zainteresowań teoretycznych, o wzrost ich umiejętności organizacyjnych".

Trzeba nam w naszej robocie podjąć to wezwanie w całej rozciągłości.

W końcowej części swego referatu mówił towarzysz Bierut o świętej sprawie obrony Pokoju i charakteryzując ruch konsolidacyjny, jaki wzbrał szeroką falą w naszym narodzie wobec śmierci towarzysza Stalina, ruch, który w poważnym stopniu wzmocnił zwartość i moc Frontu Narodowego w walce o Pokój i Plan Sześcioletni, przytoczył towarzysz Bierut fragmenty listów:

„Nie mam komu wypowiedzieć swojego ogromnego bólu, jaki dosyć [illegible] tkwi w piersiach moich. Nie sądziłam nigdy, że tak mnie zabolii straszna śmierć Stalina.

Ja... która jestem bezpartyjna, ja, która w niczym nie biorę udziału, na tę wieść nie mogłam sobie miejsca znaleźć... Siedziałam tak bezczynnie i nie umiałam myśli zebrać... Myślę ten cały czas, dlaczego ten ból okropny tkwi w piersiach moich za Stalinem. Czymże ten Stalin jest dla mnie? Nie umiem tego rozwiązać...

Powiem ci szczerze i otwarcie, że we mnie walczą dwie wiary: jedna wiara — to dawna, stara, mocna wiara, druga wiara — to komunizm. I z tego powodu czasem się męczę strasznie. I nie wiem, z jakiej racji ten komunizm tak się wdziera do mnie, przecież nie studiuję żadnych książek komunistycznych... I ten ciężki ból o Stalina — też nie do odgadnięcia... Przed tą drugą wiarą, komunizmem, bronię się jak mogę — a ona jednak jest nieustępliwa, wdziera się do serca mojego..."

Pozwólcie, że przytoczę parę słów z innego listu bezpartyjnej kobiety z Lublina:

„Do szału doprowadziło mnie wczoraj radio amerykańskie, którego słuchali nasi sąsiedzi... Nienawidzę ich, bo chcę mieć dzieci i chcę, żeby im było dobrze, a nie żeby je mordowali. To nie jest uleganie wpływom propagandy komunistycznej, to zwykłe, ludzkie dążenie do szczęścia... Znajdą się tacy, którzy Towarzysza Stalina zastąpią i poprowadzą Jego dzieło".

Przytaczam ten cytat. Zwłaszcza dla pisarza, jest to piękny, wzruszający materiał, wart głębokiego namysłu.

Towarzysz Bierut zakończył swój referat wezwaniem do czujności.

Znamy doskonale z licznych doświadczeń skłonności naszego środowiska do plotkarstwa i rozrabiactwa. Komu służą owe zrodzone z głupoty i nieróbstwa, a często z prostej wrogości wobec nas, bajdy, łańcuchy domysłów, koncepcyjki personalne krążące wokół kawiarnianych stolików. Na czyj młyn leją filistrzy i mieszczuchy brudną wodę obmowy i plotki.

Trzeba przyznać, że także i gadulstwo naszych towarzyszy często rodzi te trujące brednie. Należy dać odpór tym rozrabiackim ciągotom i zwalczyć w nas samych gadułę, jeśli w nas istnieje. Trzeba nam zatroszczyć się bardziej o godność naszej organizacji twórczej, o godność pisarza.

Wobec śmierci towarzysza Stalina, obok tych zadań, jakie stoją przed naszą Organizacją Partyjną jako przed kolektywem, są równie istotne zadania dla każdego z nas.

Ciężar straty powinien rozłożyć się na wszystkich. Niechaj każdy weźmie część tego ciężaru. Każdy z nas pisarzy i partyjniaków niech lepiej służy partii swym piórem. Niechaj strofy i stronice powstające w trudzie naszych pisarskich nocy i dni będą potrzebne ludziom w naszej Ojczyźnie. Niechaj będą pociskami w serca wrogów. Niechaj myśl stalinowska stawia nam drogowskazy.

Bohdan Czeszko

JAN GAŁKOWSKI

MAZOWIECKI GENERAŁ

I

Wciąż dalej i dalej,
na wschód, na wschód,
gdzie Kazań tatarski,
gdzie chłód i głód —
kołyszą się wiorsty
i mkną, i mkną
po dwieście... po dwieście..
po sto... po sto...

Gdy spoza brudnych szyb wagonu
żegnałeś zadymioną Wolę,
już konny tramwaj wystukiwał
godziny świtu po wybojach.

Pilnują piasków mazowieckich
przydrożne wierzby i topole,
a stary wagon roztrzęsiony
cierpliwie czeka na postojach.

Przez noce, północe
bez gwiazd, bez gwiazd,
przez rzeki zamglone,
przez las, przez las —
kołyszą się wiorsty
i mkną, i mkną
po dwieście... po dwieście...
po sto... po sto...

Gdy pociąg ruszał torowiskiem,
wywożąc ludzi i maszyny,
zza chmur okopów zadymiło
wojenne słońce ponad miastem.

Lecz będziesz kiedyś znów, Karolu,
przez mazowieckie szedł równiny,
choć czarnym słońcem nad dachami
żegna cię z Polską rok czternasty.

II

Ziemio ogniem rozdarta,
błyska światu dzień nowy.

Już nie ruszy ze startu
carski pociąg frontowy.

Na baronów, na zdrajców
odwrócone bagnety.

Sztandar ludu na szańcu!
Zwyciężyły Sowiety!

Ściśnięty mokrym drelichem
niósł Wisłę w oczach niebieskich
brzegiem rosyjskich rzek —
zaciskał w dłoni manlicher
warszawski „kombat", Świerczewski,
kiedy do szturmu szedł.

Któż nie znał troski Polaka,
co nocą śnił na biwakach
cienie wiślanych wierzb? —
dodawał hartu i ducha,
gdy bliskim ogniem wybuchał
ziemi gorącej deszcz.

Ziemio wolna na wielki,
Lenin dźwiga się z nocy,
Stalin wiedzie szeregi!
Naprzód ludu roboczy!

Partia czuwa nad nami,
żołnierz ruszyć gotowy
na dymiące łunami
fronty wojny domowej.

Judenicz, Kołczak, Denikin
tropami mordu i głodu
dzikim tabunem rwą.
Barona Wrangla najmici
wdzierali się od zachodu —
rzeki płynęły krwią.

Płonęła trawa stepowa,
gdy Machno ziemię tratował,
pruł końskie grzywy wiatr —

Lecz pakty zdrady i zmowy
rozkruszył bagnet stalowy
Związku Republik Rad.

Ziemio ogniem rozdarta,
światu nowy dzień błyska.

Odwróciła się karta
nędzy, troski, wyzysku.

Na baronów, na zdrajców
odwrócone bagnety.

Sztandar ludu na szańcu!
Zwyciężyły Sowiety!

III

Mrok się czaił na pozycjach,
na zwiad szły cyprysów cienie.
Nad skalistym brzegiem Ebra
gwiazdy ciężkie jak kamienie.

Gdy trafili Antonia —
szturm odparła Brygada.
Celna kula frankisty
nie zapiekła, gdy padał.

Po upalnym dniu walki
w chłodny wieczór umierał —
i uścisnął mu rękę
mazowiecki generał.

Szept stygnący żołnierza
z ciepłą falą popłynął:
— El general Polaco...
— El general carino...

Nie dosłyszał Świerczewski,
choć pochylił się nisko,
ale oczy Antonia
powiedziały mu wszystko:

żegnał żołnierz dowódcę,
generała znad Wisły,
głosem ziemi spalonej,
ciepłym słowem ojczystym.

Gdy umierał Antonio
noc na wzgórzach ucichła —

i napiła się rosy
zakurzona oliwka.

Mrok się czaił na pozycjach,
na zwiad szły cyprysów cienie.
Nad skalistym brzegiem Ebra
gwiazdy ciężkie jak kamienie.

IV

Do kraju, do Polski!
Przez las, przez step,
przez ogień i wodę,
zza gór i rzek,
w marszu od Oki
żołnierz Kościuszki
idzie przez grząski
trakt białoruski.

Nieraz witały cię, Karolu,
niebem wiślanym i przyjaznym,
nad łuną zgasłych pobojowisk,
wschodzące nocą późne gwiazdy.

Swobodę ziemi niepodległej
przeniosłeś cało poprzez pożar
i zaszumiała ci po polsku,
nad brzegiem Bugu, pierwsza brzoza,

Na zachód, na wroga!
Przez dym i pył!
Do Wisły, do Wisły,
co tchu, co sił!
Szosą lubelską,
traktem wolności
w ogień i wodę,
w pościg! —

V

Tną Klein-Welcke kaemy,
wytłukują z szyb słońce.
Już się toczą przedmieściem
głazy czołgów dymiące.

Sztab odcięty od Armii
tępym stali łoskotem.
Huk rozdziobał uliczki
i obryzgał je błotem.

Wypłoszone z południa,
gdzie front odwrót przecina,
pędzą stada Tygrysów
ku jaskiniom Berlina.

Sztab odcięty, lecz twarda
Druga Armia naciera —

ponad mapą sztabową
schylił głowę generał.

Zapłonęła marszruta
na kartonie rozpięta —
ujrzał drogę powrotu
bagnetami pociętą.

Znów mu w oczach zabłysnął
skrawek Wisły modrawy —
pomarszczony na fali
brzeg dymiącej Warszawy.

Ujrzał polskie miasteczka,
czeskie wioski w parowach,
stary ponton dziurawy,
którym Nysę forsował,

oczy ludzi, gdy kraty
czarnych więzień otwierał...

Podniósł głowę znad mapy
mazowiecki generał.

Nie wstrzymają go czołgi,
ani ogień nie wstrzyma!
Już radzieckie dywizje
pod murami Berlina!

Zrzucił bluzę zieloną,
otwarł wrota kwatery —
huczą, huczą Tygrysy...
dymią, dymią Pantery...

Lecz generał pogodnie
patrzy w dymów siwiznę
i pozdrawia spod Drezna
uśmiechniętą Ojczyznę.

VI

Przez wszystkie pola walki
przeniosłeś serce żywe —
na trakcie baligrodzkim
dosięgły kule mściwe.

Przez wszystkie pola walki
przeniosłeś miłość kraju —
i za to, właśnie za to
wrogowie zabijają.

Choć wróg zarepetował
broń zaraz po wystrzale,
choć kule w Twojej piersi
zakrzepły — Generale

i sercem i żelazem
wolności będzie strzegła
Ludowa, Sprawiedliwa,
Ojczyzna Niepodległa.

Jan Gałkowski

JAN WYKA

OPOWIEŚĆ O RĘCZYŃSKICH FORNALACH

Koła trzeszczą na traktach,
serce zaciska krew —
życie spisane w aktach,
życie ciężkie jak śpiew.
Wozy unoszą worki,
chłopski unoszą byt —
szarym dymem machorki
kopci się chłopski świt.
Żyto dłonią zasiane,
żyto świeci jak skra —
ciebie wygonił ranek,
ciebie ekonom gna.
Grzbiety końskie ponoszą,
gniew w szorstkich wargach ścierpł —
Czas już chwasty ściąć kosą!
Strajku zabłyśnie sierp!

*

Spieni się, jak wiecie, wrzątek chłopskiej złości,
czoła swe promieniom odsłonią,
sprzęgnięci więzami walki i miłości
ze śpiewem wyruszą ku błoniom.
Ścieżkami i traktem, z kartoflisk, z buraków,
jak drzewa w trzepocie burzy
podejdą, wypłyną gromadą z czworaków,
pył dróg się na nowo zakurzy.
I zwarli się w zastęp, zawzięty, skupiony,
dojarka i biedniak i pastuch —
Nie łatwo zagasić ten zapał wzburzony,
nie łatwo rozgonić ten zastęp.
Za krokiem fornali skupiona gromada,
fornale śpiew niosą jak sztandar.
Pszeniczne, szepczące wiatr kłosy układa,
czupryny brzóz ściska jak w kantar —
Gdy dwór w krąg otoczą pod cieniem lip krzepkich
i pana zawezwą do siebie,
o skronie uderzy przestrachu dreszcz cierpki
i mocniej ich w ziemię wkolebie.
Grzelak wprzód wystąpi i panu odpowie:
„Dziedzicu, dwa korce nam zwrócisz,
życie w naszych piersiach zdzierałeś i zdrowie —
do dniówki czterdziestkę dorzucisz.
Nie będzie to samo, co zeszłego roku,
i ziarno oczyścić każ, panie,

żaden, jak nas widzisz, nie cofnie stąd kroku,
na tydzień tu w strajku ostaniem!
A zboże wyrosło na nędzy Ręczyna,
korzenie złym potem zrosiło.
„Ja, ciebie, Grzelaku, zły psie, prowodyrze
pamiętam — przyszedłeś tu niczym —
wściekłością i butą świecą ślepia ryże,
przepędzić, przepędzić cię biczem!
A ciebie, Sikoro, za pierś jak szczeniąka,
ty z lasu ukradłeś sośninę,
przeze mnie zmarniejesz w więziennych barakach,
jak robak zduszony się zwiniesz.
Fora, dwór opuścić, dość już mojej łaski!
Nie straszcie mnie zbożem dojrzałym,
darmo po klepisku panoszą się wrzaski.
Policję do dworu wezwałem".
Wtem nagle ktoś sztandar rozpostarł,
krew walki do góry wzniesiona,
Skośny promień w oczach zawisnął jak kosa
i mocniej się zwarły ramiona.

*

Nad Ręczynem słońce jak krzak kukurydzy
potrząsa grzywą konopną —
i pewno nie słyszy i pewno nie widzi,
że człowiek o miedzę się potknął.
Tym piersiom się nie bać zgrzytu wrogiej kuli,
gasnących iskier w rosie źrenic,
gdy zgięte kolana do skiby przytuli
i śmiercią przywiąże do ziemi.
Grzelaku, chylisz się, jak konar się łamiesz,
śpiewają czerwienią twe żyły!
Grzelaku, nas wszystkich na świadków dziś zamień,
że kwiaty twą krwią się opiły.

*

Opowieść skończona. Lecz walki nie koniec
i strajku ręczyńskich fornali.
A słońce? — Jutro tam wschodząc, opowiedz,
że w nas się ta sama pieśń pali,
że trwa bój w Warszawie i na Ukrainie,
że sztandar zmagania i siły
z miast świeci, zza Bugu, z wołyńskiej niziny,
że pękną wiązania przegniłe.
A droga jest jedna i ścieżki te same,
trza sprzęgnąć jak dłonie i złączyć
i przebić przemocy mur stary i zamęt,
by w wolność móc patrzeć jak w słońce.

NA SIERRA QUEMADA

Jest ich dwóch tylko, bo trzeci z sił opadł
(tak w naszym kraju liść roni listopad),
palce zmartwiałe wciąż trzyma na taśmie,
z lęku, że zanim ktoś przyjdzie, on zaśnie,
że się w łożysko piaszczyste zapada
na zboczach Quemada.

Zostały im tylko, tylko trzy naboje,
a rąk gotowych do strzału jest dwoje
i czworo jasnych niby struga oczu
czuwa już tydzień na górzystym zboczu.
Czuwa i patrzy: czy się wróg nie skrada
ze Sierry Quemada.

I tak zostali, nie słysząc rozkazu,
oparci piersią o wyłomy głazu.
Wierzą, że pochód szumi po stawiskach,
że straż czołowa nadchodzi, jest bliska,
że rozpościera już skrzydła brygada
na zboczach Quemada.

Żyć nie zdołają i umrzeć nie mogą,
lecz żaden jeździec nie cwałuje drogą.
Nikt bratnim ruchem w dłoń słabą nie wciśnie
haseł rozkazu skreślonych na piśmie:
jutro o brzasku wyruszy brygada
na Sierra Quemada.

Czy tak zostaną nie słysząc rozkazu
zamknięci, cisi w kręgu srebrnych głazów?
Piersi ich skryje ta barwa kamienna,
co linie ramion na marmur zamienia,
w kamienny żywot ich ciała układa
na zboczach Quemada.

Nie czują nawet, jak żyły przenika
odwieczna cisza marmuru, pomnika.
Ciało bez czucia się więcej nie wzbrania
w tajemnych chwilach cichego konania,
gdy serce w zimne zawoje zapada
na zboczach Quemada?

Czy tak ich znajdzie pierwsza zorza świtu
kamiennych, cichych pod obrzaskiem mitu?
Czy głaz przygarnie ich dusze powoli

uciskiem mrozu, który już nie boli,
gdy się w obłokach ich serce zapada
na zboczach Quemada.

Z śmiertelnej drogi odwołać ich w stanie
trąbka pobudki, rozkazu wołanie
huk tysiącstopy w zielonej dolinie,
co chrzęści, szumi, szeleści i płynie
i grzmotem skalnym w załomy zapada
na Sierra Quemada.

Wtedy nie wejdą w łożysko kamienia,
oczu nie weźmie im odblask krzemienia,
ramion nie wcieli im linia marmuru,
lecz pójdą w tłumie doliną i górą,
gdy się w ataku rozpostrze brygada
na Sierra Quemada.

Hiszpania, 1938

Jan Wyka

STANISŁAW PIĘTAK

PRZEMÓWIENIE WIEJSKIEGO AKTYWISTY

Nie umiem układać słów, nie umiem ich łączyć,
by powstały obrazy, które zachwycają.
Życie moje było surowe od początku.
Wspomnienie nie zawsze bawi, wspomnienie cięży
również. Cóż — dzieciństwo? Leżeliśmy po czworo
w nogach łóżka. Gdy które dręczyła choroba,
opasywał nas wszystkich ogień jak pokrzywą.
Czy bili rodzice? Bili — codziennie bili...
I to jest może najdotkliwsze, najsmutniejsze,
że nie zaznało się do syta pieszczoty matki, —
że ojciec wstydził się nas przytulić do piersi
i tylko czasem przez sen przywoływał do siebie...

Dzieciństwo! Ledwie skończyłem 10 lat, szedłem
do dworu już robić, za końmi, za wołami
się wlokłem i nie miałem snu, ni odpoczynku.
Nawet w nocy gnało mnie wołanie rataja,
spieka, lub grudy pól raniące stopy jak szkło...
Gdziem nie był, gdziem nie szukał roboty. Kanały
w błocie kopałem, brodząc po pierś i po szyję
i cegłym dźwigał i ledwie na rusztowaniu
stałem, słaniając się od potrzeby snu i głodu...

Jak gradem biły dni i lata towarzysze,
i nie pora zatrzymywać ócz na okruchach
szczęścia. Ożeniłem się, pierwsze dziecko przyszło —
a tu już wojna, wróg dręczy i swoi ranią...
Wysłali mnie do Niemiec kułacy samego,
pozbawili powietrza, kraju, głosu żony
i dzieci, wszystkiego, czym żyłem, co kochałem.
Kiedym wrócił po latach, tom doprawdy płakał,
podnosząc me maleństwa i ciesząc się nimi,
ciesząc się wolnością, którą nam życie niosło.
O dni, wielkie dni, wszystko wtedy radowało —
dzielenie ziemi dworskiej i znajomość z władzą...
Nie wstąpiłem jeszcze do Partii, lecz z całego
serca byłem już z nią i walczyłem o przyszłość,
która jak młode konie biegła w słońcu przez nasz kraj.

Żona mówiła mi nieraz: słuchaj, zabiją —
lecz ja śmiałem się... Żona wskazywała ręką
wrogów, lecz ja śmiałem się dalej, nie bałem się
nikogo... No, przyszli, nawet niedługo przyszli.
Był już czerwiec czterdziestego piątego roku.

Noc była mglista, księżyc plątał się w gałęziach.
Rozbili drzwi, dzieciom zakneblowali usta,
a mnie bosego, nagiego postawili przed sąd.
Jeden z bandytów strzelił do mej fotografii
na ścianie, lecz ja nic nie powiedziałem. Inny
przystawił mi lufę do skroni, lecz jam również
milczał — i tylko wargi puchły mi od gniewu...
Porżnęli mi plecy batogami jak nożem,
ściskali mi gardło i patrzyli na usta,
lecz także na próżno — poniosłem czerwony krzyż
wyrżnięty rzemieniem, poniosłem odrazę i bunt —
i myślałem w ciszy, że nie dałem się spodlić...

Właśnie wtedy rozpoczynają się działania
moje. Stałem się członkiem Partii i już wkrótce
wybiegłem życiem poza granice gromady.
Tak — i ja nie byłem zawsze, jak dąb wznoszący
spokojnie ku obłokom zielone konary —
i ja łamałem się nieraz od lęków i przeczuć.
Szło o pole, które przygarnąłem do piersi
już jak swoje i które w myślach przemierzałem
codziennie, ważąc kłosy zbóż, głaszcząc nasiona...
Czytałem jednak wiele, trudziłem myśl co noc
i opuściły mnie zabobony przeszłości.
Wyjdę wieczorem przed dom, spoglądnę na pola
szerokie, po których światło mży, strząsa rosę
i jakoś mi radośnie, że już nie na skrawku
malutkim żyje moje serce, że jak bliskie,
swoje ogarnia ziemi gromadzkie obszary...

Towarzysze, zapewne, mam wielu przyjaciół,
lecz mam i wrogów, bo idę do celu śmiało
i bez lęku. Oto dewotka składa ręce
pokornie i okrywa się niebem, lecz serce
by wydarła mi z piersi i dławiąc się śmiechem,
deptałaby je jak żmiję, rwała na cząstki...
No, a ten sąsiad, pan mój i żywiciel kiedyś —
łasi się, czuli, pyta, a ręce mu się rwą,
skoczyłby i chwycił mnie rękami za gardło
i jak uduszonego ptaka rzucił w rzekę...

Mówią do mnie czasem — ty nie kochasz swych dzieci,
ty nie kochasz wioski naszej, chłopskiego losu —
nie oburzam się, jak z żartu się lekkiego śmieję,
niedawno przecież byłem taki sam, jak oni...
— Co do dzieci — to rękę dałbym sobie odciąć
niegdyś, by dać im chleba, dać im kęs szczęścia —
szepczę. Uczą się i będą umieć więcej niż ja,

cieszę się tym, śledzę ich rozumne kroki...
Jakież my mieliśmy życie, a jakie mają
oni? Po żłobach spaliśmy dręczeni zimnem
i snami, w których nie było łask ni nadziei.
Gdy pierwszy raz zapaliłem żarówkę w stajni,
tom głaskał ją, jak młode zwierzątko po czółku,
przypomniałem sobie bowiem swój ból i swój strach,
gdy kiedyś w ciemnościach stawiałem koniom wodę
i drżałem, że z niej gwiaździsty potwór wyleci...

Kobieta moja jest ze mną już, jest szczęśliwa.
Nie musi męczyć się, śpiewać wciąż nad kołyską
do późnej nocy, do pierwszych podmuchów świtu.
Sama drży ze szczęścia i śmieje się, gdy czyta,
jak to chłopiec leci przestworem na dywanie
i złego smoka zabija słoneczną strzałą.
Patrzysz, a już upadła, już śpi obok dziecka
i płynie z nim, radując się, przez powietrzne kraje...

Towarzysze, możem długo mówił, lecz chciałem
powiedzieć wszystko, com przemyślał i com przeżył.
Przyszłość jest nasza, przyszłość jest żyzna, uchwyćmy ją
jak roślinę drżącą od nadmiaru słońca...

POŻEGNANIE

Więc najpierw była godzina szósta
i jeszcze szeptały słowa twe usta.
Drżałaś, czy strzeże kto gospodarstwa,
lecz znowu szła niepamięci warstwa.
Minuty i godziny mijały
i płynął nad ogrodem dzień biały,
tak zasobny w czystość barw i linię,
że widać było jak szum w locie ginie.
Floksy, astry, goździki i róże
stały, szły przez nie zapachów burze
i pukały jak dzieci do okien...
Nie zjawiłaś się koło nich krokiem
jednak, nie wyszłaś lekko na ścieżkę,
garnąc do piersi sad i powietrze...

*

Nadchodziło powoli południe
i bydło rycząc w polu szło do studni.
Wtedy ożyły znowu oczy twoje
poczęły śpieszyć się, biec przez pole.
Wsparłaś się ciałem o wnuczki ramię

i szłaś do okna, lecz żadne łkanie
nie targnęło tobą. — Żeś kochała
ziemię, swój kraj — wyrzekłaś, i cała
pochyliłaś się nagle i znowu
usiadłaś w śnie, dziwiłaś się słowu...

*

Czy pędziły w tobie lat tabuny,
dotykając ust i rąk jak struny?
Czy może w tej ostatniej życia chwili
już cierpienia twe cię opuściły?
Rzekłaś o synu, że stoi w izbie.
Dłońmi szukałaś go w głosów ciżbie...

Dzieciństwo! Oto idziesz za krową
i płaczesz, bo grom trzęsie dąbrową.
Oto znów na drabiniastym wozie
jedziesz, zgarbiona spieką, o głodzie.
Ach, odwracają się hucząc lata.

Bije, lub cieszy wspomnienie świata...
Bramka — i czekasz w zmierzchu błękitnym.
Tak cicho. Gwiazdy, akacja kwitnie,
a jednak popłyniesz w sen na płaczu
i oczy smutniej młodość zobaczą.
Nie przyszedł ten, co kochał, nie przyjdzie.
Już jutro do innej pod bez wyjdzie...

Jakby przeraziły się nagle dnie.
Błotem, głodem, nieszczęściem czas tchnie.
Dziecko po dziecku trzymasz na ręce
i późno w noc rozchylać się męce
dopiero dajesz, gdy szum ucicha,
gdy również ciebie sen w przeszłość spycha...

Męża nie ma, za morzami siedzi,
a z ciebie drwią, szydzą źli sąsiedzi.
Wojna, choroba, nędza, pożary.
Ledwie nad ziemią stanął świt szary,
już idziesz po domach za zarobkiem...
Zasypiasz bez sił nad polnym rowkiem.
Nie było czasu sprostować krzyża.
Kto dawał pracę, ten bił, poniżał...

*

Jeszcze tyle lat, a już pustynia —
i nic się myślom nie przypomina.
Żachnęłaś się głową jak w gniewie,
bo wzrok i dłoń i słuch nic już nie wie...
Nastąpił zgon. Było już po trzeciej.

Cisza kurz rozstawiała na świecie.
I płakały po tobie strumienie,
płakały w grządkach chudziutkie cienie,
po których w dzień dreptałaś stopą,
idąc po wodę i drwa pod szopą.
Płakały nasturcje i jaśminy.
Płakał w ulicy dąb czarno-siny.
Płakały obłoki i zwierzęta...
I sen twój kiedyś o nich pamiętał...

Płakali również zebrani ludzie,
z plewą we włosach, po przerwanym trudzie.
I tylko mnie przy tobie nie było —
i tylko mnie przy tobie nie było...

Stanisław Piętak

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

ZAORANIE MIEDZ

Fragment poematu J a c k o w i c e*)

Był ranek. Słońce lśniło na blaszanych łatach
Starych dachów folwarcznych i babiego lata.
Wiatr nitki postrzępione niósł, drobne i drżące,
Jak dziecko, gdy latawcem bawi się na łące.
Przez niebo jak spłoszone owce gnały chmury...
W tej porze pola tracą barwę, kształt, kontury;
Do pól upodobnione miedze, trawa wyschła,
Rzekłbyś, że jesień miedze chce ukryć w ścierniska
Przed oczyma spółdzielców.
A ci właśnie stali
Na granicy pól chłopskich i działek fornali
Wkoło Króla. Pisałem, jak kołchozy zwiedzał
Wsiane w stepy Kubania, gdzie jedyna miedza,
To wzdłuż setki mil zboża przeciągnięty kanał.
Jest ich dwudziestu czterech. Z przodu stoją młodzi,
W głębi, w ciemnej zapasce dójka Sebastiana,
Obok Szkopiak, co z książką uczoną przychodzi
Do obory i różne nowości wprowadza.
Dalej Olszewski. Średniak — ten z miejsca się zgadzał
Na spółdzielnię, gdy cyfry wskazały treściwie,
Że postąpi rozsądnie, serce — sprawiedliwie.
Opodal mimo orki stanęli ciekawi:
Jakieś baby w spódnicach koloru żurawin
Z pobożnie splecionymi dłońmi i zastygłą
W oczach zgrozą. Spojrzenia wbijały jak szydło
W pola nowej spółdzielni. Młodsze z dziećmi w chustach,
Wśród nich Józka bogaczka i Margośka tłusta,
Obok Wiącek i Krzyziek. Pół wsi przyszło patrzeć,
Jak „ci otumanieńce" będą, jak w „tyjatrze",
Gdzie się w zapust „głupoty dla śmiechu odgrywa",
Swe własne i z nadziału miedze zaorywać.

Czasem łatwiej myśl żywą przełożyć w obrazy.
Jest marzeniem i dobrze z tym, bo ileż razy

*) R.S.W. Jackowice jest jedną z najstarszych i najlepiej gospodarujących spółdzielni produkcyjnych powiatu łowickiego. Powstała w marcu 1950 r. w ogniu bardzo ostrej walki klasowej. Właściwą działalność rozpoczęła dopiero w jesieni tegoż roku po scaleniu gruntów. Fragment Z a o r a n i e m i e d z poświęcony jest owemu historycznemu dla Jackowic dniu, kiedy to spółdzielcy po raz pierwszy przystąpili do pracy na całym obszarze swej ziemi. Nie obyło się bez wysoce dramatycznych momentów m. in. związanych z nieprzybyciem zapowiedzianej ekipy POM-u. Większość przytoczonych tu szczegółów oraz nazwiska głównych aktywistów spółdzielni, są autentyczne. Literaci, świadkowie opisanych tu wydarzeń, mówią zgodnie, że oranie miedz, przeprowadzone zwyczajnymi pługami na oczach całej wsi, która zaczęła sobie dworować ze spółdzielców oczekujących bezskutecznie na traktory, miało w sobie, w szybkim podjęciu decyzji i rozmachu, coś ze sceny batalistycznej.

Marzenie dłoń przynagla i zdziwienia pełen
Patrzysz, aż... myśl jest rzeczą, dokonanym dziełem...
Więc spółdzielcy w marzeniach widzą za pół roku:
Od lewej jasny obłok pszenicy, a z boku
Łańcuch pól buraczanych, brunatno-zielony.
Myśl żywa na bocznicę podstawia wagony
I sypie w nie z rozmachem jak dzwoniącą grudę
Słodki produkt i w stronę Łyszkowic posyła,
Bliżej wsi kartofliska rozsadziła rude —
Po co? — bowiem wzorową chlewnię założyła,
Która wyda najlepsze w powiecie tuczniki
I wreszcie w sad rumiany park przeszczepia dziki.
Kędzierzyński saletrzak z polami sytymi
Zrówna skiby zbiedzonej, bo biedniackiej ziemi,
I nie pozna z cenzurką wracający szkolarz,
Gdzie ośrodek, gdzie chłopskie, gdzie folwarczne pola.
Myśl szybko mnie przez drogi w istocie mozolne
I kreśli nowy obraz: ich wsi średniorolnej
Rozłamującej miedze, a już nie samotnie.

Źle, gdy ktoś w drogę idąc, na progu się potknie
Wśród wrogów. Cóż, że będzie szedł gracko po lesie,
Złe oczy to wypatrzą, zły język rozniesie,
Głupie dłonie doskoczą i piach rzucą w oczy.
Nieraz silny z pozoru, zwolni krok lub zboczy.
Wnet jak smoki, na które wedle zbożnej pieśni,
Kto poczciwy, ten „śmiele, bez obrazy siędzie",
Zjadą z hukiem traktory, by miedze przekreślić,
(Umowę podpisano w pomowskim urzędzie).
Wspólne pola zaorzą, głęboko rozgarną
Glebę, w którą wnet siewnik rzuci wspólne ziarno.
Garstka naszych spółdzielców zdaje się nie słyszeć
Pleciuch babskich i tylko przepocieszny Zdziszek
Szelmowskie perskie oko Więckowej posyła,
Co właśnie zza pazuchy różaniec dobyła
I modli się, by święty Faustyn zesłał piorun...
Już na chłopskim od świtu orano wzdłuż toru,
Trwał ów żmudny, powolny przemarsz przez zagony
Konia, sochy, człowieka zgiętego i wrony;
W górze chmury gęstniały. Ich mroczny koloryt
Był jak klątwa biblijna i wyraz pokory
Wobec losu, przyrody i spadku stuleci.
Wnet traktory nadjadą. Wyjdziemy naprzeciw.
Spóźniają się, niebawem jednak wyjrzą z wioski
I po chwili niedłuższej niż pacierz dziadowski
Staną tu. Pewnie jadą. Dobiegł przez zagony
Wrzask psów, ostry, narwany i jakby zdumiony;

Tarza się wzdłuż opłotków, coraz bliżej dworu,
Głuszy pewnie miarowe stukanie motoru,
Nie ustaje... Nie, ustał i w ciszę się wplątał.
Od godziny trwa cisza i jest już dziewiąta.
Król stale swój zegarek jak puszkę z tytoniem
Otwiera i oczyma zda się przestrzeń chłonie
Aż po zasięg widzenia, a i ten przekroczy
Słuchem, lecz tylko wróbel, jak gdyby się droczył,
Ćwierka z dala. Zalśniła łza w Boguśki oku,
Choć uśmiechem i słowem chce pokryć niepokój.
Znają ciężar spóźnienia, wiedzą, ile waży
Ten czas w pracy zespołu łowickich murarzy
Na Placu Kościuszkowskim, ile w mieście Łodzi
Prządki przędzy urobią wzdłuż niewielu godzin
I wiedzą, ludzie prości, rozumni i skromni,
Że dzień ten syn przechowa, wnuk się oń upomni,
Że w dniu tym każda chwila na obraz oręża
Ma w sercach i nawyku przesądy zwyciężać.
Trwa cisza, więc niepokój owładł i młodzieżą.
Król i Szkopiak oczyma przez chwilę się mierzą,
Po czym Szkopiak bez zwłoki na swój rower siądzie,
Znika w dali omglonej i miękkiej jak kądziel.

Na zegarku wskazówka ku cyfrze następnej
Podpełza. Ucichają pomruki niechętne —
Ów szmer wyzwisk, co prawie już w ucho nie wpada —
O „dzwonku ekonomskim", o „bandziorach" i „dziadach".
Na ich miejsce przybiega i śmigać zaczyna
Po bruzdach jak mysz polna zwinna, szybka drwina.
Podchodzą ku nim zewsząd, stają całkiem z bliska:
Dwie Więckówny w pilotkach, „pańska piękność" — Krystka,
Pomarszczone bigotki, podobne dziś wierzbom
Rechoczącym dziuplami, gdy ich pnie rozrzeźbią
Rylce czasu. A Wiącek z uśmiechem anioła,
Co w sobockim kościele płynie na obłoku,
Przed gromadką melonik zdjął czarny jak smoła
I uradza życzliwie, żeby dali spokój,
Bo nie w siłach, zawiedli się dzisiaj i nie dziw;
Tam jest nieład i słowa puste, tu sąsiedzi
Dopomogą, a raźniej na swoim, w gromadzie...
Wiącek zgodę pochwala, przeciwny jest zwadzie.

I oto fornal Baran, Guzek, dwóch średniaków,
Patrzą w ziemię jak gdyby szukali rzepaku
Na ściernisku, Jaskólski tak jakby okulał...
A wtem zabrzmiał nad miedzą basowy głos Króla:
(Król zwykle mówił cicho i jakby nieśmiało)

„Patrzcie, ludzie, wilczysko w skórę się odziało
Owczą, tylko mu ślepia świecą i pazury.
Przykuse są dla wilków widać owcze skóry.
Tym gadaniem, poczciwcze, nie omamisz wielu.
O takich przyjaciołach często w ZSL-u
Mówimy. Franek Baran, jeśli tak zbaraniał,
Niech odejdzie, nie chcemy babskiego biadania"
— Przerywa, bowiem rower błysł raptem z oddali.
Przybył Szkopiak, przez chwilę na boku szeptali —
„Przyczynę, że traktorów nie ma do tej pory —
Rzekł znów Król — „Szkopiak zbadał, gdyż był tam. Traktory
Są potrzebne gdzie indziej, orzą w Wierzchowicach
Dla takich, jak my chłopów, a nie dla dziedzica.
Rację chyba przyznacie. Całkiem inna sprawa,
Że nie wolno POM-owi obietnicy dawać,
Że przyjdą, gdy nie przyszły, i tak ludzi zwodzić.
Przeoczyli. Planowość nie na pniu się rodzi
Nie od razu, jak wiemy, Łowicz zbudowano.
Wszak uczymy się wszyscy. Z Bedlna dzisiaj rano
Dzwoniono do sołtysa. Wyszedł. To się zdarza.
Czy to znaczy, że trzeba omyłkom pobłażać?
— Wcale nie. O tym potem. Jutro lub pojutrze
Sprzęt nadejdzie. Nie traktor jest pierwszy, lecz człowiek,
Co ma rozmach w ramionach i co się nie guzdrze
Na wspólnym widzi jaśniej, no bo myśli zdrowiej.
Z czasem będzie nam lepiej. Zjadą tu kombajny,
Jakiem widział w chutorach Kraju Radzieckiego,
A dziś orkę jesienną końmi zaczynajmy.
Rosjanie nie od razu zaczęli z łatwego."
„Cóż, możemy i czekać: konie, nie machiny —
Rzekł Olszewski — Traktory zaś ściągną niebawem.
Lecz u Siwków też, sądzę, nie z masła pęciny,
A kto zwleka, niepiękną pozyskuje sławę.
Kiepski taki gospodarz, co świętuje w piątek,
Myśląc, że gdy on czeka, czas również z nim czeka.
To nie wstyd na dorobku wystąpić z chomątem,
Wstyd jest w progu bezczynnie zasiąść i narzekać.
Zacznijmy!"
Wszyscy byli podobnego zdania.
Przez miedzę przebiegł zgodny szmer potakiwania.
Rozchmurzają się czoła. Nie minął czas długi,
Gdy na miedzy zarżały konie, brzęczą pługi.

Bywały świetne szarże. Była Samosierra,
Chluba polskiej konnicy, epos szwoleżera,
Amarantu i srebrnych, obok złotych, ptaków,
Piękna śmierci podchmurnej w straceńczym ataku,
Ofiary, z której tylko laur gorzkiej sławy,

Tragedii krwi przelanej dla niesłusznej sprawy,
Tradycji, którą zamknął, a nową otwierał
Błysk słońca Aragonu na kasku Waltera.
Bywają inne szarże. W nich również jest patos —
Szarże pracy i pięknej serca zaciekłości
Na tworzywo i Stare, które tworzy zator
Na drodze do niełatwej a jasnej przyszłości.
Wiele ich zna współczesność, pieśń ku każdej rwie się.
A jedną z nich widziała jackowicka jesień.
Więc zaprzęgli do pługów siedemnaście koni —
Kantary przystroili kwiatem georginii —
Rozstawili w odstępach w wichrowatej linii
Na rżysku, a nim lemiesz w kamienie zadzwoni
Na granicy Olszewskich pola i dworskiego,
Przed tą chwilą, od której ruch lejców już dzieli,
Z powagą i w skupieniu, milcząc, czapki zdjęli.
Zaskrzypiały hołoble, rząd pleców się przegiął,
Wszystkie pługi rwą naraz ziemię z taką siłą,
Że darń w górę tryskała i kiedy pył opadł,
Mógłbyś przysiąc, że miedzy tu wcale nie było.
Krają pole Olszewskich. Przodem idzie Szkopiak.
Konie, zniżywszy grzbiety, prą z mocą na przełaj
Długą linią pstrokatą, co wnet się wygięła
Jakoby łuk z leszczyny napięty do strzału.
Wzrok, co konie taksował na pańskich wyścigach,
Bez monokla by stwierdził, że suną pomału,
Lecz już na drugiej mordze ów tępy błysk wygasł,
Jaki dają pod słońce, gdy popatrzeć z bliska,
Zadry słomy i trawa pyrzasta ścierniska.
Za każdym pługiem biegnie jakby struga rwąca
Czarna, wezbrana bruzda i nie tak męcząca
Jest orka, kiedy do niej stanęli gromadnie.
Suną konie. Już miedza następna jak okop
Staje w poprzek. Wnet na nią srokacz Króla wpadnie
I dwa wrone podobne burzliwym obłokom,
Dalej gniadosz i karaś Walka, w ślad jak cienie
Dwanaście innych koni, których nie wymienię.

Do zmroku jeszcze cztery miedze zaorali.
Wściekłymi spojrzeniami kłuto ich z oddali.
Więckowa przez czas jakiś nieruchomo stała
Tak skrzywiona, że Król nasz, co dobrą ma pamięć,
Mówił, że się historia, jak raz, przypomniała
Z żoną świętego Lota zamienioną w kamień.
Ale potem widziano w tej grupie i takich,
Jak Kulesza, co sposób patrzenia odmienił
I bez złości spod wąsa rzekł: „Żwawe chłopaki".
Zmierzch dziś wcześnie i ostro niebo zaczerwienił

Za drogą. Wiatr się zerwał, tłukł w szyby. Wieczorem
Krol z Olszewskim siedzieli przy lampce na prędce
Wyniki dzisiejszej pracy, doprawdy ze sporu.
Choć bezlitosne traktory zorałyby więcej,
Wypisali i trzeba podkreślić białą
Swe miejsce i obiem zerwanych bekrenów
Na dosadzenie specyjalnej w mleczu przez wieś całą
Powiązanym, pod drzewem, co strzegł od pożaru
Niebieskie malowane chaty. Jak u płota —
Jak pożaru przystawie — siada „sen-drzewem”.
Jesienne Dzikosa zatkał tam skrzypiec jak uczeń
Posyła na dziewanie pod dzień Bogusia
Spią spółdzielcy jak bitwą strudzeni rolnicze.
Tylko sen Włościowych sen słodki nie bierze.
Wreszcie zegarek Krola spóźnia się swym planem
I szkarłatne kogutu strąbiły ranek.
Spółdzielcy wyszli w pole mimo wczesnej pory.
Wiem Bogusia, podłoczek z śmiesznym wściekłym nosiem.
Biegnie ku nim i palcem wskazuje na wieszę.
Z rannej mgły wyłaniają się zwolna traktory.

Tadeusz Chrzanowski

DZIEWCZYNA

Ona nie z sadów, nie nuciła
jej ani malwa, ani ruta.
Dzieciństwo smutne zostawiła
w czynszówce dawnej na Bałutach.

Smukła i zwinna teraz biega
po sali, gdzie terkoczą krosna.
Rzadko na ścienny spojrzy zegar,
choć za oknami czyha wiosna.

Pochwalić wiatr, pachnący majem:
sukience każąc lgnąć do ciała,
zarysy ścisłe mu nadaje,
żeby uroda wyraźniała

jakby pogańska, lecz świadoma
i piękna swego i dni treści.
Tam na Bałutach, w nowych domach
szczegółów szukać opowieści.

I niepotrzebny wasz uśmieszek,
gdy patrzę na nią, wyróżnioną.
Żonaty jestem — a się cieszę
za tego, czyją będzie żoną!

NOTATKA

Ani to wakacje,
ani ja sprzed lat...
Pociąg za Olsztynem
między lasy wpadł.

Świt we mgle i dymie.
Gdzieś jeziora śpią.
Słońce je przypomni
i odbierze mgłom.

Trawy jak pod szronem,
ktoś przez rosę biegł:
może właśnie sarna
nad jeziorny brzeg.

Pociąg, trawy... błyski
już na korze drzew.
Olbrzymieje ranek
lekki, pełen ech.

Jan Huszcza

DANUTA BIEŃKOWSKA

DACH NAD GŁOWĄ*)

MAJSTER I CZELADNIK

Po nieudanej interwencji u dyrektora naczelnego inżynier Jankowski przysiągł sobie, że nie będzie się wtrącał do niczego więcej. Wykonywał sprawnie swoją pracę i z końcem urzędowania opuszczał biuro, zastanawiając się, co robić z wolnym popołudniem.

Do domu nic go nie ciągnęło, zwłaszcza w pogodne dni wiosenne. Mieszkał na Żoliborzu w sublokatorskim pokoju razem z kolegą, który dopiero kończył Politechnikę. Pokój był nawet dość obszerny, lecz zastawiony gratami. Właścicielka nie mogła ich ścierpieć we własnym mieszkaniu, nie zdobyła się jednak na ich usunięcie.

Stała tam szafa dwudrzwiowa z szufladą w dole, z gzymsikiem fantazyjnym u góry i kolumienkami po bokach, dalej orzechowe tremo z lustrem jakby spleśniałym od spodu i zasnutym mgiełką, pod oknem masywne biurko, pokryte z wierzchu zielonym suknem, mocno zniszczonym przez mole i poplamionym wszystkimi kolorami atramentów. Była tam jeszcze etażerka z fikusem; dolną jej półkę zajmowała kolekcja trzynastu słoni, z których każdy następny mniejszy był od poprzedniego. Nad wysuniętymi na środek pokoju łóżkami wisiał na ciemnej tapecie Chrystus w Ogrójcu. Jankowski przyglądał mu się co wieczór podczas ściągania butów.

Młody inżynier przywykł do tego pokoju i nawet go polubił. W zimie sprawnie działało centralne ogrzewanie, w lecie nie dokuczał upał. Po studenckim biedowaniu był to lokal komfortowy.

Za książkami Jankowski nie przepadał, chętnie czytał tylko o morzu i przygodach, ale uważał to za stratę czasu. Lepiej wziąć do ręki pismo fachowe albo podręcznik — z tego człowiekowi coś przyjdzie. Od dziecka zmuszony był szukać korzyści w każdym przedsięwzięciu. Nie miał nawet czternastu lat, kiedy zaczął zarabiać na utrzymanie trojga osób. Matka, wdowa po kolejarzu, wysiedlona w czasie wojny z Poznańskiego, chorowała na serce i reumatyzm. Dziewięcioletnia siostra ledwie posprzątała i zgotowała zupę. Jankowski rozwoził proszek mydlany, trochę handlował, później najął się do ucierania pasztetów, wyrabianych potajemnie przez jakąś panią. Dzień w dzień od czwartej do

*) Patrz nr poprzedni Twórczości.

ósmej wiercił wałkiem w makutrze, póki ze zmielonego mięsa i wątroby nie utworzyła się jednolita, krwawa maź.

Popołudniu chodził na tajne komplety i jakoś przed samym powstaniem zdał maturę. Politechnikę skończył po wojnie w Gdańsku, posyłając pieniądze matce, przykutej ponownie do łóżka nawrotem reumatycznych bólów. Wróciła do rodzinnego Wągrowca, nigdy bowiem nie zżyła się z Warszawą, którą poznała jedynie od Żelaznej do placu Grzybowskiego.

Patrzyła z góry na sąsiadki nie umiejące w zatłoczonych mieszkankach utrzymać należytej czystości. Gniewała się, że siedząc przy oknie lub na schodach nie zajmą się „heklowaniem", że gęby mają ruchliwsze niż ręce. W jatkach wydawało się jej brudno, narzekała na rzeźników, którzy nie umieli rozbierać mięsa jak potrzeba i wtykali kupującym kości i ochłapy. Codziennie skarżyła się synowi na te porządki i na prześmiechy sąsiadek. Nawet z kościoła nie miała tutaj wielkiego pocieszenia. Do towarzystwa matek chrześcijańskich zapisało się niewiele kobiet, a i te przychodziły rzadko i nie zdobyły w parafii szczególnego poważania. Nawet ksiądz traktował je po macoszemu zaprzątnięty innymi sprawami.

Po dyplomie Jankowski otrzymał skierowanie do pracy w Warszawie. Zrazu i jemu wydała się obca, zwłaszcza że nie znalazł w niej znajomych. W pracowni czuł się niemal intruzem w gronie zżytych z sobą inżynierów, którzy niechętnie dopuszczali obcych do bliższej komitywy. Zresztą wszyscy mieli jakieś powiązania organizacyjne lub sentymentalne, jakieś interesy i nadzieje.

Z dziewczętami Jankowski jeszcze gorzej sobie radził. Poza pracą i nauką stronił od nich zdecydowanie. Zdobył w tej mierze przykre doświadczenia, z których nie zwierzał się nikomu. Nie lubił mówić o sobie; wydawało mu się to równie nieprzyzwoite, jak ukazywanie cielesnej nagości.

Koledzy pomawiali go o gruboskórność. Pod jej pozorem skrywał nadmierną wrażliwość. Najniewinniejszy żart na temat jego osoby urażał go tak, że nie mógł o nim zapomnieć przez długie tygodnie.

Nie rozstrząsając własnych przeżyć chętnie uczestniczył w rozmowach i sporach swych kolegów, zawsze jako niemy obserwator. Nikt nie przypuszczał, jak wiele wie o nich młody inżynier, który nie zadawał żadnych pytań i z nikim nie wchodził w konszachty.

Pracownię trzymał mocno w garści inżynier Rączka, człowiek już niemłody, świetny fachowiec i niezmordowany pracownik. Przychodził z samego rana, zdejmował marynarkę i wieszał ją starannie na wie-

szadle, sczyszczając szczotką każdą odrobinkę pyłu. Wdziewał czarny satynowy fartuch i siadał przy biurku, starłszy uprzednio jego blat flanelową ścierką, którą przechowywał w dolnej szufladzie z prawej strony.

Nigdy nie rozmawiał niepotrzebnie, ledwie parę wyjaśnień rzucał przy rozdzielaniu roboty. Pracował szybko przy pomocy tablic i ramowych kosztorysów, które zazdrośnie zamykał przed innymi.

Jankowskiemu wydało się to naturalne: formularze i tablice były przecież własnością starego fachowca, owocem jego wieloletniej pracy i przemyślności.

Rączka nie wtrącał się do młodych inżynierów, chyba że rozgadali się za głośno; wówczas krzywił się z niesmakiem i uciszał ich jednym syknięciem.

Młodzi nie tworzyli jednolitego zespołu, jakby na oko mogło się wydawać. Kilku z nich, starszych wiekiem i stażem biurowym jawnie zabiegało o względy szefa. Pokazywało się z miesięcznych obrachunków, że dobrze na tym wychodzili. Dostawali zlecenia zyskowniejsze, awansowali przy każdej sposobności. Podobnie jak Rączka unikali rozmów na tematy polityczne, podkreślając dobitnie, że nic ich nie obchodzi poza rzetelnym wykonywaniem zawodu.

Jankowski ani się spostrzegł, kiedy do nich przystał. Wkrótce jego zarobki pozwoliły nie tylko na pokrycie bieżących potrzeb, lecz na skompletowanie nowej garderoby.

Przez długie lata wyrzeczeń obmyślał sobie, aż do najdrobniejszego szczegółu, jak się ubierze, gdy będzie miał pieniądze, zadowalając się tymczasem nicowaniem starych marynarek i kupując najtańsze gotowe spodnie. „Miarowe“ ubranie wydawało mu się oznaką społecznej rangi, świadectwem wartości człowieka. Zawsze dotąd zazdrościł ludziom noszącym szykowne garnitury. I w restauracji kelner prędzej takiego klienta obsłuży i w kawiarni panny zwrócą na niego uwagę, choćby nie był nadzwyczaj przystojny.

Za radą samego Rączki udał się Jankowski do krawca, który miał szyć „nobliwie“, i zamówił naraz dwa ubrania: popielate, sportowe, z nakładanymi kieszeniami i granatowe w paski, „od wielkiego dzwonu“.

Krawiec był eleganckim, starszawym jegomościem. Sam najlepiej wiedział, co się nosi. Klient niewiele miał do powiedzenia ani w wyborze modelu, ani w ocenie roboty. Miara odbywała się w saloniku z meblami krytymi czerwonym pluszem. Pośrodku, na okrągłym stole leżały nowe zagraniczne żurnale. Jankowski, tytułowany zawsze „ła-

skawym panem", mógł się obejrzeć ze wszystkich stron w dwóch lustrach ustawionych pod kątem i oświetlonych kinkietami.

Kiedy posłaniec odniósł mu ubrania do domu, przyglądał się im przez cały wieczór. Sprawdzał dotykiem jakość wełny i przymierzał parokrotnie marynarkę, nie kryjąc swej radości przed kolegą, który dla tych spraw miał pełne zazdrości zrozumienie.

Nazajutrz kupił jesionkę popielatą z grubego samodziału i miękki, szerokoskrzydły kapelusz. Obstalował też dwie pary butów: jedną brązową, z gładkiego boksu na podwójnej podeszwie i drugą, czarną, zwaną „golfy".

Gdy tak ubrany wychodził na ulicę, szukał swego odbicia w szybach wystawowych i cieszył się własnym wyglądem. Dzięki grubości podeszew i wywatowaniu barów wydawał się teraz wyższy i silniejszy, nabierał pewności siebie. Wszystko miał w najlepszym gatunku, nawet chustki do nosa z czeskiego batystu. Nigdy nie zapomniał natrzeć się po goleniu kolońską wodą. Drobny to zabieg, ale stwarza wokół człowieka atmosferę dostatku i czystości. Przestał odwiedzać fryzjera na Żoliborzu, stać go było na najlepszy zakład w Warszawie. Nie wstydził się już rzucić palta szatniarzowi, sprawiało mu przyjemność dawanie sutych napiwków, w zamian za co fryzjerzy i panienki od manicure uśmiechali się ze zdwojoną grzecznością.

Ale to nowe źródło życiowych radości wyschło prędzej, niż się tego spodziewał. Zwykłym losem spełnionych marzeń — i dobrobyt i elegancja wydały mu się tak naturalne, że przestał na nie zwracać uwagę. Koledzy za to żartowali sobie z jego troski o własny wygląd. Między Jankowskim a grupą młodych doszło nawet do ostrej wymiany zdań. Tematy sporów były nieistotne; właściwy powód tkwił w jego wysokich zarobkach, w zażyłości z szefem, w nieumiejętności postępowania z ludźmi.

Rączka natomiast polubił młodego inżyniera i nawet zaprosił go na niedzielny obiad. Mieszkał na Saskiej Kępie w wygodnej willi otoczonej ogrodem. Miał chorowitą żonę i dorastającą córkę, która uczyła się właśnie do matury. Chciała iść na stomatologię, ale bała się, że się nie dostanie.

— Pierwszeństwo mają synowie chłopów i robotników — powiedziała z przekąsem. — Wyżej się przy tym ceni tak zwane wyrobienie społeczne niż przygotowanie naukowe.

— Nie należy pani do ZMP? — zdziwił się Jankowski.

— Skądże znowu! — oburzyła się Dzidka. — Uczęszczam do liceum prowadzonego przez Siostry.

— Dlaczego nie do państwowej szkoły?

— Nie ma pan pojęcia, jaki tam poziom! — żywo wtrąciła matka. — Nie mówię już o nauce, ale o wychowaniu, o moralności. Jestem zdecydowaną przeciwniczką koedukacji.

— Są przecież państwowe licea dla dziewcząt. Moja siostra skończyła właśnie takie.

— Zawsze znajdzie się okazja do wspólnych z chłopcami wycieczek albo zebrań. Przy tym to kształtowanie światopoglądu materialistycznego...

— Jakże inaczej można by wychowywać dzisiaj młodzież? — zdziwił się Jankowski.

Pani domu spojrzała na niego z oburzeniem.

— Jest pan katolikiem, jeśli się nie mylę. I zadaje pan takie pytania?

— Co innego kościół i sprawy wiary, a co innego naukowe poznawanie świata.

— Właśnie że nie powinno być rozdziału między nimi.

— Trwalibyśmy w ciemnocie sprzed Galileusza i Kopernika.

— Tak się tylko wam, materialistom, wydaje — wtrącił Rączka. — Ale nie mówmy o tym. Człowiek ma za wiele codziennych zmartwień, żeby rozstrząsać kwestie zasadnicze. Ja zresztą nie interesuję się polityką, rozumiem nawet trudności, w których znalazła się Polska. Dlaczego jednak twierdzi się, że istnieje prywatna własność, skoro nie ja decyduję o przyjęciu do mego domu lokatorów, lecz wszechwładny kwaterunek? Z całej willi zostały mi tylko dwa pokoje. Nie wyobraża pan sobie, jaka hołota tutaj mieszka. Niszczą, kradną, psują, aż strach pomyśleć. A ja, nieszczęsny właściciel, ponosić muszę wszelkie koszta reperacji.

— Człowiek nie czuje się już u siebie — żaliła się pani domu. — Podsłuchują pod oknami, podglądają z ogródka, dzieci płaczą, radio gra bez ustanku. Złamali mi sztamową różę, nawet nie wiadomo kto. Nie chcą płacić za centralne ogrzewanie, mówią, że im za drogo, że sobie wstawią piecyk, jeśli im będzie zimno.

Jankowski nie wiedział, jakie zająć stanowisko. Siedział w klubowym fotelu oparłszy nogi na niewielkim perskim dywaniku, popijał herbatę z kruchej filiżanki i myślał sobie, że po raz pierwszy znalazł się w tak zasobnym i ładnym mieszkaniu, wśród ludzi zamożnych i mających znaczenie w świecie. Jego rodzice nawet marzyć nie mogli o podobnych znajomościach. To właśnie stwierdzenie wzburzyło go przeciw Rączce, a raczej przeciw jego narzekaniom.

— Zarabia przecież dużo, mieszka pięknie, nikt się do niego nie wtrąca — myślał — kłopoty z lokatorami są równie stare jak czynszowe kamienice. Śmieszne byłoby usuwać ludzi po to, aby pan Rączka pałętał się po siedmiu pokojach. Te czasy, chwała Bogu, należą do bezpowrotnej przeszłości — przyłapał się na tej pochwale, uświadamiając sobie, że jego własna pomyślność wiąże się ściśle z obecnym ustrojem. — Nie zmartwię się, jeśli Dzidka nie dostanie się na uniwersytet. Przed wojną takie panny studiowały kosztem moich bliskich.

Spojrzał na nią z niechęcią. Brakowało jej uroku młodości przy doskonałym ubraniu i nieznacznie podbarwionej urodzie. Porównał ją z własną siostrą, wesołą i silną dziewuchą, co to żadnej roboty się nie lęka i wygląda ślicznie nawet w przyciasnym i spłowiałym mundurku.

Przykro mu było znajdować przedział między sobą i całym otoczeniem Rączki, którego lubił, cenił i pragnął we wszystkim naśladować. W jego postaci wyobrażał sobie własną przyszłość. Nie próbował go jednak przekonywać. Małoduszność utyskiwań wykluczała wszelką możliwość dyskusji. Jankowski nie chciał go w niczym urazić, nie wiedział, z jakich wychodzić pozycji.

Sam nie należał do narzekających, nie przyłączał się jednak i do tych, którzy w czambuł wszystko chwalą. Nazywał siebie pozytywnym bezpartyjnym. Oznaczało to, że cieszy go odbudowa kraju, że lubi swoją pracę, że sprawiają mu przyjemność pieniądze, które zarabia, że irytuje się na błędy organizacyjne, braki w dystrybucji i opóźnienia pociągów. Czuł się w porządku wobec wszystkiego, co się w Polsce dzieje. W stosunkach z ludźmi zdobywał się na szeroką tolerancję.

— Niech myślą, co chcą, byle robili swoje.

Ale po wizycie u inżyniera Rączki zdał sobie sprawę, że apolityczność jest fikcją, a nawet nie ujawnione opinie znajdują swój wyraz w działaniu. Przekonał się rychło, że szefowi chodzi jedynie o zarobek. Kiedy omyłkowo zlecono mu zadanie, które kto inny wykonał był w sąsiedniej pracowni, stary inżynier, choć wiedział o tym, wziął się do projektu ponownie i zainkasował wynagrodzenie. Wymówki Jankowskiego skwitował cynicznym wyjaśnieniem:

— Nie mogę sprawdzać wydawania zleceń, ani odpowiadać za nieporządki w naszej administracji. Robię tylko to, co do mnie należy.

— Traci pan czas niepotrzebnie, gdy nie możemy uporać się z zaległą dokumentacją i codziennie otrzymujemy ponaglenia z budowy.

— Zaczyna pan mówić, jak jeden z nich — Rączka wskazał grupę zetempowców. — Tylko patrzeć, jak pan wstąpi do partii i zacznie się w biurze szarogęsić.

Rozeszli się we wzajemnej niechęci. Zerwanie nastąpiło w parę dni później, kiedy kierownik spostrzegł, że Jankowski pożyczył koledze tablice do obliczeń. Wyrwał mu je z ręki pytając podniesionym głosem:

— Kto panu pozwolił rozporządzać cudzą własnością? Wprowadza pan bolszewickie porządki?

— Byłby już czas po temu! — zawołał któryś z zapalczywszych kolegów.

— Trzeba ułatwiać ludziom pracę, trzeba ich trochę kształcić — Jankowski próbował załagodzić sytuację. Nie chciał zadzierać z szefem, choć nie we wszystkim się z nim zgadzał. Ale Rączka rozjuszył się, jak nigdy.

— Niech się sami uczą. Mnie nikt w życiu niczego nie ułatwił. Sam do wszystkiego doszedłem. Zębami i pazurami. Komu nie podoba się u mnie — może się w tej chwili wynosić. Fora ze dwora!

Otworzył szeroko drzwi. Słowa bulgotały mu w gardle, krew nabiegła do twarzy. Zdawało się, że lada chwila szlag go trafi.

— Pracownia nie należy do pana! — warknął młody zetempowiec. — Jeszcze się pokaże, kto z niej pierwszy wyleci. Mamy już dosyć kumoterstwa i kombinacji spod ciemnej gwiazdy!

— Niech się pan liczy ze słowami! — Jankowski stanął w obronie kierownika pracowni.

Mimo wszystko, Rączka miał za sobą trzydzieści lat pracy zawodowej i opinię świetnego fachowca. Jankowskiemu było go zresztą żal. Czuł się winnym całego zajścia.

Za plecami zetempowca stanęło paru nowo przyjętych kreślarzy. Nie mieli nic do stracenia w tej kłótni, każda zmiana niosła nadzieję poprawy zarobków. Gdyby ktokolwiek dał hasło, aby Rączkę usunąć z pracowni, albo odprowadzić go siłą do pokoju organizacji partyjnej, podjęliby je bez wahania. Nikt jednak hasła takiego nie rzucił.

Rączka z Jankowskim stali naprzeciw grupy młodych. Poplecznicy szefa zwolna podnosili się od rysownic.

— Do roboty, panowie! — osadził ich w miejscu stary inżynier. Podniósł dumnie siwą, trzęsącą się głowę. — Mogę stąd odejść, jeśli tak wyżsi od was postanowią. Lata swoje już odpracowałem. Ale póki tu będę, nie zniosę wiecowania.

Zmitygował się nieco i ciężko sapiąc odszedł do swego kąta. Odwrócił się plecami do pracowni, w której nikt więcej nie podniósł głosu.

Z Jankowskim nie rozmawiał odtąd i nie dopuszczał go do kompanii. Odbiło się to na zarobkach młodego inżyniera w sposób aż nadto

dotkliwy. W innym świetle zobaczył teraz postępowanie szefa i jego zapewnienia, że każdy, kto dobrze pracuje, ma szanse wybić się pod jego opieką. Na przekór jemu począł Jankowski gromadzić wokół siebie kreślarzy i techników i doszkalać ich w miarę własnych umiejętności. Sprawiało mu to przyjemność, zdobywał sobie mir wśród młodzieży i zaczynał coś znaczyć w pracowni.

Nie pozyskał jednak pełnego zaufania. Uważano go nadal za człowieka Rączki, tym bardziej że nie pozwalał sobie na krytykowanie szefa w obecności kolegów i niejednokrotnie występował w jego obronie. Mimo zerwania stosunków żywił dla niego sympatię i uznanie prawie jak dla rodzonego ojca. Pocieszał się, że dojdą jeszcze do porozumienia. Brała go czasem chęć serdecznego porozmawiania ze starym inżynierem, który bardziej niż do tej pory zamknął się w sobie i nastroszył jak chore ptaszysko.

Koledzy inaczej tłumaczyli sobie postawę Jankowskiego. Obawiali się, że ich szpieguje, że każde słowo powtarza po cichu szefowi. Całe zerwanie uznali za zwyczajny pozór.

Prawdą było wszakże, iż Jankowski zwrócił uwagę kierownika pracowni na niedokładność w rysunkach jednego z kreślarzy, który nie chciał ich poprawić samorzutnie. Fakt ten ugruntował podejrzenia kolegów i uraził ambicję Rączki.

— Boi się pan, że nie dam sobie rady z pracownią? — zapytał zgryźliwie. — Czy też pragnie się pan na nowo zasłużyć?

Jankowski brzydził się lizusostwem, toteż słowa te dotknęły go boleśnie. Obawa przed posądzeniem o karierowiczostwo wstrzymywała go również od wstąpienia do ZMP, chociaż chciał zacząć szerszą działalność społeczną.

— Niejedno dałoby się w biurze naprawić, gdyby przed powzięciem ostatecznych decyzji dyrekcja naradziła się z pracownikami. Ale nie tak jak dotąd, na wyreżyserowanych zebraniach. Szczerze, bez ogródek, dla dobra instytucji.

Czuł, że mógłby wiele zdziałać, i nie krył się z tym przed kolegami. Nie w smak im to było, pomawiali go o zarozumialstwo, przezwali „zadufkiem wymuskanym".

Dowiedział się o tym i strasznie to wziął do serca. Zdecydowanie przechylił się na stronę szefa. Starał się przychodzić wcześnie, aby przez parę minut być tylko z nim w pracowni i znaleźć wreszcie okazję do serdeczniejszej rozmowy. Stary udawał, że go nie dostrzega przy sąsiedniej rysownicy.

W lutym zwaliło się tyle pracy, że Jankowski przesiadywał nad nią

do późna i nie miał kiedy prowadzić zajęć z kreślarzami. Rączka uparł się, aby w marcu wyjechać na urlop i przedtem wszystkie projekty wykańczał. Razem z nimi pracowało kilku najlepszych inżynierów. Parzono kawę na maszynce, zagryzano chlebem albo ciastkami kupionymi w bufecie, częstowano się nawzajem jedzeniem i papierosami. W tym okresie wzmożonego wysiłku przycichły niesnaski wśród kolegów. Chętnie sobie pomagano, śpiewano przedwojenne szlagiery i opowiadano różnego rodzaju kawały. Nastrój pracowni przypominał studenckie wkuwanie do ostatnich egzaminów. Kiedy późnym wieczorem Jankowski wychodził z biura, powietrze przyprawiało go niemal o zawrót głowy.

Czuł się zresztą znakomicie, jak zawsze, gdy dawał z siebie wszystko, na co go było stać. Patrząc na wysiłek inżyniera Rączki nie pamiętał mu już dawnych uraz.

Wtedy właśnie zdarzył się wypadek, który go zmusił do opowiedzenia się wyraźnie przeciwko szefowi.

Przed wyjazdem Rączka przekazał wszystkie sprawy swojemu zastępcy. Były wśród nich i gotowe projekty, które zamiast na budowę powędrowały do pancernej kasy, aby nie wykazać w tym miesiącu zbyt wysokich zarobków starego inżyniera, a co za tym idzie nie podwyższyć stopy procentowej płaconych przez niego podatków. Były to właśnie rysunki oczekiwane z dnia na dzień na budowie, niezbędne do realizacji zobowiązań podjętych przez robotników.

— Niechże się pan zastanowi! — zwrócił się do szefa Jankowski. — Niech pan odda tę dokumentację do wysyłki!

— Nie zdążyłem sprawdzić obliczeń — odparł kierownik pracowni.

— Skończę je za pana — ofiarował się Jankowski przekonany, że dokumentacja całkowicie jest gotowa.

— Nie chcę zaciągać wobec pana długów wdzięczności. Radzę, abyś pan nie wściubiał nosa w cudze sprawy.

— Dla mnie ta sprawa nie jest obca.

— Nie mam czasu na rozmowy z panem.

— Znajdę kogoś, kto zechce mnie wysłuchać.

— Zaczyna pan grozić?

— Skądże! Ale ta dokumentacja musi pójść w teren!

— Po moim powrocie.

— Dziś jeszcze!

— To się panu nie uda.

Jankowski wypadł na korytarz. Do kogo iść? Do szefa produkcji, do dyrektora Bostela?

Pierwszego nie zastał, drugi nie zechciał go przyjąć. Dławiąc się bezsilną złością Jankowski wrócił do pracowni.

— No i co? — pytali z zaciekawieniem koledzy.

— Nic — chłodno odpowiedział zabierając się do przerwanych obliczeń. Wstydził się przyznać, że go sekretarka odprawiła z kwitkiem, że się nie wdarł przemocą do dyrektorskiego gabinetu.

Koledzy zrozumieli to opacznie. Uląkł się widać szefa, wyparskał gniew w samotności i usiadł potulnie na swoim miejscu. Zawiedli się na nim ostatecznie i nie skrywali swego lekceważenia.

Młody inżynier ciężko przeniósł tę porażkę, stał się jeszcze bardziej nieufny; brak autorytetu zaczął nadrabiać arogancją i wyniosłością. Wskutek tego stracił resztę sympatii, którą zdołał był sobie pozyskać.

W najprzykrzejszym dla siebie okresie przeczytał w Biuletynie rzeczową krytykę stosunków panujących w biurze. Koledzy nawzajem wydzierali sobie z rąk ten reportaż i nie szczędzili słów uznania dla Sulatyckiej.

— Patrz, to ona — pokazywali Monikę tym, którzy nie znali jej dotąd. — Odważna babka!

— Dzielnie się pani spisała — powiedział Jankowski, kiedy się spotkali w stołówce. — Wyręczyła pani nas wszystkich.

— Nie ma w tym wielkiej zasługi. Gdyby pan widział, w jakich warunkach pracuję u Zajcowej... Istny dom wariatów. Sprzedałabym duszę diabłu, żeby się stąd wydostać.

— I mnie już to biuro dojadło! — przyznał Jankowski. — Cała nadzieja, że po tym artykule nastąpią jakieś zasadnicze zmiany...

— Tak pan myśli? — uśmiechnęła się Monika z niedowierzaniem. — Bo ja sobie wiele nie obiecuję po nim...

Jakoż jedynym następstwem reportażu była na razie tylko wzajemna życzliwość, jaka zadzierzgnęła się między Sulatycką i Jankowskim, który skłonny był wierzyć, że wszystkie plotki o niej są czczym wymysłem zazdrośników.

Wystarczyło mu parę tygodni, aby upewnić się o jej prostocie i uczciwości. Sądy Moniki wydały mu się wyważone, słowa ostrożne, ale szczere, stosunek do ludzi bezpośredni, chociaż powściągliwy. Wcale nie wyglądała na kobietę lekką, za jaką mieli ją koledzy. Podziwiał jej skromność i wdzięk, z jakim nawiązywała rozmowę, sama niewiele mówiąc, cała skupiona na słuchaniu. W jej czarnych oczach jawiło się tyle zainteresowania dla cudzych przeżyć, że nawet mrukowi rozwiązywał się język. Po raz pierwszy mówienie o sobie samym sprawiło Jankowskiemu przyjemność.

Zachodził niemal codziennie do Zajcowej, aby pogawędzić z Moniką, albo wyciągnąć ją na obiad. Nie temat rozmowy był ważny, ale jej życzliwy uśmiech, wszystko rozumiejące spojrzenie. Była przy tym taka ładna, ubierała się z nieporównanym szykiem. Nosiła suknie prawie gładkie z jakimś kołnierzykiem, pliską, które wyróżniały ją spośród tysiąca innych. Umiar cechował ją we wszystkim. Kiedy pracownie tonęły w wiosennych bukietach, na jej biurku stał wazonik z dwoma, trzema kwiatami. Parę nasturcji, czasem róża. Jankowski wiedział, że przynosiła je sama i zastanawiał się, czy wypada ofiarować jej kwiaty.

Któregoś popołudnia spotkał ją na przystanku tramwajowym. Ukłonił się z daleka nie chcąc się jej narzucać. Sama podeszła i wdała się w rozmowę.

— Dokąd pan jedzie? Do kina czy na zakupy? Może na randkę? Niech się pan przyzna.

— Chciałem kupić książkę. Prezent dla kolegi.

— Jaką?

— „Daleko od Moskwy".

— Podobała się panu?

— Uderzyły mnie w niej różne rzeczy. Później oglądałem film pod tym samym tytułem i wrażenia jeszcze się ugruntowały...

— Niech mi pan o nich opowie.

— To długa historia.

— Chodźmy na kawę. Tam się pan rozgada.

O tej porze było w kawiarni niewiele osób, szumiał ekspres, kelnerka bez pośpiechu opróżniała popielniczki i wycierała stoliki.

— Proszę o dwa „szatany" — zamówiła Monika tonem stałej bywalczyni.

Zza bufetu tęga brunetka odpowiedziała porozumiewawczym spojrzeniem.

— Tort podać? — zapytała, jakby to się rozumiało samo przez się. — Mam dzisiaj orzechowy. Znakomity.

— Lubi pan tort? — szeptem dowiadywała się Monika. — Taki z masą kawową, jak u mamy na podwieczorku?

— Niech będzie! — powiedział, aby raz z tym skończyć.

— Mieliśmy mówić o Ażajewie! — przypomniała sobie Sulatycka. — Co się panu wydało niezwykłe?

— Ludzie.

— Bohaterowie pozytywni?

— Właśnie. Zwłaszcza Batmanow. Wymagający, surowy. Pamięta pani, jak nie pozwolił odpocząć inżynierom po wyprawie w tajgę?

— To okropne!

— A później ten sam człowiek oznajmił chłopcu śmierć jego ojca. Na filmie scena ta wprost chwytała za serce. Wielki, silny mężczyzna i chłopiec, prawie dziecko. Ręka Batmanowa gładzi go po włosach, po plecach. Byłem pewien, że ta twarda ręka nikogo nie może skrzywdzić.

— Cóż z tego?

— To wielka sprawa, jeśli społeczeństwo wychowa sobie takich kierowników. Czy może pani wyobrazić sobie dyrektora Bostela na miejscu Batmanowa?

— Nie! — roześmiała się Sulatycka. — Czy to konieczne, żeby się życie układało jak w powieściach dla młodzieży?

Jankowski milcząc odłamał kawałek tortu.

— Niech pan odpowie! — nastawała.

Podniósł ku niej twarz nieładną, ale szczerą, rozjaśnioną spojrzeniem młodych oczu. Powiedział cicho:

— Chciałbym pracować z takim szefem.

PRZEŁOM

Po stracie Nowej Rudni Orański czuł, jak ze wszystkich stron osaczają go troski i niepowodzenia.

Nie cofnięto mu formalnie zlecenia, bo nigdy go na piśmie nie wystawiono. Raz jeszcze pojawił się goniec po odbiór pozostałych materiałów, Rogóyską przeniesiono do innej pracowni — i na tym się skończyło.

Nową Rudnią zajął się teraz Erwin i to z wielkim szumem. Uzyskał obszerny lokal, wystarał się o najwyższe stawki dla swoich pracowników i zajął się gorliwie spopularyzowaniem nowej budowy. Co parę dni ukazywały się o niej wzmianki w gazetach, fotografie Erwina i jego zespołu umieszczano w prasie całego kraju, rozpisano także konkurs na przyszłe nazwy ulic i placów.

— Co pomyśli Irena czytając to wszystko? — zastanawiał się Mikołaj. — Nie spotkamy się już na pochodzie pierwszomajowym w Alei Pokoju. Żebym choć wiedział, dlaczego mnie ten projekt odebrano!

Krytyka, bodaj najostrzejsza, bodaj niesprawiedliwa, ale wypowiedziana głośno, wydawała mu się stokroć lepsza niż pozbawienie go cichaczem pracy, za którą dyrekcja nawet nie zapłaciła.

Nigdy nie umiał zabiegać o swoje interesy. I tym razem nie upo-

mniał się o pieniądze, chociaż pięści mu się same zaciskały, gdy Kazimiera szeptała zmęczona do ostatecznych granic:

— Nie musielibyśmy tak się męczyć, gdybyś trochę więcej zarabiał...

Wróciła ze szpitala bardzo osłabiona i nie mogła podołać gospodarskim zajęciom. Pomocnica domowa podziękowała za pracę, bo dostała się do fabryki. Mimo kilkakrotnych ogłoszeń w Życiu Warszawy nie udało się Orańskiemu znaleźć gosposi, która za niezbyt wygórowaną zapłatę zgodziłaby się do licznej rodziny. Toteż Mikołaj zaczynał dzień od porządków w mieszkaniu i kończył go zmywaniem statków, bo Kazimiera ciągle jeszcze słaniała się na nogach.

Choroba zmieniła jej usposobienie. Stała się milcząca, nie gderała, siedziała bezczynnie z niemowlęciem na kolanach.

Mały Bartek płakał całymi nocami. Mikołaj przemyśliwał już o przeniesieniu się do pokoju starszych dzieci, ale nie chciał się okazać samolubnym wobec żony. Wielokrotnie wstawała w ciągu nocy, poiła dziecko rumiankiem, nosiła po pokoju, albo karmiła piersią. Gdy mąż zwracał uwagę, że przy takim postępowaniu mały nabierze złych nawyków, że będzie jeszcze nieznośniej krzyczał — odpowiadała łagodnie z oczyma pełnymi łez:

— Ja wiem, wiem... Ale nie znoszę jego płaczu.

Otwierała okno wychodzące na ogród i siedząc przy nim kołysała synka w ramionach, póki nie usnął. Ledwie go ułożyła w wózku, znowu zaczynał płakać. Mikołaj budził się z głębokiego snu, gniewał się na żonę i z trudem ponownie zasypiał.

Rankiem zwlekał się z łóżka niewyspany i do biura wpadał na ostatnią chwilę, kiedy Waśko składał już listy obecności. Idąc do pracowni odwracał głowę od ogłoszeń o zebraniach, które groziły niemal każdego dnia.

Powiadamiano go o nich telefonicznie. Czasem Gorzkowski prosił, żeby wystąpić w jego imieniu, tak był zajęty pracami Komisji z KW. Często zastępował go Jabłoniec, który najprostszą sprawę rozwlekał na parę godzin. Cóż dopiero przy podsumowaniu dłuższej dyskusji! Powtarzał po kolei wszystkie wypowiedzi, streszczał zasadniczy referat, w powodzi słów topił ostateczne wnioski. Lubował się w długich, zawiłych zdaniach i wyszukanych porównaniach. Orański słuchał go jak na rozżarzonych węglach licząc w myśli, co ma dziś jeszcze do zrobienia.

Oszczędzał żonie opowiadań o biurowych kłopotach. W pracowni po wybuchach oburzenia zapanowała cisza jak w domu żałoby. Mi-

kołaj nie chciał dochodzić swych praw i kolegom nakazał milczenie.

Buntowali się przeciw temu między sobą; zwłaszcza Agnieszka nie mogła ścierpieć, że szefowi dzieje się krzywda. Gdyby się zgodził, poszłaby do ministra, albo i do prezydenta, byle projekt Nowej Rudni wydobyć na światło dzienne.

Wypatrzyła już, że w kradzionych godzinach wieczornych Orański wraca do wydartego sobie tematu, że z takim zapamiętaniem ślęczy nad rozwinięciami i szkicami elewacji, jakby stu murarzy czekało na jego rysunki.

Agnieszka zwierzyła się Halembie, kiedy odwiedził jej ojca:

— Lękam się o Mikołaja. Jest jakby zaczadzony. Nie rozmawia nawet z nami. Może panu byłoby łatwiej go przekonać. Niechaj zapomni o Rudni, albo niech o nią walczy. Jakże tak żyć na księżycu?

— Na ziemi jest coraz ciaśniej. Frankowscy i Erwinowie potrzebują dużo miejsca...

— To trzeba ich odepchnąć!

— Zna pani prawa ekonomii? Gorszy pieniądz wypiera lepszy z obiegu.

— Co też pan mówi! — oburzyła się Agnieszka. — Potrafimy obronić Orańskiego!

Halemba sceptycznie się uśmiechnął i nie wszczynał z przyjacielem rozmów na drażliwy temat. Bo i cóż mógłby mu doradzić? Kogo zmobilizować przeciw postanowieniu dyrektora? Kto zaręczy zresztą, że Erwin nie wywiąże się znakomicie ze swego zadania?

Tymczasem Mikołaj właśnie ze strony starszych kolegów oczekiwał jakiegoś poparcia. Nie interwencji u Bostela, broń Boże! Ale przynajmniej zainteresowania dla projektu, uznania jego wartości. Zwolna utwierdził się w mniemaniu, że autorytet jego osłabł, że członkowie kolegium nie liczą się jak dawniej z jego zdaniem.

Gdyby przynajmniej z Ostrzynem wiodło się całkiem dobrze! Gdzie tam! Mimo że projekt urbanistyczny ukończono już przed trzema laty, mimo że wybudowano znaczną część osiedla, teraz dopiero nowopowstała i nadrzędna komisja rozważyła problem całkowitej zmiany głównego rozjazdu, a to przy sposobności zatwierdzania kilku ostatnich projektów architektonicznych, które miano realizować w bieżącym sezonie budowlanym.

Na próżno Orański przekładał, że proponowane poprawki nie mają większego znaczenia dla prowincjonalnego miasteczka, że natomiast brak mieszkań utrudni pracę zakładów przemysłowych; ciało orzeka-

jące poleciło mu w ciągu trzech miesięcy wykonać alternatywę projektu urbanistycznego, a roboty ziemne w Ostrzynie wstrzymano.

W parę dni po tej decyzji zjawił się w pracowni Orańskiego interesant, który nie zważając na sprzeciwy sekretarki, zwrócił się wprost do kierownika:

— Co wy, do cholery, wyprawiacie z dokumentacją dla Ostrzyna?

Wśród architektów zapanowała konsternacja. Jeden Mikołaj nie stropił się tym przywitaniem.

— Siadajcie — wskazał gościowi krzesło — wszystko wam zaraz wyjaśnię.

Przybysz nie dał się ugłaskać uprzejmością. Usiadł jednak i wyciągnął ze zniszczonej teczki parę oprawnych w tekturę projektów. Dawał przy tym wyraz swemu oburzeniu:

— Odsyłają mnie od sekretariatu do wydziału technicznego, stamtąd znowu do kontroli wysyłki i nikt nic nie wie. Dziesiątki urzędników, a nie ma jednego, żeby człowiekowi coś załatwił. Dwa miesiące temu pisali nam, że dokumentację wyślą lada dzień, że plac budowy można szykować; już jest maj, a rysunków jak nie widać, tak nie widać. Na środku placu, gdzie planowo miał stanąć żłobek, przedsiębiorstwo zbudowało barak administracyjny. Przysłaliście nam tylko rysunki bloku nr 14, za to jakie rysunki! — rozłożył je na rysownicy Orańskiego. — Tu mają być lufty? A na następnej kondygnacji gdzie? Malujecie sobie takie znaczki bez żadnego sensu! Majster musi was poprawiać!

Trząsł się z irytacji. Żwacze kurczyły mu się pod opaloną skórą, oczy patrzyły ostro spod brwi prawie zrośniętych.

— Jasiu! — zawołał Mikołaj. — Chodź się wytłumaczyć, to twój rysunek, czternastka.

Było mu przykro, że nie dopilnował projektu przed wypuszczeniem z pracowni, ale też czerpał trochę złośliwej radości z tego, że młodemu zła robota nie ujdzie na sucho.

— Co się stało? — Jasiek ociągał się, dobrze wiedząc, o co chodzi. Powolnym, kocim krokiem zbliżył się ku przybyszowi.

— Pan z kierownictwa budowy?

— Nie, z organizacji partyjnej. Stehlik jestem.

— I zarzuca nam pan, że lufty źle narysowane? Czasem się zdarza, takie niedopatrzenie...

— Chyba panu może się zdarzyć, bo mnie tego puścić nie wolno.

— Skoro pan to już zauważył, to nie ma powodu do rozpaczy.

— Jak to nie ma powodu? Partaczycie tutaj i mam was może po-

chwalić? Mniejsza o lufty! Ale weź pan na przykład tę ściankę. Po diabła drzwi tutaj wstawiacie? W którą stronę będzie się je otwierać? A korytarzyk z takim zagięciem? Nie mogliście pokoju poszerzyć? O czym pan myślał przy projektowaniu?

Jasiek z niewyraźną miną przyglądał się rysunkom. Machnął ten projekt szybko, bo w zimie potrzebował pieniędzy na wyjazd do Zakopanego.

— Nie pamiętam jakoś tej czternastki — Orański dostrzegł w niej teraz wiele błędów, których nigdy by nie tolerował.

— Poszła do zatwierdzenia, kiedy byliście w terenie — wyjaśnił niechętnie Jasiek.

— To już mnie nie obchodzi — przerwał Stehlik. — Pokażę wam coś lepszego. Piwnice, parter, pierwsze piętro — odwracał palcem rysunki sklejone razem i złożone w harmonijkę. — W porządku, prawda? A tu drugie piętro. Przyjrzyjcie się tylko, porównajcie z pierwszym. Widzicie? Skleiliście dwa różne projekty. Góra inna i dół inny, choć nawet podobne z pozoru.

— To już nie nasza wina! — oburzył się Jasiek. — Introligatornia nawaliła, kontrola wysyłki...

— Nie znam się na organizacji waszego biura — przerwał Stehlik. — Ja na tym budynku miałem zacząć współzawodnictwo z młodzieżową brygadą. I przez was wszystko się opóźnia. Wykopy wstrzymane, czternastki nie można ruszyć, ten projekt w ogóle do niczego, w miejscu żłobka administracyjny barak! Wy mnie jeszcze pytacie, czy jestem z kierownictwa budowy! Każdy, rozumiecie, każdy pracownik ma prawo spytać się w takiej sytuacji, co się u was dzieje!

— Źle się u nas dzieje — powiedział poważnie Orański — i słusznie przyjechaliście tutaj. Myślę, że jeszcze nie wszystko zrzuciliście z serca. Co dzień powtarzam, że za luźny mamy kontakt z wykonawstwem. Ja tam wyjeżdżam od czasu do czasu, ale młodzi rzadko mają po temu sposobność. Chętnie dałbym w wasze ręce tego inżyniera — wskazał na stojącego obok Jasia — niechby posłuchał, co mówią o nim na budowie.

Jasiek próbował jakoś się tłumaczyć. Orański machnął ręką i ciężko podniósł się od rajzbretu.

— Sądziłem, że można mieć do ciebie zaufanie, ale widzę, że za sprytnie się urządzasz. Pogadamy o tym później. — Zwrócił się ostentacyjnie ku Stehlikowi. — Chodźmy do technicznego, trzeba znaleźć radę na wasze kłopoty.

Kiedy wyszli na korytarz, Orański zagadnął majstra:

— Nie widziałem was nigdy w Ostrzynie. Dawno tam pracujecie?

— Od dwóch lat. Ale ja pana inżyniera pamiętam. Chociaż nigdy nie było okazji porozmawiać...

— Człowiek taki zagoniony...

— To nie to. Inżynierowie z Warszawy zawsze tylko do dyrekcji mają interes. Widzę to przecież od tylu lat. Kierownik robót oprowadza gościa po budowie. Majstrowi mówi się najwyżej dzień dobry. Tymczasem ci z dyrekcji nigdy wam całej prawdy nie pokażą. Dla nich grunt to plan, od tego mają premię.

Stehlik zatrzymał się przed Mikołajem.

— Plan można wykonać tak, można inaczej. Różnica idzie w miliony złotych. Z tych cegieł i cementu, co się w Ostrzynie zmarnowały, można by parę ładnych domów wybudować.

— Wiem coś o tym — przytaknął Mikołaj. — Sporo lat przepracowałem w wykonawstwie.

— I jeszcze jedno — ciągnął Stehlik — jeśli robotnikowi zniszczy się albo zarzuci jakieś narzędzie, to mu z zarobku wytrącają. Inżynier rzadko odpowiada za wagon cementu, który zamókł na dworze, lub za przerzucanie kilku milionów cegieł, jeśli w projekcie przesunięto budynek o kilkanaście metrów.

— Panie inżynierze! — przerwała sekretarka dyrektora naczelnego. — Szukam pana wszędzie. Mamy pilne zebranie aktywu partyjnego.

— Widzicie sami, jak my tutaj pracujemy — Orański rozłożył ręce. — Czy to długo potrwa?

— Chyba do końca urzędowania — obwieściła pani Wanda.

— Bardzo chciałbym pogadać z wąmi popołudniu — zwrócił się Mikołaj do Stehlika. — Może macie co do załatwienia na mieście?

— Znajdzie się. Będę na was czekał o trzeciej.

Pożegnali się serdeczniej, niżby to usprawiedliwiała świeża znajomość. Mikołaja obchodziło wszystko, co dzieje się w Ostrzynie; czy splantowano już teren między blokami, czy zasiano trawę, jak przetrwały zimę prefabrykowane płyty. Narada partyjna była mu w tej chwili nie na rękę.

— Mogliście mnie wcześniej uprzedzić. Zawsze tak w ostatniej chwili... — zrzędził idąc za sekretarką.

— Proszę strofować o to swoją Zosię — obraziła się pani Wanda, ostatnio mniej uprzejma dla Mikołaja. — Wczoraj już do niej telefonowałam. Myśli pan, że mi sprawia przyjemność szukanie pana po wszystkich piętrach?

— Goniec mógłby panią wyręczyć.

— Dyrektor naczelny polecił, żebym osobiście poszła po pana inżyniera. Nie, nie tu — zamknęła szybko drzwi do sali posiedzeń — proszę do gabinetu dyrektora.

Bostel stał pod oknem. Odwrócił się gwałtownie na powitanie Orańskiego. Nie rozmawiali ze sobą od czasu Nowej Rudni.

— Za chwilę zacznie się zebranie — powiedział dyrektor spoglądając na zegarek. — Będzie ono dość przykre dla nas wszystkich, szczególnie dla mnie. Towarzysze z Komitetu Warszawskiego sformułowali ciężki akt oskarżenia. Nie kwestionuję ich kompetencji, dziwię się jednak, że wśród członków komisji nie ma ani jednego architekta. O losach naszego biura będą zatem decydować ludzie, którzy wielu rzeczy nie są w stanie pojąć. Boję się, że proponowane przez nich zmiany odbiją się jak najgorzej na robocie. Mnie samemu nie wypada im się przeciwstawiać, zresztą patrzą na mnie bardzo podejrzliwie. Chciałbym więc, abyście zabrali głos w dyskusji nie sugestionując się autorytetem KW. Znam waszą odwagę i lojalność...

— Lojalność? — zdziwił się Orański.

— Wobec biura, w które włożyliście tyle pracy i zapału. Wasze doświadczenie...

— Nie przydało się przy Nowej Rudni — stwierdził z goryczą Mikołaj.

— Od tego chciałem zacząć — przerwał Bostel. — Popełniłem wielki błąd oddając Rudnię Erwinowi. Jutro otrzymacie ją z powrotem.

Nie czekając na odpowiedź wyszedł do sali posiedzeń. Mikołaj ruszył za nim jak ogłuszony.

Wokół długiego stołu zebrało się już z piętnaście osób. Przy oknie, naprzeciw dyrektora i sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej, zasiedli członkowie komisji: nalany blondyn z plikiem papierów przed sobą, siwa kobieta w okularach i — nieco w tyle za nimi — krępy jegomość o bystrym spojrzeniu. Pod ścianami rozlokowała się reszta towarzyszy: Zajcowa w białym fartuchu, Duniaczka, łysy Brejwo, jakiś młody chłopak, widocznie delegat ZMP, Klonowicz z konstrukcyjnej i stary woźny, Wąsowicz.

Mikołaj usiadł blisko wyjścia, ale paru spóźnionych kolegów zatarasowało mu odwrót. Westchnął z rezygnacją i swoim zwyczajem zaczął rysować esy floresy na pudełku papierosów.

Nie spodziewał się wiele po dzisiejszym zebraniu. Pamiętał już niejedną kontrolę, a reorganizacje, które po nich następowały, niczego nie zdołały naprawić. Przybywało dyrektorów i urzędników admini-

stracyjnych, zwiększała się liczba okólników i formularzy, coraz trudniej zdobywało się delegację, by wyjechać na budowę.

Już pierwsze słowa towarzysza z KW zaskoczyły go swoją odmiennością. Nie było to zwykłe sprawozdanie, ale diagnoza choroby, na którą cierpiało biuro.

— Znaleźliśmy między wami wielu świetnych ludzi — mówił poprawiając leżące na stole papiery. — Rozsądnych, chętnych do pracy i oddanych naszej sprawie, a przynajmniej szczerze życzliwych, choć nie zawsze dosyć wyrobionych politycznie. Poznaliśmy wybitnych fachowców, z których niejeden pragnie włączyć się w nasze szeregi. Nie wątpimy również, że ambicją dyrekcji jest przekroczenie planu. Z tym wszystkim — biuro nie tylko nie wykonuje swoich zadań, ale przerób jego maleje z miesiąca na miesiąc, a wydajność pracy jest niższa niż w innych biurach projektowych. Dlaczego tak się dzieje, towarzysze?

Zatrzymał się, jakby każdemu z zebranych czas zostawiał na odpowiedź. Zaczął od innej strony:

— Biura projektowe są nową formą pracy twórczej, nie mają za sobą tradycji przedwojennej w naszym kraju. Od chałupniczej roboty architekta przeszliśmy w parę lat do zespołowej, nieledwie taśmowej produkcji, gdyż tylko w ten sposób można sprostać potrzebom masowego budownictwa. Nie wszyscy jednak uświadamiają sobie, że zespołowość pracy nie jest jednoznaczna ze zgromadzeniem wielu pracowników na szczupłej powierzchni biurowej. Nowa organizacja przyniesie prawdziwe korzyści wtedy dopiero, gdy zmieni się odpowiednio styl pracy każdego architekta i kreślarza, każdego pracownika administracyjnego, kiedy współdziałanie i odpowiedzialność zbiorowa uwidocznią się w każdym projekcie. Socjalistyczny stosunek do pracy wyprzeć musi z naszej psychiki przeżytki mieszczańskie: chęć wybicia się kosztem innych, egoistyczne korzystanie z wynalazków i usprawnień przez jednostki, które nie udostępniają ich swoim kolegom, przywiązywanie większego znaczenia do papierków niż do ludzi i problemów. Socjalistyczny stosunek do pracy nie rodzi się z dnia na dzień, zwłaszcza wśród ludzi wychowanych w innej ideologii, ale narasta stopniowo, zmieniając gruntownie psychikę człowieka. Zadaniem organizacji partyjnej jest przyśpieszenie tej przemiany nie tylko wśród towarzyszy, ale i bezpartyjnych. Czy wasza organizacja partyjna sprostała swym obowiązkom?

Znowu przerwał, patrząc w oczy uczestnikom zebrania.

— Żalił się towarzysz Bostel, że większość partyjniaków nie ma u was bezpośredniego związku z produkcją. Dlaczego nie staraliście się

o pozyskanie nowych kadr? W aktach znalazłem podania i życiorysy kilku kolegów, którzy przed pół rokiem prosili o przyjęcie do partii. Dlaczego nie rozstrzygnięto dotąd ich spraw?

— Nikt nie był dość dobry dla egzekutywy — wtrącił półgłosem Klonowicz.

— Skoro w organizacji partyjnej macie tylu urzędników — towarzysz z KW zwrócił się do dyrektora administracyjnego — to mogłoby się zdawać, że przynajmniej pod względem organizacyjnym biuro wasze powinno sprawnie funkcjonować. Tymczasem bałagan w administracji pogarsza jeszcze sytuację w produkcji, a egzekutywa nie ma na to żadnego wpływu. Czy tak, towarzysze?

— Tak! — wyrwało się Zajcowej. Wszyscy odwrócili się ku niej jak na komendę. Zaczerwieniła się i opuściła głowę.

— Obciążając organizację partyjną odpowiedzialnością za niewykonanie planu, zdajemy sobie sprawę z przyczyn, jakie się na to składały. Egzekutywa, oderwana całkowicie od aktywu, zmieniła się prawie w radę dyrekcyjną, zawsze skłonną popierać towarzysza Bostela bez względu na słuszność jego poczynań. Siedmiu członków egzekutywy roztrząsało wszelkie problemy biura, poświęcając na to mnóstwo czasu i nawet dobrej woli. Tymczasem towarzysze partyjni pozostawieni byli samym sobie. Obowiązki ich ograniczały się do płacenia składek i udziału w bardzo rozwlekłych zebraniach, które nie tylko nie spełniały roli wychowawczej, ale przeciwnie: szerzyły intryganctwo i plotkarstwo.

Gorzkowski próbował przerwać, lecz towarzysz z KW powstrzymał go ruchem ręki:

— Czytałem protokoły z waszych zebrań. Rozprawy osobiste zajmowały wam tyle czasu, że ledwie w wolnych wnioskach napomykano o pilnych kwestiach produkcyjnych. A samo szkolenie?

Mikołaj wspomniał ze ściśnieniem serca godziny spędzone w pokoju, którego nigdy nie uprzątnięto i nie wywietrzono przed wykładem. Towarzysze schodzili się opieszale, a ci z dyrekcji zawsze znajdowali jakiś powód do zwolnienia się z zajęć. Rozpoczynano z co najmniej półgodzinnym opóźnieniem; niedouczony prelegent bąkał jednostajnym głosem, raz po raz zerkając do broszurki, otwartej przed nim na stole.

— Szkolenie ideologiczne powinno zaciekawiać towarzyszy — mówił dalej przedstawiciel KW — pobudzać do czytania, ułatwiać zajmowanie stanowiska w każdej sprawie. Dyskusja musi zahaczać o najżywotniejsze, codzienne problemy. W trakcie dyskusji egzekutywa poznaje członków koła, a oni korzystają z jej większego wyrobienia politycznego. Każ-

dy towarzysz może i powinien podzielić się swoimi doświadczeniami z wykonania zadań partyjnych, które mu powierzono. Członek koła nie mający żadnych poleceń, żadnej określonej działalności — jest pozycją martwą. Nie tylko zbiorowości nic z siebie nie daje, ale i sam nie rozwija się politycznie, stoi w miejscu, sam w końcu nie wie, dlaczego znajduje się w szeregach partii.

— Ma rację — pomyślał Mikołaj. — Nie zajęliśmy się nigdy dziesiątkami naszych towarzyszy, zwłaszcza pracowników fizycznych. Mieliśmy zorganizować zbiorowe słuchanie wykładów Wszechnicy Radiowej, podciągać awansowanych, doszkalać tych, którzy ukończyli kurs nauczania początkowego. Ale jakoś rozlazło się po kościach...

— Na uboczu pozostali najlepsi ludzie — stwierdził delegat KW — partyjniacy, zetempowcy, bezpartyjni. Widzieli błędy biurowej organizacji, przejmowali się spadkiem wydajności, każdy z osobna próbował przeciwstawić się złu, ale w pojedynkę niewiele mógł zwojować. Ani dyrekcja, ani organizacja partyjna nie dostrzegła twórczych, wartościowych jednostek. Nikt z egzekutywy nie zastanowił się nad pomysłem introligatora Makowskiego, który proponował, aby współzawodnictwo pracy nie ograniczało się do poszczególnych branży, ale do całości projektu, nikt nie zapytał, dlaczego odebrano odpowiedzialną robotę towarzyszowi Orańskiemu, dlaczego zmniejszyła się znacznie wydajność pracy zespołu towarzyszki Zajcowej, a szczególnie zetempówki Górzyńskiej. Zlekceważono bardzo ważną wiadomość o przetrzymywaniu gotowej dokumentacji przez inżyniera Rączkę. Czernakiem, słusznie zresztą usuniętym z partii, zajął się dopiero Halemba, bezpartyjny. Co na to powie dyrektor naczelny?

Spojrzał na Bostela, nie oczekując od niego odpowiedzi.

— Wydaje się, że ten stan rzeczy mu dogadzał, skoro nigdy nie przedstawił swych trudności ani w Dzielnicy, ani w Komitecie Warszawskim. Zapomniał, że dyrekcja, choćby najambitniejsza nie decyduje o wykonaniu planu. Towarzysz Bostel lekceważył sobie organizację partyjną i nie chciał z nią należycie współpracować.

Mikołaj nie mógł nic odczytać z twarzy dyrektora. Zachował całkowity spokój w przeciwieństwie do Gorzkowskiego, który wiercił się nerwowo na krześle i palił jednego papierosa po drugim. Obaj widocznie nie dosypiali od kilku dni. Bostel miał oczy zapadłe, podkrążone, ale płomienne, trudne do poskromienia.

— Za łagodnie z nim rozmawia towarzysz z KW — pomyślał Orański — nie zna jego hardości, jego ambicji wściekłej, choć umiejętnie ukrywanej. Choćby nawet przyznał się do popełnienia błędów, odbije

to sobie później, doczeka chwili, w której stwierdzi, że postępował słusznie. Gorzkowskiego można urobić w ręku, ale tamtego tylko złamać.

Nie schodziła mu z myśli rozmowa, jaką miał z nim przed zebraniem. — Liche ma o mnie pojęcie, jeśli chce mnie przekupić obietnicą. W tych warunkach nie mogę przecież przyjąć Nowej Rudni.

Z trudem skupił się na sprawozdaniu z działalności biura, które słyszał już po raz trzeci. Towarzysz z KW wyliczał teraz, ile budów wstrzymano z braku dokumentacji technicznej, ile osób pozbawiono mieszkań w nowych blokach.

— Gdyby inne biura podobnie opuściły się w pracy, jakież straty przyniosłoby to w planie sześcioletnim? Na szczęście wiele jest takich, które wykonują więcej niż przewidywano — wyciągnął z teczki kartkę maszynopisu i odczytał z niej zestawienie przodujących biur projektowych.

— W bieżącym roku budujemy przecież ponad 200 osiedli, w tym 65 zespołów wielkości Łowicza lub Chrzanowa. Czy wam nie wstyd, że nie wypełniliście swych zadań, maruderzy?!

Gdy skończył nikt nie przerwał ciężkiego milczenia. Dyrektor techniczny oparł głowę na dłoni, pochmurny i zrezygnowany. Ze skóry wychodził, żeby biuro wykonało plan, ale robota rozłaziła się w rękach; z jednego nawalenia terminu wynikało drugie opóźnienie, z przegrupowań personalnych — kwasy, a po chwilowych zrywach spadała wydajność pracy.

— Dla dobra samej Rudni powinienem wziąć ją od Erwina — pomyślał Mikołaj. — Nie czuje tematu, nie potrafi go wykonać należycie. — Stanęły mu przed oczyma własne rysunki i ogarnęła nieprzeparta ochota ich wykończenia. — Teraz, kiedy mam dojrzałą koncepcję tego miasta, zrobiłbym naprawdę pokazowy projekt.

Siwa towarzyszka omawiała sytuację finansową biura. Brzmiało to już bardziej sucho i nie przemawiało do wyobraźni, choć i w tym dziale nie brakło poważnych uchybień. Zaginęła bez śladu dokumentacja, całkowicie zapłacona, którą kiedyś odrzuciła Rada Techniczna. Komisja nie była przekonana o istnieniu tych rysunków, tym samym i o słuszności dokonanych wypłat. Ciekawe okazało się również zestawienie premii przyznanych na 1 maja. Wśród wyróżnionych byli i dyrektorzy i przewodniczący Związku, którzy wchodzili oczywiście w skład komisji rozdzielającej nagrody.

— Oto piękny przykład „samozaopatrywania się" — oburzył się Mikołaj. — I nic o tym nie było wiadomo. Wstydliwie nie odczytali

tej listy podczas akademii pierwszomajowej. Nic dziwnego, sumy przekraczały znacznie wysokość nagród, jakie otrzymali niżsi urzędnicy. Czy Gorzkowski wiedział o tym i godził się na to, czy też załatwiono to zręcznie poza jego plecami?

Czytająca nie dała na to odpowiedzi. Mikołaj starał się określić jej wiek. Mimo siwych włosów miała twarz młodą, surową, o wąskich, bladych ustach. Na przedramieniu niski numer Oświęcimia. — Trzydzieści lat, trzydzieści pięć? — zastanawiał się Mikołaj. — Bystra kobieta, w lot przejrzała wszystkie kombinacje i świństewka. Formułuje rzeczowo, ale nie nudno, z jakąś zawziętością. Czym ona jest z zawodu? Musi być od dawna w partii, świadczy o tym jej bezkompromisowość w traktowaniu sprawy, obejmowanie całokształtu zagadnień, doszukiwanie się nie tylko przyczyn, ale i wytycznych na przyszłość. — Nie była podobna do Ireny, a jednak przywodziła myśl o niej, może właśnie przez kontrast z łagodnym uśmiechem tamtej. Różne drogi wiodą widać do jednego celu.

— Jakby mi poradziła Irena? — zapytał siebie Mikołaj. — Wziąć tę Rudnię, czy zupełnie z niej zrezygnować? Można by przecież powiedzieć coś na obronę Bostela. Ma rozmach w pracy, jest jej niewątpliwie oddany... Prawda, że z tym wszystkim źle się u nas dzieje. Ale czy zmiany personalne mogą tutaj pomóc?

Z kolei podniósł się towarzysz, siedzący dotąd pod oknem. Wydał się Orańskiemu znajomy, ale nie z Komitetu, tylko z jakiejś wspólnej pracy. Ze stolarni, w której Mikołaj kręcił się w czasie wojny? Albo raczej z przedsiębiorstwa remontowego? Nie mógł go sobie przypomnieć. Tamten jednak rozpoznał Mikołaja i uśmiechnął się w szczególny sposób: przy twarzy niemal nieruchomej uniosły się leciutko kąciki ust i oczy przymrużyły odrobinkę.

— Ależ to Gawryś! — ucieszył się Mikołaj. — Bardzo się zmienił! Nabrał pewności siebie, słowa przychodzą mu nie z takim, jak dawniej trudem. Oczy te same, co wszystko w człowieku wyszperają i połapią się na każdym złodziejstwie, a do myśli dobrej się uśmiechną. Gawryś, jakże mogłem go nie poznać! Prawda, że włosy bardzo posiwiałe, że ubranie inne, wtedy chodziło się przecież w jakichś połatanych flanelowych łachach! A nade wszystko niespodzianka tego spotkania po latach, w zmienionych warunkach i miejscu. Co on robił od powstania? Na dłoni blizna gwiaździsta, biała z sinawym naciekiem, od czegóż to? — nie mógł pohamować ciekawości.

— Zanim zaczniemy omawiać sprawozdanie komisji — mówił Gawryś — chcę wam przypomnieć, towarzysze, że każde słowo tutaj

powiedziane musi służyć naprawie. Potrzebujemy krytyki, nie krytykanctwa, wniosków twórczych, nie biadolenia. Reorganizacja biura i wybory do nowych władz partyjnych — to tylko przegrupowanie szeregów. Dzisiaj nazywamy chorobę po imieniu, ale długo będzie trwało leczenie; od naszego współudziału zależeć będzie prędkie ozdrowienie biura.

Mikołajowi zdało się, że Gawryś zwraca się wprost do niego, że od niego oczekuje odpowiedzi. Nie po raz pierwszy zdarzała się taka sytuacja. I na budowie wystarczyło czasem jedno słowo, jedno spojrzenie, żeby wiedzieć o co chodzi i natychmiast pośpieszyć z pomocą. Przypomniał sobie warsztat pachnący żywicą, smak czarnego chleba i gorzkiej kawy, komunikaty radiowe powtarzane chyłkiem, ale nie w takiej znowu tajemnicy, a przede wszystkim rozmowy o tym, jak to będzie po wojnie. Kiedy nie było się pewnym dnia ani godziny, Gawryś uparcie obstawał przy swoich twierdzeniach i tę pewność zaszczepił w Mikołaju.

Orański poprosił o głos. Gdy się podnosił z krzesła napotkał wzrok Bostela badawczy i wyczekujący, dostrzegł próbę uśmiechu, który miał zachęcić i dodawać otuchy, ale wyglądał żałośnie, chociaż obiecywał Nową Rudnię.

— Towarzysze — zaczął Mikołaj ze wzruszeniem. — Jak prawdziwe są stwierdzenia komisji, wie każdy, kto zrzucając pychę z serca, oceni naszą działalność. Tak już dalej biuro nasze pracować nie może. Aby stan rzeczy naprawić — trzeba wzmocnić wpływ organizacji partyjnej i ukrócić samowładztwo dyrektora...

Mówił krótko, żarliwie, tak jak myślał nieraz o tych sprawach. Spotkanie z Gawrysiem przyjął za dobrą wróżbę. Rzeczowy tok obrad wzniecił w nim ufność w dalsze losy biura. Warto jest walczyć, gdy się ma nadzieję. Człowiek wyprułby flaki z siebie, byle robota szła składnie, byle projektować dobre rzeczy. Wspomnienie Nowej Rudni rzuciło cień na jego myśli. — Niech tam! — otrząsnął się wreszcie. — Takich miast jak Nowa Rudnia budujemy w Polsce kilkadziesiąt, znajdzie się jeszcze coś dla mnie! — Przyjemnie mu było pomyśleć, że po zebraniu pogada z Gawrysiem. Nagryzmolił kilka słów na karteczce i podsunął mu ją podczas dyskusji. Tamten odpisał na odwrocie: „KW oddelegował mnie do was na dłużej. Cieszę się, że będziemy razem pracowali".

Zebranie skończyło się po trzeciej, Mikołaj podszedł zaraz do odnalezionego towarzysza.

— Gdzieżeście podziewali się przez tyle lat? Straciłem was z oczu w pierwszych dniach powstania.

— Niemcy odesłali mnie do Rzeszy, próbowałem uciekać. Od 45 pracowałem w Olsztyńskiem.

— A ta pamiątka skąd? — zapytał Mikołaj dotykając okaleczałej ręki towarzysza. — Niemcy?

— Niby swoi, a gorsze dranie od hitlerowców. Ręka niezdatna do pracy — przyglądał się z urazą białej bliźnie.

— Jakżeście wrócili do Warszawy? Prosto z Olsztyna?

— Wcale nie prosto. Rok czasu byłem w Łodzi, w szkole centralnej. Później stale już w robocie partyjnej, raz tu, raz tam. Nigdzie miejsca długo nie zagrzałem.

— U nas zostaniecie dłużej. Nie łatwo wam tu będzie.

— Jestem dobrej myśli. Rozmawiałem już trochę z ludźmi, chodziłem po pracowniach. Nie wiedziałem, że tu pracujecie, byłbym was wcześniej odwiedził.

Wyszli razem na korytarz. Ola Górzyńska czekała na Gawrysia i zaraz odciągnęła go na bok. Z trudem przezwyciężała zmieszanie, mimo że dziesiątki razy powtarzała w myślach słowa, które miała mu teraz powiedzieć.

— Towarzyszu, zastanowiłam się nad waszą propozycją. Proszę o przeniesienie do pracowni inżyniera Frankowskiego. Spróbuję swoich sił...

Była trochę niewyspana, ale pogodna i nawet uśmiechnięta. Gawryś uścisnął jej rękę i zwrócił się do Mikołaja:

— Zaczynamy od brygad młodzieżowych. Tym klinem rozbijemy najtwardsze pnie.

CEMENT

Stehlik przyszedł dość wcześnie na dworzec, aby zająć miejsce w kącie przedziału. Wtulony w fałdy płaszcza daremnie próbował usnąć. Mimo zmęczenia parodniową bieganiną i bezsennymi nocami — jedną przestał na korytarzu w pociągu do Warszawy, drugą przegadał z Orańskim — sen nie przychodził. Nie tylko nie był zadowolony z odwiedzin w Biurze Projektów, ale czuł, że zjawił się tam nie w porę, jakby przyszedł do domu, w którym gospodyni zabiera się do wielkiego prania albo gruntownych porządków. Cóż z tego, że prosi siadać, wycierając stołek brzegiem fartucha, że ogląda się, czym by poczęstować gościa, jeśli w duchu pragnie jego odejścia, skrępowana własnym wyglądem i nieładem w mieszkaniu. I Gawryś i Orański słuchali go tylko jednym

uchem, zbyt zaprzątnięci własnymi trudnościami, aby roztrząsać ze Stehlikiem powikłane problemy wykonawstwa. Przyznawali mu rację, ale nic poradzić, w niczym pomóc nie mogli.

— Jak się uporamy z naszym biurem, weźmiemy się i za budowę — mówił Gawryś. — To się łączy, ja wiem, ale nie możemy naraz dwóch srok za ogon chwytać. Nie miejcie do nas żalu, że tymczasem pozostawiamy was własnemu losowi. Walczcie sami przynajmniej na waszym odcinku.

Jednakże spraw, które Stehlikowi leżały na sercu, nie dało się wywalczyć w wąskim zakresie. Należało je postawić generalnie w odniesieniu do wszystkich budów w kraju. Ułożenie stosunków między architektami i wykonawstwem, dostosowanie dokumentacji do nowych metod pracy rzemieślniczej, sensowna organizacja placu budowy narzucały się nie jednemu Stehlikowi. Bez rozstrzygnięcia tych kwestii jakikolwiek postęp wydawał się nie do pomyślenia i człowieka ogarniała desperacja, chyba żeby na wszystko machnąć ręką i po fajerancie iść do domu, jak urzędnik, któremu wszystko jedno: zrobił swoje i ma spokój.

Może to i dobrze takie mieć usposobienie, nie przejmować się niczym, co nie jest na wprost nosa. Na przykład Haładyna, jeśli z własną robotą się upora, to co go tam obchodzi, że instalatorzy już drugi tydzień nie wzięli się do wyznaczonego bloku, albo że Józek Mitraś upija się po każdej wypłacie do nieprzytomności. Nawet gdy Haładynie zabrakło cementu, to też nic nie mówił, tylko czekał, aż kierownictwo budowy się o to zatroszczy. Zachodził do kantorku, grzecznie pytał, dowiadywał się, że jeszcze nie ma, i czekał dalej. Kiedy po Wielkanocy pomocnicy nie stawili się do pracy, tylko sobie trochę poklął i nic. A już zupełnie nie zastanawia się nad planem przedsiębiorstwa i nie głowi nad żadnym ulepszeniem. Powiada, że zarabia dosyć, do niczego się nie chce wtrącać. Prawda i to, że kierownictwo budowy nie kwapi się z przedstawianiem robotnikom całości planu, że z harmonogramami dzieją się cuda w administracyjnym baraku, raz tak napisane, raz inaczej. Jeżeli jednak kto ma zainteresowanie, to przecież się dowie i niejednym zatroska.

Im człowiek starszy, im dłużej pracuje w swoim fachu, tym bardziej pragnie, żeby wszystko szło akuratnie i w każdej pracy znać było staranie. Młodzi rzadko rozumieją się na tym, bardziej ich pociąga szybkość niż dokładność i to nawet nie ze złej woli. Choćby lubili swoją pracę, najważniejsze są dla nich godziny wolne, życie wabi ich jak miodowy placek z kiermaszu, licho wie, jaki jego smak. Kiedy się go już

pozna, człowiek przestaje się śpieszyć. Już tak nie leci z budowy, zbiera się powoli, przystaje jeszcze, żeby spojrzeć na dzisiejszą robotę. Przyjemnie mu w ciepły przedwieczerz popatrzeć na równiutkie fugi, na dobrą rzemieślniczą pracę, odetchnąć zapachem desek. zaprawy, świeżych wykopów. Ale nie daj Boże pracować na budowie, gdzie poniewiera się żelazo i cement, gdzie drzewo nie ma zabezpieczenia, gdzie cegły jak kamienie zsypują na kupę. Jak rzucenie chleba na ziemię, tak oburza człowieka marnowanie tych dobrze wypalonych, świeżo przysłanych cegieł i jak chleb chciałoby się je podnieść i porządnie poukładać.

Więcej starali się ludzie przed wojną. Architekt sam nadzorował budowę, właściciel patrzył mu na ręce, przedsiębiorca ze skóry wyłaził, żeby ich obydwu zadowolić. A teraz? Inwestora nikt na oczy nie widzi, zastępuje go inspektor, młody chłopak i kiepski fachowiec, przedsiębiorca stał się urzędnikiem, mało zainteresowanym w robocie, a projektant rzadko zagląda na budowę. Domy rosną raz wolniej, raz prędzej, jakby osierocone, bez tej bliskiej i czujnej opieki. Pewno, dużo się buduje. Właśnie dlatego, że dużo i że dla samych siebie, to powinno się wszystkiego nie wiem jak dopatrzeć. Jakże denerwuje Stechlika złe otynkowanie jego własnego mieszkania! Niech tylko w niedzielę dłużej sobie poleży i popatrzy na sufit, humor mu się psuje na cały ranek. Żeby mógł znaleźć tego drania, co tak robotę spartolił, powiedziałby mu do słuchu!

Aż strach, jak ludzie nie szanują wspólnego dobra. Daj człowiekowi na własność narzędzie albo odzież, dwa razy dłużej będzie mu służyło niż państwowe, bo je oczyści na czas i przyoszczędzi. Nie mogą ludzie zrozumieć, że za każde zniszczenie, za każdy zmarnowany gwóźdź i stłuczoną cegłę sami zapłacą w ten lub inny sposób. Z tych dziesięciu palców każdego człowieka buduje się państwowa gospodarka. I jak tu patrzeć obojętnie na wszystko zło, co się dzieje, na wałkoni, na organizację kulejącą na obie nogi?

Pewno, naród jest bystry, wszystkie braki wypatrzy i wyśmieje, na każdą trudność napsioczy, jakby to nie o nich szło, jakby zło było u sąsiada, a jakieś polepszenie spłynąć miało z nieba. Tak ludzie przed wojną przywykli, że interes rządzących stawał w poprzek ich potrzebom, że do dziś nie rozumieją, jaka zaszła zmiana. Albo rozumieją tak w ogólności, w wielkich sprawach, że konstytucja, że władza ludowa, a przy codziennych rzeczach zapominają. I nie pomyślą, że niszcząc gumowe buty, albo odwalając byle jak robotę — okradają samych siebie.

Stehlik też nie od razu to sobie w głowie ułożył. Jak się po wojnie zaczął ruch budowlany, cieszył się po prostu, że będzie dość zajęcia dla wszystkich, że martwy sezon się skróci, że dzieci wykieruje się na ludzi. Zdawało mu się, że wielka budowa będzie po prostu zwielokrotnieniem małej i że każdy fachowiec przyłoży się do niej, jak umie. Pewno i kierownictwo robót myślało wtedy podobnie, bo zrazu nic nowego nie wprowadzono. Ale jeszcze przed wprowadzeniem zmian Stehlik zauważył, że na budowie coś szwankuje, że nie idzie tak, jak iść powinno. I materiałów nie dowożono na czas i dokumentacja zawsze się spóźniała i robotników brakowało w najgorętszych miesiącach. Najbardziej głowił się Stehlik nad stosunkiem ludzi do pracy, który nie całkiem odpowiadał zmienionym warunkom. Straciły sens wszelkie utrudnienia, stawiane niegdyś młodym, którzy uczyli się zawodu, a przecież niejeden majster sprzeciwiał się jeszcze szybkiemu usamodzielnieniu uczni, odgrywając się na nich za wszystkie upokorzenia wycierpiane w młodości.

Mało to nadogadywali Stehlikowi, kiedy objął kierownictwo brygady młodzieżowej? A ile było żartów z pierwszych dziewuch, które się wzięły do murarki?

Niemało trudności przysparzali ci, co przyjmowali robotę. Raz przymykali oczy na fuszerkę, kiedy indziej pieklili się bez powodu. Mógł być zresztą powód ukryty i wcale nie chwalebny: chodzili z tym i owym na wódkę, mieli tam różne swoje interesy. Jak człowiek raz poczuje władzę i możność łatwego zarobku, niewiele trzeba, żeby go skusić. Tacy tym ostrzej traktowali pracę dziewcząt albo młodych, którzy się niczym nie wkupili w ich łaski. Pewno, że trafiali się ludzie nieustępliwi i bezstronni, jak Wirek albo Lukaś. Tylko, że o nich jakoś nikt nie mówił, a na innych wszyscy narzekali i wiele złego wynikło stąd dla budowy.

Jeśli ocena była niesprawiedliwa, współzawodnictwo mijało się z celem. Rodziło jedynie kwasy i zniechęcenia, a co się zyskało na czasie przy jednym budynku, to się traciło przy drugim. Mówiono już na budowie, że bez współzawodnictwa i bez czynów lepiej poszłaby robota, gdyby organizacja nie nawalała co chwila. Nieliczni ujmowali to inaczej: ile by dało współzawodnictwo przy dobrym zorganizowaniu pracy?

Nad tym właśnie przemyśliwał Stehlik. Kierownictwo budowy zbagatelizowało jego propozycje. Komitet Miejski nie zorientował się w ważności tej sprawy, zwłaszcza że majster nie umiał jasno wyłożyć, o co mu chodziło. Pochwalono go zdawkowo na jednym i drugim ze-

braniu, stwierdzono, że „to facet z głową", „że trzeba się nim będzie zająć", ale skończyło się na gadaniu.

Stehlik zaczął wybierać się do Warszawy, aby dotrzeć do ludzi, którzy mogliby go zrozumieć i ocenić. Wierzył, że wszelkie błędy i niedoskonałości są udziałem pracowników z prowincji, że w Warszawie wszyscy są mądrzejsi i lepsi, dzięki temu powołano ich przecież na kierownicze stanowiska. Nie mógł im zresztą przedstawić gotowego projektu naprawy stosunków w budownictwie, raczej sam chciał dowiedzieć się, jak być powinno i opowiedzieć właściwym władzom, jak istotnie jest w terenie, zdawało mu się bowiem w naiwności ducha, że one o tym nie wiedzą, bo gdyby wiedziały, niewątpliwie starałyby się zmienić stan istniejący.

Gdy tylko nadarzyła się okazja wyjazdu do Warszawy, Stehlik skorzystał z niej dla swoich celów. Egzekutywa poleciła mu wyjaśnić szereg spraw w Biurze Projektów — a on na własną rękę postanowił znaleźć rozwiązanie trapiących go problemów.

I może, gdyby wyróżnił się w wąskim zakresie, gdyby na przykład obmyślił lepszy skład zaprawy, trafiłby wreszcie na kogoś, kto by się tym zajął. Im sprawa ważniejsza, o więcej zahaczająca instancji, tym trudniej znajduje posłuchanie.

Nikt go nie przyjął ani w Ministerstwie, ani w Zjednoczeniach. Bardzo uprzejmie odsyłano go z działu do działu, od dyrektora do naczelnika, od naczelnika do referenta. W miarę pokonywania pięter i długich korytarzy Stehlik odnosił wrażenie, że zwiększa się coraz bardziej odległość między Ostrzynem a Warszawą. Aby dotrzeć do celu, trzeba by mieć wiele czasu na wyczekiwanie i starania o audiencję. Jeśli ma się tylko dwa dni na załatwienie ważnej sprawy, a nie posiada żadnej znajomości świata urzędniczego, nie podobna pokonać przeszkód, jakie stwarzają zebrania, konferencje, planowanie, sprawozdania, zjazdy, instrukcje i okólniki, którymi wszyscy są na tyle zajęci, że nie znajdują czasu na wysłuchanie człowieka z terenu.

Skończyło się na rozmowie z Orańskim i Gawrysiem, z której Stehlik nie wyniósł nic, prócz pocieszenia. Orański nie miał żadnej władzy, znowu skończyło się na projektach, na pobożnych życzeniach. W stwierdzeniu własnej niemocy tkwiła jakaś niemęska, inteligencka uległość wobec trudności przerastających wprawdzie siły jednego człowieka, ale przecież łatwych do przezwyciężenia, jeśliby się do nich wzięła partia. Trzeba by zainteresować tym kogoś w Komitecie Centralnym.

Gdyby miał więcej czasu, Stehlik nie zawahałby się starać o posłu-

chanie u towarzysza Bieruta, z którym już dwa razy rozmawiał: na budowie i na przyjęciu w Belwederze.

Świadomość, że jeśli inaczej nie uda się tych spraw rozwiązać, to można zwrócić się do prezydenta — uspokoiła trochę skołatane myśli. Nie sądził, żeby tak bez wszystkiego można się było z nim zobaczyć, zbyt wiele osób pchałoby się do niego z lada głupstwem; miał jednak pewność, że w razie istotnej potrzeby prezydent znajdzie czas i zrozumienie dla majstra murarskiego z Ostrzyna. I układając sobie, co by wtedy trzeba powiedzieć, zasnął mocno, jak człowiek, który wreszcie pozbył się kłopotów.

Szarzało, gdy Stehlik wysiadł z pociągu. O tej porze dworzec był zupełnie wyludniony, bufet zamknięty, podłogi jeszcze nie zamiecione. Przyjezdni w jednej chwili przesunęli się przez poczekalnię i rozproszyli na ulicy wiodącej do miasta. Kobiety z dziećmi i podróżni z bagażami pozostawali w tyle, zatrzymując się od czasu do czasu, aby przełożyć walizki z jednej ręki do drugiej. Stehlik minął ich i szedł raźnie, żeby się rozgrzać.

Ulica Dworcowa ciągnęła się chyba z kilometr. Stały przy niej domy niewysokie o dwóch, trzech kondygnacjach. Sklepy na noc osłaniano deskami, malowanymi olejno na siny kolor. Na balkonach zamkniętych balustradami z lanego żelaza kwitły oleandry w drewnianych kubłach i suszyły się różne części garderoby. Zaryglowane bramy ziały wilgotnym smrodem. Stehlik nie potrzebował zaglądać do wnętrza, aby wyobrazić sobie ciasne podwórka z ustępem przylepionym do oficyn i przybudówek, znał je dobrze z własnego dzieciństwa. Na takim podwórku skupiało się życie wszystkich lokatorów. Tutaj prano bieliznę, rąbano drzewo, obierano ziemniaki do obiadu, tutaj bawiły się dzieciaki, tu introligator gotował klej, tkaczka suszyła świeżo farbowaną wełnę, Cygan lutował rondle i ostrzył noże na kamiennym krążku. Mieszkało tu wielu ubogich rzemieślników, którym rosnący przemysł odbierał sens istnienia.

Z Dworcowej wszedł Stehlik w uliczki starego miasta. Z barokowych kamienic spełzły świetne niegdyś barwy, zniszczały rzeźbione lwy na portalach i węgłach. Coraz tłumniej gnieździli się tu ludzie w ciasnocie, w zaduchu, w wiecznym mroku.

Ale tuż za bramą Grodzką na łagodnym stoku stały pierwsze domy nowego osiedla. Większość z nich nie miała jeszcze tynków. Teren między nimi nie został dotąd uporządkowany; leżały na nim resztki gruzu, potłuczone pustaki, do niezasypanych dołów po wapnie mieszkańcy wyrzucali śmiecie. Od bloku do bloku wiodły wydeptane w glinie

ścieżki, w bardziej błotnistych miejscach podsypane żużlem albo umocnione deską.

A jednak we wschodzącym słońcu osiedle to wydawało się Stehlikowi piękne. Bez trudu wyobraził sobie, jak wypełni się ono zielenią, z której wyrastać będą swobodnie jasne domy o szerokich oknach.

Przed blokiem, w którym niedawno otrzymał mieszkanie, spotkał Matysiakową, rozwieszającą bieliznę na sznurze. Pralni dotąd nie oddano do użytku lokatorów.

— Skąd to wracacie? — zapytała ciekawie. — Wyjeżdżaliście?

— Byłem w Warszawie — nie zatrzymywał się, śpiesząc do domu. Ale Matysiakowa przytrzymała go za rękaw.

— Trzeba wreszcie zrobić porządek z inżynierskimi dziećmi. Nie dość, że chłopaki zbili żarówkę na schodach, to jeszcze przed naszymi drzwiami paskudzą. Mąż wdepnął wczoraj, jak wracał do domu.

— Nie wyłoiliście im skóry?

— Gdzie tam! Matka na nas z pyskiem wypadła.

— Która to?

— Chwaliszewska, żona inżyniera od instalacji.

— Skąd wiecie, że to jej syn?

— Jeszcze się sam przechwalał na podwórzu przy innych chłopakach, wstydu nie ma za grosz. To on poodkręcał w tamtym miesiącu wszystkie klamki na klatce schodowej.

— Zajmę się nim — mruknął niechętnie Stehlik — choć Bogiem a prawdą dosyć mam już na głowie.

Ledwie przekręcił klucz w zamku, gdy żona wybiegła do przedpokoju, pośpiesznie wciągając wzorzysty szlafrok.

— Jesteś wreszcie — powiedziała gderliwie. — Już nie myślałam, że dziś wrócisz.

— Pociąg się spóźnił — wyjaśnił zdejmując płaszcz. — Zagotuj mi kawy, strasznie jestem zmachany.

— Wskórałeś co w tej Warszawie? — zapytała zapalając gaz w kuchni.

— Niewiele.

— No, widzisz. Zdawało ci się, że zbawienie świata od tego zależy. Mówiłam, że szkoda czasu i pieniędzy.

— Daj mi spokój! — obruszył się myjąc ręce pod kranem.

— Pewnie, teraz nie liczysz się już z moim zdaniem. Wielka figura, członek Rady Narodowej....

— Przestań, Władka! Trzy noce zarwałem i nie chce mi się słuchać bzdur.

— Po coś jeździł? Myślisz, że to przyjemnie cały dzień samej siedzieć i słowa nie mieć z kim zamienić? Już lepiej było przed wojną.

— Kiedy nie miałaś co do garka włożyć?

— Przynajmniej wiedziałam, że mam męża! Co z tego, że jesteś przodownikiem pracy?

— Nie dostałaś za to mieszkania?

— Siedzę w nim i oczy wypłakuję, bo za innymi latasz. Myślisz, że mi ludzie o tej Wikci nie powiedzieli?

— Co ci mogli powiedzieć? Uczyłem ją murarki.

— Czemuż to nie przyszło ci do głowy przed wojną własnej żony fachu wyuczyć? Com ja się cegieł nataskała, Boże miły, kiedyśmy razem tyrali po budowach!

— Czasy były inne! Choćbym cię wyuczył, nikt by cię nie wziął do pracy, jeszcze by wyśmieli, albo na taczkach wywieźli. Wiesz, że roboty było mało, każdy za nią ganiał, żeby tych parę złotych zarobić.

— Ty się byle czym nie zasłaniaj. Żona stara, młodej ci się zachciewa.

Stehlik wstał gwałtownie od stołu i nie oglądając się na Władkę otworzył z klucza drzwi do swojego pokoju. Ona jednak nie dała za wygraną, pobiegła za nim i zatrzymała się na progu.

— Widzisz, do czego doszło, przed żoną się zamykasz! Ludzie wydziwiają, że sypiam z dziećmi, a nie z mężem.

— Zostaw mnie! — krzyknął Stehlik tracąc panowanie nad sobą.

— To się rozwiedź ze mną, kiedy ci tak zawadzam — rozpłakała się nagle. — Niech cię oczy moje nie widzą — zasłoniła twarz dołem fartucha i z trudem mówiła przez łzy. — Wiem, wszystko ci się we mnie nie dość wydaje. Z różnymi na zebraniach się spotykasz. Młode, malowane, papierosy palą...

— Słuchaj, Władka, muszę iść zaraz na budowę, daj mi dech złapać. Czego ty chcesz ode mnie?

— Żebyś mnie kochał, Antoś! — powiedziała żałośnie patrząc na niego jasnymi oczyma, które zachowały dla niego dawny młodzieńczy urok i wynagradzały całe zniszczenie twarzy pociemniałej i zmarszczonej latami troski i niedostatku. Wystarczyło mu spojrzeć w te oczy, aby przypomnieć sobie tamtą Władkę, którą w majowy wieczór namawiał pod bzami, żeby rzuciła swoją wieś i ojcową gospodarkę i poszła z nim do miasta na niepewne robotnicze życie. Była mu wiernym przyjacielem w długich okresach bezrobocia, w głodnych zimach i w znojnych latach. Nie skarżyła się, nosząc cegły, nie płakała, kiedy pomarły

pierwsze dzieci, nie załamywała rąk w najcięższych chwilach. Co się jej stało, że płacze dzisiaj w dosycie, w szczęśliwości?

— Kocham cię przecież — stwierdził poważnie i przygarnął ją do siebie. Cała dygotała od szlochów, tłumionych już teraz, ale nabrzmiałych bólem.

— Mógłbyś przynajmniej ten pokój jakoś urządzić — powiedziała wreszcie ocierając oczy. — Pusto tu u ciebie.

Rzeczywiście, nie było w nim nic prócz tapczanu, niewielkiego stolika z krzesłami i półki na książki.

— Prosiłem, żebyś o kwiaty zadbała.

— Nie mam odpowiedniego wazonika.

— Dałabyś jaki garnek.

— Właśnie. Do kwiatów kryształ jest konieczny.

— Wcale nie. Nawet u prezydenta widziałem kwiaty w glinianym dzbanku.

— Widać się jeszcze nie dorobił — stwierdziła rozglądając się wokoło. — I do tego obrazu przydałyby się porządne, złocone ramy.

Nad tapczanem wisiał portret Stehlika. Z ciemnego, zielonawego tła wyłaniała się twarz o bardzo błękitnych oczach i ujmującym uśmiechu.

— Malarka mówiła, że biała listwa najlepiej się do niego nadaje. Mnie też tak się podoba.

— Tobie wszystko inne się podoba, niż mnie — westchnęła żona. — Szafę jesionową chciałam kupić, to się nie zgodziłeś.

— Masz przecie szafy w ścianach.

— A jeśli przeniesiemy się stąd do innego mieszkania? Wiecznie tu nie będziemy. Mebel ma swoją wartość.

— Tylko kłopot z wożeniem.

— Pewno, łatwiej ci będzie zapakować swoje rzeczy do walizeczki. O to dbasz najwięcej. Widział kto, żeby zwykły murarz cztery garnitury sobie sprawiał i popelinowe koszule? W głowie ci się przewróciło.

— Co ci szkodzi, nie daję ci na życie? I Hanka ci daje i Staszek. Masz aż za dosyć.

— Ja bym się nie skarżyła, gdybyś się dla mnie ubierał, a nie dla innych. Wiem, że mnie ze sobą nie weźmiesz na akademię na 22 lipca, choćbyś znowu siedział w prezydium, jak zeszłego roku.

— Sama nie chciałaś iść wtedy.

— Sama nie pójdę za nic w świecie. Masz mnie wziąć pod rękę, żeby wszyscy widzieli, że się żony nie wstydzisz, że się nie wkręciłam psim swędem, tylko mam prawo tam być i siedzieć w pierwszych rzędach.

— Wtedy nie szedłem z domu, tylko z budowy, nijako mi było po ciebie wstępować.

— Jak nie, to nie.

— Ale w tym roku się postaram — powiedział przebierając się do pracy — jeśli ci na tym zależy.

— A na czym ma mi zależeć? Hanka cały dzień w fabryce, Staszka także nie widuję, jak mają wolne, to w domu nie usiedzą. Sama i sama wciąż jestem.

— Zajrzyj do sąsiadek.

— Właśnie. Nie trzeba było pchać się do tego bloku, w którym są tylko duże mieszkania. Tutaj same inżynierowe mieszkają. Bardzo grzeczne, ale jak zza siódmej wody, zza siódmej góry. Pamiętasz, mieliśmy teren splantować i komitet blokowy wezwał wszystkich mieszkańców. Przyszli sami fizyczni i żony robotników. Inżynierowych ani śladu. I nic się nie zrobiło. Ani myślę harować, żeby takiej kwiatki przed nosem pachły. Nie mam drobnych dzieci, to mi nie zależy.

— Będę jeszcze o tym mówił na zebraniu — Stehlik zbierał się do wyjścia. Od drzwi zawrócił, żeby uścisnąć żonę.

— Nie pocałowałaś mnie na powitanie — zrobił jej żartem wymówkę. — Zaraz zaczęłaś narzekać. Nie trzeba, Władka, i bez tego jest dość trudności.

— Antoś! — objęła go za szyję — przecież ja tylko ciebie mam na świecie!

— Dobrze, już dobrze! — wyswobodził się z uścisku. — Może dostanę na jutro bilety do kina.

Jeszcze z drogi obejrzał się. Władka odmłodzona uśmiechem wychylała się z kuchennego okna ponad skrzynką z pelargoniami.

Zrobiło mu się przykro, że nie przywiózł dla żony jakiegoś gościńca z Warszawy. Zaczął tłumaczyć się przed sobą, że nie mógł o tym pomyśleć wobec tylu zajęć i że skorzysta z najbliższej okazji, żeby ją czym obdarować. Ledwie jednak stracił ją z oczu, zaprzątnął sobie głowę innymi sprawami i zapomniał nawet o biletach do kina.

Kolonia, w której mieszkał, znajdowała się na skraju starego miasta i tylko pas podmokłej łąki oddzielał ją od terenu budowy, obejmującego całą przestrzeń dawnego getta, w znacznym stopniu zburzonego przez hitlerowców. Ocalałe kamienice były oskarżeniem kapitalistycznego ustroju. Wzniesione z najtańszych materiałów, często pochodzących z rozbiórki, pozbawione kanalizacji, zlewały wszystkie nieczystości do rynsztoków przy uliczkach brukowanych kocimi łbami. Te domy i te uliczki projektant wykreślił ze swego planu, rysując na ich

miejscu nowe bloki i nowe zieleńce. Brak mieszkań zastępczych dla lokatorów tych walących się budynków odwlekał jednak z dnia na dzień datę ich rozbiórki. Tymczasem, o ile się dało, wznoszono mury, między ruderami, życie mieszkańców ruin zespalało się przedziwnie z robotami na budowie. Dzieci bawiły się wszędzie po fajerancie, starcy przyglądali się z okien zakładu dla podeszłych wiekiem, kobiety wracając z zakupów grzęzły po kostki w piasku i błocie.

Kształtu osiedla trudno było jeszcze się dopatrzeć. Podchodząc ze starego Ostrzyna widziało się zrazu ścianę domów, stojących na niewysokim wzgórzu, u którego stóp powstać miał w przyszłości Park Kultury i Wypoczynku. Na razie był to wydeptany do cna nieużytek; gdzieniegdzie uratowały się na nim krzaki ostu, łopianu, podbiału i babki. W lejach po bombach stała mętna woda, wysychająca w dni upalne. Gliniaste dno ukazywało się wtedy popękane i smrodliwe; niemrawo poruszały się po nim wielkie ropuchy.

Za parawanem nowych gmachów zaczynał się straszliwy bałagan. Stehlik pracował już na niejednej budowie, ale czegoś podobnego dotąd nie widział. Wszędzie wyrastały nowe mury wzdłuż nieistniejących jeszcze ulic, ale pod dziwnymi kątami do istniejącej zabudowy. Zdarzało się, że wznoszono tylko część bloku, bo na powierzchni przeznaczonej pod drugie jego skrzydło stał jeszcze budynek, skazany na wyburzenie. Budulec składano, gdzie popadło, jako że robota szła w wielu punktach naraz. Prace drogowe, wykopy dla gazociągu i kanalizacji ryły osiedle we wszystkich kierunkach.

Był w tym jednak wielki rozmach. Zdawało się, że to ziemia sama nie mogąc znieść na swej powierzchni owych gnijących ruder wzdrygnęła się, popękała i że z jej łona wyłaniać się poczęło nowe miasto.

Stehlik szedł ku niemu ulicą niedawno wytyczoną, szeroką i wygiętą dla łatwiejszego pokonania wyniosłości. Wchodziła ona między dwa domy czterokondygnacjowe o wyraźnie podkreślonych pionach porte-fenêtrów. Od ulicy domy te miały po jednej logii na najwyższym piętrze i niewysoką attykę podobną nieco do attyk na ostrzyńskim rynku. Na surowym murze próbowano różnych kolorów tynku. Stehlik przystanął i krytycznie przyjrzał się tym próbom. Wydały mu się zbyt jaskrawe. Lubił wyprawy jasne, ciepło szare, albo jak kawa z mlekiem, ładnie od nich odbija później zieleń, albo czerwieniejące jesienią liście dzikiego wina. Nie znosił różów, ani trupich siności. Zwłaszcza gdy wyjdą nierówno, można rzygać na ich widok. Podobały mu się zaprawy gruboziarniste, rzucane jakby od niechce-

nia i już niczym nie wygładzane. Tego byle uczeń nie potrafi. Trzeba mieć złotą rękę do takiej roboty.

Wyszedł na szeroki, niezabudowany plac, skąd widać było blok wznoszony przez brygadę młodzieżową. Zauważył niezwykłe skupienie ludzi przed kantorkiem i przyśpieszył kroku, aby dowiedzieć się, o co chodzi. Wiedział z doświadczenia, że im składniej postępuje budowa, tym mniej ludzi kręci się po jej terenie. Zbiegowiska nie wróżą nic dobrego.

Po drodze spotkał Majcherka i Pyzia, którzy wlekli się noga za nogą, jakby im wcale nie było pilno znaleźć się przy kantorku.

— Wiecie, że Grzyb i Mitraś nawiali? — zagadnął majstra Pyzio.

— Kiedy?

— W nocy. Buchnęli koce i umundurowanie.

— I forsę Kurkowskiemu — dodał Majcherek.

— Tego to już nie wiadomo. Dużo może teraz Kurkowski gadać. Razem chodzili na wódkę.

— Nie złapali ich?

— Nie. Ale inżynier Siemiński się wściekł i powiedział, że mamy zapłacić za te koce. Chłopaki się zbuntowały, bo nie ma prawa tego żądać. Chcą się rozjechać do domów...

— Wszyscy? W pełni sezonu? Zwariowali!

— Wszyscy, to nie... — zawahał się Pyzio. — Ja bym wolał zostać. Poduczyłem się, szkoda przerwać nauki. Jemu też nie chce się wyjeżdżać — dodał wskazując ruchem głowy towarzysza.

Pyzio był wyższy, jasnowłosy i opalony, lubił żyć z wszystkimi w zgodzie, nie stawiał się ani kolegom, ani przełożonym. Dziewczęta za nim przepadały, ale on nie stowarzyszył się z żadną, tak tylko chodzili gromadką na zabawę albo na spacer. Kupował im nieraz cukierki, a jednej Heli dał nawet książkę na imieniny. Koledzy się z niego śmieli, bo wódki nie pił. Nie z zasady, tylko że mu się zaraz zbierało na wymioty.

Majcherek wyglądał, jakby go kto szafą do ściany przycisnął: twarz miał wąską, szyję chudą, klatkę piersiową niepomiernie wydłużoną, za to reszta korpusu była zbyt przysadzista w stosunku do krótkich, pałąkowatych nóg. Chociaż chodził w kąpielówkach, nie opalił się, tylko pokrył piegami różnych rozmiarów i kształtów.

Stehlik znał go dobrze i zawsze okazywał mu swoją życzliwość. Dzieciństwo miał, że pożal się Boże, zdrowie nietęgie, ale ochotę do pracy nieporównaną. Pragnął dostać się do sztukatorów, żeby mieć artystyczną robotę, ale że w Ostrzynie nie nadarzyła się po temu oka-

zja, wziął się do murarki i przykładał do niej, jak mało który z kolegów. Pierwszy stanął na winklu i Stehlik nigdy się go nie powstydził.

— W sam czas wróciliście — mówił Pyzio — może przemówicie naszym do rozumu. Ot, zebrali się wszyscy przed kantorkiem.

Było ich ze trzydziestu w drelichowych spodniach i gimnastycznych koszulkach, bądź też nagich do pasa. Opalenizna i zielonkawy kolor umundurowania stapiały ich w jedną całość, z której tylko ktoś, kto ich znał z osobna, albo miał szczególną zdolność zapamiętywania rysów — mógł wyodrębnić poszczególne twarze.

Stali pod oknem, z którego inżynier Siemiński zrazu się wychylał, a później cofnął w głąb baraku nieporządnie skleconego z desek i pokrytego papą. Stehlik nie słyszał jeszcze słów, ale z ruchu tych młodych ciał napierających coraz silniej, z pochylenia głów w zielonych furażerkach, odgadł, że święci się tu coś złego. Ledwie powstrzymał się, żeby nie podbiec. Jakby o niczym nie wiedząc, zbliżył się powoli.

— Dzień dobry, chłopcy. Jeszcze nie przy robocie?

— A nie — mruknął pierwszy z brzegu.

— Żadnej roboty dziś nie będzie — dodał zadzierzyście drugi.

Cała grupa jak na komendę zwróciła się w stronę majstra. Nie mieli nic przeciw niemu, lubili go nawet i pewnie by nigdy z własnej woli nie szukali z nim zwady, ale raz wszedłszy w konflikt z budową, nie chcieli ustąpić przed niczyim autorytetem.

— Taak? — zdziwił się Stehlik. — A czemuż to, można wiedzieć?

— Nie chcemy, żeby nas na powrót po majstrach rozdzielano, nie po to przecież tworzyliśmy brygadę młodzieżową — krzyknął Bieniek.

— Za takie pazurowanie ostatni grosz chcą nam zabrać!

— Pomyjami nas karmią!

— Głodem morzą!

— Płuskwy nas żrą!

— Mamy już dość takiego życia!

— Nie będziemy płacić za drani!

— Za kogo? — zapytał Stehlik.

— Nie wiecie? Dwóch mądrych odmaszerowało w nocy z całym dobytkiem.

— Z baraku?

— No, z baraku.

— I żaden z was nie słyszał? Nawet dyżurni? Coż to — głuchoniemi jesteście? Zdechlaki z przytułku? Śnięte ryby?

— Słyszało się, że szurali. Ale kto by się przyglądał. Może za własną potrzebą...

— Owinięci kocami, żeby w noc majową kataru się nie nabawić. Tfu, oczu nie macie. Cieszcie się, że wam jaj nie ukradli.

Kilku chłopaków parsknęło śmiechem.

— Czego tu szukacie? Dnia wczorajszego? Nie będziemy więcej mówić o tej sprawie. Niech się nad tym Rada Zakładowa pomęczy. Ruszajcie do roboty. Dziś przecież zaczynamy się ścigać ze starymi. Przywiozłem poprawki do rysunków.

— To już nie rozwiążą naszej brygady? — zapytał niepewnie Bieniek.

— Co ci do łba strzeliło?

— Grzyb mówił wczoraj, że inżynier Siemiński tak zadecydował...

— A tyś, głupi, uwierzył. Ej, Bieniek, Bieniek.

— Nam najwięcej o tę brygadę szło — wyjaśnił Pyzio.

— Nie ma o czym mówić. A pluskwami i stołówką też się zajmiemy. Wybierzcie dwóch, trzech, żeby mi pomogli. Prędko, mówcie nazwiska, bo szkoda czasu.

Zaszeptali między sobą.

— Bieniek — podsunął któryś.

— Pyzio — dodał inny.

— Tak. Pyzio — przyklasnęli.

— I Majcherek.

— Dosyć. Ci trzej zgłoszą się do mnie po fajerancie. No, czego tu jeszcze stoicie? Przygotujcie materiał, o dziesiątej zaczniemy się ścigać. Porozmawiam tylko z inżynierem i zaraz was dogonię.

Nie patrząc na chłopców Stehlik wszedł do baraku i dopiero przez okno zerknął w ich stronę. Ociągając się ruszyli na budowę.

Inżynier Siemiński pracował w małym pokoju oddzielonym od kancelarii cienkim przepierzeniem z desek. Ledwie mieściły się tam dwa biurka zsunięte ze sobą. Z jednej strony siedział student, przysłany na praktykę, z drugiej sam inżynier, młody jeszcze, ale nadmiernie otyły i może dlatego unikający ruchu, zwłaszcza w dni upalne. Blond włosy mocno mu już zrzedły, czoło powiększyło się o dwie zatoki, czerwone od słońca i sperlone potem. Niebieskie oczy pod jasnymi brwiami nie miały żadnego wyrazu, natomiast pełne usta, bardzo czerwone i wilgotne nasuwały myśl, że Siemiński lubi dobrze zjeść i zabawić się po jedzeniu.

Niedbale skinął głową na powitanie majstra, jakby chciał mu dać do zrozumienia, iż nie jest mu potrzebny; nie zachęcił go do zajęcia miejsca i nie poczęstował papierosem, choć sam właśnie zabierał się do palenia.

Stehlik stał więc u drzwi z kapeluszem murarskim w ręku, jak przed wojną u prywatnego przedsiębiorcy.

— Jeździcie do Warszawy, a wasi chłopcy bunty mi tu urządzają — Siemiński z miejsca ruszył do natarcia.

— Nie w swojej sprawie się wybrałem. Przywiozłem niezbędne wyjaśnienia do rysunków. Możemy zacząć dziś współzawodnictwo.

— W każdym razie nie dziś, bo wam cementu nie starczy.

— Jeśli odłożę jeszcze na parę dni, to mi się brygada rozprzęgnie. Dosyć było zwłoki do tej pory.

— Więcej przeszkadzają, niż pomagają na budowie. Państwo w państwie. Wczoraj o mało się z murarzami nie pobili o cement. Jeden z waszych chłopców przyszedł do mnie z groźbami.

— Który?

— Czy ja ich znam? Taki blondyn. Dziś znów ta pretensja.

— Tyle razy prosiłem, żeby pan inżynier zajrzał do stołówki i hotelu! Tam jest naprawdę nie do wytrzymania. Zawsze słyszałem, że to nie moja sprawa i że pan inżynier tym się zajmie.

— W brygadzie widać brak politycznego wychowania, ot co.

— Póki nie będą mieli znośnych warunków życia, trudno z nimi mówić o polityce.

— Zapomnieliście widać o Komsomolsku i dziesiątkach innych budów w Związku Radzieckim.

— To co innego. Ale tutaj nie potrzeba bohaterstwa tylko zwyczajnego porządku, wody z mydłem, azotoksu i uczciwej kucharki, żeby gotowała smacznie i nie wynosiła słoniny. Nie wolno zdzierać ludzi na głupstwach, bo im sił i ochoty zbraknie w prawdziwej potrzebie.

— Słyszy pan, kolego! — zawołał z oburzeniem inżynier do praktykanta, który podniósł bladą twarz znad rysunków — Stehlik mówi, że nam już bohaterstwo nie potrzebne, że spacerkiem dojdziemy sobie do socjalizmu.

— Tego nie powiedziałem! — Stehlik aż poczerwieniał ze złości. — Wielkimi słowami niech pan sobie gęby nie wyciera!

Nasunął kapelusz na czoło i wyszedł bez pożegnania, głusząc trzaśnięciem drzwi odpowiedź rozgniewanego inżyniera.

— Taki mnie będzie uczył socjalizmu! — oburzał się Stehlik. — Jeszcze rok nie minął, jak zwinął prywatne przedsiębiorstwo. Nie narobił się w życiu. Zawsze innymi umiał się wysługiwać. Inżynierków młodych podnajmował, a sam po Krynicach jeździł i po Sopotach. Nawet nie na budowie się wzbogacił, ale na rozbiórce. Diabli wiedzą,

jakie siuchty robił przy wywózce gruzu. Już mu nie na próżno ten domiar nałożyli.

Ale właściwym powodem irytacji Stehlika nie było ani niestosowne zachowanie inżyniera, ani jego klasowa obcość, tylko powzięty przezeń zamiar rozwiązania brygady młodzieżowej. Z trudem udało się ją stworzyć, bo wszyscy byli jej przeciwni: starzy majstrowie, przywykli do wysługiwania się uczniami i kierownictwo budowy, któremu młodzież przeciwstawiała śmiałe a niespodziewane pomysły, zapalczywość i niepokój ducha.

Siemiński nieraz mówił, że nie wie, czego ma się po młodych spodziewać: czy tego, że zwyciężą we współzawodnictwie najlepszych majstrów, czy też zaprzepaszczą robotę z kretesem i prysną w cztery strony świata. Stehlik rozumiał dobrze, iż tylko w brygadzie uda się nimi pokierować należycie, prędko nauczyć fachu, wychować politycznie i wykorzystać złoża młodzieńczej energii. Jakże inaczej poradzić sobie z gromadą ludzi przybyłych i ze wsi i z miasta, odciętych od rodziny, jeśli nie waśnią, to przynajmniej ambicją, żeby nie inaczej wrócić do domu, jak z forsą w kieszeni i ze stanowiskiem w świecie?

Jak niegdyś Ameryka, tak dzisiaj budowa ciągnęła chłopaków zdrowych i silnych, ambitnych i zadziornych, którzy w równym stopniu szukali pieniędzy jak i społecznego awansu, choć nierzadko pojmowali go na opak. Nęciła ich wszelka przygoda, zwada, w pierwszych dniach byle kto mógł ich podbechtać i zwieść na manowce. Jeśli trafili na majstra, który nie umiał sobie z nimi poradzić, zwłaszcza jeśli to był pijaczyna, albo człowiek starej daty, migali się od pracy, po kątach chlali wódkę, rojąc po pijanemu wspaniałe plany na przyszłość. Bo wszyscy mieli już wyraźne poczucie przemian, jakie się w Polsce dokonały, rozumieli, że los ich niepodobny będzie do losu ojców, oczekiwali wszelkiego powodzenia jako rzeczy sobie należnej. Czytali o Nowej Hucie, o różnych szkołach, o nowych hotelach robotniczych, konsumach na budowie — i złość ich brała, że nic z tego nie znaleźli w Ostrzynie. Nie taili swego rozczarowania na widok zapluskwionego baraku, nędznej stołówki i braku jakichkolwiek kursów, czytelni i organizacji sportowych. Stehlik próbował im to tłumaczyć po swojemu:

— Tutaj nie ma jeszcze socjalistycznej budowy. Ale i kapitalistycznej już nie ma. Widzicie, że wszystko się przeinacza. Od was zależy, żeby prędzej.

To im trafiało do przekonania, podnosiło we własnych oczach. Im odpowiedzialniejsza funkcja, im większe wymagania, tym więcej dawali ze siebie, tym bardziej przykładali się do roboty. Rwali z miejsca,

jak młode konie, co się zastały w stajni. I Stehlik mógłby wyrosnąć na wodza, którego autorytet nakazywałby chłopakom bezwzględne posłuszeństwo. Wystarczyłoby mu wykorzystać rozdźwięki między młodą brygadą a kierownictwem budowy, umiejętnie podkreślić braki organizacji, aż nadto widoczne dla każdego. Stehlik chciał jednak stworzyć nie rozbójniczą watahę, lecz twórczy zespół, jądro nowego porządku na budowie. Dlatego, o ile się dało, osłaniał Siemińskiego i jego pomagierów, nie jako ludzi, bo miał o nich najgorsze pojęcie, ale jako kierownictwo nadające sens robocie. Gdyby się nadarzyła okazja, pierwszy głosowałby za usunięciem inżyniera, dopóki jednak ów trwał na swym stanowisku, Stehlik silił się na lojalność w imię dobra pracy. Zwracał mu pocichu uwagę na wszystkie usterki, nie krytykując nigdy wobec chłopców. Nie ma nic gorszego, zwłaszcza dla młodych, jak utracić zaufanie do swego kierownictwa. Stary majster umie sobie wypośrodkować granicę między słusznymi a niestosownymi zarządzeniami dyrekcji, młodzież je w czambuł odrzuca, wątpi od razu o wszystkim i do wszelkich wybryków znajduje w tym upoważnienie.

— Łatwiej nimi sterować na głębokiej wodzie — mawiał Stehlik o swojej brygadzie domagając się dla niej coraz trudniejszych zadań. Współzawodnictwo ze starszymi robotnikami było właśnie taką trudną próbą. Wiedząc, że gdyby chodziło o jednodniowy wyczyn, młodzi łatwiej wzięliby pierwsze miejsce, jeśli nie umiejętnością, to wściekłym nakładem wysiłku — Stehlik owo współzawodnictwo rozciągnął na tydzień. Tu już nie siłą mięśni i młodego serca, ale organizacją roboty i opanowaniem każdego ruchu zdobywa się zwycięstwo.

Do zwycięstwa tego Stehlik przykładał ogromną wagę. Miało ono podkreślić rolę młodego zespołu, uwydatnić przewagę nowych metod pracy, umocnić więź w samej brygadzie, która aż do dzisiejszego ranka wydawała się majstrowi dość okrzepła. Ucieczka Grzyba i jej następstwa podważyły dobre mniemanie. Stehlik nie pokazał po sobie, jak go to zabolało. Szedł do swych chłopców zwykłym, lekko rozbujanym krokiem, z kapeluszem nasuniętym na czoło, z miarką w ręku, jakby nic się nie zdarzyło.

Słońce stało już wysoko nad placem budowy, skróciły się cienie murów, robiło się gorąco. Z daleka ponad zabetonowanymi ławami fundamentów dojrzał Stehlik, że przygotowania do współzawodnictwa mają się ku końcowi. Zgromadzono cegły, ustawiono gęsto kastry z wapnem. Przedstawiciel związku zawodowego rozmawiał z Walczakiem, sekretarzem podstawowej organizacji. Stehlik nie podchodząc

do nich przyłożył palce do kapelusza na powitanie i pośpiesznie jął rozmieszczać chłopców na stanowiskach. Młodzi mieli budynek trudniejszy, ze sklepami w parterze, „starzy" dostali typówkę mieszkaniową, wielokrotnie powtarzaną już w Ostrzynie.

Bez żadnych uwag chłopcy zajmowali wyznaczone miejsca, widać było, że mają trochę tremy. Dla siebie zachował Stehlik najtrudniejszą pracę — przy filarze, ale Majcherek nie pozwolił mu jej rozpocząć.

— Zgódźcie się, żebym tu stanął — prosił żarliwie. — Wy i tak musicie mieć nadzór nad całością. A ja bym chciał siebie wypróbować.

— Tak, tak! — poparli go koledzy. — Dajcie tu Majcherka. Jak ma być współzawodnictwo młodych ze starymi, to już nam tylko radą pomagajcie. Musimy zwyciężyć sami.

Majstra kolnęło w sercu. Pewno, że przy takim tempie pracy potrzebny był ktoś, kto by dawał baczenie na wszystko, regulował dostawę materiałów i dbał o jakość wykonania. Pierwszy to jednak raz odrywał rękę od cegły i kielnię oddawał młodemu. I choć czuł, że w ludzkim pojęciu wchodzi na wyższy szczebel, że kierownictwo rozszerza krąg jego działania, trudno mu przychodziło poniechać pracy rąk, która zdawała się mu szlachetniejsza, niż wszystkie inne.

Zgodził się wprawdzie na propozycję Majcherka, a Bieńka postawił na winklu i spodziewał się, że dadzą sobie radę, lecz bolało go to, że zrezygnowali z jego czynnej pomocy i wypomnieli mu jego lata. Pewnie, nie był młody, w pracy jednak zawsze na sam przód się wysuwał, więc wiek nie miał dlań żadnego znaczenia. Ci tylko wydawali mu się starzy, co nadążyć nie mogli za zmianami i z lubością wspominali dawne czasy. A kto rwał się ku nowemu, nie potrzebował zaglądać do metryki.

Tak więc, gdy chłopcy zajmowali miejsca, on stanął nieco na uboczu, skąd łatwiej mógł ich objąć spojrzeniem. Walczak sprawdził czas na wielkim niklowym zegarku i z całej siły uderzył w szynę, żeby i na drugim budynku usłyszano sygnał rozpoczęcia wyścigu.

Chłopcy pochylili się bez pośpiechu. Blisko majstra Pyzio sprawnie nabierał zaprawę i rozprowadzał ją równą warstwą. Za nim Misiak brał cegłę za cegłą i przykładał starannie do sznura. Inni wzięli się do pracy z niemniejszym nabożeństwem. Czytało się w ich twarzach, że teraz siłą trudnoby ich wygnać z budowy, choć jeszcze przed paru godzinami sami zamierzali ją opuścić.

Stehlik odetchnął i w pogodniejszym już usposobieniu zaczął obchodzić wszystkie stanowiska. Z pewnej odległości można by mniemać, że ludzie ci ruszają się zaledwie od niechcenia. Z bliska dopiero i tylko

doświadczonym okiem spostrzec można było cały ich wysiłek, całe staranie, żeby każdą czynność wykonać jak najlepiej.

Trójka pod kierownictwem Bieńka rychło wyforowała się na czoło i po niedługim czasie lepsza była od innych o całą szychtę. Z niej właśnie Stehlik najmniej był zadowolony.

— Mury zamazane — narzekał przyglądając się robocie. — Spójrzcie tylko na te fugi. Spokojniej, chłopcy, spokojniej!

— Widzisz, frajerska łapo! — żachnął się Bieniek na pomocnika. — Nie gwałtuj tak, bo wszystko będzie do chrzanu.

— Na mnie zwala, a sam ciągle popędza — tłumaczył się pomocnik.

Bieniek wzruszył ramionami, wydął usta, jakby chcąc pokazać, że go to niewiele obchodzi i wyciągnął paczkę „mocnych".

— Te, rzuć papierosa, potem będziesz kurzył! — oburzył się jego towarzysz.

Bieniek sztachnął się ze dwa razy i z fantazją odrzucił niedopałek. Zerknął, czy majster nie odchodzi. Jak na złość stał w miejscu i niechybnie widział, że Bieńkowi ręce drżały z wysiłku.

— Wolniej! — powiedział z uśmiechem. — Szkoda, żebyś spuchł przed czasem. Nie szarp się, nikt ci pierwszeństwa nie odbierze.

Bieniek opanował się w jednej chwili. Zwolnił nieco ruchy, wyrównał oddech, ręce odzyskały swoją sprawność.

— Tylko tak dalej! — zachęcił go Stehlik i przypatrywał mu się jeszcze przez dobry kwadrans. Ile razy Bieniek przyśpieszał tempo, czuł na sobie spojrzenie majstra i nie podnosząc nawet oczu, niemal automatycznie zwalniał. Dopiero gdy dopasował się do roboty, zapomniał o oddychaniu, a cegły przestały mu ciążyć — spostrzegł, że majster jest już daleko, w miejscu, gdzie mur wolniej wyrastał.

I tu pracowała trójka, której z lewej i z prawej dokuczano, ile wlazło.

— Frajery ciężkie, ale się dają!

— Poznanioki zakichane. Przez nich gotowi my przegrać!

— Niech ich jasny gwint!

Chłopcy mieli miny stropione, ale nie odcinali się ani słowem i ciągnęli mur z niewzruszoną starannością. Stehlik zaraz się zorientował, że pomoc ich szwankuje, że przez ułamki minut brakuje to cegieł, to zaprawy. Skoro temu zaradził, trójka w widoczny sposób przyśpieszyła pracę.

Układający cegły Przybyła powiedział z wdzięcznością.

— Dobrych znałem majstrów, zaś ale żaden nie był, jak wy.

Przybyła nie uśmiechał się przy tym i ledwie poruszał wargami. W ogóle nieskory był do rozmowy, jakby mu Pan Bóg skąpo słów na

całe życie odmierzył. Ręce miał wielkie, ramiona szerokie, kark gruby, włosy jasne i twarz rumianą; przezywano go wśród kolegów „samo zdrowie". Twierdził, że nie chorował nigdy i bardziej od innych przestrzegał prawideł higieny. Nawet w niedzielę nikomu nie chciał pożyczyć szczotki do zębów. Zresztą niczego nie lubił pożyczać, a jeśli już komu zborgował parę złotych — to za cenę pouczenia, jak to należy oszczędzać i zawsze mieć trochę na książeczcę, żeby od nikogo nie być zależnym. Sam sobie prał i cerował, nawet do roboty przychodził jakoś czyściejszy niż inni. Nie lubiano go za to jego wynoszenie się i za odmienność języka. Zawsze się czuł w prawie sądzić innych, zupełnie jakby był księdzem. Trzymał się z dwoma kumplami, równie mruklivymi jak on sam. Razem chodzili na piwo, a w niedzielę pisywali długie listy do domu, do Poznania. Wydawało się, że ten ich dom nigdzie indziej być nie może i że choćby całe życie przepracowali w innym mieście, zawsze będą wracać do Poznania, że tylko tam czuć się będą naprawdę u siebie.

Całkiem inny był Majcherek, do siódmego potu mocujący się z robotą. Ledwie mógł się doczekać majstra, tak mu trzeba było zachęty i dobrego słowa.

— Jak się wam widzi? — pytał nieśmiało chwytając głęboko powietrze.

— Prima! — świsnął z uznaniem Stehlik i twarz mu się rozjaśniła. — Masz, chłopie, talent w ręku! — Naumyślnie powiedział „chłopie", żeby Majcherkowi zrobić przyjemność, żeby w tej nędznej cielesnej powłoce wyróżnić męską siłę charakteru. — Tylko nie leć tak z robotą, jutro przyjdziesz skonany i połowę tego zrobisz, co dzisiaj.

Majcherek się zaczerwienił i nic nie odpowiedział. Dopiero po chwili nieśmiało szepnął:

— Bo mnie wszyscy mają za chuchro. A ja naprawdę jestem silny.

Widząc niedowierzanie w oczach majstra dodał:

— Może nie tak silny, jak wytrzymały: strasznie dużo mogę przenieść. Inny by już na moim miejscu wykitował, a ja tylko zęby zaciskam, zawzinam się — i żyję.

Po chwili dorzucił jeszcze układając cegły:

— Teraz, to nie ma o czym mówić. W porównaniu z tym, co było, to ja mam teraz anielskie życie.

Uśmiechnął się do majstra całą swoją wąską, nieforemną twarzą. Pot spływał mu po piegowatych policzkach i ściekał ze skroni zlepiając rzadkie, rudawe włosy. Nie chciało się wierzyć, iż może być szczęś-

liwy w to upalne południe, jednak Stehlik był o tym przekonany. Miara szczęścia różna jest dla każdego.

Już z drugiego końca bloku kiwnął mu dłonią na znak, że dobrze pojmuje jego wynurzenia. Majcherek wydawał się z daleka jeszcze bardziej chuderlawy i niepokaźny. Majster przekładał go jednak i nad silnego Przybyłę i nad robotnego Pyzia i nad cwaniaka Bieńka i w ogóle nad wszystkich swoich chłopaków. Przed nimi również nie taił drobnych sekretów swego fachu, ale jemu powierzał je z radością, pewien, że dostaną się w dobre ręce i służyć będą niezawodnie we wszelkich okazjach.

Mimo upału nie przerwano pracy ani na chwilę, chociaż tempo jej miejscami słabło. Powietrze jakby zgęstniało od kurzu i gorąca i nie syciło już płuc. Raz po raz ktoś sięgał po wodę do picia, którą wiadrami przynosiły dziewczęta ze stołówki. Nikt je o to nie prosił, same przyszły, wpatrzone w murarzy jak w olimpijskich zawodników. Półnadzy, spaleni słońcem uwijali się nad czerwonym zrębem murów.

O trzeciej rozległ się sygnał na przerwanie roboty, nadszedł technik, aby wymierzyć dzisiejsze wyniki. Ale chłopakom wydawało się, że mało zarobili, że nie dorównali „starym" i zaczęli prosić majstra, aby im pozwolił dłużej zostać.

— Jeszcze trochę podciągniem! — prosił Pyzio.

— Nie można — tłumaczył Stehlik. — Stoi umowa, że wyścig trwa tylko w normalnych godzinach pracy. Jutro postarajcie się lepiej.

Sekretarz podstawowej organizacji odciągnął majstra na bok.

— Co was dziś ugryzło — spytał — żeście się posprzeczali z inżynierem? Nie umiecie współżyć z ludźmi.

— Matko święta, jeszcze go bierzecie w obronę! Tyle od niego chciałem, żeby zadbał o hotel i stołówkę. Pójdźcie z nami, to się sami przekonacie, czy chłopaki nie mają powodu do narzekania.

— Jeśli nawet mają, to nie racja, żebyście koty darli z Siemińskim. I bez tego mam urwanie głowy.

— Czekajcie, zawołam tylko chłopców i pójdziemy. Pyzio, Bieniek, idziecie?

— Już lete — krzyknął Bieniek.

— Cement nam się kończy — ciągnął Stehlik. — Nie wiem, czy na dwa dni wystarczy. Znowu diabli wzięliby współzawodnictwo. Może zatelefonowalibyście do KW? Niechby interweniowali na kolei, bo podobno wagonów brakuje.

— Zgoda. Wracając z hotelu zajdziemy do administracji.

— Nie chciałbym się spotkać dzisiaj z inżynierem.

— Nie ma obawy. Punkt o trzeciej siada do limuzyny i fiut — sekretarz zrobił wymowny ruch ręką.

Podeszli Pyzio, Bieniek i Majcherek i zatrzymali się w takiej odległości, żeby nie przeszkadzać w rozmowie.

Ruszyli starą, brukowaną ulicą, minęli przedszkole podciągnięte już pod dach i budynek numer 18, na którym starzy murarze zaczęli dziś współzawodnictwo.

— Machnęli kawał roboty — z uznaniem stwierdził Stehlik.

— Starannie robili, bez gwałtu — ocenił sekretarz.

— Niedługo zglajchują parter — westchnął Bieniek.

— Dostaniemy ich na piętrach — pocieszał się Pyzio.

— To faktycznie będzie trudne. — Stehlik pokręcił głową. — Musicie się dobrze przyłożyć.

Na skrzyżowaniu z ulicą Szpitalną powstał zator z furmanek wywożących gruz. Kontroler z bloczkiem i miarką w ręku sprawdzał ich ładunek i użerał się z furmanami, którzy łgali w żywe oczy. Na widok sekretarza kłótnie ścichły, wozy ruszyły z miejsca i można było przecisnąć się między nimi na drugą stronę jezdni.

— Wciąż za wolno postępują roboty rozbiórkowe — skarżył się Walczak. — Ludzi nam brakuje. Przez to, że w zimie nie ustalono dokładnie, co się będzie burzyć i co budować, za mało ściągnęliśmy robotnika, a teraz znikąd go dostać nie można. Gorzej, nawet ci, co parę miesięcy przepracowali, wynoszą się na inne budowy.

Przeszli obok wykopów długiego bloku numer 31, koło których naszykowano już cegłę i pryzmy piachu. Tutaj stara ulica skręcała w prawo, a do stołówki wiodła ścieżka między stosami desek i kantowizny.

— Wala się to wszystko bez ochrony — narzekał sekretarz — Siemiński mówi, że nic poradzić nie można, bo plac budowy rozciągnięty na czterdzieści hektarów. Buduje się w tylu punktach naraz...

— Rada by się znalazła — przerwał Stehlik. — Gdyby na jego miejscu postawić innego człowieka. Tu trzeba gospodarskiej ręki.

— Właśnie — westchnął sekretarz. — Dyplom to jeszcze za mało...

— I bez dyplomu trudno. Kto wie jednak, czy nie ważniejszy jest ten uniwersytet, który skończyliście w więzieniu...

Walczak powiedział z wyrzutem:

— Za ten czas, com się przed wojną wysiedział, gładko mogłem skończyć politechnikę.

W milczeniu szli jeden za drugim, bo steczka tutaj się zwężała. Nim dotarli do stołówki, doleciał ich zapach kiepskiego jadła.

— Tu wstęp wzbroniony! — warknęła gruba kobieta, kiedy stanęli na progu. Miała na sobie kretonową suknię z dużym dekoltem, ukazującym rowek między obfitymi piersiami.

— Przyszliśmy na kontrol z sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej — wyjaśnił Stehlik.

— Kontroli tu więcej niż produktów — powiedziała wzgardliwie obwiązując brzuch fartuchem nie pierwszej czystości. Roje much łaziły po stole, wygrzewały się nad kuchnią, gziły się na dawno niemytych szybach.

— Brudno u was — stwierdził Walczak.

— Jak to w lecie, muchy... Jeszcze kuchnia jest od południa...

— Co dziś na obiad?

— Grochówka.

— Towarzyszu — cicho wtrącił Bieniek — ona tę grochówkę od kilku dni gotuje. Nie myje kotła, tylko wody dolewa i grochu więcej dosypuje. Przypalone wszystko, śmierdzące. Miało być na wędzonce, a wędzonki ani śladu.

— Phi, dużo jej dają! — zgryźliwie roześmiała się kucharka. — Jak dłużej gotować, to się rozchodzi na włókna i całkiem w zupie rozpływa.

— Ejże, pokażcie książkę magazynową.

— Magazynierka wyjechała po prowiant i książkę zamkła.

— Jak tylko wróci, niech się do mnie zgłosi — powiedział sekretarz.

— Zapytajcie, czemu łyżek nie daje w stołówce — prosił cicho Majcherek.

— Bo kradną — dosłyszała pytanie kucharka — kradną jak kruki.

— A jak kto nie ma własnej łyżki?

— Niech pożyczy. Zresztą, co mnie to obchodzi. Ja odpowiadam za moje łyżki.

— A za zdrowie ludzi kto odpowiada? — rozgniewał się Stehlik skosztowawszy zupy. — Spróbujcie, towarzyszu, czym ona ludzi karmi!

Sekretarz, siorbnąwszy ostrożnie z chochli oblepionej grochem, skrzywił się i splunął.

Przeszli do stołówki, w której po obiedzie odbywały się zebrania. Ściany obwieszone były festonami z białoczerwonej bibułki, wyblakłej już i upstrzonej przez muchy, podobnie jak portrety nieosłonięte szkłem. Robotnicy tłoczyli się wokół stołów, przykrytych ceratą, na której od porannej kawy pozostały jeszcze tu i ówdzie brązowe krążki i plamy.

Sekretarz chciał powiedzieć „smacznego", lecz życzenie uwięzło mu

w gardle. Bez słowa przecisnął się ku drzwiom i zawrócił w stronę hotelu robotniczego.

Kierownik siedział przed barakiem, gładząc czarnego kundla i wygrzewając się na słońcu. Mógł mieć ze sześćdziesiąt lat. Garbił się tak, że ramiona sięgały mu wyżej odstających i włochatych uszu, a sztywność karku sprawiała, iż kiedy patrzył na kogoś blisko stojącego, unosił w górę jedynie źrenice, wybałuszając przy tym białawe gałki.

— Pokażcie nam sypialnie — poprosił Walczak bez żadnych powitań.

— Proszę, proszę — kierownik wstał z trudem i podpierając się laską podreptał w głąb baraku. Nie było tu żadnej wycieraczki, podłoga poczerniała od błota, pościeli nie zmieniano od niepamiętnych czasów.

— Skarżą się na pluskwy — stwierdził Stehlik.

— A są, są. Jakże mogłoby ich nie być w drewnianym baraku?

— Robiliście dezynfekcję?

— Skądże znowu. Nie było kredytów.

— Jakich kredytów? Zwariowaliście?

— Na chemikalia, na siłę roboczą.

— Prosiliście kierownika budowy o pieniądze?

— Jakże mogłem prosić, skoro w ubiegłym roku nie preliminowałem takich sum?

— A gdzie się ludzie myją? — pytał sekretarz.

— Przy studni, na podwórzu.

— Miednic nie ma?

— Nie ma.

— Świetlicy także nie ma — wtrącił Pyzio. — W tym pokoju zrobiono teraz magazyn bielizny. Jak przyjdzie deszczowa niedziela, to się urwać można w sypialni.

— W świetlicy nikt nie siedział — bronił się kierownik. — Zresztą muszę gdzieś trzymać te rzeczy pod kluczem. I tak co miesiąc dokładam ze swojej kieszeni. Teraz znowu ci dwaj uciekli z kocami, ze wszystkim. Prosiłem inżyniera Siemińskiego, żeby rozłożył na całą brygadę, mnie doprawdy za ciężko i niesprawiedliwie...

— Co robiliście przed tym? — zagadnął sekretarz.

— Byłem księgowym. Gdyby nie osłabienie wzroku, pracowałbym do tej pory. Tutaj, panie, trudno wytrzymać. Psia służba wypadła mi na stare lata.

— Do widzenia! — przerwał Walczak i wyszedł szybko na słońce, jakby się dusił w baraku.

— To my już tutaj zostaniemy — powiedział Bieniek. — Chłopaki przyjdą z obiadu, zagramy w piłkę.

Wskazał ręką teren porośnięty trawą, miejscami wydeptany do rudawej gliny, trochę nierówny i zaśmiecony.

— To nasze boisko.

Stehlik z Walczakiem spojrzeli po sobie i zawrócili do administracji.

Stary murarz czuł w gębie suchą gorycz. Pomyślał, że znów spóźni się dzisiaj do domu, w którym Władka na próżno czeka z obiadem. I że to nie ma właściwie znaczenia wobec całej tej roboty, do której trzeba by się zabrać. Stołówka, świetlica, boisko. Pewnie, obeszło się w młodości bez tego. Ale właśnie młodym trzeba by urządzić, zachęcić, żeby się do tego wzięli. Książki, kursy jakieś. Tylko, że w tych sprawach Stehlik nie czuł się już pewien siebie.

W administracji zastali starego Niedziałkiewicza z jego listami płacy. Nigdy nie wychodził z biura przed wieczorem, można by powiedzieć, że nie miał własnego domu, że nie istniał poza tym ciasnym, zadymionym pokojem, w którym biurko normalnych rozmiarów wydawało się olbrzymie. I dyrektor, i koledzy, i strażnicy z budowy tak przywykli do jego całodziennej pracy, że nie poczytywali mu jej nawet za zasługę, zdziwiliby się raczej, gdyby którego popołudnia zabrakło go przy liczydłach. Niczyjej uwagi nie zwróciła również sprawność wypłat i rzetelność obliczania akordów.

Niedziałkiewicz spojrzał na wchodzących sponad szkieł w drucianej oprawie, wzmocnionej przy uszach sznurkiem. Nie odezwał się ani słowem. Z natury małomówny, w obecności Walczaka zapominał języka w gębie. Nie żeby go się bał, ale nie wiedział, jak się do niego zwracać, mówić „panie“ czy też „towarzyszu“? I choć całą swą działalnością opowiadał się za nowym ustrojem, nigdy tego nie potwierdził słowami w obawie, żeby to się komuś nie wydało niestosowne, albo nie zostało poczytane za lizusostwo. Trudno też było dociec, czy jego pracowitość wynika z wieloletniej rutyny, czy z młodzieńczego zapału, zrodzonego na budowie.

Tkwił niemal nieruchomo przy niskim oknie, żółtoblady, siwy i zawiędły; tylko jego lewa ręka jakby obdarzona samodzielnym życiem wystukiwała na liczydłach szalone galopady.

Walczak ciężko usiadł na krześle i sięgnął po słuchawkę telefonu. Należał do najlepszych zbrojarzy i po rusztowaniach biegał z zadziwiającą zręcznością. W biurze poruszał się tak niezgrabnie, że zajmował sobą więcej miejsca, niż to było konieczne dla jego krępej postaci. Siadając rozstawiał kolana szeroko, albo wysuwał przed siebie nogę w grubym bucie, utytłanym gliną.

Zamówiwszy rozmowę międzymiastową zapalił papierosa i z nudów

przyglądał się harmonogramom, rozwieszonym na wszystkich ścianach. Stehlik również nie zdradzał chęci do rozmowy. Ziewał nie zasłaniając ust, parodniowe zmęczenie dawało mu się we znaki.

Po kwadransie zadzwonił telefon. Walczak rzucił się ku niemu.

— Tak, tu kierownictwo budowy. — Nagle zmienił się wyraz jego twarzy. — Kiedy? Ile? Oczywiście, zaraz zabierzemy! Cześć! — omal nie uszkodził aparatu, kładąc słuchawkę na widełkach.

— Telefonują z dworca, że cement dla nas przyszedł — wyjaśnił Stehlikowi. — Musimy zaraz wyładować, bo wagony im pilnie potrzebne.

— Psiakrew, że nie zawiadomili przed fajerantem! Teraz trudno będzie zorganizować transport.

— Sitkowski mówił, że mu się wóz zepsuł — wtrącił nieśmiało Niedziałkiewicz. — Benzyna wycieka, czy coś w tym rodzaju. Miał reperować popołudniu.

— Pójdę go poszukać — poderwał się Walczak. — A wy Stehlik, zmobilizujcie kilku chłopaków.

— Wszystkie dziury chcielibyście nimi załatać.

— Odmawiacie? — zdziwił się sekretarz.

— Nie odmawiam. Tylko to nie żadna metoda.

Wyszli razem. Nad placem budowy wisiała parna cisza. Słońce piekło silniej, niż przystało na tę porę dnia. Wszelkie barwy jakby topniały z gorąca. Ani cegły nie wydawały się dość czerwone, ani piasek dość żółty, niebo nawet poszarzało od pyłu, który wżerał się w płuca i skórę. Z zachodu nadciągała niska, granatowa chmura.

— Będzie lało — mruknął Walczak.

Przyśpieszyli kroku. W krytycznych chwilach rozumieli się bez słów.

Przed garażem, którego wrota szczelnie były zamknięte, stała ciężarówka. Sitkowski sprawdzał motor.

— Trzeba będzie zaraz na dworzec pojechać — zarządził sekretarz.

Szofer nie podniósł głowy.

— Nie da rady. Nie wiem, czy do jutra zreperuję.

— Weźcie inny wóz.

Sitkowski gwizdnął przez zęby.

— Wszystko pozamykane. Odkąd jest to współzawodnictwo o ilość kilometrów przejechanych bez remontów, jeden drugiemu za nic maszyny nie pożyczy.

— Nawet na polecenie dyrekcji?

Szofer spojrzał drwiąco.

— Zawsze może się szkopuł znaleźć...

— Ale tu chodzi o cement — wykrzyknął Stehlik — wyładują go z wagonu, bo wagon muszą odesłać. Widzicie, że deszcz zacznie padać przed wieczorem.

— Pojechałbym chętnie, tylko motor...

— Zróbcie, co się da i za pół godziny wyruszamy — powiedział kategorycznie Walczak. — Idziemy po ludzi.

Chłopcy grali w piłkę nożną i ani drużyna, ani licznie zgromadzeni widzowie nie zwrócili najmniejszej uwagi na wezwanie majstra.

— Dosyć chyba napociliśmy się dzisiaj — odpowiedział któryś na parokrotnie powtórzone wywody.

— W zeszłym tygodniu taskaliśmy skrzynki z gwoździami i nikt nam za to nie zapłacił.

Nagły manewr na boisku poderwał wszystkich obserwatorów. Głośne krzyki zagłuszyły słowa Stehlika. Miał przed sobą tylko plecy chłopaków, rozchybotane w głębokich oddechach, ramiona i łokcie, potrzebujące ciągłego ruchu, nieprzytomne głowy, skierowane ku boisku.

— Chłopaki! — krzyknął Stehlik w jakiejś cichszej chwili. — Przecież to nasz cement! Jeśli chcecie dalej ciągnąć współzawodnictwo, to go musimy przewieźć, bo zaprawy może na jutro zabraknąć!

Odwrócił się Majcherek, Misiak, jeszcze kilku. Zdawało się, że patrząc na majstra mają ciągle przed oczami loty piłki.

— Kto jedzie ze mną?

Wahali się. Mecz rozwijał się ciekawie; nie mieli najmniejszej ochoty porzucić go dla taskania worków. Stehlik mierzył ich wyczekującym wzrokiem.

— Pojadę! — zdecydował się Majcherek i już nie spojrzał ani razu na grających.

— To jedź, kiedyś taki wyrywny — zadrwił któryś.

— Uważaj, żebyś się pod workiem nie złamał.

— Nie bój się, Władek, w pysku możeś mocniejszy, ale nie w robocie — odciął się Majcherek.

— Stawiasz się? — uniósł się ambicją Władek. — To spróbujemy.

— Dobra jest! — przyjął wyzwanie Majcherek. — Pyzio, idziesz z nami?

— Idę! — odkrzyknął przyjaciel zeskakując z wygodnego punktu obserwacyjnego na stosie belek.

Bez humoru poszli do ciężarówki. Sitkowski z ponurą miną wycierał w szmatę umorusane ręce. Powtarzał, że jedzie na odpowiedzialność Walczaka i że powtórzy to przed sądem, jeśli po drodze rozbije ciężarówkę i uśmierci chłopców.

— Tacyście pewni, że sami wyjdziecie cało? — zażartował Walczak.

Sitkowski zaśmiał się całą gębą pełną mocnych żółtawych zębów.

— Wiecie, jak to jest w piosence: „Szoferowi umierać nie czas".

Chłopcy podchwycili melodię i wszystkim zrobiło się raźniej. Sitkowski wlazł wreszcie do szoferki, wychylił się, aby sprawdzić, czy chłopaki są na wozie, i na pożegnanie machnął ręką sekretarzowi. Zapuścił motor i powoli, ostrożnie poprowadził zmęczoną maszynę.

— Zwariowana budowa — skarżył się Stehlikowi, który usiadł obok niego. Nic nie ma tu swojej pory. Tego ani człowiek, ani maszyna długo nie pociągnie.

Jechali do dworca ulicą, którą Stehlik szedł był rano do domu. Sklepy teraz pootwierano, małe, ciasne, jak wszystko tutaj. Na balkonach siedzieli starzy ludzie często z małymi dziećmi na rękach. Raz po raz trzeba było wymijać chłopskie furmanki, stojące przed spółdzielniami.

— Cały towar wykupią! — powiedział Sitkowski. — Chłopi strasznie teraz się wzbogacili. Na targu zdzierają, ile się da, jakby jajka ze złota były, a masło z ptasiego mleka!

— Mogliście im to powiedzieć, jakeście jeździli naprawiać narzędzia przed siewami.

— Pewnie, że powiedziałem. Ale czy z nimi można dojść do ładu? Chcieli mi dać kubana za naprawienie motoru. Połeć słoniny — dodał dla podkreślenia swojej bezinteresowności.

— I nie wzięliście? Ja bym wziął — zażartował Stehlik.

— Jakbym prywatnie tam pojechał, to co innego. Ale w brygadzie, w akcji, to nie uchodzi — poważnie wyjaśniał Sitkowski.

— Mówili jednak, żeście stamtąd kaczkę przywieźli.

— Ee, kaczkę... — zmieszał się szofer. — No, kupiłem, wstyd tak z pustymi rękami do domu wracać.

Na stacji czekała Stehlika prawdziwa niespodzianka. Okazało się, że cementowi przydano konwojenta; był nim Grzyb we własnej osobie.

— Skąd się tu wziąłeś? — wykrzyknął Stehlik nie wiedząc, jak odnieść się do chłopca. — No, jazda, pomagaj ładować worki, opowiesz wszystko po drodze.

Grzybowi jakoś lżej się zrobiło na sercu, kiedy go skierowano do roboty. Wszyscy uwijali się jak w ukropie, żeby zdążyć przed deszczem. Władek bez wielkiego wysiłku wykazywał swą przewagę nad Majcherkiem, głośno licząc worki, jak punkty w rozgrywce. Migiem załadowali wóz i wdrapawszy się na górę zaczęli śpiewać dla fasonu. Niech ludzie wiedzą, że młodzi jadą!

Sitkowski rozchmurzył się na dobre i przekomarzał się z majstrem,

że udaje młodzika i pcha się na worki, zamiast spokojnie siedzieć w szoferce. Stehlik nie mógł się już doczekać wyjaśnień swego chłopca.

— Co cię napadło? — zagadnął, częstując go papierosem. Inni przysunęli się blisko, aby ani słowa nie uronić.

— Dużo by mówić — ociągał się skrępowany obecnością świadków. — Wolałbym rozmawiać z samym majstrem.

— Zacznij wreszcie!

— No, więc jakeście pojechali do Warszawy, poszedłem do inżyniera Siemińskiego dowiedzieć się o cement, żeby na wasz powrót wszystko było gotowe do współzawodnictwa, jak to jużeśmy ustalili...

— I cóż inżynier?

— Posłał mnie do diabła, groził, że brygadę rozwiąże, bo mu więcej bruździ, niż pomaga. Ja mu na to: niech pan tylko spróbuje...

— Groziłeś mu?

— Nie... Tak tylko powiedziałem... A on wyrzucił mnie z kancelarii. Poszedłem więc do hotelu. Po drodze przystąpił do mnie Mitraś...

— Z wódką?

— Z wódką. Mówił, że na tej budowie do niczego dojść nie można, a w Nowej Hucie, albo na MDM-ie zaraz się zostaje przodownikiem. Jakeśmy wypili pół litra, uradziliśmy stąd wyjechać.

— Zabierając koce...

— Dopiero na dworcu spostrzegłem, że Mitraś ma jakiś pakunek, owinięty w koc. Bo ja z tego wszystkiego nawet własnych rzeczy nie wziąłem. Dniało już, w głowie mi się także rozjaśniło. Myślę sobie: ładna sprawa, stowarzyszyłeś się ze złodziejem, milicja was złapie, a jeśli nie złapie, to i tak na nowej budowie nieskładnie z takim gościem się pojawić. Zresztą, żal mi się zrobiło Ostrzyna, tu już niedługo mógłbym zostać podmajstrzym, a tam zaczynaj wszystko od początku. Ale i wrócić na budowę nie śmiałem, przez te koce i w ogóle...

— Cóżeś więc wycwancykował? — zapytał Władek.

— Myślę sobie: jakbyś, bracie, wrócił do Ostrzyna z cementem, to by się sprawa wygładziła...

— Niech cię diabli!

— Ba, ale jak to zrobić? Słyszałem, jak towarzysz Stehlik mówił raz, żeby załatwić w Komitecie Wojewódzkim, w Wydziale Budowlanym. Cóż, postanowiłem spróbować, choć miałem pietra, że mnie zaczną wypytywać a skąd, a dlaczego.

— I nie pytali?

— Owszem, ale nie tak bardzo. W Wydziale Budowlanym był jeden towarzysz niewiele ode mnie starszy. Powiedziałem mu, że cementu

potrzebujemy dla współzawodnictwa i w ogóle powtórzyłem, jak mnie Siemiński wyrzucił za drzwi. Nie od razu chciałem to opowiedzieć, ale tak się jakoś rozgadałem. I wiecie? — zrozumiał mnie jak brata. Coś tam załatwiał, telefonował, latał po piętrach — i w pół dnia — cement był. Na koniec kazał mi wracać do Ostrzyna i nawet delegację wypisał.

— Nie natarł ci uszu, żeś uciekł z budowy? — zdziwił się Stehlik.

— Swoją drogą. Ale to miało zostać między nami.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Jeden Stehlik zachował powagę.

— Powtórzysz to jeszcze przed całą brygadą. W każdym razie, cieszę się, żeś wrócił. Zaczęliśmy dziś ścigać się ze starymi. Bardzo nam się przydasz.

Przed składem materiałów zastali Walczaka z magazynierem. Zjawił się także Bieniek, który dziś szczególnie odznaczył się na boisku i zewsząd zbierał teraz słowa uznania. Pomógł w noszeniu worków, tyle że ich nie układał porządnie, a stawiał gdzie popadło, byle prędzej. Majcherek musiał po nim poprawiać. Nikt na to nie patrzył, wszyscy przejęli się powrotem Grzyba i coraz to nowe zadawali mu pytania.

— Jazda, chłopcy, lecimy jeszcze raz na dworzec! — zakomenderował Stehlik.

— Byle was deszcz nie złapał — zaniepokoił się Walczak. — Patrzcie, co się dzieje.

Pociemniało, jakby wieczór pośpieszył się o parę godzin. Wschodnią część nieba powlokły wełniaste, skołtunione obłoki, z zachodu szła chmura niemal czarna, dwuskrzydła, podobna do olbrzymiego ptaka. Z jej piersi rozdartej wyłaniał się strzęp lazuru tak czysty i pogodny, że zdawał się złudzeniem zmęczonych oczu.

Wiatr zrywał się znienacka, kotłował przez chwilę w tumanach piasku i raptem zamierał. Pierwsze błyskawice zalśniły na widnokręgu.

Sitkowski zwiększył szybkość. Pędzili ciężarówką przez nagle opustoszałe ulice. Wpadli w aleję rozkołysanych drzew. Szum gałęzi spłynął na nich jak chlust wody. Jeszcze podskoczyli na wybojach koło mostku, jeszcze zatoczyli się na zakręcie i już ukazał im się dworzec, już zeskakiwali na ziemię.

— Prędzej! — naglił Stehlik.

— Szybciej, bo wam cement zamoknie — poganiał dyżurny kolejarz.

— Ruszaj się! — dogadywał Władek Majcherkowi.

Majcherek ledwie mógł dźwignąć worek, tak mu ramiona sflaczały i wszystko leciało z rąk. Zataczał się pod ciężarem, krew boleśnie dudniła mu w skroniach. Przystanął opierając worek na występie muru i dyszał ciężko, roztropnie, aby jak najprędzej wrócić do formy. Skronie

mu zwilgotniały i nagle ochłodły, w gardle czuł słodkie, mdlące ciepło. Cały świat chybotał się w szarej mgle.

— Chłopaku! — zawołał Stehlik. — Oddaj mi zaraz worek! Po cóżeś tak ganiał, synku!

— To nic, towarzyszu — szepnął Majcherek nieswoim głosem. — Tak mnie zemgliło, ale raz, dwa przejdzie. Nie traćcie czasu. Zaraz lunie!

— Nie zawracaj głowy! Możesz iść? No, to chodź ze mną. Uważaj tutaj na schodki. Mogliby je też wreszcie wyrychtować. W porządku. Patrz, jesteśmy przy wozie. Wsiadaj do szoferki. Nie zimno ci?

— Nie, towarzyszu — odpowiedział Majcherek opierając się wygodnie. Pierwszy raz widział, żeby majstrowi drżały usta i żwacze chodziły pod skórą. Poklepał chłopca po ramieniu i odszedł szybko, wymyślając sobie w duchu:

— Jak mogłem dopuścić do tego, żeby mi się tak umęczył! Oczu nie miałem, czy co!

Tymczasem chłopcy znieśli ostatnie worki i załadowali je na górę. Ruszyli ostro z miejsca, tym razem bez śpiewu, bo i ludzie byli zmęczeni i niebo się nad nimi nasrożyło.

— Gdzie Majcherek? — Pyzio dopiero w drodze spostrzegł nieobecność przyjaciela.

— W szoferce — mruknął Stehlik i rozejrzał się po chłopcach, czy który czego nie wymiarkował.

W rynku spadły pierwsze krople, skąpe i powolne, zapowiedź zbliżającej się ulewy. Na chodnikach wymiecionych wiatrem pokazały się mokre cętki. Sitkowski nie zwolnił nawet w bramie Grodzkiej, na pełnym gazie zjechał w dół i zaczął piąć się ku nowemu osiedlu, gdy nagle zachrobotało coś w motorze.

— Psiakrew! — zaklął szofer, nie zatrzymując wozu. Z rozpędu wpadł między domy, skąd widać już było kantorek i skład budulca. Tu dopiero maszyna odmówiła posłuszeństwa.

— Co się stało? — krzyknął Stehlik.

— Utknęliśmy — odpowiedział Sitkowski. — Nie pociągnie dalej.

— Może dopchniemy go do magazynu?

— Nie da rady.

— Spróbujmy, chłopcy — zaproponował Grzyb.

Zapierając się z całej siły w lekko zwilgotniały piach usiłowali bezskutecznie ruszyć z miejsca ciężarówkę.

— Zaparła się, jak kolczaty wieloryb!

— Niech to diabli! Deszcz nad nami wisi!

— Nic, tylko worki na plecy — i w drogę!

— Taki kawał?

— Wolisz, żeby ci cement skamieniał?

— Może by taczkami?...

— Co tu myśleć, bierzcie worki — zdecydował Stehlik i chwycił pierwszy z brzegu. Majcherek wylazł z szoferki i już zabierał się do noszenia, gdy majster znalazł dlań ważniejsze zadanie.

— Leć do hotelu i sprowadź chłopaków. Inaczej wszystko na nic.

Nadbiegł zaniepokojony Walczak i zorientowawszy się, co zaszło, sięgnął sam po cement. Składali worki w sieni magazynu, żeby choć parę chwil oszczędzić i biegli zaraz po następne. Grzmiało przeciągle, z bliska. Wiatr zupełnie ucichł, chmury wisiały nad budową.

Nie zdążyli trzeci raz obrócić, kiedy Majcherek był już przy wozie z kilkoma zetempowcami. Jeden drugiemu zadawał na plecy i szli gęsiego, sprężyście mimo obciążenia. Stehlik minął ich śpiesząc po następny worek. Czytał w ich twarzach, że chętnie podjęli się roboty, że jutro będą się nią chwalić przed kolegami.

Skoro chwycili ostatnie brzemię, deszcz lunął tak obficie, jakby się chmura oberwała. Biegli z ciężarem, wpadli zziajani do magazynu. Ci, co uwinęli się prędzej, stali już pod osłoną daszku, opierając się plecami o ścianę.

Pachniało wilgotnym kurzem, grube krople bębniły po dachu, woda bulgotała w rynnie i spływała z niej wartką strugą do rynsztoku, który w jednej chwili zamienił się w spieniony, żółty strumień. Aż poszarzało od gęstego dżdżu, stare miasto znikło za jego zasłoną.

— Ale cement mamy w domu! — z triumfem powiedział Grzyb ocierając twarz i ręce.

— Tak! — Majcherek odetchnął z ulgą i przysunął się bliżej Stehlika.

Stary majster milczał patrząc na administracyjny barak. Ciemniało coraz bardziej i tylko od okna, przy którym tkwił Niedziałkiewicz, płynęła smuga światła w stronę składu materiałów.

— I on jest z nami — pomyślał Stehlik z wielkim zadowoleniem. Dzień zaczął się buntem chłopaków, a kończył wspólnym ratowaniem cementu. Zbili się teraz w jedną gromadę. Walczak, dobry, stary druh, Majcherek, którego trzeba oszczędzać, Grzyb powrócony budowie, wszyscy ci młodzi, jeszcze nieustatkowani, ale robotni i dzielni. Chroniąc się przed deszczem skupiali się coraz bardziej, dotykali ramionami, słyszeli oddech towarzyszy. Ten i ów zapalił papierosa. Odpoczywali przed jutrzejszym dniem.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Danuta Bieńkowska

MARIA JAROCHOWSKA

GNIEW

Pamięci poległych chłopów i ku czci chłopów żyjących, tych, którzy bohatersko walczyli o wyzwolenie społeczne w krwawym starciu z policją dnia 21 sierpnia 1937 roku we wsi Łunina Duża koło Jarosławia.

I

— Ty nie pójdziesz Jędrzej, nie pójdziesz, nie, nie, Jędrzej — powtarzała wciąż w kółko Graboniowa.

To „nie i nie" zawierało się w każdym ruchu kobiety, jej uciążliwej, jak zwykle u schyłku dnia, krzątaniny. Z protestem przestawiała garnki na blasze, gniewnie tłukła w odrapanym saganie ziemniaki, dolewała wody z wiadra ściągając wargi ni to do wyzywania, ni to do łkań. Rzucała gałązki w otwarte drzwiczki pieca raczej jakby zadawała ciosy, a nie zwyczajnie dokładała suszu do ognia. Mogło by się wydawać, że ukryta w niej jakaś tajemna sprężyna niepokoju raz schyla, to znów prostuje tę postać ruchliwą a zwinną, choć brzuch rozdymał wypukło barchanową bluzkę, tak od prania spełzłą, aż niesposób było dopatrzeć się w tym materiale jakiejkolwiek barwy.

Graboń nie odzywał się. Im bardziej jego żona miotała się po kuchni, tym wolniej podnosił łyżkę z barszczem do warg, jakby zupa nie stygła, ale właśnie stopniowo nagrzewała się, parząc mu podniebienie. Skończył, wstał, zdjął z gwoździa nad cebrzykiem blaszaną furmańską lampę na drucianym pałąku. W kuchni było jeszcze zupełnie żółto od słońca ku zachodowi podeszłemu nad okno, gdy przez te krótkie chwile wieczoru pozłacało swym blaskiem koślawe sprzęty, nim zapadną w półmrok.

Graboniowa porwała się od komina, zastąpiła mężowi drogę. Milcząc chciał ją minąć, ale rzuciła się w bok i wyszarpnęła spod stołu małego Łucka. Strugał sobie coś tam kozikiem, zasapany z przejęcia, pochłonięty robotą, nie ciekawy, na nic nie zważający. Matka uniosła go pod pachy i postawiła tuż przed progiem w poprzek kroków ojca. Rosła, chuda, tylko w pasie nienaturalnie rozdęta przewyższała męża nieomal o pół głowy. Krzyczała bez łez, twardo, suchym głosem:

— Proś, Łucek, tatę, proś, żeby cię zadeptał na śmierć! Jak tato pójdzie do kryminału, i tak nie wytrzymasz z głodu na tym świecie.

Chłopiec z nagła postawiony na glinianej podłodze rozkraczył się mężnie, żeby nie upaść. Stał tak w niedługiej koszuli, bardzo umoru-

sany. W jednej ręce trzymał nożyk złamanym ostrzem ku górze zwrócony, podparł się patykiem i posępnie spoglądał w górę ku ojcu. Przypatrywali się tak sobie, jeden mniejszy, drugi większy, a niezmiernie do siebie podobni, jakby według jednego wzoru lepieni. Obaj mieli tę samą krępą budowę, te same oczy bardzo niebieskie i chmurne, te same wargi jakby nieco skrzywione w niby sennym uśmiechu.

Przez te usta wszyscy w Łuninie nazywali Grabonia „Wesołym", choć naprawdę niewiele w nim było tej wesołości. Sam po ojcu fornalu nic nie odziedziczył oprócz biczyska, którym nie miał co poganiać. Dostał w wianie żony dwie morgi na górce, chodził na dniówkę do dworu jako sezonowy, ale tego sezonu niewiele było w roku i Graboń miesiącami przesiadywał w domu bez roboty. Dzieci rodziły im się jedno za drugim aż do czworga, a teraz piąte wybierało się na świat. Graboń nie miał się z czego cieszyć.

Łucek z namysłem poskrobał się stopą w łydkę i pełen godności usunął się w bok ustępując ojcu drogi. Nieoczekiwanie Graboń poczuł, że się z synem porozumieli jak dorośli ludzie. Nie zastanawiał się, ile z tego wszystkiego, co się działo, mógł zrozumieć taki mały skrzat, któremu jeszcze sześć lat nie minęło, jednak poczuł, jakby owe obcęgi od rana ściskające mu serce naraz trochę się rozluźniły.

Przemówił do żony pojednawczo, tak jakby cały czas ze sobą rozmawiali, jakby to nie on milczał, i nie ona się sprzeciwiała pogróżkami i błaganiem. Odpowiadał jej na coś, czego wprawdzie nie mówiła, ale co musiało być w myślach ich obojga:

— Prawda jest, ja jestem ciemny chłop, gazet nie czytam, nic nie wiem, nie znam się na tej całej polityce... kiedy iść trzeba...

— Po co się mieszasz? Po co się pchasz do zguby?

— Kiedy iść trzeba. Przez wspólnotę z drugimi. Wszyscy strajkują.

Nie wybuchnęła już krzykiem. Oparła się plecami o ścianę z twarzą z nagła zobojętniałą na wszystko, uciszona i nasłuchująca czegoś w środku siebie, pełna wyczekiwania.

Graboń wyszedł, a tylko Łucek przydreptał śpiesznie i położył matce rękę na brzuchu.

— Dzieciak się u ciebie ruszył? — zapytał poufnie z tkliwością dojrzałego mężczyzny.

Graboń nie spiesząc się szedł przez wieś. Nie słychać było zwyczajnych o tej porze pisków i nawoływań dzieci, ani nie odzywały się baby cowieczornym trajkotaniem, przekleństwami, zrzędzeniem. Wszędzie panowała głucha cisza. Nawet psy nie skamlały przy budach, jak w każ-

dy przedwieczerz, kiedy doczekać się już nie mogą upragnionej wolności od zmierzchu do świtania. Nawet nie porykiwało bydło i gęsi nie przypominały o sobie krzykiem rozdzierającym powietrze tęsknie i trochę bez sensu.

Tak spokojnie bywało w Łuninie tylko w pierwsze święto Wielkanocy, kiedy raz jeden do roku każdy miał brzuch mniej więcej pełny i w jakiej takiej błogości przesypiał popołudnie, aby znowu obudzić się czczy na następne dwanaście miesięcy.

Graboń przystanął przed chałupą Pasternaka. Pasternak widać czekał przyczajony gdzieś w głębi mieszkania, bo zaraz się pojawił z kijem w ręku, jak na zwyczajną stróżę, zakutany w łachman kurtki postrzępionej, wytartej, w czapce, której nie zdejmował nawet, kiedy szedł w gości.

Noce późnego sierpnia były już porządnie chłodne. Nie odzywając się do siebie poszli dalej jeden za drugim. Na prawie zielonkawym, ogromnie pogodnym niebie słońce toczyło się ku horyzontowi, czerwonawe, zupełnie okrągłe i niewiększe niż miedziany grosz. Liście dzikiego wina oplatające ganki rumieniącymi się ku jesieni firankami, czerwieniły się teraz jeszcze bardziej odblaskiem odchodzącego dnia.

— Źle zachodzi, na krew zachodzi — powiedział Pasternak szeptem, i zasłonił się dłonią od słońca.

Graboń patrzył gdzie indziej, ku wzgórzom. Jak wielu ludzi małomównych słuch miał wyostrzony, uważny.

Podmuch wiatrów pojawiając się nie wiadomo z której strony pchnął naprzód spokojne powietrze, z orzechów włoskich spłynęły pierwsze żółknące liście, płaskie, na wpół żywe, choć spadające jeszcze nie skoro, opornie. Przed zakrętem dróżki na wzgórzu potoczył się i troszeczkę uniósł nad ziemią kłąb kurzu. Zaraz za tumanem, jakby w pogoni za nim, jakby popędzając go przed sobą, wysunęło się spoza zakrętu kilku ludzi. Szli pojedynczo skrajem ścieżki, gęsiego, skromnie. I dopiero za nimi wywaliła się gromada, bezładna, krocząca szybko. Z daleka wydawali się zwartą masą jednolitą, nierozczłonkowaną, jakby bury ogromny kawał góry ruszony niewiadomą siłą przyrody oderwał się i zsunął w dół. Ponad ową bryłą błyszczał zygzakowaty, srebrzysty otok, podobny do aureoli wymalowanej na obrazach w kościele nad głowami świętych, tylko ta tutaj aureola była bardziej niebieska, ruchoma, płynąca bliżej, bliżej. I zanim Graboń zdołał rozróżnić w tej masie poszczególne postacie, poznał, że ów błękitnawy blask to widły niesione na ramionach, to ostrza kos, w których odbijają się i migocą pożegnalne przed nocą promienie słońca.

Początek pochodu zbliżał się już do wsi, a zza zakrętu wysuwały się coraz nowe obłoki kurzu, by towarzyszyć zstępującym w dół.

Pasternak, chłop chytry, mądrala lubiący wszystkiego dokładnie dociec, zaczął liczyć przybywające ludzkie zastępy, wnet się jednak zniechęcił. Szli z powagą, nie gadatliwi, prosto przed siebie patrzący. Ci co nie nieśli kos, podpierali się ciężko kłonicami, ten i ów mocno dzierżył pod łokciem orczyk, byli tacy, co tylko sierp trzymali ostrożnie przyciśnięty do ramienia albo siekierę, w dłoniach niektórych pobrzękiwały łańcuchy, ci widocznie chwycili w pośpiechu to, co było najbliżej pod ręką.

Wielu przyciskało pod pachą malutkie zawiniątka z płótna, u pasa innych chwiały się kociołki przykryte liśćmi łopianu. Widocznie krył się pod nimi chleb, główki cebuli czy rzepa, ów suchy prowiant ubogich. Wszyscy razem wyglądali jak olbrzymia gromada spiesząca ku pracy do jakichś potężnych, wspólnych żniw, czy do wyrębu drzewa lub koszenia trawy na polanach w lesie.

Kiedy wszyscy już znaleźli się na szosie, ustawili się w jaki taki dość porządny ordynek po dziesięciu w każdym rzędzie, gęsto, a jednak kolumna rozwlokła się hen daleko, aż za ostatnie domy wsi.

Ludzie łunińscy wylegli z mieszkań, z obórek, ze stodół, czy gdzie tam kto był, zrobiło się jeszcze tłumniej. Podnieceni, ciekawi, przypatrywali się zza płotów przybyłym, badali ich wzrokiem z namysłem.

Nikt jeszcze nie śmiał zadawać pytań. Wtem gdzieś dosyć daleko, na samym końcu szeregu odezwał się głos trąbki. Zabrzmiało kilka prostych tonów, lecz nie takich strażackich, przeraźliwych, oznajmiających alarm do pożaru. Melodia trąbki metaliczna i wesoła niosła się podobna do sygnału, którym gajowi na pańskich polowaniach dają znać nagonce, aby ruszyła w miot. Ludzie niespodziewanie poweselali, zrobiło im się jakoś raźniej, ośmielili się.

— Sygnał czy jak? — ożywiony Pasternak rzucił pytanie nie do kogoś poszczególnie, ale tak przed siebie, w tłum.

— My się tak nawołujemy, taka umowa, można powiedzieć alarm trąbkowy, na każdej wsi my sygnalizowali, żeby się chłopy zeszły — odpowiedział zaraz z brzegu jakiś młody chłopak z rozwichrzonymi włosami. Był bosy, na ramieniu trzymał motykę. Na końcu jej trzonka uwiązał na sznurowadłach bardzo sfatygowane buty. Może obawiał się, że mu się w drodze rozlecą, a może szanował je na okazję bardziej reprezentacyjną, lub po prostu nie chciał się z nimi rozstawać.

— A wy z jakiej wsi? — indagował Pasternak.

— Z Bokitnicy — odparł za siebie chłopak.

— I z Murawska — dopowiedzieli inni.

— Z Łowiecka — zamruczał w głębi jakiś bas.

— Z Chopic — odkrzyknięto z dalszych szeregów.

— Z gór przyszli, z gór idą — zaszemrano spoza parkanów, spode drzwi, znad rowów.

— A jaki to cel tej drogi? — zapytał ktoś tych na samym przedzie.

— Teraz to się chyba przekwaterujem tu u was przez noc, a jutro się zobaczy. Jedna rzecz postanowiona, policji się tędy nie przepuści, nie będzie ludzi biła jak gdzie indziej stronami stale się słyszy, ciągle i wciąż, odkąd my strajk rozpoczęli. A jak zajdzie potrzeba, pójdziemy na Jarosław, domagać się chłopskiego prawa, sprawiedliwości. Przecież na Przeworsk szli w roku 1933, na Łańcut — i sam starosta się musiał cofnąć — powoli, z rozwagą objaśniał ów, co prowadził wszystkich. Był to chłop niewielki, ale wydawał się postawniejszy, bo miał głową dużą i prosto się trzymał. Jego wąsy potężne, miotlaste, były smoliste jak sadza, choć człowiek wyraźnie dopędzał swoje sześćdziesiąt lat.

— Pewno, z takimi sąsiadami człowiek się czuje rozmocniony, z takim prawie wojskiem — rozjaśnił się Graboń. Jego usta skrzywione na stałe w wesołym grymasie rzadko uśmiechały się naprawdę, ale teraz zrobiło mu się lżej, bo pomyślał, że jego kobieta mniej mu będzie przeciwna, kiedy zobaczy, że się tyle wsi sprzymierzyło ze sobą dla jednego i tego samego celu. Żona mniej się będzie teraz trwożyć, kiedy się przekona, że Graboń wojuje razem z taką siłą.

Nagle gdzieś z boku rozległ się donośny kobiecy jazgot.

— O la Boga, la Boga! Tyle chłopów, takie mrowie ludzi! Ze wszystkim nas objedzą, nie zostawią ani skórki chleba, jeszcze pożar gdzie zaprószą po stodołach, od tych papierosów puszczą z dymem.

Ludzie od razu poznali głos Bochnackiej. Któż by nie żałował tak języka na wymyślanie, jak nie ona? Jest bogata, więc mówi, co jej się tylko podoba.

— Jedzenie swoje przynieślim, nie potrzeba łaski! — odpowiedziało naraz kilku. — A co się tyczy pożaru, my nie dzieciaki, ani żadne głupie, nie pierwszy raz stodołę się widzi i każdy wie, co i jak się należy!

Zaraz i Pasternak przyszedł na pomoc przybyłym:

— Wam, pani Bochnacka, powinno być przyjemnie, że tyle chłopów się zeszło. Zawsze cudzy chłop, to nie to co własny, na wszystkie strony oglądany aż do nudów.

— Jak kto siedzi na siedemnastu hektarach i na sadzie, to mu i nie

ubędzie, jakby mu kto tam nawet posmakował jakie jabłko z drzewa — zakrzyczał ktoś drugi urągliwie.

Resztę inni dopowiedzieli od serca. Strajk choć w niejednym budził obawy, w niejednej złe przeczucia, ogółowi dodał jednak pewności siebie. Stali się śmielsi wobec tych, co we wsi coś znaczyli. Opieszale, z ociąganiem zdejmowali teraz czapki przed dziedzicem, bogatym gospodarzom nie przyznawali w byle czym racji.

Znowu zagrała trąbka. Na ten znak kolumna przybyłych rozsypała się. Pomieszali się z łunińskimi ludźmi i dogadali się prędko ze sobą. Jedni przez drugich opowiadali sobie o wszystkim, co się dzieje, przerywając sobie wzajemnie i znowu wracając do swego.

Łunińscy mówili, jak u nich idzie strajk. Owszem, nie można powiedzieć, dopisuje solidarność. A jeśli ktoś jest przeciwko solidarności, tego się nie puszcza do miasta, cokolwiek by wiózł albo niósł na targ. Pikiety strajkowe trzymają wartę koło cmentarza dniem i nocą, bez przerwy.

Ci z gór opowiadali znowu, jak się to stało, że się tutaj w Łuninie znaleźli. Robotnicy z Jarosławia przysłali ostrzeżenie do znajomków w Bokitnicy. Naprzód przyjechał na rowerze syn pewnego ślusarza. Rower był damski, za mały dla takiego wyrośniętego dobrze młodzika. Zatoczył się jak pijany, kiedy stopą dotknął ziemi i ledwo się wyprostował.

Zaraz po nim przybiegła dziewczyna, siostrzenica kulawego szewca. Przysłana przez wuja, przekradła się polami, gdzieś bokiem, na przełaj, w cieniu przylasków. Nie bała się, choć była niedorosła, brakowało jej dobrych kilka lat do kobiecości. Tylko wstydziła się, bo zmyliwszy drogę, wpadła do strugi i cała była przemoczona.

I chłopiec i dziewczyna opowiadali to samo. Do Jarosławia ściąga policja. Zjeżdżają się od Przeworska, z Rzeszowa, może i aż z Przemyśla.

Niby wzbraniają się mówić, po co przyjechali, ale tu i owdzie rozgłaszają, że będą robić koniec ze strajkiem.

Kiedy żona burmistrza i aptekarzowa przyszły na targ i zastały rynek pusty tak samo jak od początku strajku, pewien przodownik policji powiedział im:

— Niedługo już tutaj będzie dość wszystkiego. Baby będą całować po rękach, byle tylko kupować od nich. Tylko się zrobi porządek z tymi prowodyrami, co buntują ciemny naród.

Dziewczyna opowiedziała o tym jednym tchem, bez zatrzymania, jakby sobie całą drogę wszystko przepowiadała. Kiedy więcej ludzi ze-

szło się koło studni, wytrzepała śmiało wszystko jeszcze raz, nie zmieniając ani słowa.

Syn ślusarza mówił bardziej z namysłem, powołując się często na opinię swego ojca: „ojciec kazał powiedzieć", „ojciec zwraca uwagę". Kiedy skończył, zrobił długą pauzę, rozważając coś widocznie, potem rozejrzał się uważnie prosto po twarzach obecnych i dodał szeptem:

— Ojciec z towarzyszami... towarzysze z ojcem przysyłają to zapewnienie, że w waszej biedzie nie jesteście sami, bo... bo... z wami jest klasa robotnicza! — dokończył pełnym głosem i zaczerwienił się od czoła aż prawie do samych obojczyków.

Ludzie naradzali się potem, ale niedługo. Gdyby to było dawniej, owszem, nawet jeszcze cztery dni temu, z pewnością byłoby więcej wahań, więcej wątpliwości. Znalazłoby się sporo takich, którzy znowu by powtarzali: policji nie trzeba się sprzeciwiać, policji trzeba ustąpić, wtedy policja człowieka nie ukrzywdzi, uszanuje. Teraz ludzie już wiedzieli, jak wygląda ów szacunek. Przecież Antoni Witek z Wólki właśnie nie sprzeciwiał się posterunkowym, nie tylko im ustąpił, ale uciekał co sił w nogach ze swego strajkowego posterunku, kiedy z daleka zobaczył nadjeżdżające ciężarówki. A jednak dogonili go i tłukli tak, aż się jednemu złamała na Witkowym grzbiecie kolba karabinu. Granatowi polali Witka wodą i znowu go bili w złości za szkodę z karabinem.

We wsiach koło Bachórza, pod Brzozowem, koło Grabownicy także ludzie ustępowali posterunkowym. Siedzieli spokojnie w domach, ukryli się po stryszkach, powłazili do piwnic, każdy rad by zeschnąć na wiórek niewidoczny, albo zmienić się w cokolwiek, co by nie było człowiekiem, byle nie nawijać się władzy pod oczy, byle pokorą wybłagać zlitowanie dla siebie i dla rodziny.

I cóż to pomogło?

Policjanci potłukli nawet kamienie od żaren w sionkach, rozwalili piece, połamali dzieże. Nie zostało we wsi ani jednej całej pierzyny, tylko pióra wyprute bagnetami z powłok długo jeszcze fruwały obłokami z opłotka w opłotek, aby opadać w błoto i okrywać je delikatną białością, niby śniegiem padającym pomału, wielkimi płatami. Na ziarno w komorach posterunkowi sypali sadzę, dorzucali szkła, lali wodę i udeptywali stopami, jakby to była kapusta w beczce do kiszenia. Uprząż ciskana przez granatowych do gnojówek nikła pod brunatną, ciężką powierzchnią, niedzielne ubrania nasiąkały wolniej, nim poszły na dno, w końcu na już uspokojonych cuchnących taflach kołysały się

jedynie jabłka, pomidory, wianki grzybów, gęsto jedne przy drugich pływające.

Lament i krzyk ludzki zawisł nad wsią tak potężny, że aż bydło rwało się z powrozów w obórkach, przestraszone okropnie niczym przy pożarze, a i kaczki na podwórkach wszczęły rwetes. Między nogami policjantów pomykały króliki, kicające na oślep w popłochu. Strzelali do nich wprost do ziemi, z bliska, a potem dziurawili jeszcze widłami puszyste kłębki, żeby skórka straciła wszelką wartość.

W Bokitnicy nasłuchano się dosyć o tym. I ludzie powiedzieli sobie jedno: niech się stanie to, co ma się stać, ale oni będą bronić swego dobra, swego dobytku. Każdy powtarzał sobie, że jeśli wszystko, o co przez całe życie zabiegał, ma być stracone, rozbite na nic, to choć niewiele tego jest, człowiek, gdy stanie się nagi i bosy zmarnieje i tak bez sprzętu gospodarskiego.

A jeśli pójdzie zniszczeniu naprzeciwko, może uda mu się stanąć w poprzek złego?

Z Bokitnicy popędzili chłopacy do innych wsi z alarmem. Gnali w różne strony kłusem, galopem, podskakując, na oklep, ledwo dłońmi przytrzymując czapki, aby je wiatr w biegu nie pozdzierał. Wracali już stępa, statecznie, bardzo ważni, bo w ślad za nimi sypały się setki chłopów. Wszyscy pociągnęli w dół, ku głównej szosie, na kwaterę do Łuniny.

Graboń i Pasternak ociągali się z odejściem od nowoprzybyłych. Lecz księżyc bledziutki wśród mgiełek i aż do pełni nalany wtoczył się już na pole z fasolą Szafrańskiego. Wyglądał zza tyczek, zawył ku niemu jakiś pies, podniosły głos świerszcze przez cały dzień nie milknące, ale teraz z nagła rozbrzęczane tak donośnie, aż Graboniowi wydało się, że po długim, długim milczeniu dopiero teraz rozpoczęły swą srebrzystą serenadę.

Obaj z Pasternakiem doszedłszy na wzgórze, postali chwilę na środku szosy wprost cmentarza, nasłuchując i podejrzliwie rozglądając się wokół.

— Spokój. Cisza. W tę noc chyba nic nie będzie — powiedział Pasternak markotnie. Lubił, gdy coś się działo, wolał kłótnię niż zgodę, wolał bitwę od pocałunków.

— Może nic — przytaknął mu Graboń wątpiąco, choć nie bez nadziei.

Zeszli z drogi, oparli się ramionami o pień wierzby. Bardzo chciało im się zapalić, ale lepiej było oszczędzić tę trochę machorki na ową godzinę po północy, kiedy natarczywy sen najbardziej odbiera stróżom przytomność.

— Ktoś idzie — poruszył się ucieszony Pasternak. Rzeczywiście, po drugiej stronie w rowie coś tam szurało powoli, ostrożnie.

Przyczaili się, wytężając wzrok. Rowem posuwała się zgięta na pół postać, nie rozprostowując grzbietu, rękami szeleszcząc po trawie.

— Co wy tu robicie! — doskoczył do niej Pasternak i umilkł raptownie, jakby podmuch wiatru wdarł mu się wprost do gardła i zatamował oddech.

— Ja nic, synku, ja nic, ja tylko ziele rwę dla króli — plątał się starczy, kruchy szept.

Graboń podszedł i poznał babkę Agnieszkę, rodzoną matkę Pasternaka. Kobiałka stała koło jej nóg, trzymała w garściach pęki trawy lśniące od rosy, a przestraszone oczy staruszki wydawały się w blasku księżyca bardziej wilgotne niż co dzień, mocniej załzawione niż to ziele skąpane w wilgoci.

— Co wam przyszła za ochota akurat w tej stronie tłuc się po nocy, tutaj chodzić nie trza — gniewał się Pasternak.

— Tutaj ziele najmniej powyrywane przez naród, rychlej się wyzbiera, aby tylko dojdę do tej gruszy, zaraz się cofnę...

Dzika grusza rosła o dobre sto pięćdziesiąt kroków za cmentarzem, poza granicą, gdzie wolno było pikiecie strajkowej kogokolwiek nocą przepuszczać. Pasternak spojrzał niepewnie na Grabonia.

— Chyba ją przepuścim, Jędrzej? Nikt z tego nie będzie stratny, jak sobie jedna babka narwie trochę ziela, towaru przecież u niej nie może być żadnego...

I żeby już na pewno uzyskać zgodę nie sprzeciwiającego się Grabonia, Pasternak schylił się nad koszykiem, nieuważnie zanurzając palce w zielsko. Stara przykucnęła i rozpłakała się w głos.

— Ady te pare jajek tylko, Pawłuś — mówiła między jednym szlochem a drugim — te jedne siedem jajek, nie chciałam, nie ważyłam się, tylko zięć mi nakazał. Matka pójdzie, powiada, matka pójdzie, bo jak dziś Paweł trzyma wartę, prędzej się matka przeszwarcuje jak kto inny. Przepuść mnie, synku, w imię miłosierdzia Jezusowego! Mnie to na nic nie potrzebne dźwigać po nocy stare kości do miasta, ślepymi oczami drogę wypatrywać, tylko zięć mi naubliża, jak mu nie przyniosę dziesięć deka gwoździ za te jajeczka, żeby szło umocnić dach. A tak się jajka zmarnują w jedzeniu, zamiast żeby za nie kupić. Naurąga mi, poniży, jeszcze czym szturchnie, ty wiesz, Pawłuś, jaki on jest, znowu będzie krzyczał, że nie mam opamiętania, bo tak długo żyję, zamiast żeby jego dzieci mogły jeść, to co do mojej miski się wkłada.

— Nie ze złej woli ja was chciałam oszukać, ale z niedoli. Ja nie jestem przeciwko strajkowi, tylko strajkowi nie ubędzie, jak jedna stara baba poniesie jajka na kupno. Podarujcie, dajcie wolne przejście!

Graboń wiedział, że Pasternakowa nie zmyśla. Gdyby był tutaj sam, kto wie, czy by starej nie przepuścił. Wszyscy we wsi wiedzieli, że zięć podnosił na nią rękę, a córka nie żałowała także przykrego słowa, dopiekała po swojemu. U nich w garnku na blasze częściej się gotowało lebiodę niż kapustę, więc trudno nawet było wypominać Fusikowi złe obchodzenie się z matką. Stara Agnieszka z latami opadła bardzo z sił, źle widziała, słyszała coraz gorzej, ale smak do jedzenia miała wcale nie mniejszy.

Lecz Pasternak już się opamiętał. Mówił prędko, zacinając się na początku zdań.

— Ja was, matka, nie puszczę, chociaż jestem wasz syn. My nie możemy robić wyjątków. Jak strajk to strajk. Szwagier się także godził. Komu innemu my by pobili te jajka za oszukaństwo, ale darujemy przez szacunek dla waszego starszeństwa. Wracajcie, mama, do domu, mnie was szkoda, ale z krewniactwa nie może tu być żaden użytek. My tu stoim, bo ogół tak postanowił.

Babka Agnieszka odeszła takimi samymi ostrożnymi krokami, jak przyszła, choć przed nikim już teraz nie musiała się kryć. Wkrótce nie było już słychać jej stąpania, a tylko łkanie oddalało się powoli i rozpływało w ciszy.

Graboń pomyślał z podziwem i z niechęcią, że Pasternak jest twardym człowiekiem.

Pasternak podreptał trochę w miejscu niezdecydowanie, obrócił się naokoło siebie i poszedł za matką. Wrócił dosyć rychło wlokąc za sobą suchą gałąź.

— Rozpalimy sobie ogienek — powiedział prawie wesoło — żeby z daleka było wiadomo, że się pilnuje. Wtenczas ludzie nie będą się brać na kombinacje, żeby strajk oszukać.

I dopiero kiedy pochyloną nad chrustem twarz Pawła rozgrzał od dołu blask ogniska nikły, migotliwy, czerwony, Graboń zobaczył, jak strapioną ma minę ten beztroski zwykle sąsiad, lekkomyślny nawet w największej biedzie. Spokojnie już potem było, spokojnie prawie aż do rana. Księżyc utknął na czarnym niebie nieomal nieruchomy, psy na wsi umilkły zmorzone urąganiem i skargami do tej złocistej tarczy, zsyłającej w psie serca tyle niepokoju. Wkrótce koguty zaczęły podawać sobie z obejścia do obejścia oznajmienie o końcu snów tej nocy i zapowiedź nowego dnia.

Wtedy właśnie Pasternak spłoszył kogoś, kto przekradał się ściernikami za cmentarzem. Paweł krzyknął groźnie, postać zawróciła i rzuciła się do ucieczki. Puścił się, aby zabiec jej drogę, choć małą miał nadzieję dopędzenia, ale chciał rozpoznać, kim jest ów, który usiłuje ominąć postanowienia strajkowe. Zobaczył wysoką, bardzo szczupłą, niczym strzyga, kobietę z workiem na plecach. Sadziła przed siebie rączo tak długimi krokami, że cisnął bez przekonania za babą grudką ziemi. Akurat kobieta wpadła ze rżyska wyskubanego do gładka przez gęsi na skiby grubej oraniny, potknęła się, runęła jak długa. Poderwała się momentalnie bardzo zręcznym ruchem, nie wypuszczając worka i niepomna już widać ze strachu na nic, ani na godność, ani na przyzwoitość, podciągnęła wysoko spódnicę do góry, by nie zawadzała jej krokom.

Pasternak osłupiały przekrzywił głowę. Poniżej zakasanej do połowy ud sukni przeskakiwały z bruzdy na bruzdę nie kobiece chodaki, ale męskie grube cholewy.

Po tych właśnie długich butach, lśniących w niebieskawym blasku przedrannego księżyca, Pasternak poznał Adama, młodszego syna Bochnackiej.

Żaden wyrostek w Łuninie nie nosił tak zgrabnie obcisłych „oficerek", obstalowanych na miarę aż w Rzeszowie. Pasternak z Graboniem długo się potem śmiali w głos z chytrości Bochnackiej. Obaj wiedzieli dobrze, co jej synalek niósł w worku. Zaraz na drugi dzień po rozpoczęciu strajku Bochnacka kazała parobkowi zarżnąć wieprza. Miał się wprawdzie tuczyć aż do Wszystkich Świętych, ale chytra gospodyni widocznie uznała, że teraz trafia się sposobniejsza okazja. Wobec strajku podskoczy w górę cena mięsa w mieście, będzie można wieprzowinę sprzedać korzystniej.

Świniak miał być zabity koło północy, po cichu, w tajemnicy przed ludźmi. Jednak, czy to Bochnacka poskąpiła nafty do lampki, więc w komórce było za ciemno, czy to parobek czuł się zmordowany po całodziennej robocie i bardzo śpiący, dość że nie trafił wieprzka celnie nożem w podgardle i zwierzę rozkwiczało się na całą wieś rozpaczliwym wrzaskiem. Sąsiedzi oczywiście domyślili się od razu, co się święci. Ze sprzedażą mięsa też się nie udawało. Pierwszy raz Bochnacka posłała z rąbanką swego starszego syna Wacława jawnie, w dzień, szosą. Zatrzymała go strajkowa straż porządkowa i zawróciła do domu.

W nocy młodszy Bochnacki przekradł się polami naokoło mijając szczęśliwie pikietę, ale natknął się na inną już w Łuninie Małej. A te-

raz po raz trzeci Pasternak przepędził znowu jednego z tych gamoni, którzy we wszystkim byli posłuszni matce, a ów Adam zgodził się nawet przebrać za kobietę, byle tylko nie poznano go.

Słońce, które odeszło wczoraj wlokąc za sobą krwawe welony, ukazało się teraz złociste i czyściutkie, jakby naprawdę według wiejskiej wiary, nim wzeszło, wykąpało się, wymyło poza zasłoną widnokręgu.

Graboń wstał i odkrywszy głowę skłonił się słońcu głęboko, ze czcią, tak jak nauczył go ojciec, tak jak dziad, pradziad z pewnością co dzień o wschodzie okazywali szacunek promieniom, które pozwalały rodzić ziemi, a ich ogrzewały w ciężkiej pracy.

W tej chwili od strony wsi zaczął zbliżać się turkot. Spojrzeli po sobie zdziwieni i równocześnie skoczyli na środek drogi. Wasążkiem zaprzężonym w jednego konia nadjeżdżał jak gdyby nigdy nic Puciak. Powoził sam, z tyłu godnie rozsiadła się jego żona ubrana w miejski płaszcz i kapelusz, jak przystało na panią, która mieszka w murowanym domu. Koło jej kolan widać było spiętrzone od dna wózka worki, kobiałki, zawiniątka, a gęś wystawiwszy głowę z wiklinowego koszyka poważnie obracała pomarańczowy dziób to tu, to tam, jakby podziwiała piękno mijanego krajobrazu.

Mogłoby się wydawać, że Puciakowie wybrali się w zwyczajny dzień targowy na jarmark wczesnym ranem, żeby zdążyć, nim upał się zacznie. Gdyby droga szła po równym nikt nie zdołałby zatrzymać kłusa żwawego konia Puciaka. Ale szosa tu akurat wspinała się na wzgórze ku cmentarzowi.

Graboń i Pasternak stanęli w poprzek drogi nie przepuszczając wasążka.

— A cóż to takiego? — zdziwił się niewinnie Puciak.

Pasternak odpowiedział grzecznie zapytaniem, także się dziwiąc:

— Nie jest panu wiadomo, że jest strajk?

— Nic nie słyszałem, a gdybym nawet słyszał, nie przyjąłbym do wiadomości, bo ja nie uznaję żadnych strajków.

— A czy można zapytać, jeśli łaska, gdzie pan chciał jechać?

— Ja jadę do miasta, słyszałam, że tam inteligentne ludzie są wygłodzeni, pomogę im z serca, z miłosierdzia, po co mają cierpieć przez czyją ciemnotę.

— Bardzo przepraszam, bez obrazy, ale do miasta przepuszczony pan nie będzie.

— Co za bezczelność!

— Nie bezczelność, tylko cała wieś złożyła sobie obietnicę wstrzymać się ze sprzedażą, żeby były uznane prawa chłopów.

— Ja z dziadami nic nie mam wspólnego! Sam zarobiłem własnym rozumem i staraniem, mogę zrobić z tym, co mi się podoba, mogę to sobie potopić w Sanie, jakbym miał zachciankę, i nikomu nic do mojej ochoty.

— Pan do miasta przepuszczony nie będzie!

— A właśnie że tak!

— A właśnie że nie!

Puciak uniósł się na siedzeniu, spojrzał z góry na Pasternaka, spojrzał na Grabonia i zakrzyczał groźnie do niego:

— Wy tam lepiej zmitygujcie tego swojego kompana, bo inaczej może być z wami źle.

— A wasza kobieta, co w każdy drugi rok chodzi brzuchata, może bez męża zostać, jak mąż jest zanadto przemądrzały — odezwała się Puciakowa niskim, gruchającym, obojętnym głosem.

Graboń nabrał oddechu w płuca i powiedział krzywiąc wargi niby w uśmiechu, jednym tchem, prędko, nie po swojemu:

— Pan mi nic nie będzie rozkazywał. My tu z Pasternakiem trzymamy straż.

Puciak popatrzył na niego tak, że z pewnością, gdyby mógł, byłby go swoim wzrokiem oparzył od stóp do głów.

— ...Ty, ty, ty... taki synu! Jeszcze będziesz prosił na klęczkach, żebym ci pożyczył konia! Niech twoje dzieci się u mnie do pasionki nie pokazują, bo im krzyże przetrącę, żebrakom!

Szarpnął lejcami, lecz Graboń z Pasternakiem chwycili konia za wędzidło przy pysku. Puciak z rozmachem przejechał po nich biczyskiem, uchylili się jednak, tylko czapki muśnięte cienkim rzemieniem plasnęły jedna w sekundę za drugą w kurz. Puciak podciął konia, klacz od chwili już strzygąca niespokojnie uszami skoczyła naprzód, przysiadła na zadzie, wyrywając się stanęła dęba. Graboniowi uwieszonemu u jej pyska nagle ubyło gruntu pod stopami, zawisł w powietrzu niczym rzodkiew siłą wydarta z grządki, równocześnie usłyszał gdzieś w dole ogłuszający trzask, zrozumiał, że pękł dyszel i odrzucony padł tuż koło rowu. Z trudem podźwignął się, obejrzał. Puciak mocował się z klaczą, miotająca się w zaplątanych postronkach, z przewróconego na bok wasążka gramoliła się, złorzecząc w niebogłosy jego żona tak cała obsypana mąką, jakby się w niej dłuższy czas tarzała z upodobaniem, Gęś uwolniona z koszyka usadowiła się na środku drogi. Wyciągnęła daleko w tył za siebie łapy, spętane razem i bez przekonania próbowała dosięgnąć dziobem zielono-złocistych renklod wysypanych widocznie z którejś kobiałki.

— Ja tu sprowadzę policję! To rozbój, rabunek — ryczał Puciak raz grubym, raz cienkim głosem.

Od wsi nadchodzili ci dwaj, którzy zmienić mieli Pasternaka z Graboniem na posterunku strajkowym.

II

Wkrótce po wschodzie słońca Graboniowa, pognawszy starszych synów do pasenia krów u ludzi, wybrała się na grzyby do księżowskiego lasu. Wprawdzie ksiądz proboszcz nieraz wyzywał z ambony tych, co szukali grzybów w jego lesie i nazywał ich największymi grzesznikami, ale jakoś nie zdołał w ten sposób skruszyć ludzkiego sumienia. Bo przecież kanonik ani siał te grzyby, ani je okopywał lub plewił naokoło nich. Były niczyje, były boskie i ludzkie. Co roku Graboniowa roiła sobie, że uzbiera dużo, dużo prawdziwków, ususzy, sprzeda i będzie choć na buty dla Cześka. Lecz nigdy nie udawało jej się aż tyle ich znaleźć i zimą Graboń znowu nosił syna na plecach do szkoły, bo niepodobna przecież boso stąpać po śniegu, choćby potrafiło się biegać jak najprędzej.

Kiedy Graboniowa wróciła, miska po zalewajce stała opróżniona, a Łucek zabawiał Basię naśladując po kolei różnych ludzi ze wsi. Mała siedziała wyprostowana na podłodze koło pieca i zanosiła się od śmiechu. Łucek udawał właśnie Bochnacką, kiedy sypie pszenicę kurom, wskazując im, gdzie powinny wyszukiwać ziarna w piachu, nieomal sama z nimi dziobie, aby się nie zmarnowała nawet połówka ziarnka.

— Tata zjadł i poleciał — Łucek oznajmił matce niepytany.

— Jak poleciał? Skrzydła mu przez noc urosły, czy co? — zdenerwowała się Graboniowa.

— Mają zebranie w betoniarni — chłopiec stropiony zachmurzył się.

— Co mnie to obchodzi! Skaranie boskie z tym chłopem, polityka padła mu na rozum. Przez to wygubi całą rodzinę.

Łucek odsunął się od matki. Usiadł cicho obok Basi i dopiero po chwili odezwał się z godnością:

— Tata jest ludzki.

— Co ty tam wiesz o ludzkości.

— Tata nie bije mamy, zadba o dzieciaki.

— Widzicie, ale się mądruje! Filozof! — zadrwiła Graboniowa, ale już niezbyt ostro, bo w głębi serca czuła, że syn ma rację.

Ona sama najbardziej lubiła męża za tę jego łagodność, za to, co inni nazywali ospałością. Sąsiadki mówiły jej na złość, dokuczały:

— Nie bije cię, bo się rządzi na twoich dwóch morgach. Jeszczeby śmiał ci ubliżać...

Ale Graboniowa wiedziała dobrze, że Jędrzej nie poniewierałby jej, nawet, gdyby ją wziął w jednej chustce na głowie. Był już taki niezaczepny, dla człowieka ustępliwy, dla stworzenia życzliwy, niemowny.

Nie wypominał jej, jak inni, kiedy czuła znowu, że nie jest sama. To raczej ona przeklinała to nie urodzone, aż dopiero kiedy znalazło się na świecie, maluchne, bezradne i wargami zaczynało szukać naokoło, ciepłe łzy czułości podpływały do jej oczu, zawsze suchych, do płaczu nienawykłych, srogich.

I ostatnim razem leżała pewnej nocy nieruchomo na wznak, jak nieżywa, pełna rozpaczy, zbuntowana przeciwko temu, co wbrew jej woli rosło, ogromniało w jej wnętrzu w nieodwołalnym zbliżaniu się ku życiu. Czuła się zbyt mała, aby podołać nowej olbrzymiej trosce, temu nowemu skąpieniu dzieciom, żeby pożywić jeszcze jedno.

Wtem Jędrzej, pozornie głęboko uśpiony, ujął ją delikatnie za mały palec u ręki, jakby to jeszcze były jej dziewczyńskie, narzeczeńskie czasy.

— No, no... — odezwał się szeptem. — Zobaczysz, że z tego dzieciaka będziemy mieli największą pociechę...

Przypomniała sobie teraz o tym, usłyszała znowu te słowa mówione tkliwie i raptem cały jej gniew na męża przetopił się w niepokój o niego. I taka jak już była popędliwa, namiętna, nieskora do skruchy, a jednak o sercu prędko rozpalającym się, powiedziała do syna:

— Chodź, Łucek, pójdziem z Basią zobaczyć, jak tam radzą w tej betoniarni.

Schodzili potem z góry ku wsi, a Graboniowa ze wszystkich sił starała sobie przypomnieć, kiedy się to wszystko zaczęło.

Nieraz już pytała siebie o taką rzecz, ale przedtem dociekała zawsze czegoś innego. Obliczała pracowicie w myśli, odkąd zaczęło bić w niej to drugie serce, ile czasu jeszcze ma przed sobą, nim nadejdzie godzina jej słabości. I teraz roztrząsała minione dni, porządkowała je po kolei według drobnych zdarzeń ledwo, ledwo od siebie się różniących, według zajęć i nieurozmaiconych trosk, wracała do nich raz jeszcze i jeszcze raz, wszystko po to, żeby dociec, kiedy w jej mężu to coś zaczęło się zmieniać.

Chyba jeszcze nie w ten wieczór przed Matką Boską Zielną?

— Pali się! — wpadł Łucek z wiadomością do kuchni, zaczerwienio-

ny, zdyszany. Zaraz wyszli przed dom, szarzało już mglistym zmierzchem pochmurnego dnia. Rozglądnęli się po niebie za łuną, lecz było wszędzie jednakowo spopielałe, nie rozdmuchane żadnym blaskiem. Słońce musiało dziś zajść ukryte w grubej pierzynie chmur, bo horyzont nie odcinał już teraz ziemi od nieba. Toteż pierwszy migotliwy punkt wydał im się raczej wschodzącą gwiazdką, niż czymś ziemskim. Chybotał daleko zielonkawy i zwodniczy, niczym latarka świętojańskiego robaczka. Wnet gdzieś niżej rozżarzył się drugi, czerwieńszy, bardziej równy, rozleglejszy. I znowu z boku wystrzelił ku górze niczym raca jeszcze inny płomień, aby nie gasnąć, ale rozpłaszczyć się. Przybywało ich coraz więcej, tańczyły to wyżej to niżej, tu i tam, każdy odmienny od drugiego, a jednak rozchwiane jednym rytmem.

I dopiero kiedy pachnące deszczem ciemności zakryły szczelną płachtą świat, świetlne ogniki wyolbrzymiały, przybliżyły się i rodzina Graboniów zobaczyła, jak każdy z tych najmniej dalekich mieni się językami wielu płomieni wykwitających pękami z różnych miejsc.

— Palą ognie po gromadach, bo jutro jest ludowe święto, palą ognie na pamiątkę i na cześć — półgłosem powiedział Graboń.

Do ogniska rozpalonego u nich w Łuninie Graboniowie przyszli spóźnieni. Było już po odczytaniu nazwisk poległych, po milczeniu na ich cześć i po odśpiewaniu poważniejszych pieśni. Jednak cienie uwijające się wokół ognia tak żwawo, że mogli to być tylko chłopacy, dorzucały raz po raz nowe pęki chrustu i badyli. Dzieci przykucnięte kręgiem wpatrywały się w żar lśniącymi oczami, z całych sił, oczarowane, tamujące oddech z zadowolenia. Objęte w pół dziewczęta kołysały się powoli, zawodząc łagodnie, ze smutkiem:

Rączkę mu podała,
Trzy razy zemdlała,
Bodaj by ja była
Kochania nie znała.

Potem pomilkły. Blask ognia czerwienił twarze jednych, a odbarwiał drugie. Znowu odezwała się któraś zupełnie inną rozwlekłą melodią:

Murarzyku, bezbożniku,
Zamuruj mi oczy,
Żebym tego nie widziała,
Jak on ujdzie w nocy.

Zrobiło się zupełnie cicho i wtedy wydało się Graboniowej, że podmuch miękkiego na słotę wiatru podjął nową nutę.

Obejrzeli się i inni. Nie wiatr nucił, ale przydmuchał od innego ogniska, tego z lewej strony nad strugą, piosenkę, którą śpiewali tamci dalecy, tak samo z pewnością wpatrujący się teraz w żar, tak samo rozkołysani i zamyśleni. Tutaj wydawała się tylko odzewem melodii bez słów, więc podchwycili ją i wskrzesili zwrotkami:

Jak ci przyjedzie, niech sobie siędzie,
niech mnie nie budzi,
bo ja i tak mam serce skruszone
od tych nieszczęsnych ludzi.

O, mój Jasieniu, o mój kochany,
oj, stała mi się szkoda,
miała ja miała parę wianeczków,
zabrała mi je woda.

Moja Kasieniu, moja kochana,
nie turbuj ty się o nie,
wiezę ja z sobą parę łabędziów,
popłyną one po nie.

Łabędzie płyną, wianecki toną,
a Kasienia się smuci,
a już mi ci się ruciany wianek,
a już mi się nie wróci.

„A już mi się nie wróci" przypłynęły z powrotem ostatnie słowa z prawej strony, od lasu. Widocznie dotarły do jeszcze jednej wsi i usłyszane potoczyły się dalej. Skupili się teraz bardziej, aby bliskością wzmocnić swoje głosy.

Dziwnie i jakoś pięknie było sobie pomyśleć, było poczuć, że ta rzewna melodia splotła teraz wiele gromad we wspólny krąg, jakby śpiewali ją nie każdy przy swoim ognisku, ale wszyscy razem wokół jednego olbrzymiego płomienia. A może płynęła dalej z gminy w gminę, z powiatu w powiat, na całą Polskę podawana z jednych ust chłopskich do drugich?

— Jędrzej! Wesoły! — zawołał ktoś z tyłu do Grabonia — a zaśpiewaj aż tak, żeby się poniosło do samej Warszawy!

— Chłop obabiony, dzieciaty, żeby śpiewał? Jak to wygląda? — żachnął się Graboń, kiedy i inni zaczęli na niego napierać.

— Albo to ja drużba na weselu, czy jak?

Dopiero kiedy Łucek bliski płaczu ze wstydu za upór ojca objął go oburącz za cholewę, Graboń zdjął kapelusz, opuścił luźno ręce, po swojemu skrzywił usta, nabrał powietrza w płuca i nagle zaśpiewał pełnym głosem, mocno:

Polowy bez głowy, karbowy nie widzi,
Pan Bóg ich pokarał za ubogich ludzi!
Pan Bóg ich pokarał za ubogich ludzi!

Żeby nie panowie, żeby nie ciarasy,
Byłoby nam dobrze za niedługie czasy!
Byłoby nam dobrze za niedługie czasy!

Samotny głos Grabonia niósł się dziko, donośny i rozległy na wszystkie strony świata.

Dziewczęta przysunęły się do ognia, jakby je nagły chłód ogarnął. Dalekie ognisko przygasające na górce strzeliło pękiem iskier ku niewidocznemu niebu. Dzieci odwróciły głowy i zagapiły się w Grabonia z podziwem.

Graboniowa zdumiała się niepomiernie. Nigdy nie słyszała tej pieśni. Ale Jędrzej, zanim się ożenił, był najpierwszym śpiewakiem w okolicy. Znał przyśpiewek bez liku, a jeśli mu której brakło na jakąś okazję, wymyślał sobie na poczekaniu. Śmiano się z niego na wsi, że prędzej się wypowie śpiewem niż mową.

Nazajutrz Graboniowie wzięli ze sobą tylko Łucka. Dla Miecia i Cześka cała wiosna i lato, dopóki można było wyganiać bydło, upływały bez święta.

— Krowy nie świętują, twój brzuch nie świętuje, jakim prawem ty masz świętować — lubił powtarzać Puciak do swych pastuchów i za każdym razem krztusił się od śmiechu, jakby te sentencje dopiero co sobie wymyślił, a nie wypowiadał je od lat każdej niedzieli.

Graboniowa zaniosła do sąsiadki Baśkę razem z kluczem do drzwi chałupy. Tych kluczy leżało na okapie komina aż trzy, a w kuchni roiło się od dzieci.

— Ochronkę u mnie zrobili, do czego to podobne! Przez to, żem kulawa, nie zajdę w piechty do Jarosławia, to już mam pełzać z dzieciarami po klepisku — gderała Wilkowa tak prędziutko, jakby nie chciała się dać nikomu przegonić. Ale Graboniowa dobrze wiedziała, że sąsiadka tak się tylko skarży, bo wypada być honorową. Jednak z pewnością pochlebiało jej to, że przez cały dzień prawie zostawała gospodynią na czterech obejściach, a i dzieci powierzano jej z zaufaniem.

Wiele chałup było już zamkniętych na kłódkę, kiedy Graboniowie ruszywszy w drogę, wymijali je. Tylko w niektórych głowy dzieciaków szczelnie wypełniały okna, a kobiety, te, które jak Wilkowa pozostawały na swojej i cudzej gospodarce, wyglądały zza progów ciekawie, kto już poszedł dawniej, kto dopiero teraz się wybiera.

Dzień był dżdżysty, deszcz to kropił leniwie, to niepostrzeżenie przestawał, świat wydawał się niższy i ciasny przez mgły.

Szli z początku małymi grupkami sami swoi, znajomi pozdrawiający się wzajemnie przy spotkaniu, a potem idący już przeważnie obok siebie, w milczeniu. Gdzieś na przedzie huczała uroczyście trąba łunińskiej orkiestry, a uderzane o siebie talerze przytakiwały raz po raz blaszanym akordem. Im bliżej miasta, robiło się na szosie ludniej. Bocznymi drogami, czasem wprost na przełaj, skacząc przez rowy, przybywali starzy i młodzi. Było ich coraz więcej, jakby za ścianami słoty, zacieśniającymi świat, znajdowało się nieprzebrane mrowie ludzi tylko w jednym podążających kierunku.

Teraz piesi mogli iść jedynie skrajem, po obu stronach szosy, bo środkiem toczyły się furmanki. Wlokły się noga za nogą, ponieważ nie sposób już było się wymijać. Graboniowa, kiedy się obejrzała, widziała wąż furek, półkoszków, wasążków, nawet bryczek, nie kończący się niczym tabory jakiejś olbrzymiej armii. Wił się poprzez wszystkie zakręty drogi, hen daleko, i znikał dopiero wraz z nią za odległym pagórem.

Koło ogrodu miejskiego w Jarosławiu Graboniowie odłączyli się od swojej grupy.

— To defilować nie pójdziecie? — zawołał za nimi Pasternak.

— Co my to wojsko, żeby defilować? My tu przyszlim obejrzeć sobie to święto ludowe — odpowiedział Graboń wymijająco.

Ruszyli ku błoniom, z trudnością przepychając się przez ciżbę. Ojciec musiał wziąć Łucka na ramię, bo by go drudzy mogli zadeptać.

Dotarli do początku błoń, kiedy tłum przed nimi zaczął się kołysać, chwiać, napierać na siebie, i w końcu rozstępować. Niespodziewanie ukazały się tuż blisko końskie łby.

— Co tam się stało, co tam? — dopytywali się ludzie, stojący bardziej z tyłu.

— Banderia idzie w pochód — odpowiedzieli bliżsi.

Przodem, na niewielkich, zręcznej budowy, siwej maści konikach jechało dwóch młodych chłopaków. Cholewy i daszki od kaszkietów mieli tak wyglansowane, że odbiłyby nawet blask pół pełni księżyca.

Spoglądali niby to obojętnie a zuchwale, zaraz było można poznać kawalerów z fantazją, którzy nie czekają na zaczepkę, ale pierwsi rozpo-

czynają, jeśli im się zechce. Każdy przyciskał ostrożnie do boków drążki połączone w górze szerokim pasmem zgrzebnego płótna, bielonego wiejskim sposobem na słońcu. Zieleniły się na nim kształtne litery wyszyte włóczką. Kawalerowie prowadzili konie równym stępem, jak na paradzie, mocno trzymali kijki, z uwagą, żeby transparent się nie przekrzywił. Rzeczywiście, nad głowami tłumu majestatycznie płynęły jedno koło drugiego porządnie uszeregowane słowa:

„Żądamy uznania praw chłopów — współgospodarzy Polski!"

Napis prowadził zastępy konnych.

Graboniowa nigdy nie widziała tylu koni naraz, nawet wtedy, kiedy przyjechał biskup i była jako dorastająca dziewczynka bierzmowana.

Czwórkami szły stępem gniadosze, bułanki, kare, młode klacze płochliwie stulające uszy i wiekowe wałachy, których żaden tumult nie zdołałby wyprowadzić z równowagi, szły konie z bujnymi grzywami zaplecionymi w warkocze i inne, z ogonami podciętymi z fornalska, kobyłki wypasione lub szkapy zupełnie kościste.

Jeźdźcy też byli rozmaici. Tylko w pierwszych szeregach posuwali się tacy, którzy siedzieli w siodłach. Inni podłożone mieli derki, a byli i tacy co kolanami obejmowali boki zwierzęcia niczym nie przykryte.

Graboniowej zmąciło się w oczach od tylu przesuwających się twarzy. Z początku wszystkie wydawały jej się obce, potem nagle każda miała w sobie coś znajomego. Stała z zadartą głową, za nią sapał Łucek na ramieniu męża, a kopyta koni tłukły o ziemię ustokrotnionym łomotem.

W samym środku konnego pochodu nadjeżdżał ktoś, na kogo wszyscy patrzyli. Był to chłop ogromnej postawy, o włosach siwych jak biała sól i twarzy ogorzałej tą czerwonawą barwą, właściwą obliczom ludzi niemłodych, która nie blednie nawet w ciągu najdłuższej zimy.

Starzec trzymał w dłoni drzewce sztandaru. Wiatr otulał uporczywie zieloną płachtę wokół drzewca, choć konny usiłował rozwinąć chorągiew. Wreszcie stary pochylił sztandar prawie poziomo i natychmiast poderwał go ku górze. Materia rozpostarła się z łopotem na całą szerokość. W mdłym, szarawym powietrzu zazielenił się niby łąka kawał przestrzeni i błysnęło coś na nim złociście. Stary podniósł sztandar jeszcze wyżej. Na falującej murawie sukna świeciła wyhaftowana kosa sztorcem do góry postawiona.

— Dużo chłopa, dużo chłopa... — odezwał się za plecami Graboniowej jej mąż, ni to do niej, ni to do siebie, z jakimś przeogromnym zdumieniem.

— A coście myśleli, gospodarzu, żeście są sam jeden na świecie w Łu-

ninie Dużej? — zaczepił go z boku ktoś o twarzy dziobatej i tak bladej, jakby dziury po ospie, drobne i gęste, wyciśnięte były w białym papierze. Uśmiechał się życzliwie. Graboniowa przypomniała sobie, że przecież zna tego człowieka. Był to rymarz z jarosławskiego przedmieścia, którego widziała czasem, jak odwiedzał Pasternaka.

I teraz, kiedy schodziła z Łuckiem i z Basią ku betoniarni, rozpamiętując po kolei wszystko, co działo się przed pięciu dniami, nagle rozjaśniło się jej w głowie. Zrozumiała, że już wie to, co przedtem nie mogła sobie obliczyć. To coś musiało się obrócić w Jędrzeju, przemienić na inaczej, właśnie wtedy na błoniu, kiedy zdziwił się tak bardzo mnogością chłopów. Bo potem poszedł jednak maszerować razem z innymi w pochodzie, chociaż przedtem nie miał tego zamiaru. I razem z innymi przystąpił do strajku.

Koło betoniarni nie było słychać gwaru ludzkich głosów. Graboniowa pomyślała, że Łucek widocznie coś poplątał.

Ale zebranie rzeczywiście odbywało się. Ludzie porozsiadali się na trawie licznie jeden koło drugiego i wyciągali szyje wszyscy w tym samym kierunku.

Za kręgiem stojących przemawiał ktoś niewidoczny, wolno, mocnym, znajomym głosem:

— Do bicia się brał, chciał po nas pociągnąć biczyskiem, aleśmy uskoczyli w bok, to groził policją, straszył — ciągnął głos zaczęte przedtem opowiadanie.

— Ja dlatego o tym, żeby dać dowód, kto sobie lekceważy wolę ogółu, komu strajk niepotrzebny, bo sam sobie panem, owszem powodzi mu się. Więc my obaj z Pasternakiem jako naoczni świadkowie ostrzegamy, żeby jeszcze bardziej wzmóc uwagę, bo są tacy, co się nawet nie wstydzą przebrać za kobiety, byle ominąć strajk. A my wszyscy stoimy za strajkiem twardo...

— Ale się Wesoły rozgadał — powiedział ktoś za plecami Graboniowej, akurat wtedy, gdy tamten przemawiający umilkł. I dopiero kiedy już nie było słychać jego głosu, Graboniowa zdała sobie sprawę, że owym nawołującym za strajkiem jest jej własny mąż.

Nie poznała przedtem jego mowy, pewno dlatego, że nie zwykł odzywać się dłuższymi zdaniami. Nawet jeśli się z kimś spierał, to niewieloma słowami.

Za chwilę ponad głowami innych ukazała się owalna niczym orzech włoski, prawie zupełnie łysa czaszka. Widocznie Malczyk z betoniarni musiał wspiąć się na coś wyższego.

Bez pośpiechu nałożył okulary i rozpostarł kwadratowy arkusz pa-

pieru. Oba krążki szkła w drucianej oprawie były gęsto popękane, aż bezcelowe wydawało się zakładanie ich na oczy. Mimo to jednak Malczyk zaczął czytać, choć wolno, lecz wyraźnie wymawiając każde słowo z osobna:

„Piętnastego sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku lud polski dowiódł, że się więcej oszukać nie da! I dlatego milionowe masy chłopskie nie ograniczyły się tym razem jedynie do demonstracji, ale przystąpiły do strajku powszechnego z żądaniem wolności na ustach. A wolność znaczy dziś..."

Robotnik przerwał, podniósł zmiażdżone okulary pod światło, założył je na czoło, aby mówić dalej, nie patrząc na ulotkę, z pamięci:

„A wolność znaczy dziś: rozwiązanie sejmu mianowańców i rozpisanie nowych demokratycznych wyborów. Wolność znaczy dziś: zlikwidowanie zakały Polski — obozu koncentracyjnego w Berezie, wypuszczenie wszystkich więźniów politycznych. Wolność i niepodległość znaczy dziś usunięcie od rządów Becka i jemu podobnych agentów Hitlera, zerwanie paktu z Hitlerem, wejście Polski do bloku państw pokojowych".

Od monotonnego głosu Malczyka, od tych bardziej zrozumiałych i mniej zrozumiałych słów, wymawianych zwyczajnie, niezbyt głośno Graboniowej zrobiło się ciepło w dłonie i zaczęło ustępować z jej serca nieznośne uczucie ucisku. Dopiero teraz zdała sobie sprawę prawie ze zdumieniem, że od wczorajszego wieczora, odkąd Jędrzej odszedł, twarz jej była ściągnięta tak, jakby skóra nadmiernie się skurczyła, a teraz wygładzała się z powrotem.

Poszukała wzrokiem męża. Wszędzie naokoło ludzie porozkładali się na trawie wygodnie, jakiś krępy mężczyzna podparłszy się łokciem patrzył przymrużonymi oczyma gdzieś przed siebie, jakiś młody chłopak obgryzał z chrzęstem kaczan kukurydzy, drugi koło niego oskubywał nieuważnie stokrotkę. Mogłoby się wydawać, że nie na wiec tu przyszli, lecz na niedzielną majówkę, albo tak sobie odpoczywają spokojnie w gorące popołudnie późnych Zielonych Świąt.

W powietrzu stała nieruchomo wielka cisza, uwięziona między ziemią roniącą już świeżość swej zieleni, a taflą nieba chłodniejącego barwą późnego lata.

Po wsiach rozlał się ów niezmierny spokój jesieni, kiedy słychać samotne zawodzenie piosenki pastuszka z najdalszego ścierniska i wydaje się, że bezkresny świat jest otwarty na przestrzał, aż można by usłyszeć głosy i dźwięki z krajów najbardziej odległych, z półkul nieznanych, nawet do wyobrażenia trudnych.

Graboniowa dziwiła się sama sobie, po co się tak bała dotychczas, dlaczego kłopotała się, krzyczała na męża, straszyła dzieci? Przecież nie stało się nic przerażającego, za kilka dni strajk się skończy, wszyscy żyją, a w takiej ciszy, łagodności i spokoju cóż by się komukolwiek miało złego przytrafić.

Raptem w to błogie poczucie bezpieczeństwa wtargnął sygnał samochodowej syreny, melodyjny niczym pozytywka. Brzmiał czysto i niefrasobliwie, bynajmniej nie ostrzegawczo. Lecz zaraz potem o pół tonu za tamtym pierwszym zaczęły wyć przeraźliwie klaksony aut hałaśliwym alarmem, drażniącą zapowiedzią, groźbą nadpływającą coraz bliżej i straszniej. Fala tych rozdzierających tonów pęczniała w czystym powietrzu, zbliżała się, coraz trudniejsza do zniesienia. Graboniową zapiekło serce i od razu ochłodło, poczuła pot na czole, a jej wargi zrobiły się zimne. I odtąd na zawsze w niej już pozostało to przerażenie, ziębiące serce na odgłos samochodowej syreny. Latami, latami, ilekroć zabrzmiał głos klaksonu, Graboniowa nieodmiennie czuła falę gorąca ogarniającą jej głowę i lodowaty chłód na ustach. Warkot motorów, zgłuszony dotychczas przez syreny, zaczął im akompaniować złowrogim, natężającym się mruczeniem. Wreszcie zza zakrętu wypadł niewielki motocykl. Podskakiwał na wybojach, terkotał, lekki, niegroźny, zwyczajny. Z tyłu na siodełku trząsł się rosły człowiek w granatowym mundurze i w pasie świecącym sprzączkami. Człowiek wydawał się przygniatać swym ciężarem motocykl, ponieważ okraczając nogami niczym kucyka zasłaniał swym ciałem motor prawie tak zupełnie, aż mogło się wydawać, że płynie grzechocząc wprost przez powietrze tuż nad ziemią, jak czarownica na miotle w drodze ku Łysej Górze.

W chwilę po motocyklu ukazała się pierwsza ciężarówka, druga, trzecia i siódma aż do dwunastej, wszystkie w równych odstępach od siebie. Nabite granatową ciżbą mężczyzn posuwały się naprzód w huku silników, w ryku syren.

Kierowca motocyklu ostro zahamował na przeciw betoniarni i wbiwszy nogi dla równowagi w ziemię znieruchomiał. Karabin na jego plecach rozchybotał się i uspokoił. Wysoki zlazł niezdarnie i obrócił się naokoło swej osi, po czym, widocznie spostrzegłszy krzak bzu, ułamał zeń gałązkę.

Samochody ciężarowe zatrzymywały się teraz jeden za drugim, lecz nikt nie wychodził z ich wnętrza. Pudła tkwiły nieruchomym sznurem pośrodku drogi, nie przestając trąbić przeraźliwie. Wreszcie zwalisty mężczyzna machnął ku nim ułamaną witką. W mgnieniu oka z wozów

zaczęli wyskakiwać policjanci, było ich kilka setek. Błyszczący sprzączkami dryblas nieznacznymi ruchami liściastego patyka komenderował nimi składniej niż dyrygent orkiestrą. Skinienia następowały po sobie coraz prędzej. Na następne posterunkowi ustawili się biegiem w trzy szeregi, na późniejsze stanęli na baczność, jakby prezentując broń. Zamarli w tym geście na moment w bezruchu, a potem powoli ruszyli naprzód ku betoniarni.

Graboniowa cofała się krok za krokiem w bok, nie mogąc oczu oderwać od tych, co się zbliżali. Szli miarowym stąpaniem, wyrównanymi tyralierami, sztywni, opancerzeni w jakieś blachy na piersiach. Wydawało się, że wszyscy pozbawieni są twarzy, tak głęboko ich czaszki wepchnięte były w hełmy. Rozrastali się w oczach, nie podobni ani do ludzi, ani do żadnego stworzenia, nie z ciała i krwi, ale z ołowiu czy żelaza, jacyś nakręceni, straszni.

— Zabiją, na śmierć zabiją! — zakrzyczał ktoś okropnie koło betoniarni. Graboniowa zobaczyła, jak spomiędzy tłumu wyrywa się starszy Bochnacki i ucieka w pół schylony, trzymając się za głowę, jakby zasłaniał się od chmary goniących go os. Za nim, na czworakach pomykał ktoś drugi, dalej poznała Graboniowa wójta Bilińskiego, szwagra Puciaka, który chyłkiem uchodził, oglądając się za siebie z przestrachem.

Tyraliery posterunkowych dochodziły już do łączki przed betoniarnią.

— Ludzie! Ludzie, trzymajcie się kupą! Nie cofać się! Stać w miejscu! Oni chcą naród zastraszyć! — odezwał się ciężki, donośny głos Malczyka.

Graboniowa mogła już rozpoznać twarz komendanta nabrzmiałą szarością jak zakalec w niedopieczonym chlebie i jego bardzo czerwone usta. Postępował na skrzydle pierwszego szeregu beztrosko wywijając gałązką, on jeden jedyny bez hełmu, w granatowej czapce, z paskiem pod brodą.

Komendant śmignął witką z góry na dół. Policjanci na ten znak natychmiast obrócili karabiny kolbami naprzód.

Przez tłum przeszedł szmer wzbierający w jęk, z samego dna serca, ale nikt już nie uciekał. Który z granatowych uderzył pierwszy, Graboniowa nie wiedziała, może zresztą natarli wszyscy razem. Na gest złowieszczej gałązki chrupnęło coś miękko.

— O la Boga, la Boga! — zawył cienko czyjś głos. Kaczan kukurydzy wytrącony komuś z dłoni zatoczył łuk i upadł daleko. Graboniowa spostrzegła naraz twarz o rysach roztopionych w krawej miazdze,

twarz, która drgając posuwała się tuż nad trawą. Widocznie granatowy musiał zdzielić kogoś, nim ów zdążył się podnieść z ziemi.

Trwało to wszystko niesłychanie długo, albo bardzo krótko, nie wiadomo. Nie wiadomo, w jakiej chwili zaczęły lecieć w powietrze słowa krzyczane głosem młodym, bliższym w brzmieniu chłopięcej mutacji, niż męskiemu basowi.

— To wstyd i hańba, hańba i wstyd, żeby Polak bił Polaka! Przecież my nie idziemy na rabunek, tylko chcemy polepszenia!

Głos zachłysnął się, lecz zaraz dokończył okrzykiem:

— Polepszenia dla wszystkich!

— Wy, skurwysyny, w fosie wam się polepszy, jak tam zgniją wasze kości! — zaryczał komendant tubalnie, a jedne słowa dziwnie zlewały się w jego ustach z drugimi.

— Widłami w policję! — zawołał ktoś spoza innych dziko. W tej chwili Graboniowa zobaczyła tego, który przedtem musiał krzyczeć o wstydzie i hańbie. Stał o krok przed innymi, rumiany chłopak, bosy, z rozczochranym czubem wysuniętym spod czapki. Przez ramię przewieszone miał wydeptane trzewiki, związane sznurowadłami. Nie trzymał w ręku żadnego narzędzia, z pewnością to nie on nawoływał do porwania się z widłami na policję. Lecz schylił się, zagarnął obiema pięściami piach z sypkiego kopczyka i sypnął strugi złotego pyłu prosto w oczy granatowych z rozmachem, z całych sił, zuchwale, po dziecinnemu. Klasnęło coś sucho raz, dwa, trzy, cztery. Chłopak stanął na palce, jakby się wspinał, podniósł dłonie jeszcze wyżej, wydawałoby się przedłużając tamten gest rozsypywania na wiatr grudek ziemi, i z twarzą rozjaśnioną prześlicznym uśmiechem runął smolistym czubem naprzód w trawę.

Komendant uważnie oglądał rewolwer. Zielona gałązka znikła bez śladu z jego dłoni. Policjanci zatrzymali się zwróciwszy hełmy ku ciału leżącego na trawie. Wysoki krzyknął coś ku nim gardłowo, niewyraźnie. I od razu jego wrzask przemienił się w setki głosów, ryczących obelgi i pogróżki. Nie bardzo ludzkie postacie w półkulach blachy zamiast głów, poruszające się jak nakręcone i dotychczas milczące śmiertelnie, nieme, wydawały ze swego opancerzonego wnętrza okrutny ryk, od którego dreszcz pełzł po kręgosłupie.

— Mama, mama, Basię nam zabiją, Basię — szarpnął Łucek Graboniową za spódnicę. Oprzytomniała, chwyciła go mocno za rękę i choć tupiąc nogami, opierał się z całych sił, pociągnęła za sobą w ucieczce.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że Basia już od dawna płakała w niebogłosy na jej ręku.

Biegli co tchu pod górę ku domowi, a za nimi pełzły, jakby chciały ich dogonić, dzikie wrzaski policjantów.

Dopadłszy chałupy skulili się wszyscy troje w kącie za piecem. Graboniowa nie musiała tłumaczyć dzieciom, czuły same, że może owego okopu z gliny kule nie przebiją, że może ten wał osmolony i zwyczajny odgrodzi ich od śmierci. Przycupnęli tam na bardzo długo, Basia pochlipywała, Łucek trzymał ją mocno za nóżkę, cały zesztywniały, a Graboniowa wciąż nie wiedziała, czy to ryk poza ścianami domu naprawdę nie ustaje, czy też brzmi ciągle dalej jedynie w jej uszach.

Wreszcie Łucek niepostrzeżenie pokatulał się pod okno. Skoczyła na klęczkach, żeby go odciągnąć, ale kiedy spojrzała na sekundę przez szybę, znieruchomiała tak na kolanach, nie mogąc oczu oderwać od tamtego.

Przez gruby kwadracik szkła widać było z góry całą wieś na poprzek. Kontury chałup wydawały się bledsze w przedjesiennym zamgleniu, ogrody zaczynały żółknąć, brunatnieć, rumienić się, liliowiały przy płotach pierwsze astry, najtańsze kwiaty jesieni.

Tyle razy, w każdym dniu wszystkich lat oglądany widok, najbardziej znajomy krajobraz życia Graboniowej, tak spowszedniały, że prawie już nie spostrzegany, przecięty był teraz czymś niepojętym, ruchomym, wijącym się niby żmija szeregiem granatowych ludzi, tratujących tyralierą na przełaj złocistość ogrodów, szarawe krechy opłotków, oliwkowość zagonów. Posuwali się poprzez wszystko łamiąc co chwila linię, kiedy któryś się tam gdzieś zapóźnił i wyrównując ją znowu. Nurkowali w obejściach, wychylali się z przeciwnej ich strony, deptali grządki nawet tam, gdzie ścieżka była tuż obok, omijając furtki zwalali parkany, na płask tłukąc po nich butami.

Nigdzie nie było widać żywej istoty, szeregi policjantów przesuwały się przez wieś, która wydawała się od dawna wymarła.

Naraz Graboniowa spostrzegła człowieka. Była to stara kobieta. Siedziała wcale blisko na progu chałupy przed pasieką, pogodną twarz z przymkniętymi powiekami obracała ku światłu. Uśmiechała się łagodnie, poddawała czoło promieniom słońca, wydawało się, że nadsłuchuje brzęczenia pszczół zlatujących się do uli.

Graboniowa poznała babkę Agnieszkę, starą Pasternakową.

Głuchawa w starości i niedowidząca, szczęśliwa czuła się widocznie w ten niezwykły dzień, kiedy nikt jej nie potrącał, nikt nie usuwał gniewnie ze swej drogi, nie odbierał kubka, jakby nareszcie wszyscy o niej zapomnieli.

Może tego poranka zmogła ją ociężałość zmęczenia, bardziej obez-

władniająca niż kiedy indziej, dlatego do jej uszu prawie już bezużytecznych nie dotarł zgiełk okrutnych wydarzeń, a jej oczu niepatrzących nie mógł przerazić widok krwi i padających ciał.

Przepełniona błogością wytchnienia wygrzewała swoje ziębnące od starości ciało w cieple może ostatniego sierpnia swego życia.

Z której strony nadszedł policjant, Graboniowa nie zauważyła, jakby wykopał się prosto z ziemi niczym kret. Dostrzegła go, gdy stał już nad Pasternakową i oglądał ją jakby brodą, bo tylko ona była widoczna spod kasku. Musiał na starą krzyczeć, może ją o coś pytał w złości, lecz odrętwiała widać ze znużenia i miłego ciepła, nieprędko odwróciła ku niemu twarz rozmarzoną słońcem, przychylną. Wtedy granatowy strącił ją butem z progu jednym kopnięciem — starowina musiała być wysuszona jak listek dębiny i lekka. Przeszedł przez jej płaskie ciało, drobiąc dokładnie nogami, a rozpostartymi rękami pomagając sobie w utrzymaniu równowagi, tak jak stąpa się po kładce bez poręczy. Odszedł kilka kroków, pewno się namyślając, zawrócił, uważnie zaczął się przyglądać leżącej postaci, w widocznym dumaniu, czym by jej jeszcze dołożyć. Staruszka spoczywała już jednak nieruchomo, pokornym uśmiechem zwrócona ku niebu, nawet nie pokrwawiona, jakby wyschła w jej żyłach wszystka wilgoć.

Posterunkowy zniżywszy karabin bagnetem ruszył naprzód ku pasiece. Musiało go jednak stropić i zatrzymać przypomnienie o żądłach pszczół wylatujących w rozwścieczeniu z kolorowych domków, jeśli podziurawi się je ostrzem, bo zwolnił kroku, przystanął koło niewielkiej jabłonki dopiero w przeszłym roku posadzonej, wiotkiej i miłej. Wspiął się na palce, chwycił drzewko za czub, szarpnął raz i jeszcze raz z rosnącą złością na ten giętki nieprzewidziany opór, aż drzewko złamało się, zwisło, świecąc od połowy swej wysokości białą, żałosną raną odłupanej kory.

Z drugim drzewkiem poszło posterunkowemu łatwiej, pień pękł od razu, trzecie malutkie granatowy wyrwał po prostu z ziemi i zmiażdżył stopami, aby już potem wędrować od szczepu do szczepu, żadnemu nie darowawszy. Łamał, tłukł gałęzie kolbą, kłuł liście bagnetem to tu, to tam, uporczywie.

Graboniowej wydawało się, że ta straszliwa postać o niewidocznych rysach, ten granatowy upiór zniszczenia kaleczy i zabija bezbronne dzieci z przerażenia nie znajdujące sił do ucieczki. A może niektóre naprawdę uchylają się przed ręką mordercy, jak dzieci, które, choć obezwładnione okropnym lękiem, kryją się jedno za drugie, uskakując zbrodniarzowi z drogi?

Bo policjant nie druzgotał drzewek po kolei, rzędami, tak jak rosły. Podbiegał chwiejnie do czerniawej śliwiny, lecz nim ją dopadł, odstępował o pół kroku przed nią, aby rzucić się ku krępej gruszce, zmiażdżyć ją i omijając nie wiadomo dlaczego stojącą na jego drodze cieniutką czereśnię, walić kolbą bardziej odległe jabłonki.

Miotał się z furią w młodziutkim sadzie, taczał zygzakami od drzewka do drzewka, rozdając ciosy z przodu i w tył, czasem chybiając, kiedy indziej poprawiając jeszcze raz, choć szczep legł już na ziemi.

— Pijany — usłyszała Graboniowa za sobą zły szept Łucka. — Takiego tylko palcem trącić. Podejść z tyłu, wbić kozik w plecy, już by się nie pozbierał...

III

Owe: „widłami w policję", wtedy kiedy granatowi nacierali pod betoniarnią, krzyknął Jędrzej Graboń, choć żona nie poznała jego głosu. Krzyknął właściwie ze strachu. Patrzył, jak zbliżały się do przodu jeszcze niezbyt duże, mnogie figury, nabierały coraz większych kształtów, puchły, potężniały w żelazne zmory niosące śmierć. Graboń byłby pewno także uciekł śladem znaczniejszych we wsi, ale stał tak głęboko wbity w ciżbę, że nie mógł się ruszyć spomiędzy oblegających go ze wszystkich stron ciał. Czuł nieznośny ciężar w żołądku, dokuczliwy chłód w tyle czaszki zdawał się mrozić mu włosy i podnosić je do góry. Zanadto bał się, aby słowa Malczyka dotarły do niego jakimkolwiek uspokojeniem, jakąkolwiek ulgą. Pierwszy cofnąłby się, gdyby tylko mógł. A kiedy granatowi natarli w śmiertelnym milczeniu, kiedy chrupnęły kości, gruchotane kolbami, polała się krew i trysnęły w powietrze okrzyki bólu, Graboń najchętniej padłby na ziemię i udawał nieżywego, niechby go tratowali, ale żeby uszedł z życiem. Wszystko oprócz własnej śmierci wydawało mu się bez znaczenia, mdłe.

Odwrócił głowę, żeby nie patrzeć nigdzie i niespodziewanie spostrzegł z boku żonę z Baśką w objęciach i Łucka, który rozłożonymi ramionami starał się zasłonić matkę, choć sięgał jej zaledwie do kolan. Przerażenie Grabonia spotężniało w bezsilną rozpacz. Pomyślał, że nikt żywy stąd nie wyjdzie, pomordują wszystkich, bezwładnych, bezbronnych, zetrą na miazgę, zadepcą całe rodziny. Uszu jego doszedł ryk komendanta i wydał mu się ostatnim okrzykiem nadchodzącej zagłady.

I wtedy nim, osłabłym ze strachu, na wpół przytomnym, że chyba nie można bać się bardziej, szarpnęła myśl ostatecznej rozpaczy. Że

skoro i tak wszyscy mają zginąć, to jedynie może się uratować ten, kto będzie się bronił.

Nie zastanawiając się, krzyknął wezwanie do ataku.

A w chwilę potem Franek Michejło leżał u ich stóp przytulony policzkiem do skrwawionej trawy, nieżywy, a oni wszyscy, zwartą gromadą cofali się krok za krokiem w tył i grzmieli okrutnym wrzaskiem policjanci.

Graboń sam nie wiedział, kiedy przestał się bać. Może wtedy, gdy zobaczył, jak drgają plecy Franka, niczym u żywego człowieka przy tłumionych łkaniach, a nie w konwulsjach konania, u nic już nie czującego.

Skryli się za podłużny budynek betoniarni.

— Na Guczęby! Tamci z gór tarasują sztrekę, połączym się z nimi — dyszał Pasternak.

Puścili się chmarą biegiem ku drugiemu krańcowi wsi, w kierunku Guczęb. Z tyłu zabrzęczała jedna niespieszna kula, świsnęła druga, ospale, od niechcenia zadzwoniła jeszcze inna. Graboń obejrzał się i zobaczył, jak policjanci rozsnuwają szereg jakoś inaczej niż przedtem, na poprzek. Ludzie z Łuniny pędzili teraz bezładną kupą, rozproszeni w mniejsze grupki. Kto by chciał, mógłby się odłączyć, ukryć czy wrócić do domu. Nie czas było oglądać się na drugich.

Lecz Graboń biegł razem ze wszystkimi, czuł jak od pędu coraz bardziej głucho tłucze mu się w piersi serce i jak to serce w miarę uderzeń nabrzmiewa, robi się gorące od gniewu.

— Nie ma nikogo na sztrece, musi uciekli — zawołał ktoś z boku niespokojnym półgłosem. Rzeczywiście, tor kolejowy wydawał się pusty. Na nasypie łaciatym czarniawymi placami trawy wypalonej iskrami z lokomotyw, lśniły pasma szyn, sunących w dal blaskiem sinym i chłodnym.

Dopiero kiedy Graboń z innymi, rozczarowanymi okrutnie, zwolnił kroku, coś się oderwało od nasypu na wprost nich, zachybotało, uniosło w górę nad torem przypominając kształtem pognieciony kapelusz. Zaraz rzędem, gęsto jeden obok drugiego zaczęły się wysuwać zza wzniesienia toru kaszkiety, czapki lub zwyczajnie głowy. Zaczajeni ludzie wstawali z rozpłaszczenia na ziemi, podnosili się z klęczek i przeskakując szyny szli ku przybyłym ociężałym krokiem. Wielu przepasanych było na ukos płachtą albo przedartym workiem, rogami zawiązanym na karku, sfałdowanym w torbę na brzuchu, tak jak chłop przypasuje zwyczajnie płachtę z ziarnem, gdy wyrusza siać wiosną.

Inni rękami podtrzymywali sobie kieszenie, bardzo widać ciążące po obu stronach ciała, a niektórzy ściskali po prostu w dłoniach kamienie, nie mając ochoty się z nimi rozstawać nawet w tej mniej więcej bezpiecznej chwili. I w płótnach musiało być coś wcale nie tak sypkiego i złotego jak ziarno, z pewnością także kamienie nazbierane na szutrowisku między drewnianymi pokładami toru.

Graboń przysiadł na pochyłości. Zakręciło mu się w głowie od biegu, tuż nad nim jęczało żałośnie, bez wytchnienia, tajemnicze wnętrze słupa telegraficznego, ale Jędrzej czuł, jak w nim samym powoli opada wzburzenie, przed źrenicami kształty i przedmioty stają się z powrotem wyraźne, a słuch już zwyczajnie odróżniał dźwięk od dźwięku. Naokoło niego ludzie rozchodząc się i schodząc opowiadali sobie gorączkowo, bez ładu i składu o natarciu policji, o śmierci Michejły, albo każdy o sobie, co wtedy pomyślał, jak zamierzał się ratować i że trzeba było robić nie to, ale właśnie tamto. Wszystka ta mowa zachrypnięta, przerywana, tu płaczliwa, tam zadyszana od wściekłości, wydawała się teraz Graboniowi o wiele mniej straszna, niż tamto bezbronne, nieruchome stanie twarzą w twarz z niosącymi śmierć. I chociaż na rozum wziąwszy sprawę byli w tej chwili silniejsi wobec nadchodzących z karabinami tylko o te kosy, o widły, siekiery, o te toboły kamieni zgarnięte z nasypu, mimo to krtań Grabonia rozkurczyła się w uldze, a myśli porządkowały się bezpiecznie w głowie, już nie spłoszone, ale spokojniejące, ostygłe.

Tutaj, między tymi wszystkimi, zdecydowanymi nie ustępować, Graboń czuł, jak bezpowrotnie rozpada się w nim, rozwiewa owa rozpaczliwa bezsiła, co mu przed betoniarnią włosy postawiła na głowie i dusznością strachu zmąciła cały rozsądek.

Malczyk, razem ze starszym chłopem, owym niewielkim i czarno wąsatym, który przyprowadził wczoraj ludzi z gór, rozstawiali teraz grupy wzdłuż nasypu, przekładając coś sobie, chwilami nawet i gniewnie. Wreszcie musieli dojść do porozumienia, bo stanęli obok siebie ramię w ramię, a Malczyk ochryple zawołał:

— Obywatel dowódca Kasperski ma coś powiedzieć!

Wąsaty zdjął kapelusz, olbrzymią chustką otarł sobie dokładnie jedną skroń i drugą i odezwał się dudniącym, niskim basem, aż dziwne wydawało się, skąd tyle tego głosu bierze się w owej bądź co bądź niepokaźnej postaci.

— Obywatele, towarzysze! Tutaj na sztrece staje opór. Pokładziem się za wałem, pozwolim im podejść całkiem blisko i wtenczas hurra na policję!

— A jak przedtem położą nas kulkami? — zakrzyczał ktoś we wzburzeniu.

— Jak położą, nie będziesz żył, wojna to wojna! — rozjątrzył się w tłumie Pasternak.

— Obywatele, komu nie starcza odwagi, niech się zawczasu wycofa, bo tu muzyki nie będzie, tylko bitwa — ostrzegał Malczyk.

— Jak się blisko ich dopuści, nie zdążą wystrzelić, a my w nich z ukrycia kamieniami. Bić policję!

— Teraz się cofnąć, to tak, jak samemu podstawić zadek pod kije z dobrej woli, może jeszcze całować w rękę bez honoru?

— Zatłuką, rozedrą, jak się nie postawimy!

— O Jezu, krew się poleje znów!

— Ludzie, toż my robimy dobrze dla wszystkich, a nie tylko dla siebie.

— Co będzie, jak przełamią odpór?

Zrobiło się cicho po tym pytaniu postawionym rozwlekle, z rozsądkiem. Zrobiło się cicho i straszno. W dali, jakby w odpowiedzi klasnął niby z biczyska rewolwerowy wystrzał, suchy, przenikliwy. Lecz już Kasperski ciągnął dalej statecznym sposobem człowieka ważącego każde słowo, zanim je wypowie:

— Przy cmentarzu za Łuniną wartuje gromada Łowiecko i gromada Murawsko. Jak by my osłabli, nie dali rady, oni tam poczekają na policję w rezerwie. Do nich teraz pchnie się posłańców z zawiadomieniem: takie a takie u nas zapadło postanowienie. A jakie może być to postanowienie ogółu? Ja tak rozumiem, że kto chciał od nas uciec, to mógł, i już go nie ma między nami, krzyżyk mu na drogę. A ten, co został, to już chyba wie dobrze, że chodzi o walkę na śmierć i życie. Kto się krwi nie zlęknie, komu chłopska sprawiedliwość stoi przed oczami, a krzywda sercu dopieka, przyświadczy mojej mowie.

Nikt się nie ruszył z miejsca, tylko wzdłuż nasypu przetoczyło się westchnienie z piersi do piersi, głębokie westchnienie.

— Ja mogę pójść za łącznika do cmentarza— wykrzyknął ktoś w pobliżu Grabonia, wesoło, zadzierżyście.

Graboń odwrócił głowę. Przedtem, we mgle strachu i wściekłości wszystkie twarze wydawały mu się jednakowe, nie rozróżniał dzień w dzień spotykanego sąsiada od gospodarza, którego widział pierwszy raz w życiu. Dopiero teraz jedne oblicza nabrały kształtów znajomych na pamięć, drugie nieznajomych zupełnie. Tu i ówdzie między wiejskimi ludźmi Graboń spostrzegł nietutejszych. Domyślił się, że to robotnicy z Jarosławia, przybyli na zebranie do betoniarni, i prawie

równocześnie ujrzał wyraźne, głębokie dzioby na bladej twarzy tego, który zgłosił się na łącznika. Poznał owego rymarza ze święta chłopskiego sprzed tygodnia, spotkanego obok przejeżdżającej banderii.

— Zadanie łącznika, odpowiedzialność duża — mówił teraz Malczyk, z trudem starając się wykaszleć dławiącą go przy każdym słowie chrypkę.

— Jak się taki posłaniec dostanie w ręce policjantów, nie obroni go już nikt i nic. Kto to ryzyko podejmuje, musi tego mieć świadomość, towarzyszu Stolarski.

— Jak bym nie miał świadomości, to bym się nie podejmował — obruszył się dziobaty.

— No to, towarzyszu Stolarski, trzeba sobie dobrać jeszcze jednego obywatela z tej miejscowości, co by dobrze znał teren, we dwóch lepiej sobie poradzicie.

Stolarski widocznie wcześniej przypatrywał się Graboniowi niż Graboń jemu, bo nie rozglądając się, zagadnął:

— To się obydwa znowu widzimy w tej Łuninie jednej jedynej. Poszlibyście ze mną, obywatelu Wesoły?

— A czemu by nie? — odpowiedział Graboń i sam nie wiedząc dlaczego naprawdę się uśmiechnął. Może po prostu zrobiło mu się miło, że tamten zna jego przezwisko, jakby się od lat spotykali.

We dwóch okrążali potem wieś pętlą brzuchatą, ogromną, aby na pewno ominąć policjantów. I choć niebezpieczeństwo czaiło się przecież przed nimi, choć każdy szmer na ich drodze mógł być zapowiedzią czegoś być może najgorszego, Graboń złapał się na tym, że bardziej i ciągle nasłuchuje tego, co się dzieje za nimi, tam, gdzie zostawili towarzyszy. Zganił się za tę własną nieostrożność, kiedy zauważył, że i Stolarski ukradkiem ogląda się raz po raz, zamiast skupić całą uwagę na wypatrywaniu przeszkód.

Musieli szczęśliwie wyminąć szeregi policji, bo naokoło panowała bezdenna martwota, jakby ogrody niczyją nie były uprawiane ręką, pola sprzątnęły bezcielesne duchy, a w domach i zagrodach nigdy nikt się nie urodził, nie żył, nie umarł. Tylko w sadach za podmuchem wiatru plaskały miękko w trawę niedojrzałe papierówki i gdzieś w górze ponad wszystkim płakała kania, najżałośniejszym kwileniem błagając o słotę.

Przystanęli koło niedokończonego brogu, obaj tknięci postanowieniem tak jednoczesnym, że nie musiał się pytać o nie ani Graboń Stolarskiego, ani Stolarski Grabonia. Z pośpiechem wdrapali się obaj na piramidę ciasno ubitych snopków i przylgnęli do ich słomy.

Właśnie tyraliera granatowych postaci wysypała się z opłotków, ścieśniła się i ruszyła ku nasypowi. Postępowali jeden blisko drugiego, z karabinami wyciągniętymi przed siebie do ataku. A jednak szyk ich wciąż załamywał się to tu, to tam, wyrównywał się raz po raz i znowu prosta linia granatowych pękała. Bagnety rozcinały powietrze falistym zygzakiem, a figury w hełmach przebierały nogami wolniej i prędzej, nie do taktu, jakby znoszone wiatrem, chwiejne. Byli jeszcze dość daleko od toru. Ze stogu z góry wyglądali niby nieudolni tancerze, daremnie usiłujący utrzymać równowagę, gdy podłoga wiruje im pod stopami.

— Kaczki zaganiają! Ale się opili! — ze zgrozą i pogardą szepnął Graboń.

W tej chwili gdzieś na skrzydle tyraliery kilka granatowych postaci uniosło karabiny do twarzy. Czy padła komenda, czy nie padła, Graboń nie słyszał, wydawało mu się, że od razu zabrzmiała ta salwa, z daleka wątła, stłumiona przez przezroczystą przestrzeń. Powtórzyła się jeszcze raz i jeszcze bezładnym grzechotem, a dopiero echo rozgłosiło te dźwięki w głuchy huk. Od razu nasyp kolejowy poczerniał, zafalował od ludzi. Przeskakiwali szyny, biegli na spotkanie tyralierze w łączących się, to znów rozpadających gromadach, gdzieniegdzie zupełnie pojedynczo. Jedni trzymali oburącz kłonice, przed innymi sunęły błyszczące ostrza kos lub widły pruły powietrze. Niektórzy postępowali pozornie bezbronni, a tylko ich prawe dłonie zataczały miarowo łuki, a ciała co chwila przeginały się w tył w rozmachu. Graboń zrozumiał, że ci rzucają kamieniami, choć w odległości tej kamienie jakby się rozpłynęły, straciły wagę, kształt, tak że gesty chłopów tym bardziej wydawały się bezcelowe, żałosne.

Naprzeciw nich zatrzymała się tyraliera w falistym szyku zaklęsłości i wybrzuszeń. W chwiejnych blachach na piersiach załamało się, zamigotało słońce, karabiny znowu podniosły się ku hełmom i trzask salwy, teraz już donośny, rozsypał się wzdłuż kolejowego toru. Poprzez gromadki biegnących przeszedł jakby drżenie wstrząs, który jednych powalił na rżysko, innych zawrócił, a jeszcze innych pchnął naprzód. Teraz zwarli się idący ku sobie z dwóch stron naprzeciw, ci stalowi, jednakowi i lśniący, z tamtą ciżbą burą, potarganą, rozmaitą. Zmieszali się ze sobą, sczepili, skotłowali wściekle, tu i owdzie przewalając się po ziemi, gdzie indziej we wzajemnym uścisku ramion kolebiąc się na boki i szarpiąc.

Ponad głowami obracały się młynkiem kolby karabinów, spuszczane na czyjeś głowy.

Po niedługiej chwili ściernisko, pstrokate jeszcze niedawno i rozfalowane ludzkim rojowiskiem zgranatowiało jednolicie i zaczęło się uciszać. Graboń nie oglądał się na Stolarskiego, lecz czuł za swymi plecami zdyszany oddech rymarza, tak jakby tamten sam zmagał się w nierównym boju z pijanymi dryblasami.

Tam w dole na rżysku towarzysze walki stali się niewidoczni, musieli zostać zbici z nóg, powaleni. Zakryła ich płachta granatowych mundurów. Wnet rozrzedziła się ona, rozczłonkowała w postacie odrywające się od tamtej ciżby, aby rozłazić się po kilku ociężale, coraz to w inną stronę.

Niezbyt daleko od stogu Graboń spotrzegł dwóch posterunkowych. Posuwali się naprzód, noga za nogą, jeden koło drugiego, zgarbieni od wysiłku, jak para szkap przedzielona dyszlem. Każdy z nich jedną dłonią obejmował coś w tyle i wlekli to coś po ziemi uporczywie, raz szarpiąc, to znów przystając dla zaczerpnięcia oddechu. Zatrzymali się wreszcie na niziutkiej grobelce, gdzie trawa zieleniła się świeżo jasnym kolorem, bujną szorstkością, wciąż po wiosennemu, ponieważ tutaj grunt był podmokły, zaczynało się guczębskie mokradło.

Policjanci schylili się, ujęli z dwóch stron swój ciężar, unieśli, rozchybotali i z całych sił cisnęli poniżej grobli w trzęsawisko.

Graboń ujrzał, jak ludzkie, długie ciało, zwaliste i bezwładne zatacza łuk na tle niebieskiego nieba, zabielały nagie stopy, a kapota rozdarta na grzbiecie od karku po pas rozfrunęła się na obie strony niczym strzępy skrzydeł i postać utonęła w szmaragdowej powierzchni trawy. Policjanci przykucnęli na skarpce. Oburącz ująwszy karabiny za lufy poczęli na oślep młócić kolbami trawę poniżej swych stóp, tam gdzie musiał spoczywać ów rzucony przed momentem, niewidoczny, może dogorywający albo już nieżywy. Rozkraczeni i tłukący miarowo wyglądali z daleka pokracznie, trochę śmiesznie, jak stare baby ubijające masło, a jednak Graboniowi od tego widoku zrobiło się sucho w gardle.

— Trzeba przy cmentarzu zrobić barykadę — odezwał się głucho, nie rozwierając szczęk Stolarski. Z całej siły pociągnął Grabonia za rękaw. Jędrzej zobaczył, że na czole rymarza tuż pod nasadą włosów dziobate dołki po ospie wypełnione były wilgocią potu.

Prędko potem szli, podbiegali co chwila nie oglądając się za siebie. Mijane teraz obejścia, tak dobrze znane Graboniowi, bo przecież sam tutaj mieszkał na górce, wydawały mu się nie te same, zmienione. Nie zatrzymując się, przeszli obok jego własnej chałupy i dopiero koło zagrody sąsiada Graboń zawahał się. Na podwórku, przylegającym do jego obejścia zobaczył wóz. Zawrócił z pośpiechem, zaczął od nasady

dyszla odczepiać orczyk. W tej chwili z chałupy Graboniów wypadł Łucek, w mgnieniu oka przebiegł podwórze, stanął przed ojcem czerwony, z uniesionymi do góry brwiami. Powiedział grubym, prawie dorosłym głosem, gorączkowo:

— Tata, tatka, babkę Agnieszkę jeden policjant zadeptał na śmierć!

— Mama... gdzie? — groźnie zapytał Graboń.

— Mama... — Łucek popatrzył w stronę domu, kiedy właśnie na progu stanęła Graboniowa z Basią, która spała w jej objęciach. Dostrzegła męża, ale nie zrobiła ani kroku. Wygięta od ciężaru dziecka, tak że jej brzemienność zaznaczała się jeszcze silniej, bez słowa patrzyła w twarz Grabonia, a oczy żony takie zawsze niebieskie, przejrzyste, wydawały się teraz zupełnie czarne, matowe, niczym źrenice śmiertelnie chorego zwierzęcia.

Graboń przypomniał sobie, jak Pasternak nie ustąpił nawet rodzonej matce.

— Nie pójdę do niej, zapłacze, przytrzyma mnie, nie da odejść — myślał prędko, a serce w jego piersiach kurczyło się coraz mniejsze, malutkie, niczym jabłuszko przypiekane w popiele. Wziął orczyk na ramię i cofnął się ku Stolarskiemu. Lecz rymarz popatrzył na niego z naganą.

— Towarzyszu, obywatelu Graboń, do czego to podobne, żeby nie powiedzieć dobrego słowa swojej kobiecie, jakżeż tak można nie dodać otuchy, jak kobieta jej spragniona?

Graboń z ulgą zawrócił. Nachylił się ku żonie i powiedział jej szeptem, tak aby nie zbudzić córeczki:

— Jakby była dziewczyna, trzeba ją nazwać po tobie Marysia, a jak chłopiec, to już chyba mu będzie Jędrzej.

Stawiali potem barykadę na wzgórku akurat prawie w tym samym miejscu koło cmentarza, gdzie poprzedniej nocy Graboń z Pasternakiem trzymali strajkową straż. Na środku drogi jeszcze żółciły się rozmazane ślady rozbitych jaj wysypanych z koszyka Puciakowej. Popiół z palonego pociemku ogniska ludzie wnet roznieśli na butach, nieraz przełażąc przez dno rowu tam i z powrotem.

Pierwszą wierzbę ścięli chłopi z Łowiecka. Drzewo, rąbane siekierami u korzeni tuż nad ziemią, wolno przechylało swój więzlasty pień tracąc równowagę, aż ze stęknieciem przytuliło się do przydrożnej trawy czubem rosochatym, zmierzwionym, który nagle posrebrzył się niespodziewaną siwizną liści odwróconych spodnią stroną do góry. Ludzie nie mieli koni ani sznurów do pomocy, i za mało łańcuchów. Zapletli je na pniu. Kilkunastu zaprzęgło się w ich pobrzękujące

pętle, a setka innych podpierała drzewo własnymi ramionami, dźwigała do góry, aby popychać je mozolnie po piasku.

Drugie drzewo przywlekli ludzie z Murawska, prawie niosąc je ponad ziemią, wychylając spomiędzy gałęzi twarze spurpurowiałe lub pobladłe z wysiłku.

Obie wierzby ułożono jedna za drugą w poprzek szosy. Sczepione konarami, które aż po ten dzień nigdy nie dotykały się i nigdy nie byłyby się zwarły, gdyby nie człowiecza wola, tworzyły główny masyw zapory. I tak jakby połączenie tych powalonych drzew splotło wszystkich tutaj wspólnym węzłem ciężkiej woli walki i lepszej nadziei, ludzie z Łowiecka przemieszali się z ludźmi z Murawska, a ludzie z Łuniny z ludźmi z Łowiecka, z Murawska, i tak już wszyscy ze sobą pozostali. Bo przedtem każda gromada trzymała się osobno, własnych miała dowódców, swoje rozkazy i wspólny sposób ich wypełniania. Teraz połączeni ze sobą i bliscy znosili — ze wspólną wszystkim gorączkowością — w połach kapot, w czapkach żwir, aby zsypywać go z chrzęstem na barykadę, pomagali jeden drugiemu zatykać zeschłym chrustem dziury między zielonymi gałęziami, ciągnęli za sobą naręcze badyli, nawet grochowinę, aby zapora wydawała się z daleka wyższa, nie do przebycia.

Barykada była jeszcze na wpół zielona, kiedy z różnych stron spomiędzy mendli niesprzątniętego dotąd owsa, od sadów, zza ogrodzenia cmentarza, nawet zupełnie niespodziewanie od strony Jarosławia zaczęli pojedynczo nadciągać ludzie. Wielu przyszło z odkrytymi głowami, rozczochranych, czapki i kapelusze widocznie się pogubiły, niektórzy utykali, opierając się na patykach, pod niejednym okiem rozlewały się ciemniejąc sine podkrążenia. Przyszli i tacy, co mieli koszule w strzępach poplamione czerwienią, albo tacy, którym krew na twarzach zaczynała czernieć w strupy, jakby nie zdążyli jej obetrzeć rękawem. Nikt ich o nic nie pytał, każdy przecież wiedział od razu i rozumiał. Rozgromieni i sponiewierani przywlekli się od toru koło Guczęb okrężnymi drogami, pełzając zmyślnie po rowach, skradając się zaciekle od drzewa do drzewa, aby dotrzeć tutaj, do ostatniego szańca oporu. Milcząc i na nikogo nie spoglądając, niby ludzie, którzy dość się już napatrzyli w życiu i wypowiedzieli wszystko, co do śmierci mieli do gadania, przyłączyli się do budowy barykady z jakąś niewypowiedzianą pasją, ze złą zajadłością. Prawie ostatni przewędrował Kasperski. Twarz miał koloru popiołu, skronie czymś osmalone, a prawa dłoń owinięta wiechciem słomy, tak że zwisała niczym zużyte powrósło, ale szedł po swojemu wyprostowany, a tylko jego wargi przedtem pod wą-

sami nie zwracające uwagi, bielały teraz barwą papieru. Podszedł do barykady z boku, przystanął, otworzył usta i cały zatrząsł się tak, jakby miał wybuchnąć łkaniem. Lecz zaraz odezwał się mocno, groźnie.

— Obywatele, policja na polach guczębskich mści się na ludności i bije ich szachtami karabinów, nie zważając czy kobieta czy mężczyzna. Bije, że mają ciała czarne jak błoto!

Nie powiedział nic więcej, tylko razem z innymi zaczął zdrową dłonią zręcznie upychać gałęzie na barykadzie. Drugą dłoń przywiązał sobie kawałkiem sznurka do paska, niczym chwost jakiś bezużytecznie zwisający, bez czucia, a nie kawał żywego ciała.

Kiedy barykada była gotowa, skupili się wszyscy na cmentarzu. Czasem, nie często, przetoczył się pojedynczy strzał całkiem w przeciwnej stronie niż pola guczębskie. To echo podejmowało ostatnie głosy, tego czegoś strasznego, co się tam kończyło. Gdzieś spomiędzy nagrobków dolatywała gorzka woń mięty, a rumianek na starych, zarosłych chwastem mogiłach rozprażony słońcem pachniał słodyczą miodową. Wilga. ukryta w gałęziach lipy koło kaplicy, powtarzała uporczywie swoje gwizdane pytanie. Słońce wysoko podeszło na niebie, raziło Grabonia. Przymknął powieki i wydało mu się, że już siedzi na tym miejscu niewiadomo jak długo wśród mijających dni i nocy, ciągle z tym samym trwożnym oczekiwaniem w sercu, z głową ciężką od myśli zmierzwionych, bezwładnych.

Przed nim, niedaleko rozległ się czyjś donośny głos, Graboń otworzył oczy. Z boku barykady nad rowem stał wójt Biliński. Jego cholewy, wyczyszczone zazwyczaj szuwaksem na matowo, były teraz ochlapane jakimś błotem zadziwiającym w dzień tak pogodny. Marynarkę miał ubieloną, tak jakby po pijanemu toczył się wokół ścian wiele razy, a do spodni przylgnęły tu i ówdzie źdźbła słomy. On, który z racji swej prezesury ubierał się zawsze bardziej z miejska niż z wiejska, i tak na co dzień, jak kto inny po świątecznemu, był teraz cały jakiś wytarzany, pomięty. Nietrudno się było domyśleć, że w popłochu zaszył się w jakąś najdalszą dziurę w gospodarstwie, przeleżał gdzieś w chlewniku, albo rozpłaszczył się na dnie loszku. W tej chwili macał dłonią barykadę, jakby nie chcąc przyjąć do wiadomości jej istnienia. Liczył, że mu się ta zapora jedynie przywiduje i a nuż rozpłynie pod dotknięciem.

Lecz barykada bynajmniej nie znikała i twarz wójta niezmarszczona, gładka i bladawa niczym jajko, czerwieniała powoli rozświetlana od wewnątrz plamami krwi napływającej pod skórą. Odwrócił się ku ludziom na cmentarzu i zawołał głosem ładnie modulowanym, dźwięcz-

nym, zaraz poznać, że do mów nawykłym, choć w tej chwili mniej kunsztownym, bo śpieszniejszym.

— Bracia chłopi! Patrzę i oczom swoim nie wierzę! Albowiem co ja widzę tutaj? Ta przeszkoda, o ile się nie mylę, oznacza jawny opór władzy. To jest całkowicie niedopuszczalne. W imieniu Naczelnego Komitetu Wykonawczego Stronnictwa Ludowego rozkazuję to coś natychmiast rozebrać i pozostawić wolny przejazd. Nawołuję do porządku. Obiecuję, że winni do odpowiedzialności pociągnięci nie będą, o ile okażą posłuszeństwo.

Na cmentarzu nikt się nie odezwał, nikt się nawet nie poruszył. Ludzie siedzieli odrętwiali i nagle po raz pierwszy w tym dniu jakoś straszliwie zmęczeni, aż do obojętności, aż do bezsiły. Wójt odwrócił się do barykady, szarpnął za jedną gałąź, szarpnął za drugą, wymierzył nogą kilka prędkich uderzeń. Obsunęło się trochę zwiru tylko pod spodem, lecz sam nasyw barykady ani drgnął. Biliński zakrztusił się i zaczął krzyczeć już bez namaszczenia, cienko.

— Ludzie, czyście wy ze wszystkiem zgłupieli, rozum żeście stracili, na mózg wam padło! Czy jak? Chcecie się stawiać policji na własną zgubę! Żywi stąd nie wyjdziecie, a kara za was spadnie i na innych, co tu nie są.

I teraz nikt mu nie odpowiedział. W ciszy zaszeleściły liście, poruszone podmuchem wiatru na powalonych wierzbach barykady. Wójt dojrzał w tej chwili Kasperskiego, przysiadłego na trawie ze spuszczoną głową. Przeskoczył rów, podbiegł do starego chłopa, zaczął mu wygrażać kułakiem.

— To wy główny prowodyr! Kto was tu prosił, wy tutaj nic nie macie do gadania, ja tu jestem powiatowym prezesem, wy mi podlegacie organizacyjnie jako prezes gminny, ja wam zakazuję, żebyście ludzi buntowali!

Kasperski uniósł się, popatrzył wójtowi w oczy i powiedział wolno:

— Ja idę z narodem.

— To znaczy, że lekceważycie sobie rozporządzenie Naczelnego Komitetu Wykonawczego naszego stronnictwa?

— Naczelny Komitet wyznaczył strajk.

— Wyznaczył, wyznaczył, ale nie tak! Wy się nie rozumiecie na polityce, za słabe macie głowy na to!

— Strajk jest po to, żeby było sprawiedliwie, żeby chłop miał ziemię, żeby chłop miał władzę, żeby oświatę.

— Ja też mówię, za mały macie rozum na politykę, albo wam bolszewicy pomieszali zrozumienie. Strajk jest po to, żeby sanacja sama

nie rządziła. Wywiera się nacisk na tych w Warszawie, żeby musieli dopuścić stronnictwo do władzy państwowej. Ja samego prezesa Gruszkę znam. Wczoraj się z nim widziałem osobiście, jak mówię, to powiadam.

Kasperski milczał z dłonią jakąś dziwnie zawieszoną w powietrzu, jakby chciał przygładzić wąsy i nagle zmienił zamiar.

— Strajk jest legalny, całkiem legalny pod każdym względem legalny — nie wolno iść przeciw policji — groźnie zrobił krok ku niemu wójt. Kasperski zaczerpnął oddechu, odpowiedział głosem stłumionym, kipiącym:

— To Franka Michejło też policja zastrzeliła legalnie, to w Guczębach ludzi katują legalnie, że mają ciała czarne jak błoto?

Po ludziach wokoło przeszedł złowrogi szmer. Ocknęli się, zaczęli wstawać. Gdzieś od strony Guczęb rozbrzęczał się szum motoru, coraz wyraźniejszy, bliższy.

Wójt obejrzał się niespokojnie.

— Po raz ostatni wzywam... — podjął i urwał. — Żebyście pamiętali, że ja ostrzegałem, mówiłem, ludzie, rozejdźcie się — zakończył pośpiesznie, przestąpił z nogi na nogę i już rzucił się ku krzakom na skraju cmentarza. Znikł w nich od razu.

W łomocie silników, w zgrzycie hamulców zatrzymały się nieopodal barykady policyjne ciężarówki. Posterunkowi wyskakiwali jeszcze w biegu, chrzęszcząc blachami, ciężko, wśród szczęku karabinowych zamków. Bez komendy, z wprawą, ustawili się w szereg.

Po raz trzeci w tym okrutnym dniu Graboń zobaczył przed sobą nacierającą potrójną tyralierę koloru granatu i stali, szereg ciasno ze sobą związany, złowrogi. Nie szli na barykadę ale prosto ku chłopom. Zbliżali się, byli już tuż tuż. Zaraz zaczną ludzi znowu tłuc kolbami, wzniesionymi do ciosu.

Graboń poczuł znowu ten lepki chłód strachu w tyle głowy, jak wtedy, gdy granatowi nacierali, milcząc, pod betoniarnią. Znowu serce jego rozpalił gniew głuchy, ciężki gniew, który pognał go ku nasypowi kolejowemu, między Łuniną a Guczębami. Poczęła go dusić owa rozpaczliwa bezsilność jak niedawno, kiedy patrzył na policjantów, znęcających się nad leżącym bez czucia.

Przez mgnienie oka przyszły mu na myśl dawno zapadłe w niepamięć słowa matki, która powiedziała raz, że przed śmiercią człowiek widzi po raz ostatni to wszystko, co było najważniejsze w jego życiu.

Jędrzej poderwał się z miejsca. Z krzywym uśmiechem na ustach podniósł oburącz orczyk ponad głową i runął na policjantów.

Wydało mu się, że ktoś obok niego zawył dziko, sam nie wiedział, że to krzyczy on właśnie, Graboń, krzyczy bez słów z całych sił, jakimś nieswoim, wściekłym rykiem.

Z rozmachem okręcił orczykiem młynka w powietrzu, aż zafurczało, przez sekundę poczuł ostrą woń wódki, zobaczył tuż przed sobą twarz czerwoną, śliską od potu, nabrzmiałą — i palnął w nią z góry na odlew. Twarz znikła pod hełmem, wciśniętym uderzeniem głęboko na czaszkę, a granatowa postać załamała się w sobie, osunęła miękko, jakby nie było w niej kręgosłupa ani kości.

Graboń walił teraz na prawo i na lewo po hełmach, po twarzach wyolbrzymiałych bliskością, a obcych, przerażonych z nagła, po ramionach chrzęszczących skórą pasów. Obok własnego krzyku usłyszał krzyki inne, na prawo od siebie, na lewo, trochę za nim i inne uderzenia miękkie, gdy drzewo napotykało ciało, brzękliwe, kiedy spotkało się z żelazem. Kątem oka dostrzegł wznoszącą się kłonicę, opadła zaraz, równocześnie z jękiem granatowego ciała, które przewróciło się na bok łatwo, jak gdyby trącone nogą. Ujrzał, jak Pasternak blady, bez czapki, której przecież nigdy nie zdejmował z głowy, przeskoczył przez tamtego i zamierzył się na rozłożystego dryblasa z rzemykiem hełmu uciskającym żółtawe podgardle. Ów wypuścił z rąk karabin i podniósł obie dłonie do góry z pośpieszną pokorą. W moment potem Graboń zobaczył, że skupieni w ciżbę policjanci rozpryskują się w popłochu na boki. Zasłaniali sobą to coś, co ich szereg rozpruło jak gdyby na pół i rzuciło w rozsypkę. Dopiero kiedy kotłowanina rozrzedziła się, oczom Grabonia zza pleców innych ukazał się niewysoki Kasperski.

Trzymał pod łokciem zdrowej ręki drzewce kosy, postawionej na sztorc i parł naprzód, rozcinając jej ostrzem pomieszane tyraliery, zanim się ich jeszcze dotknął. Chłopi sczepili się teraz na dobre z posterunkowymi. Wypierali ich spomiędzy nagrobków, ciosami nawracali z cmentarza ku drodze. W zgiełku, w szarpaninie, zasłaniając się i znowu młócąc orczykiem Graboń niebardzo wiedział, czy cofa się, czy posuwa naprzód. Właściwie wydawało mu się, że stoi w miejscu, a tylko czasem pojawia się gdzieś między hełmami znajoma twarz, rozpłomieniona, namiętna, dzika.

Wtem pojaśniało mu przed oczyma, jakby wyszedł z gęstwiny zagajnika. Zobaczył, że przed nim nie ma już nikogo, dopiero dalej ujrzał gromadę granatowych pleców, odpływających szybko, falującą zmąconą kupą.

Jakiś krępy posterunkowy wlókł za sobą karabin, trzymając go za lufę, niczym dziecko patyk. Raz po raz odwracał w tył podłużną,

ogromną głowę, osadzoną jakby wprost na grzbiecie między barkami, aż potknąwszy się o kretowisko — runął na ziemię. Nie podnosząc się z pośpiechem gramolił się dalej na czworakach, porzuciwszy karabin.

Graboń stanął i wciągnął w płuca powietrze, które wydało mu się nagle czyste i świeże, jak woda zaczerpnięta ze źródła w jodłowym lesie. Obok nieco wsparty na drzewcu kosy wbitym w ziemię — dyszał ciężko Kasperski, niby żniwiarz, co zbyt pośpiesznie kładł gęstą pszenicę o ciężkich kłosach i wreszcie zabrakło mu tchu. Wbił kosę w ziemię, i pomacał prawą dłonią tamtą drugą — bezwładną rękę, a jego twarz spopielała, skurczyła się. Zrobiło się raptem prawie cicho, jak gdyby olbrzymia wichura, huragan nieopisany umilkł, urwał się od razu, choć się wierzyć temu nie chciało.

Gdzieś z lewej, z boku zatętnił pośpieszny tupot nóg i dziki gwizd przeszył powietrze. Z rowu na uboczu, za ogrodzeniem cmentarza, wypadł bardzo wysoki policjant. Miał kolana całe pożółcone prochem czy gliną, schylał głowę, garbił swój rosły korpus, jakby ciągle jeszcze kulił się w rowie, a nie biegł w tej niewygodnej pozycji. W bezbronnych dłoniach dzierżył oburącz przed sobą hełm, który musiał zdjąć w kryjówce, aby stać się bardziej niewidocznym, i teraz wypłoszony i umykający w panice przyciskał go bezsensownie do piersi. Sadził wielkimi susami, a za nim biegł Pasternak z podniesioną do ciosu kłonicą, daremnie usiłując dopędzić tamtego. Pozostawał za nim w tyle, więc tylko gwizdał przeraźliwie, jak chłopacy, gdy gonią oszalałego ze strachu zająca. W końcu rzucił ze złością za tamtym kłonicą i zrezygnowawszy z pogoni — przystanął.

Graboń patrzył przed siebie niezbyt widzącymi oczami. Mrowie granatowych popychając się wzajemnie, przewracając, podnosząc i znowu potykając dopadło szeregu aut ciężarowych. Niektórzy wbijali się między kołami wprost pod karoserię, inni obiegali chłodnicę, aby skryć się chyżo za okopem pudeł z blachy i brezentu.

— Kijami po nich, kijami, łapać, lać policję, żeby popamiętała — ryknął Pasternak ze srogą uciechą, mściwie.

— Ludzie, idziem na nich, grzbiet im się przetrąci i po krzyku — dołączył się ktoś inny z tyłu.

— Bić ich, żeby się z rozumem nie połapali!

— Teraz można lecieć na nich ze śmiałością, porzucali karabiny!

— Huzia na policję, po tyłkach ich tłuc — wtórowały głosy rozjątrzone, dzikie. Jeden podżegnywał drugiego.

— Obywatele, towarzysze, proszę o spokój! — zagrzmiał bas Kasperskiego.

— Obywatele, towarzysze — myśmy ich przegonili, tę bitwę wygrali, nie nasza rzecz ich teraz bić dalej, odstąpili, niech sobie idą precz.

— A właśnie, że dobić, a właśnie im krzyże przetrącić!

— Jeszcze może do nich z przeproszeniem, miodem smarować?

— Ani z przeproszeniem, ani z miodem! — groźnie odpowiedział Kasperski.

— Jak się niektórym policjantom gnaty przetrąci, jeszcze od tego w Polsce zmiany władzy nie będzie. Tylko będzie zemsta okropna na niewinnych. Trzeba się z głową rządzić, wszystko po kolei. Dostali oni za swoje, niech się cofną i wiedzą, że z chłopem lepiej nie zaczynać. A co się tyczy naszych szeregów, to albo jest dowództwo, albo go nie ma. Jak dowództwo jest, musi być posłuszeństwo! Więc ja jako dowódca mówię: ustąpmy trochę ku cmentarzowi i trzymajmy się w pogotowiu.

Niechętnie mamrocząc, schodzili z szosy.

Kasperski miał u ludzi posłuch, choć każdego teraz ciągnęło serce do ataku, a nie do ustępstwa. Pasternak opóźniał swoje kroki, ale szedł jednak na końcu z Kasperskim i Graboniem. Rozsypali się z powrotem po cmentarzu, przystawali, każdy oczu nie spuszczając z tamtych przy samochodach. Granatowi roili się w dali na szosie, ale nie było ich już widać wielu, większość musiała się pochować.

Wtem z szoferki pierwszego z aut wyjrzała głowa bez hełmu. Graboń zobaczył, jak pod granatową czapką, w twarzy szarawej i wzdętej zamykają się i otwierają usta czerwone nawet z daleka. Zaraz przez okno wysunęła się dłoń w rękawiczce, ostrym gestem przecięła powietrze, jednym, drugim trzecim skinieniem. Po tym ruchu równiutkim, jakby odmierzonym a złowieszczym, Gabroń poznał owego komisarza, który na motocyklu przywiódł do Łuniny zgraję policji, a pod betoniarnią kierował napadem, śmigając gałązką bzu w powietrzu. Komendant wydał się tylko teraz Graboniowi niższy, może dlatego, że nie widział go całego. Na platformie samochodu, tej, ku której machała dłoń w rękawiczce, kotłowało się coś pod brezentową płachtą.

Pasternak podniósł z ziemi kłonicę i wyciągnął szyję. Powiedział z urazą:

— Coś mi się widzi, że ten padalec robi rozkaz na odwrót. Mało my im przylali, przydałoby się więcej, a teraz uciekną, szukaj wiatru w polu, taka okazja drugi raz się nie przydarzy.

Przy samochodach znowu się zakotłowało.

— Ludzie! — rozdarł nagle powietrze przeraźliwy krzyk Kasperskiego — toż oni na nas z maszynkami, padajta!...

Urwał, nie dokończywszy, a Jędrzejem Graboniem szarpnął potężny,

suchy wstrząs, tak jakby pchnął go niespodziewanie jakiś nieludzkiej miary olbrzym. Graboń nie poczuł żadnego bólu, tylko zwalił się ciężko w bok, słysząc przez ułamek sekundy głuchy gruchot niby łamiących się kości. Przeszło mu przez myśl, że to pęka jego kręgosłup i runąwszy, zdziwił się, że jeszcze czuje jak żyjący. Miał jasność błysku pod powiekami, dudniło mu w uszach bardzo wysokim tonem, po obojczyku aż do ramienia rozlewało mu się wilgotne ciepło, całe ciało wydawało się ogromnie ciężkie, a niemocne, coś twardego gniotło go w potylicę. Powietrze naokoło dygotało dziurawione suchym, pospiesznym grzechotem, terkotaniem miarowym, choć co chwil kilka przerywanym. Ziemia koło ucha dudniła Graboniowi od tłukących w nią, rozpędzonych kroków, a wyżej ponad głową leżącego — przybliżały się, mijały go i ulatywały dalej krzyki śmiertelnego przerażenia, czasem ucięte na pół, czasem przemieniające się w głuchy jęk.

Do twarzy Grabonia przylepiały się strzępy liści posiekanych na pasemka i raz po raz słyszał, jak coś jakby żwir czy drzazgi odłupują się skądsiś i sypią w trawę.

Niechętnie odwrócił się i spojrzał. Wszędzie naokoło niego przez całą szerokość cmentarza, na boki i prosto przed siebie uciekali ludzie w okropnej panice. Przeskakiwali przez pagórki grobów, tratowali krzyżyki, szukali schronienia za chudymi pomnikami z piaskowca, przywierali do ziemi, rozpłaszczając się do poziomu nagrobnych płyt. Karabiny maszynowe siekły gęstym trajkotem na poprzek cmentarza, jakoś z góry, widocznie ustawione były na platformach samochodów ciężarowych. Nie było słychać świstu kul, tylko z nagrobków sypał się tynk równymi liniami, dzwonił ołów o blachy napisów, a ścinane ogniem wierzchołki koślawych krzyżów odpadały drzazgami prawie jednocześnie jeden koło drugiego. Czasem któryś z tych, co uciekali na wszystkie strony krzycząc, łkając, jęcząc, potykał się, padał i już nie wstawał. Graboń leżał rzucony na niewysokiej mogile, jeszcze licho trawą porosłej. Pod głową uwierało go ramię krzyża. Musiał własnym ciężarem zwalić ten krzyż, choć wcale nie był zmurszały, nawet deszcze nie zdążyły zabarwić na brunatno jasnego, wyheblowanego drzewa. To widocznie owe zbite gwoździami na krzyż ramiona, gruchotane ciałem Grabonia, wydały mu się własnymi kośćmi. Teraz jednak nie czuł w sobie lęku przed kulami, ani przerażenia na myśl o ciosach, ani wstydu, ani złości, ani nienawiści. Nie czuł właściwie nic, prócz znużenia, które wypełniało go całego. Pomyślał leniwie, że szkoda, żeby kapotę podziurawiły kule — przyda się po jego skonaniu dla chłopaków; Maryśce i tak będzie ciężko — i z wysiłkiem zsunął się z mogiły.

Legł tuż koło kogoś innego niewysokiej postawy, co leżał na boku z kolanami podkurczonymi wysoko pod brzuchem, niby kilkudniowe niemowlę, co tak wygląda w kołysce, jakby się jeszcze nie rozłączyło właściwie z ciepłym wnętrzem matczynego łona.

Duża głowa tamtego przywierała do krzaczka lewkonii, gniotąc policzkiem liście kwiatów jedwabnie sfryzowanych, o białości ślubnego atłasu.

Graboń poznał w leżącym Kasperskiego. Od razu pękła w nim obojętność, powróciły siły.

— Obywatelu kumie — zaszeptał zdławionym głosem, uniósłszy się na łokciu — kumie, kumie, towarzyszu, was trzeba spod tych kul wyciągnąć, wesprzyjcie się na mnie, ja wam dam pomoc...

Kasperski nie odezwał się. Nie drgnęły kwiaty koło jego czoła. Wąsy chłopskiego dowódcy sumiaste, smoliste i tak zawsze zawadiacko sterczące, zwisały teraz poniżej jego warg nikłe, jakieś odbarwione, poszarzałe. I nie wiadomo dlaczego właśnie po tych wąsach Graboń poznał, domyślił się, że Kasperski nie żyje. Nachylił się ku niemu i zobaczył na jego pomarszczonym bezkrwistym policzku, tuż pod zamkniętą powieką, okrągłą, dużą łzę. Nie zdążyła widocznie stoczyć się po twarzy starego. Może spłynęła mu z oczu jeszcze wtedy, gdy krzyczał chłopom swój ostatni w życiu rozkaz, ostatnie, zbyt późne ostrzeżenie, zabite grzechotliwą salwą, albo może łzę wycisnęła męka chwili konania.

Graboń wpatrywał się w martwą twarz tego człowieka, o którego istnieniu przedwczoraj jeszcze nie miał pojęcia, a który dziś wydawał mu się kimś najbliższym.

Patrzył, a potem nagle odwrócił oczy i rozszlochał się strasznie, jak nie płakał nigdy dotąd w życiu, nawet wtedy, gdy z cienką gromniczką w dłoni czuwał przy trumnie kochanej matki i musiał co chwila zdmuchiwać knot, aby wosku świecy starczyło do świtu, który wydawał się bardziej odległy od własnej śmierci.

Suchy jazgot kulomiotów wsiąkł raptownie w powietrze i ucichł.

Z przeciwnej strony cmentarza, zza kaplicy, popłynęły dzikie wrzaski. Graboń domyślił się, że to bandy policjantów okrążyły naokoło cmentarz i zagrodziły odwrót tym, co zdołali ujść przed prażeniem salw od szosy. Za kaplicą rozpoczęła się jeszcze jedna masakra.

Długo potem dopiero wielka cisza ocknęła Jędrzeja Grabonia z zamroczenia. Czuł z drżeniem serca, że coś się przed chwilą stało, ale nie mógł sobie przypomnieć co. Promienie słońca ocieplały mu twarz z innej strony, niżej, chłodniej i łagodniej. Pomyślał, że musi już być popo-

łudnie, ale jakoś nie mógł sobie zdać sprawy, czy jest to dzień dzisiejszy, czy też minęła może noc i jest już jutro. Po obu stronach twarzy dokuczliwie łaziły mu muchy po skórze ściągniętej, zdrętwiałej, piekącej. Nie rozwierając powiek dotknął dłonią policzków i poczuł twardawą skorupę, uginającą się lekko pod palcami.

— Tata, tata — usłyszał gorączkowy szept — zabili cię na śmierć, ze wszystkim?

Drobne ręce szarpały go, trzęsły na wszystkie strony. Otworzył oczy i zobaczył nad sobą twarze Miecia, Cześka i Łucka.

Tuż za nimi stała Graboniowa. Basia, postawiona na ziemi, trzymała się trwożnie jej spódnicy, nie śmiejąc odetchnąć. Graboniowa miała ręce spuszczone i bezradne nie po swojemu, a jej twarz była tak biała, jak raz tylko mąż jej pamiętał, kiedy przez noc, przez dzień i przez noc drugą Czesiek nie mógł się urodzić, a babka Agnieszka powiedziała, że trzeba będzie dziecko posiekać, wyjmować kawałkami.

— To ty, Jędrzej, żyjesz? — powiedziała cicho Maria Graboń. Wtedy dopiero Jędrzej przypomniał sobie od razu wszystko. Odrzekł zwyczajnym głosem:

— Tylko kule mnie musły po gębie, a jedna musi gdzieś tu mnie tknęła niżej koło szyi.

Usiadł i poczuł się silniejszy. Zapytał:

— A policjanty, gdzie?

— Już będzie z godzina, jak odjechały precz na Przemyśl. — Ruch się zrobił we wsi o konie. Żeby podjechać furmankami, wieźć poranionych do szpitala, czy pozabijanych do chałup.

— Puciak nie dał koni, ani Bochnacka nie dała i wójt też nie.

— Oni mówili tak: sami sobie biedy narobili, że się władzy stawiali, buntowniki, niech se leżą, jak chcieli.

— To i na rękach poniosą pobitych, cały naród wypełza teraz na cmentarz, każdy szuka drugiego ze swojej familii.

— A my biegli pierwsi na okrężne. Chodzimy, stąpamy, rozpatrujem się, aż wreszcie widzim: tata leży — tłumaczyli chłopcy jeden przez drugiego.

Graboń dźwignął się, było mu słabo, ale już dużo lepiej.

— Pójdź, Jędrzej, do dom — cichutko powiedziała żona.

— Najsampierw trzeba zobaczyć, co się z kim stało — odparł także zniżonym głosem.

Kasperskiego ułożyli potem na wznak równo, jak wypada nieboszczykowi, nim spocznie w trumnie. Zobaczyli, że po lewej stronie na piersi miał wielką, brunatną plamę. Graboniowa przykryła ją pękiem białych

lewkonii, zerwanych na prędce. A Łucek na białe bardzo powieki położył dwa prawie okrągłe lipowe liście, jakby się bał, aby słoneczny blask rażąc źrenice nie zakłócił wiecznego snu starego człowieka.

Paweł Pasternak leżał nieopodal. Poznali go po czapce, wciśniętej aż po wargi, bo cała twarz była nią przesłonięta. Tylko usta były widoczne, otwarte, z zębami wyszczerzonymi ni to w śmiechu, ni w grymasie. On, zawsze za życia wesołek i pierwszy tancerz w okolicy, drwił i teraz po śmierci. Prawą rękę trzymał uniesioną nad głową prawie jak w oberku, tylko dłoń była zaciśnięta w pięść.

Chodziła tak cała rodzina Graboniów od jednego powalonego do drugiego. Jędrzej szedł pierwszy, na nogach uginających się w kolanach, mocno trzymając Łucka za rękę. Za nimi postępowała Graboniowa, kołyszącym się krokiem ciężarnej, szczelnie razem z Basią omotana chustką, aż po oczy. Na końcu gęsiego podbiegali chłopcy. Czesiek zaciskał dłoń kurczowo na koszuli koło serca, Mietek rozglądał się trwożnie. Kiedy któreś z nich spostrzegło nieżyjącego — obstępowali go wszyscy naokoło. Zabici leżeli byle jak, gdzie którego przeszyły kule, jedni z twarzami wtulonymi w trawę, inni rozkrzyżowani na ścieżkach, jeszcze inni spoczywali wprost na mogiłach. Graboniowie zamykali im powieki, prostowali ciała, ręce składali na piersi.

A Jędrzej powtarzał głuchym głosem, z naciskiem:

— Zapamiętajcie sobie chłopaki raz na zawsze tę krew i te zwłoki niewinne, żebyście wiedzieli, jakie wasze życie ma być, żeby ludzi bezbronnych taka marna śmierć nie spotykała!

Ostatniego znaleźli za kaplicą rymarza Stolarskiego. Musiał walczyć do ostatniej chwili, bo krew koło jego barków i łokci jeszcze dobrze na trawie nie obeschła. Nie zabito go widocznie podczas ucieczki, twarzą był zwrócony ku szosie, swym ciałem przywalał motykę. To z nią, swoją ostatnią bronią, musiał biec przeciwko kulom.

Graboń długo wpatrywał się w jego twarz i wydawała mu się prawie nieznajoma. Śmierć wygładziła ślady po ospie i to oblicze, takie zawsze dziobate, było teraz nieskazitelnie czyste.

— Tata, to już ostatni? To już koniec? — szarpał Grabonia za kurtkę Łucek, dygocąc na całym ciele, krzywiąc usta.

— Nie, Łucek, nie koniec. Nie, Łucek, nie, nie — niespodziewanie odezwała się Graboniowa złym, rwącym głosem.

A Graboń zawołał, prawie krzyknął, twardo, z gniewem:

— Jeszcze nadejdzie godzina! Koniec będzie wtenczas, jak ta śmierć będzie pomszczona. Będzie koniec — jak przez bój przyjdzie sprawiedliwość!

Maria Jarochowska

SAMUEL SANDLER

U początków marksistowskiej estetyki w Polsce

Praca poniższa stanowi trzeci rozdział monografii o Bronisławie Białobłockim, zmarłym w roku 1888 w wieku dwudziestu siedmiu lat (dokładnej daty urodzin nie znamy).

Bronisław Białobłocki urodził się w Ostroszynie pod Słuckiem, na Białorusi, w polskiej drobnoszlacheckiej rodzinie kalwińskiej. Do gimnazjum uczęszczał w Mińsku, gdzie zetknął się z wpływami rewolucjonistów rosyjskich — narodników. W roku 1878 udał się na studia do Petersburga, utrzymywał się z korepetycji. Studiował na wydziale prawnym oraz uczęszczał na wykłady do petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych. W środowisku studenckim związał się z młodzieżą rewolucyjną ulegającą wpływom utopijnego socjalizmu i działalności rewolucyjnej narodników. W roku 1883 przybył do Warszawy wraz z grupą swych towarzyszy, czynnie uczestniczących w działalności powstającego „Proletariatu". Ewolucja ideowa Białobłockiego doprowadziła go na pozycje socjalizmu naukowego.

Białobłocki przyjechał do Warszawy z wytkniętym celem stworzenia wśród miejscowej młodzieży grupy literacko-publicystycznej, która miałaby — w myśl jego zamiarów — propagować ideologię socjalistyczną na łamach własnego legalnego organu bądź też istniejących pism. Wśród członków grupy, która powstała z jego inicjatywy, znaleźli się wówczas m. in. studenci uniwersytetu warszawskiego — Ludwik Krzywicki i Stanisław Krusiński.

W roku 1883 grupa ta zaczęła drukować artykuły w znanym tygodniku warszawskim — Przeglądzie Tygodniowym. Wszyscy członkowie grupy pozostawali równocześnie w ścisłym kontakcie z czołowymi działaczami „Proletariatu" — Ludwikiem Waryńskim, Stanisławem Kunickim oraz Edmundem Płoskim i Aleksandrem Dębskim, którzy byli najbliższymi przyjaciółmi Białobłockiego.

W ramach działalności publicystycznej grupy, która została rozproszona w połowie roku 1883, Bronisław Białobłocki zajmował się głównie krytyką literacką, stanowiącą przeważającą część jego znanego nam dziś dorobku. Artykuły i recenzje jego były przeważnie podpisane kryptonimami. Pisywał — jak dotąd wiemy — do czasu upadku „Wielkiego Proletariatu", tj. do roku 1885.

W Przeglądzie Tygodniowym ogłosił, poza artykułami publicystycznymi, kilkanaście artykułów, szkiców i recenzji z literatury polskiej (Deotyma, Marenné-Morzkowska, Konopnicka, Łętowski oraz najciekawszy: szkic o ówczesnych powieściach „antysocjalistycznych" Orzeszkowej, Kraszewskiego i Bałuckiego) i z literatury rosyjskiej (o Glebie Uspieńskim, Złatowratskim, Albowie, Turgieniewie — w Przeglądzie Tygodniowym i Ateneum, oraz cykl kronik pt. Z życia i literatury Cesarstwa).

W ostatnim okresie życia Białobłocki chorował na płuca i na serce. Chorób nabawił się wskutek wyjątkowo ciężkich, w niektórych okresach głodowych, warunkach życia.

W roku 1932 Ludwik Krzywicki wydał Szkice Literackie Białobłockiego, uwzględniające tylko część dorobku pierwszego marksistowskiego krytyka literackiego w Polsce. Niektóre artykuły pominął, innych zgoła nie znał. Ludwik Krzywicki był także autorem wspomnień o Białobłockim wydrukowanych w Niepodległości (1931, t. III — zeszyt 2) oraz noty biograficznej w Polskim Słowniku Biograficznym.

Po wojnie nieco uwagi poświęcił Białobłockiemu Marian Jakubiec w pracy Literatura rosyjska wśród Polaków w okresie pozytywizmu.

Bronisław Białobłocki był jedynym polskim krytykiem literackim w dziewiątym dziesięcioleciu ubiegłego stulecia, który ukształtował swoje poglądy estetyczne w kręgu rewolucyjnej demokracji. W pełni czerpał z estetyki Bielińskiego, Czernyszewskiego, Dobrolubowa, stanowiącej szczytowy etap rozwoju przedmarksistowskiej nauki o sztuce. Wpływ tych pisarzy odegrał decydującą rolę w ukształtowaniu się jego poglądów na sztukę, jej rolę i zadania społeczne. Płaską byłoby rzeczą sprowadzać tego rodzaju oddziaływanie estetyki rewolu yjnej demokracji na Białobłockiego do zależności tekstowych. Te zaledwie sygnalizują fakt, nie są samym faktem. Bo nie o to przede wszystkim chodzi — nie powinno się jednakże i tego przeoczyć — że spod pióra Białobłockiego wyszła opinia o Dobrolubowie jako znakomitym rosyjskim krytyku literackim [1], że przy analizie twórczości Turgieniewa krytyk nasz posłuży się znanym i wymownym Pisariewowskim określeniem postaci Bazarowa z Ojców i dzieci [2]. Nie chodzi po prostu o wpływ tekstu na tekst; między nimi stoi życie ze swoimi odmiennymi potrzebami, objawami, robotniczy ruch rewolucyjny, stanowiący nowy etap rozwoju historycznego w stosunku do okresu działalności rewolucyjnych demokratów w Rosji. Niedostrzeganie nowych praw życia oraz nowych treści i form walki o wyzwolenie mas ludowych mogło pchnąć na tory epigonizmu, wstecznictwa. Narodnictwo np. hamowało rozwój rewolucyjnego ruchu robotniczego w Rosji, czyniąc z przekonania rewolucyjnych demokratów o możliwości „ominięcia kapitalizmu" pewnik pozostający w jaskrawej sprzeczności z rzeczywistym rozwojem społecznym w Rosji. Lenin w latach dziewięćdziesiątych musiał staczać ostre boje o właściwe pojmowanie dziedzictwa rewolucyjnej demokracji, przeciwko jego ahistorycznemu pojmowaniu przechodzącemu w fałszowanie charakteru dziedzictwa „oświeceniowego".

Mówiąc zatem o kształtowaniu się Białobłockiego w kręgu myśli rewolucyjnej demokracji należy wyraźnie stwierdzić, że było to czerpanie z tego dziedzictwa, nie ograniczenie się do niego. Z tego punktu widzenia dziedzictwo rewolucyjnej demokracji, zwłaszcza w zakresie estetyki, nabierało nieocenionej wartości.

Spróbujmy to przedstawić na jednym konkretnym przykładzie. Prawie równocześnie przeciwko zakłamanym, antyrealistycznym tendencjom sztuki burżuazyjnej kierowały się ataki Białobłockiego oraz Sygietyńskiego i Witkiewicza. Pierwszy podejmował ataki z pozycji rewolucyjnego proletariatu, ostatni — z pozycji zbuntowanych drobnomieszczańskich artystów. Pierwszy, uzbrojony w rewolucyjne doświadczenia i dziedzictwo estetyki rewolucyjno-demokratycznej, zwalczał apologetyczne wobec burżuazji tendencje w dziełach sztuki w imię postępowych, rewolucyjnych tendencji, tamci skłaniali się do zwalczania prymatu wszelkiej tendencji w rzekomym interesie samej sztuki.

U Białobłockiego oba czynniki odegrały ważną rolę: i doświadczenie walczącej partii robotniczej, i właściwe pojmowanie dziedzictwa estetyki rewolucyjnej demokracji. Słuszność pojmowania odgrywa tu ważną rolę. Plechanow, który pisał później niż Białobłocki swoje prace poświęcone literaturze i sztuce, posiadające doniosłe znaczenie dla estetyki marksistowskiej, oceniając estetykę rewolucyjnej demokracji rosyjskiej krytykował ją, że „wyjaśniając zjawiska życiowe nie zadowalała się konstatowaniem tego, co jest, lecz wskazywała też, a właściwie to podkreślała, co powinno być".[3] Był to poważny błąd Plechanowa, że

atakował w rewolucyjnej demokracji to, co stanowiło jej istotną wartość. Białobłocki był od tego błędu całkowicie wolny. Walczył, uzbrojony w oręż dziedzictwa rewolucyjnej demokracji, o konsekwentnie ideową sztukę. Nie widział w niej — jak zobaczymy — antynomii wobec sztuki realistycznej.

Wróćmy jednak do ogólnych zagadnień estetyki. W Rosji lat czterdziestych, a zwłaszcza lat sześćdziesiątych, teren estetyki był dla rewolucyjnych demokratów najodpowiedniejszym polem najbardziej zaciekłych walk światopoglądowych. Na tej arenie toczyła się walka o normy estetyczne i ideały społeczne, o materialistyczne widzenie „podłej rzeczywistości" i wyciągnięcie z niej ziemskich, rewolucyjnych wniosków praktycznych, o rewolucję chłopską i o społeczne zadania sztuki. Gdy Czernyszewski określał kategorie piękna w sztuce, gdy pisał, że „piękna jest ta istota, w której widzimy życie takie, jakim powinno być ono wedle naszego rozumienia" [4], to nie tylko mówił o podstawach estetyki materialistycznej i nie tylko obalał idealistyczne pojmowanie piękna, ale także mówił o ideałach rewolucyjnych, w imię których toczyła się walka o przekształcenie życia społecznego. Wskazywał, że piękno nie jest „absolutem", że istnieje w rzeczywistości, z której trzeba je wydobyć przekształcając samą rzeczywistość.

Owe doświadczenia zaciekłych walk, w których rodziła się materialistyczna estetyka sprzymierzona z ideologią rewolucyjno-demokratyczną, w których z całą konsekwencją rozbijano systemy idealistycznej estetyki, były niezwykle cennym narzędziem walki światopoglądowej Białobłockiego. Nauczyły one naszego krytyka bezkompromisowości wobec wszelkich przejawów idealizmu i agnostycyzmu, nauczyły go walczyć z całą bezkompromisowością w obronie poznawczego charakteru sztuki.

„Czernyszewski — pisał Lenin w pracy Materializm a empiriokrytycyzm — dorównuje całkowicie Engelsowi, gdy zarzuca Kantowi nie realizm, ale agnostycyzm i subiektywizm, nie zakładanie »rzeczy w sobie«, lecz to, że nie umie on wywieść naszej wiedzy z tego obiektywnego źródła".[5] Tę zdecydowaną odporność na wszelkie antymaterialistyczne teorie estetyczne zawdzięczał Białobłocki niewątpliwie rewolucyjnej demokracji, która już dawno miała za sobą rozstrzygające boje z „nowinkami" pozytywistycznymi i neokantowskimi, urzekającymi w Polsce nawet rewolucyjną młodzież inteligencką znajdującą się pod wpływem marksizmu.[6]

Białobłocki nie zajmował się specjalnie estetyką czy, jak w tym przypadku trzeba w bardziej zwężony sposób powiedzieć, teorią literatury. W jego dorobku literackim przekraczającym dwadzieścia artykułów, recenzji, przeglądów i szkiców literackich, tylko dwie pozycje odnoszą się bezpośrednio do estetyki. Są to: recenzje Szkiców estetycznych Mariana Massoniusza, pochodzące z początków roku 1885 [7], oraz Odpowiedź na odpowiedź p. Massoniusza w kwestii estetyki [8], która ukazała się blisko pół roku później i stanowi ostatnie ze znanych nam obecnie wystąpień publicystycznych Białobłockiego. Jego poglądów na sztukę, literaturę nie odnajdujemy w przedstawionym *expressis verbis* systemie; mieszczą się one w obrębie jego artykułów, są wypowiadane wprost lub pośrednio. Określoną wobec konkretnych zjawisk artystycznych postawę warunkują ogólne poglądy. Odnajdywanie w szczegółowych wypowiedziach uogólnień estetycznych obowiązuje niewątpliwie do dużej ostrożności. Nie zawsze szczegółowa wypowiedź świadczy o pełnej sa-

mowiedzy teoretycznej. Jednakże pełniejszy zestaw tego rodzaju wypowiedzi zawiera już znacznie więcej przesłanek do określenia ogólnych założeń. Zresztą w przypadku Białobłockiego skala uogólnień filozoficzno-estetycznych jest tak znaczna, że próba przedstawienia jego poglądów na sztukę nie nastręcza większych trudności.

W nieobfitym ilościowo dorobku twórczym Białobłockiego znajdujemy duże bogactwo uogólnień teoretyczno-literackich. Widoczna jest w nim rozległa skala samowiedzy, świadomości ogólnych założeń estetycznych. I to niewątpliwie czyni te przeszło dwadzieścia „pozycji bibliograficznych", które posiadamy w spadku po nim, niezwykle cennymi elementami w walce o pogłębienie współczesnej estetyki marksistowskiej. Jego poglądy i doświadczenia krytyczno-literackie mają dla nas nieraz duży walor aktualności.

W krytyce Szkiców estetycznych Massoniusza, łączącego harmonijnie kantowskie pojmowanie kategorii estetycznych i przeżycia estetycznego z najjaskrawszym obskurantyzmem religianckim, Białobłocki pisał wzgardliwie: „idealiści w głównych zasadach estetyki są tak do siebie podobni, że doprawdy trudno rozróżnić". A dalej: „Na wszystkie boleści autor wskazuje jedno lekarstwo — pomoc Bożą. Ależ to dziedzina religii, nie estetyki!" [9]

Z całą namiętnością bronił Białobłocki materialistycznej estetyki; główny atak na wspomnianego już autora kieruje się właśne na otwarte odrzucanie przez niego materializmu i głoszenie zasad estetyki idealistycznej, zasad absolutnego piękna: „...w dziele estetycznym — twierdzi Białobłocki — przystoją nie kontemplacje religijne, lecz znajomość komórek mózgowych, studia psychologiczne, wyjaśnienie walk społecznych, a nawet brudów familijnych wielkich pisarzy i artystów".[10] Nawet to, nigdy zaś kontemplacja religijna...

Stwierdzenie powyższe posiada istotne znaczenie z jednego jeszcze względu. Podkreślając konieczność badań psychologicznych, niezbędnych dla poznania twórczości artystycznej, Białobłocki jest całkowicie wolny od błędu występującego czasem u rewolucyjnych demokratów, np. u Czernyszewskiego i Dobrolubowa, a polegającego na wypowiadaniu poglądu, że istnieją jakieś naturalne, pozahistorycznie traktowane właściwości umysłu człowieka. Jest to zresztą błąd teoretyczny, przezwyciężony przez Dobrolubowa w jego konkretnych analizach postawy i działalności człowieka, jego sposobu myślenia, które rozpatruje jako rezultaty rozwoju historycznego, miejsca jednostki w życiu społecznym.

Białobłocki wskazuje wyraźnie, że wyjaśnienia przejawów działalności intelektualnej twórcy, jak w ogóle wszelkiej działalności, szukać należy i w studiach psychologicznych, pojmowanych zdecydowanie materialistycznie, i w historii, w „walkach społecznych" [11] określających pozycję klasową i orientację ideową artysty, pisarza. Dowodzi on konsekwentnie, że nie ma bezwzględnej prawdy, absolutnego piękna (które dla powagi idealista Massoniusz oznacza utartym zwyczajem dużymi literami), że pojęcia te zmieniają się w miarę rozszerzania ludzkiej wiedzy i rozwoju historycznego społeczeństw. „Pojęcia te są względne, zmieniają się równolegle ze zwiększaniem doświadczeń naukowych, społecznych, artystycznych. Tożsamość zaś ich ównież musi być odrzucona." [12]

Białobłocki wskazuje na źródła sztuki w praktycznej działalności człowieka, na to, że jej źródła tkwią w realnej praktyce ludzkiej. Nie boskie jest jej pochodzenie, lecz zwyczajnie ludzkie.

Wyjaśnia to z nadzwyczajną prostotą: „...jesteśmy niczym więcej, jak składową częścią powszechnego ruchu. Lecz ludzie chcą żyć, życie sobie udogodnić i uprzyjemnić, a dlatego badają przyrodę, ustalają porządek społeczny i tworzą arcydzieła sztuki".[13] Powiedzmy od razu, że wiązanie pojęcia uprzyjemniania i udogadniania życia z genezą sztuki nie ma u Białobłockiego nic wspólnego z kantowskim, idealistycznym pojmowaniem przeżyć estetycznych jako biernej kontemplacji życia. Białobłocki pojmuje sztukę jako siłę oddziaływającą na przekształcenie i formowanie świadomości ludzkiej, postawy i aktywności człowieka. Odrzuca zdecydowanie pogląd, jakoby „prawdziwe, estetyczne wrażenie od dzieł sztuki powinno być po prostu osłupieniem bezmyślnym, bo niekrytycznym zachwytem pięknością arcydzieła". Sztuka zatem — według słusznego poglądu krytyka — wyrasta z życia, jej „korzenie kryją się głęboko w naturze ludzkiej i warunkach społecznych".[14] Tam tkwią jej źródła. Tam też należy się zwracać po jej objaśnienie. To podstawowe założenie materialistycznej estetyki było konsekwentnie reprezentowane przez Białobłockiego, bronił go i uzasadniał. Nadawało ono zasadniczy sens jego działalności krytycznej. Bo skoro sztuka, literatura wyrasta z życia, odzwierciedla je, to wyjaśnienie określonych zjawisk literackich, ich genezy jest objaśnieniem samego życia i formą wpływania na jego przekształcenie.

Białobłocki broni zdecydowanie poznawczego charakteru literatury — nią się głównie zajmuje. Widzi w niej zwierciadło rzeczywistości. Przemiany w życiu społecznym warunkują przemiany w literaturze. „Nigdy — pisze — za dużo nie można powtarzać, że literatura odzwierciedla moralny i umysłowy stan społeczeństwa". Każdy nowy utwór, który na pozór jest rezultatem swobodnego natchnienia, tkwi swoją genezą w konkretnej rzeczywistości, jej „zawdzięcza swoje narodzenie".[15] Dlatego też, gdy Białobłocki będzie pragnął zapoznać czytelników polskich z literaturą rosyjską, której poświęci znaczną część swego dorobku krytycznego, napisze: „Streścić sąd najzdolniejszych członków społeczeństwa o najważniejszych objawach jego życia — to znaczy zobrazować stan jego".[16] Scharakteryzowanie, jakimi treściami żywi się literatura rosyjska — stwierdzi tam — przynosi nam objaśnienie, czym żyje społeczeństwo, co je najbardziej interesuje. Pośrednio charakterystyka literatury przynosi więc objaśnienie „życia... rosyjskiego narodu".[17] Było to pojmowanie wartości literatury wyrastające z estetyki rewolucyjno-demokratycznej. Bieliński szeroko uzasadniał pogląd, że człowiek myślący ma prawo traktować obrazy odtworzone przez sztukę jako fakty rzeczywiste, sprawdzać ich rzeczywisty charakter, wartość uogólniającą, stopień typowości. We wspaniałej praktyce krytycznej jego i Dobrolubowa zasada ta była podstawą głębokich analiz życia społecznego i walk ideowych ogarniających naród rosyjski.

Taki punkt wyjścia łączy się z najistotniejszym problemem estetyki, teorii literatury, z realizmem. Najpełniejsza wiedza o tym podstawowym zagadnieniu w estetyce przedmarksistowskiej zawarta jest właśnie w pracach rewolucyjnych demokratów rosyjskich. W tym zakresie są oni najbliżsi poglądom marksistowskim. Chodzi o stosunek literatury do rzeczywistości, o odbicie życia w sztuce. Od nich wywodzi się pogląd, że całkowitą treścią sztuki jest rzeczywistość ludzka, niezależnie od tego, jak ona jest ujmowana: prawdziwie czy fałszywie. Pogląd ten ruguje po prostu mniemanie idealistów o nadprzyrodzonych źródłach piękna, głoszo-

ne w szacie religijnej czy w szacie pseudonaukowych „kategorii wrodzonych" lub dążenia do absolutu. Traktując sztukę jako przejaw konkretnej działalności ludzkiej, rewolucyjni demokraci, a za nimi Białobłocki, w praktycznym życiu szukali źródeł jej treści.

„...działalność człowieka — twierdził Czernyszewski — w ogóle nie dąży do absolutu i nic o nim nie wie, mając na uwadze cele czysto ludzkie" [18]. Obszernie i wielokrotnie rozwijał te poglądy Dobrolubow dowodząc materialnych źródeł obrazów, idei, wyrażonych w artystycznych kształtach: „Właściwie, bezwzględnej nieprawdy pisarze nigdy nie wymyślają: o najgorszych nawet powieściach i melodramatach nie można twierdzić, że przedstawiana w nich namiętność i pospolitość jest bezwarunkowo fałszywa, tj. w życiu niemożliwa nawet jako przypadkowa deformacja rzeczywistości..." [19]

Białobłocki niezachwianie stał na stanowisku materialistycznego pojmowania sztuki, odnajdywania jedynego jej źródła w rzeczywistości. Materialistyczne pojmowanie źródeł sztuki nierozerwalnie wiązało się z pojmowaniem realizmu literatury jako jej podstawowego kryterium. W tym zakresie Białobłocki miał w swej działalności sprzymierzeńców nie tylko w swych poprzednikach rewolucyjno-demokratycznych: widział ich także w ówczesnej literaturze polskiej, tworzącej najwyższe osiągnięcia realizmu krytycznego. Widział tych sprzymierzeńców nie tyle w ówczesnej krytyce, która bynajmniej nie torowała drogi realizmowi krytycznemu, a w swych najwyższych nawet osiągnięciach ograniczała drogę rozwoju literatury realistycznej, w krytyce, która wypaczała ją spychając walkę o sztukę realizmu krytycznego na tory formalistycznych dyskusji (Sygietyński, zwłaszcza Witkiewicz). Nieprzypadkowo w tym okresie najdojrzalszą myśl estetyczną reprezentują nie augurowie krytyki pozytywistycznej (np. Chmielowski), lecz właśnie wielcy twórcy literatury okresu: Prus np. jako krytyk Ogniem i mieczem Sienkiewicza lub jako krytyk malarstwa, Sienkiewicz — chociażby jako krytyk Prusa, wreszcie Orzeszkowa nie jako autorka Kilku uwag nad powieścią i Listów o literaturze, ale wtedy, gdy swoją praktyką pisarską wyjdzie poza dworek szlagona i salon ziemiański, „w różne sfery", i w jednym z opowiadań będzie postulowała (co i sama realizowała) schodzenie literatury w „niziny", czerpanie stąd źródeł inspiracji twórczych. W opowiadaniu, które mam na myśli, w Daj kwiatek, poznanie bytu ludzi „niskich, biednych, zmiętych w dłoni losu i czasu" staje się dla autorki Marty i Z różnych sfer kanonem sztuki. „Znajomość bowiem — pisze — wielu, wielu historii podobnych stanowi dla człowieka — bogactwo serca, dla pisarza — żywy zdrój mądrości. Śmiem nawet ubolewać mocno nad pisarzem każdym, który historii takich nie ciekaw jest i nie zna wcale. Niewiele strun w lutni jego i mało farb na jego palecie."

Przywołałem powyższe nazwiska polskich realistów krytycznych, zwłaszcza Orzeszkowej, bo Białobłocki wyraźnie doceniał jej rolę w walce o postulowaną przezeń literaturę realistyczną. Podobnie, a nawet bardziej — rolę Konopnickiej-poetki (osiągnięcia jej w nowelistyce przyszły później). Ale szczególne znaczenie miało przymierze przyswojonego przez Białobłockiego dziedzictwa estetyki rewolucyjnej demokracji z doświadczeniami literatury polskiej w kształtowaniu się jego poglądów na rolę i zadania społeczne sztuki. W zakresie walki o realistyczną literaturę uodporniały one Białobłockiego na rozpoczynający się i w Polsce napór este-

tyki naturalistycznej. Białobłocki był jej zdecydowanym krytykiem. W niej, podobnie jak w haśle „sztuki dla sztuki", widział zaprzeczenie podstawowych wartości społecznych literatury. Uważał estetykę naturalistyczną nie za wypaczenie zasad realizmu, ale za ich przeciwstawienie. Demaskował treść estetyczną naturalizmu, przeciwstawiając mu — jak zobaczymy — konsekwentne pojmowanie realizmu, demaskował jego obiektywną szkodliwość w walce ideowej toczącej się w społeczeństwie klasowym. „Skoro autor — pisał solidaryzując się z rosyjskimi krytykami literackimi, których poglądy referował— zasklepi się w służeniu «świętej sztuce», usunąwszy na bok kwestie żywotne czasu, to pod jakim bądź hasłem wystąpi, czy «sztuki dla sztuki», czy «obiektywnej, beznamiętnej prawdy», rezultat będzie jeden i ten sam — zdegradowanie sztuki z czynnika postępu na czynnik zabawy, w której postęp chyba przejawi się jako coś ustalonego, lecz sama sztuka najmniejszego udziału w sprawach ludzkich nie będzie miała." [20]

Nim przejdziemy do zagadnienia pojmowania udziału sztuki w „sprawach ludzkich", rozważyć musimy realną treść, jaką napełniał Białobłocki uznawane przez niego za podstawowy probierz wartości sztuki — pojęcie realizmu. W tym zakresie — nie jedynym zresztą — najpełniej przyswoił on sobie najdojrzalsze elementy estetyki rewolucyjno - demokratycznej i antycypuje niejako Engelsowskie określenia. „Artysta — pisze Białobłocki — nie zawsze zadawalnia się tylko wiernym przedstawieniem pewnych stron bytu, chociaż to jest głównym jego zadaniem i zasługą; po większej części wskazuje przyczyny i skutki pewnego zjawiska, orzeka o jego stosunku do całego życia — jednym słowem, wypowiada swoje poglądy, swoją tendencję i staje się w ten sposób publicystą." [21] Pozostawiając na razie na uboczu niejasny dotąd sens końcowy tego sformułowania, zwróćmy uwagę na jego *meritum:* stwierdzenie, że głównym zadaniem artysty, pisarza jest wierne ukazanie rzeczywistości. Jak ono się realizuje?

Sprawa specyfiki form odzwierciedlenia rzeczywistości w sztuce jest jednym z centralnych zagadnień estetyki materialistycznej. Propozycję jego rozwiązania wysunęli najtrafniej w przedmarksistowskiej estetyce rewolucyjni demokraci z Bielińskim na czele. Wiadomo, że wczesne poglądy Bielińskiego w tej sprawie były fałszywe. Sugerowały odmienność procesu myślenia logicznego i artystycznego. Później jednak zdecydowanie wskazał on nie na odmienność form myślenia, ale na odmienność ich wyrażania w postaci wywodu logicznego oraz w kształcie artystycznym.

W słynnym i wielokrotnie cytowanym ustępie przeprowadzając analizę sposobu wyrażania poglądów w sposób logiczny i w kształcie obrazowym dominujący w sztuce, Bieliński dowodził identyczności sposobu myślenia i artystycznego, i logicznego, a odmienności rezultatów wyrazu w tych różnych w swojej specyfice dziedzinach poznania ludzkiego. „Polityczny ekonomista — pisał — uzbrojony w liczby statystyczne, udowadnia działając na umysł swych czytelników lub słuchaczy, że sytuacja takiej to a takiej klasy w społeczeństwie bardzo się polepszyła lub bardzo się pogorszyła na skutek

takich to a takich przyczyn. Poeta, uzbrojony w żywe i wymowne wyobrażenia rzeczywistości, pokazuje w wiernym obrazie — działając na fantazję swych czytelników — że sytuacja danej klasy w społeczeństwie bardzo się polepszyła albo pogorszyła, na skutek takich to a takich przyczyn.

Jeden udowadnia, drugi pokazuje, a obaj przekonywają, tylko jeden logicznymi dowodami, a drugi obrazami." [22]

Rozwinięcie tego poglądu i ukazywanie jego praktycznych rezultatów w analizie dzieł pisarzy było punktem wyjścia niejednej z najpiękniejszych analiz krytycznych samego Bielińskiego, a także Dobrolubowa, który najwyższy rezultat sztuki upatrywał w pełnym wyrażeniu w kształtach artystycznych najgłębszego i najwszechstronniejszego zrozumienia rzeczywistości. W słynnej krytyce dramaturgii Ostrowskiego pisał Dobrolubow: „Swobodne przetwarzanie pojęć najwyższej kategorii w żywe kształty, a równocześnie głębokie zrozumienie nadrzędnego, ogólnego sensu we wszystkich jak najbardziej jednostkowych i przypadkowych zjawiskach życiowych — oto ideał całkowitego połączenia nauki i poezji, którego dotąd nikt jeszcze nie osiągnął." [23]

Białobłocki głęboko pojmował sens specyfiki literatury i głosił ją z pełną świadomością teoretyczną. W specyficznych formach wyrazu artystycznego odnajdywał ich sens poznawczy. Dlatego też odrzucał kopiowanie rzeczywistości, w którym zatraca się wśród rzeczy przypadkowych i nieistotnych to, co typowe dla rzeczywistości. Specyfika form wyrazu artystycznego nie miała dla niego nigdy nic wspólnego z zatratą funkcji poznawczej literatury. Przejawiała się tylko według niego w swoistej postaci.

W pięknej krytyce Firduziego Łętowskiego, w której wykazywał, że reakcyjna tendencja wypacza prawdę utworu, pisał: „Skoro się chce czegoś dowieść, to się pisze traktat lub studium: a jeżeli się chce pokazać przejaw życiowy idei i przekonań, to się maluje żywych ludzi i pokazuje się, jaką drogą wśród danych okoliczności dochodzą oni do takich, a nie innych przekonań, lub też opowiada się, w jaki sposób te lub owe przekonania i idee wpływają na postępowanie praktyczne rozmaitych osób i charakterów" [24]

Białobłocki dowodzi tam, że postaciom występującym w obrazie dramatycznym Firduzi brak typowości, realistycznej motywacji postawy i czynów. „Myśl swoją — nicuje Białobłocki metodę pisarską Łętowskiego, nazywając ją tańcem krzywego artyzmu z kulawą logiką — autor rozwija w sposób następujący: Firduzi jest reprezentantem samowiednych zasad starych a czystych, miłością ojczyzny natchnionych. Człowieka tu nie ma, jest tylko cały szereg tyrad patriotycznych przypisanych Firduziemu. Anszari (wg Łętowskiego rewolucjonista, przeciwnik starego ładu — przyp. S. S.) wybija się na wierzch głoszeniem zasad epikurejskiego kosmopolityzmu i również nie posiada żadnego ciała ludzkiego, jest tylko wzorem wypchanym frazesami mającymi zobrazować idee „młodego" pokolenia... Około tych najwięcej mówiących postaci uwija się po kilka mniejszych, które są ich echem powtarzającym wiernie

to samo, co oni mówią." Atak krytyka kieruje się wyraźnie przeciwko brakom motywacji realistycznej w działaniu występujących bohaterów, przeciwko pustej retoryce, w której zatraca się sens postaci, ich roli życiowej i warunków ujawniania się istotnych cech. Z zaskakującą dojrzałością, przypominającą—nie raz jeden—Engelsowskie przeciwstawienie metody twórczej Szekspira i Schillera, Białobłocki zapytuje: „Gdzie pan Łętowski znalazł pierwowzory dla swojej twórczości? Nie w Szekspirze, bo ten całą akcję opiera na czynnikach psychologicznych." Niemniej chyba zdumiewający jest dalszy wywód naszego krytyka, przy czym trzeba się od razu zastrzec, że jest wykluczone, by Białobłocki znał wypowiedź Engelsa o Schillerze zawartą w liście do Minny Kautskiej z tej choćby przyczyny, że ogłosił on swój artykuł w listopadzie 1883 roku, a Engels pisał swój list w dwa lata później — w listopadzie 1885 roku. Przypomnijmy, co pisał tam współtwórca naukowego socjalizmu: „Nie jestem bynajmniej przeciwnikiem poezji tendencyjnej jako takiej... największa wartość Kabale und Liebe Schillera polega na tym, że jest ona pierwszym niemieckim politycznym dramatem tendencyjnym." I jeszcze jedno przypomnienie: ta wysoka ocena Engelsa nie zaciera istotnych braków twórczości Schillera — tworzenia zamiast pełnych realistycznych postaci — „rezonatorów ducha czasu" — jak wyraził się Engels w liście do Lassale'a z roku 1859.

Wróćmy obecnie do tekstu Białobłockiego: „Gdzie pan Łętowski znalazł pierwowzory dla swojej twórczości?... A może w Szyllerze? Wiadomo, że Rozbójnicy, Don Carlos i kilka innych dramatów Szyllera pod względem prawdy życiowo-historycznej stoją bardzo nisko. Cała ich siła leży we wzniosłej tendencji. Tak, ale całe niebo oddziela Rozbójników od Firduziego. Rozbójnicy są protestem przeciwko despotyzmowi, ale Szyller nie przedstawił manekinów chwalących i ganiących despotyzm, tylko zobrazował i uczucia swoje, i każdego szlachetnego i energicznego człowieka, które powstają pod zgubnym wpływem ucisku. Obrazy fantastyczne, nawet niemożebne, ale uczucia były prawdziwe i porywająco przedstawione." Przy dokonywaniu powyższej — bądź co bądź — niezwykle interesującej konfrontacji, nie chodzi nam o zbieżność opinii współtwórcy socjalizmu naukowego i młodego, socjalistycznego krytyka polskiego; chodzi o istotny charakter tej zbieżności. O podłoże światopoglądowe i ideologiczne, które stwarza taką zupełnie bezpośrednio niezależną zbieżność poglądów na określone zagadnienia szczegółowe. Chodzi o to, że ze światopoglądu marksistowskiego Białobłocki wyprowadzał dyrektywy kryteriów i ocen artystycznych. Najplastyczniej jest to widoczne u niego w dziedzinie poglądów na sprawy ideowości sztuki, literatury, wzajemnych związków między nią a realizmem.

W cytowanym już fragmencie Białobłocki wskazywał, że głównym zadaniem i zasługą artysty jest wierne przedstawianie rzeczywistości. To, według niego, stanowi podstawowy probierz znaczenia pisarza czy utworu. Ale równocześnie dowodzi on, że pisarz nie zadowala się stwierdzeniem określonych zjawisk społecznych i jednostkowych, że poszukuje on wyjaśnienia ich źródeł, przyczyn, następstw. W ten sposób wypowiada „swoje poglądy, swoje tendencje". Wywód Białobłockiego kończy się dość niefortunnie, pisarz w wyniku wyżej przytoczonych faktów staje się — twierdzi — publicystą. Takie określenie nie mówi nam jeszcze, czy to dobrze, czy źle. Nie mówi, czy istnieje między

owym „publicystą“ a artystą antynomia. Ale wszystkie inne wypowiedzi Białobłockiego rozwiewają wszelkie wątpliwości. Do nich obecnie przechodzimy. One ukażą nam najbardziej dojrzałe i rozwinięte elementy jego estetyki.

Przede wszystkim Białobłocki wielokrotnie stwierdza, że tendencyjność, właściwie zrozumiana tendencyjność, nie jest przeszkodą, przeciwnie, sprzyja realistycznemu ukazaniu rzeczywistości. Nie przeprowadza on też dyskusji między tendencyjnością a beztendencyjnością w sztuce. Taki problem dla niego nie istnieje. Każda sztuka, literatura jest dla niego tendencyjna.

W walce o tendencyjność, tak jak ją Białobłocki pojmuje, cennym, najcenniejszym bodaj doświadczeniem była dla niego ówczesna literatura polska, a właściwiej mówiąc — jej drogi rozwoju po roku 1864. Pozytywistyczne kampanie o sztukę tendencyjną, o sztukę afirmującą kapitalistyczną rzeczywistość, stanowiącą dla niej narzędzie walki z przeżytkami feudalnymi i epigonizmem romantycznym, mocno skompromitowały hasła estetyzmu, opiewanie „gila i makolągwy“, kult „sztuki dla sztuki“. Kampanie te postawiły na porządku dziennym sprawę jawnego, otwartego powiązania literatury z życiem. Oczywiście, gdy optymistyczna wizja harmonijnego rozwoju kapitalizmu została bezlitośnie rozbita przez obiektywny rozwój społeczny, pełen sprzeczności i nabrzmiałych konfliktów klasowych, utożsamianie związku literatury z życiem, z apologią tego życia zostało mocno podważone. Ale pozytywistyczna szkoła więzi literatury z życiem nie doprowadziła żadnego z wielkich pisarzy tego okresu do ucieczki od życia do „wieży z kości słoniowej“. Głęboko borykali się w swej twórczości z obserwowanymi w życiu sprzecznościami i antagonizmami społecznymi, omijali je, dawali fałszywą motywację, nieraz nasyconą wrogością do rzeczywiście rewolucyjnych sił w narodzie, podsuwali fałszywe, utopijne rozwiązanie społeczne — ale nigdy nie zrywali programowo z życiem, nigdy nie głosili hasła rozbratu sztuki i życia. W okresie działalności Białobłockiego, przypadającej na rozkwit polskiej literatury realizmu krytycznego, do wielkich pisarzy okresu wszystkie te hasła rzekomo beztendencyjnej społecznie sztuki nie miały dostępu. Orzeszkowa borykała się z nowymi zjawiskami historycznymi — ruchem rewolucyjnym, którego nie umiała zrozumieć i któremu nie mogła przeciwstawić żadnej pozytywnej siły „starego społeczeństwa“. Sienkiewicz w intencjach na wskroś współczesnych tworzył obrazy walk obronnych siedemnastowiecznej Rzeczypospolitej. Prus w praktyce pisarskiej i krytycznej bronił i uzasadniał rolę sztuki jako odzwierciedlenia życia i potrzeb społecznych najszerszych mas narodu. Twórczość Konopnickiej, mimo ograniczeń, była pięknym wyrazem pragnień i potrzeb ludu. W tych warunkach widać, jak jednak ograniczona była walka o nową estetykę, toczona przez zbuntowanych krytyków grupy „Wędrowca“ przeciwko sprostytuowanej przez klasy rządzące sztuce. Żaden z nich nie stanął na wysokości praktyki pisarskiej naszych ówczesnych realistów. Prus przerastał ich niewspółmiernie w wypowiedziach krytyczno-literackich.

Taka sytuacja niewątpliwie pozwalała Białobłockiemu pogłębić rozumienie ideowości literatury, istotnego jej charakteru. Rozumienie tendencyjności literatury wyniósł niewątpliwie z dziedzictwa rewolucyjnej demokracji, pogłębienie problemu przynosiły bezsprzecznie doświadczenia rewolucyjnych walk proletariatu polskiego i wnioski z aktualnego stanu polskiej literatury realizmu krytycznego.

„U nas — pisał — nawet nie wszczy-

nano poważnie kwestii, czy literatura ma być tendencyjną, czy nie. Wszyscy pisarze, nawet najzefiryczniejsze: Deotyma i Hajota, wypowiadają swoje żale i aspiracje. Niezawsze, prawda, mogą jasno to zrobić, lecz nie przeszkadza, aby cała nasza literatura była tendencyjna. A to dlatego, że u nas nie ma stronnictw, najskrajniejszych nawet nie wyłączając konserwatystów, które by nie pragnęły jakiejkolwiek zmiany. Toteż i krytyka nasza nigdy nie przeczyła, by pisarze nie mieli prawa w utworach przeprowadzać poważnej myśli.“ [25]

Białobłocki wzorem rewolucyjnych demokratów stawia sprawę tendencyjności, udziału literatury w walkach społecznych, w ścieraniu się poglądów ideowych — z całą otwartością. „Niech poeta z największym talentem — oświadcza — wyśpiewa swoje osobiste dole i niedole, lecz jeżeli one nie będą miały społecznego znaczenia, to przebrzmią bez echa, bo teraz nie ma czasu na ich słuchanie. Naturalnie im więcej talentu wykażą, tym więcej zdziałają swym słowem poeci-obywatele i tylko to można powiedzieć, że obecnie uwaga i wpływ należą nie do poetów wyśpiewujących dzieje miłosne, lecz do tych, którzy zechcą apostołować takie lub inne idee.“ [26]

Zresztą Białobłocki dowodzi przenikliwie, że nie ma sztuki nietendencyjnej, że tendencja tkwi zawsze w obiektywnej wymowie dzieła literackiego, chociaż nie zawsze jest ona wyrazem intencji pisarza. Polemizując z reakcjonistą Łętowskim nie łudzi się możliwością przekonania go na swój ład, domaga się tylko, aby był wierny naturalnej wymowie faktów obiektywnej rzeczywistości.

Gdy autor ten przedstawia człowieka wyzutego z wszelkiego poczucia więzi ze swym narodem, cynika i egoistę, nie gardzącego żadnymi środkami do „wybicia się“, prowadzącymi do kariery osobistej, Białobłocki domaga się, aby pisarz zobrazował, jakie czynniki wewnętrzne i okoliczności społeczne popychają go do tego. W wyniku otrzymalibyśmy „rzecz ładną i pouczającą“, bo dostrzeglibyśmy, że takie typy są rezultatem zgnilizny społecznej, ostrych sprzeczności klasowych w społeczeństwie, w którym na jednym biegunie są „uciskający i używający“, na drugim ludzie w jarzmie wyzysku i przemocy. „Autor — kończy krytyk swój wywód — mógłby wtedy nic od siebie nie mówić, a każdy by go zrozumiał, nie tylko zrozumiał, lecz uwierzył, bo miałby do czynienia nie z frazesami, lecz z dobitnie przedstawionym faktem.“ Przypomnijmy znowu Engelsa, który w roku 1888 pisał do miss Harkness, że realizm może przejawiać się wbrew przekonaniom pisarza. Engels przypomina przy tym sławny przykład Balzaka. Do Minny Kautskiej Engels pisał, że właściwie pojęta tendencyjność „musi wynikać z samej sytuacji i akcji“. Takiej „mimowolnej“ tendencyjności mógł żądać i żądał pierwszy nasz krytyk socjalistyczny od wstecznego pisarza. Domagał się wiernego odzwierciedlenia rzeczywistości, na przekonania wrogiego mu ideowo pisarza rozsądnie wpływać nie usiłował. Inaczej dyskutuje się z wrogiem, inaczej ze sprzymierzeńcem. Od pierwszego żądał prawdy życia, i tylko prawdy życia. Gdy postulował

natomiast postępową, sprzymierzoną z ruchem rewolucyjnym literaturę, wymagał od pisarza zrozumienia prawdy życia, wyciągnięcia z niej przeobrażających rzeczywistość wniosków.

„...pisarz musi, powinien mieć jakieś poglądy na świat czyli tendencję, jak każdy rozwinięty człowiek, i posiada święte prawo wypowiadać swe przekonania..." — pisał gdzie indziej. I jeszcze: „przecież artyści są także ludźmi, a wielcy artyści przede wszystkim ludźmi: to jest, według określenia Mickiewicza, istotami, które cierpią za miliony. Jeżeli tak jest — to nic dziwnego, że w utwory swoje wlewają te myśli, nad którymi głowę łamiemy, te uczucia, które w nas budzą zapał lub oburzenie. Przeciwnie, błahym człowiekiem i niezdolnym artystą jest ten, który poświęcając się jakiemu bądź z „twórczych rzemiosł", nie pochwycił zwątpień umysłów i żalów serca współczesnych mu ludzi." [27] Jest rzeczą znamienną, że w artykule poświęconym drugiej serii poezyj Konopnickiej, w której Białobłocki, mimo wszystkie ograniczenia fideistyczne i solidarystyczne właściwe jej światopoglądowi i ideologii społecznej, witał pisarkę głęboko związaną z ludem polskim i silnie odczuwającą jego niedolę, pisał o zadaniach literatury i posłannictwie poezji najbardziej pełnym głosem: „Któż zapełni przepaść dzielącą dolę i niedolę, kto przed szczęśliwymi roztoczy obraz mąk piekielnych i zagrzmi przed nimi trąbą archanioła powołującą ich na sąd, wskazując na owoc nienawiści i zemsty, który w otchłaniach wciąż rośnie i rośnie; któż w przybytki ciemności i nędzy poniesie światło nauki, wskaże słabym na ich siłę w liczbie, usamodzielni ich w poczuciu swojej godności, odtworzy obraz szczęścia i wskaże drogę do niego? Któż jeżeli nie sztuki i najwspanialsza z nich — poezja?." [28]

W służbie ludu, w ukazywaniu jego potrzeb, siły i dróg wyzwolenia społecznego widział Białobłocki najwyższe zadania poezji. Dobrolubow żądał partii ludu w literaturze, o to samo walczył konkretnie Białobłocki w Polsce lat osiemdziesiątych XIX stulecia, on jeden ze świadomością ideologa rewolucyjnego proletariatu.

Właśnie przy ocenie poezji Konopnickiej pojawia się u niego postulat konieczności poznania nauki przez twórców, którzy „prawie wyłącznie są jednostkami dobrze znającymi życie zamożnych sfer", zgłębiania przez nich wiedzy o życiu — „czynnika samowiedzy". „W ręku poetów — pisał — nauka powinna stać się olejem, którym napełnić muszą swe lampy i świecić nimi całej ludzkości".

Nie przecenia Białobłocki — jakby się mogło zdawać — czynnika wiedzy, nauki w rozwoju społecznym, co niekiedy występowało w publicystyce rewolucyjnych demokratów, a było już powszechnym zjawiskiem u ówczesnych polskich ideologów pozytywizmu. Najwyższy triumf nauki, wiedzy upatruje w tym, że stała się ona narzędziem walki klasy robotniczej: „potęga wiedzy — głosił — ujawniła się w systematycznej walce proletariatu przeciwko kapitalizmowi." [29]

Niezwykle natomiast dużą wagę przywiązywał on — gdy szło o pisarzy postępowych — do sprawy ich „poglądów na świat i życie", ich poglądów społecznych i filozoficznych. Wiąże się to u niego z przekonaniem, że tylko pisarz, który jest w pełni świadomy spraw społecznych, toczących się walk klasowych, dążeń, działalności klas w społeczeństwie, perspektyw rozwoju historycz-

nego, jego sił sprawczych, może konsekwentnie reprezentować interesy mas ludowych, wspierać ich walkę. To było jego najwyższym postulatem ideowo-artystycznym. Stąd w jego artykułach stałe nawracanie do tej sprawy, różnorakie jej rozwijanie. W artykule o poezji Konopnickiej postulat ten jest głoszony przez Białobłockiego jako najbardziej zasadniczy. „Dlatego też obecnie — pisze — pierwszorzędną rzeczą w ocenianiu utworów poetycznych wydaje nam się kwestia wykształcenia i filozoficznych poglądów poety.“ Konopnicka pod tym względem zawiodła krytyka. Wytyka jej też demobilizujący społecznie fideizm i złudny solidaryzm. Docenia wprawdzie głęboką, humanistyczną więź, jaka łączy poetkę z cierpiącymi masami ludowymi, ale jego postulaty muszą iść dalej. Wskazując, że „pokrzywdzeni“, uciskani „jednak powinni pragnąć i dążyć“ do sprawiedliwości społecznej, „równości ludzkiej“ i do szczęścia, dowodzi, iż „inteligencja altruistycznie usposobiona“, żywo odczuwająca niedolę mas, ma obowiązek „uświadomić, oświecić nauką ich dążenia“.

Dobrolubow twierdził, że najistotniejszym sensem sztuki jest „budzić ze snu drzemiące siły ludu“. Białobłocki znał już drogi wiodące do wyzwolenia mas ludowych. Uważał, że sztuka uzbrojona w „naukę“ powinna im tę drogę wskazywać. Apele jego do pisarzy nie miały charakteru utopijnego. Nie do każdego kierował ten postulat. W przypadku wstecznika Łętowskiego „ograniczał“ pretensje krytyczne do wymagania wiernego ukazywania rzeczywistości, od Konopnickiej, może od niej jednej spośród pisarzy działających w Królestwie Kongresowym, domagał się nie tylko solidarności z cierpiącymi masami, ale ukazywania rzeczywistych możliwości zmiany ich sytuacji. Nawet wobec Orzeszkowej — jak zobaczymy — nie żywił już tego rodzaju nadziei. Postulat wiedzy i nauki, który z takim patosem głosi w określonych przypadkach, nie jest więc jeszcze jedną utopią pozytywistyczną, lecz postulatem w pełni świadomej służby pisarza w interesie mas ludowych. Skoro będziemy pamiętali, gdzie Białobłocki widział rzeczywiste źródła poznania i że upatrywał potęgę nauki w służbie proletariatu, jasny się stanie dla nas sens jego postulatów, sens jego działania jako krytyka. Dodać tu także trzeba, że Konopnicka — jako adresatka postulatów Białobłockiego — była wówczas w zasięgu jego praktyki krytycznej najodpowiedniejszą z możliwych. Świadczy to chyba dobrze o stopniu dojrzałości ideowej ledwie początkującego krytyka.

2

W obrębie zagadnienia ideowości literatury szczególną wartość przedstawia dojrzałe, marksistowskie rozważenie przez Białobłockiego dwóch węzłowych spraw. Pierwsza — szerzej rozwinięta — dotyczy zagadnienia jedności funkcji poznawczej sztuki z jej funkcją ideowości, druga — wynikająca tylko aluzyjnie z jego wypowiedzi — to sprawa partyjności literatury. W pierwszym przypadku Białobłocki rozważa m. in. sprawę wolności pisarza i stawia ją ze zdumiewiającym nowatorstwem. Białobłocki zastanawia się mianowicie, kiedy pisarz, nie wyrzekając się funkcji poznawczej swego dzieła, pozostaje jednak zdecydowanie na pozycjach bojownika określonych idei, ich reprezentanta w literaturze. Dowodzi z głęboką świadomością teoretyczną, że właściwie pojęte — obie te funkcje literatury bynajmniej nie wchodzą ze sobą w kolizję. Że nawzajem się wspierają. „Artysta — pisze — ma prawo grupować zjawiska życiowe tak, jak mu dyktuje jego przekonanie

— jest wtenczas swobodnym, a sztuka jego zostaje realistyczną, jeżeli tylko nie fałszuje prawdy i nie przesadza w zobrazowaniu rzeczywistości; artysta zaś, który naprzód stawia sobie cel zohydzić pewne idee, bez względu, czy liberalne, czy zachowawcze, i nakręca, wymyśla lub fałszuje punkty, które mają mu do tego posłużyć, jużciż jest tendencyjnym, z tą tylko różnicą, że nie swobodnym w swoim natchnieniu, jest niewolnikiem z góry wskazanych mu celów kosztem swej godności pisarskiej i czci ludzkiej.“ [30]

Co oznacza prawo grupowania faktów według intencji ideowych twórcy? Prawo to — a jak Białobłocki częściej twierdzi, obowiązek — wynika z właściwego pojmowania przez niego podstawowych zagadnień realizmu: typowości postaci i sytuacji. Pojawia się ono u niego zarówno w postaci rozważań teoretycznych, częściej jednak i plastyczniej jako postulat ideowo-twórczy. Łętowski jest przez niego krytykowany za to między innymi, że jego postaciom brak typowych cech i że nie występują w typowych sytuacjach. Przykładem — krytyka kreacji postaci nie liczącego się z niczym karierowicza. Typ, według Białobłockiego, trafnie uchwycony, ale sytuacja, w której występuje — najzupełniej fałszywa. Bo nie jest on typowy dla ruchu rewolucyjnego, lecz dla rozkładającego się społeczeństwa antagonistycznego.

„Logikę p. Łętowskiego — brzmi zarzut estetyczny i równocześnie polityczny — jeszcze i dlatego nazywam kulawą, że twierdzi, jakoby powstanie nowych idei (tendencji rewolucyjnych — przyp. S. S.) miało przyczynę w chęci li tylko pewnych jednostek do »wybicia się na wierzch«, co jest nawet nie fałszem, ale... nieszlachetną insynuacją.“ Podobnie z typowością postaci. Zarzut wobec wspomnianego pisarza sprowadza się do tego, że w swych bohaterach pomieszał najzupełniej przypadkowe cechy z typowymi i nie odróżnił jednych od drugich. Wszystkie traktując jako typowe „...przypuszczamy kojarzenie przez autora religijności i dobrych uczynków społecznych z patriotyzmem i złych instynktów z kosmopolityzmem... Wszystko to zrobiło się naturalnie na papierze, na rozkaz autorski, a czytelnik tylko się dziwi, jak to na tym świecie wszystko dziwnie się plecie.“

Uznając więc prawa pisarza do „wyolbrzymiania“, skupiania pewnych zjawisk w ich postaci typowej, Białobłocki odrzuca tylko takie ich formy, które wypaczają obraz rzeczywistości, fałszują jej sens. Jak najbardziej natomiast sprzeciwia się kopiowaniu życia, niewolniczej postawie pisarza wobec faktów. Żąda włączenia ich w rzeczywisty bieg życia, nadania im plastyki, wydobycia ich typowego charakteru. Jak największa pochwała brzmią jego słowa o Turgieniewie, który w jego przekonaniu „zawsze daje żywych, t y p o w y c h l u d z i , maluje tak, że zawsze widzimy ich przed sobą.“

Słuszne pojmowanie jedności zadań poznawczych i ideowych pozwala Białobłockiemu zbliżyć się bezpośrednio do zagadnienia partyjności literatury. Zbliżenie to było widoczne już wielokrotnie, gdy Białobłocki bronił i uzasadniał „święte prawo“, obowiązek orędownictwa pisarzy wobec określonych idei społecznych. Ale nigdzie punkt zetknięcia się problemu tendencyjności z jego wyższym stopniem zaangażowania społecznego twórcy, z partyjnością, nie jest bardziej widoczny niż w świetnej analizie haseł „sztuki dla sztuki“ przeprowadzonej przez Białobłockiego na przykładzie partyjności, która jest reprezentowana przez wrogie ruchowi rewolucyjnemu i postępowemu grupy polityczne w Rosji z kręgu Katkowa.

Tam — oświadcza oń — wytrwale, od dawna, jedne przeciwko całej falandzie pism myśli wyzwolonej „pewne całe partie stoją w obronie »sztuki dla sztuki“. Lecz to tylko teoretycznie, praktycznie zaś to hasło da się tak sformułować: »jest dobrze, chodźcie więc, poeci i sztukmistrze, do nas i bierzcie z naszego spokoju i wesołości wzory do swych arcydzieł, bawcie nas obrazami wschodu i zachodu słońca, rozczulajcie opisem liści spadających z drzew. A wy, talenty potężne, którym serce pęka na widok nędz ludzkich, odwróćcie wasze oczy od nich, zagłuszcie współczucie, a talent swój zużyjcie na rzeczy »piękne«. Sztuka wasza szczytów wtedy dosięgnie«. Jest więc w tym haśle coś innego niż tendencyjne naciąganie faktów do swoich przekonań.“

Wydaje mi się, że przed Leninem nikt chyba głębiej nie zdemaskował istotnej, klasowej, politycznej treści estetyzmu, rzeczników haseł „sztuki dla sztuki“. [32]

Sądzę także, że właśnie w dziedzinie poglądów na rolę społeczną literatury Białobłocki, wychodząc z doświadczeń estetyki rewolucyjnej demokracji, zdecydowanie stawał w sposób samodzielny na gruncie zasad marksistowskich. Widoczne to jest zwłaszcza w bezpośrednim zbliżeniu się do jego zrozumienia i postulowania partyjności literatury. Umiał wydobyć klasową, partyjną treść najbardziej zakapturzonej politycznie estetyki rzeczników sztuki dla sztuki. Umiał przenikliwie uzasadniać zgodność „wolności pisarza“ z najpiękniejszą służbą — sprawie rewolucyjnego ruchu ciemiężonego ludu, sprawie wyzwolenia proletariatu, które utożsamiał z wyzwoleniem ludzkości.

Uczynił w tej dziedzinie poważny krok naprzód w stosunku do najdojrzalszych poglądów ideowo-artystycznych rewolucyjnych demokratów. Gdy u nich śledzimy tylko aluzje do klasowego i partyjnego charakteru literatury (Dobrolubow: „nawet poezja nieustannie ulegała duchowi partii i klas“), to u Białobłockiego dostrzegamy często zdecydowane głoszenie tego poglądu.

Istotnym czynnikiem sprzyjającym ukształtowaniu się tych dojrzałych przekonań estetycznych była więź łącząca naszego krytyka z aktualną walką polityczną toczoną przez pierwszą rewolucyjną partię robotniczą w Polsce. Wskazywałem, jak pogłębieniu poglądów Białobłockiego na zagadnienie ideowości, tendencyjności i partyjności sprzyjał rozwój literatury polskiej po roku 1864. Właśnie w tych okolicznościach krytyk wychowany na tradycjach estetyki rewolucyjnej demokracji, przyswoiwszy sobie ogólne podstawy światopoglądu marksistowskiego, robi poważny krok naprzód w stosunku do swoich poprzedników i osiąga w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku dojrzałe, marksistowskie poglądy na wiele najistotniejszych zagadnień literatury. Do nader ważnych należą jego zasady narodowego i ludowego charakteru literatury.

Głęboki patriotyzm właściwy Białobłockiemu znalazł swój dobitny wyraz i w jego poglądach na sztukę. Miarą wartości dzieł literackich jest dla niego to, „na ile mogą być pożyteczne i czy przyjmie dane utwory naród na swą duchową własność“. [33] Dowodził, że najszczytniejszym zadaniem literatury jest jej służba narodowi, wytyczanie mu dróg prowadzących do lepszej przyszłości, ukazywanie jego bytu i perspektyw przyszłości. Udział literatury w dziele walki wyzwoleńczej proletariatu był dlań jednoznaczny z najgłębiej pojętą służbą narodowi.

Poglądy te wyznaczały mu punkt widzenia dziedzictwa literatury narodo-

wej. Sprawiały — będzie o tym mowa w innym rozdziale — że z takim umiłowaniem pisał o Mickiewiczu, Syrokomli.[34]

Spod jego pióra wyszło jedno z najpiękniejszych zdań określających stosunek literatury narodowej do literatury świata. Wskazywał, że droga do literatury światowej prowadzi przez literaturę narodową, że nie ma literatury światowej poza literaturami poszczególnych narodów. Co jest wielkie w nich — twierdził — może dopiero awansować do tytułu wielkości w literaturze światowej. „...co chce wejść — pisał — do panteonu powszechnego, musi się stać wybitnym w jednym z narodowych piśmiennictw.“ [35]

Patriotyzm nie miał jednak dla niego nigdy nic wspólnego z jakimiś złudzeniami solidarystycznymi, z jakimiś mrzonkami o harmonijnym rozwoju narodu bez walk klasowych, gdy klasy te dzielą głębokie antagonizmy. Przeciwnie: w walce z ciemiężycielami widział przyszłość swojego narodu. Sytuację swego narodu i jego przyszłości oceniał z pozycji proletariackiego rewolucjonisty-patrioty i internacjonalisty To go też chroniło od różnych ludomańskich nieporozumień. Głębiej niż ktokolwiek współczesny mu w polskiej literaturze pojmował sens postulatów jej ludowości. Przede wszystkim przeciwstawiał się kalkowaniu wzorów ludowej kultury i głęboko to uzasadniał. Oponował zdecydowanie przeciwko korzeniu się przed wszystkim, co ludowe. W przytoczonym już gdzie indziej w niniejszej pracy wywodzie Białobłockiego zawarta jest nowatorska myśl rewolucjonisty, że należy sumiennie zgłębiać kulturę, świadomość ludu, ale trzeba w niej odróżniać prawdę od fałszu, słuszność od zabobonów, a nie w czambuł wszystko jednakowo aprobować.[36]

Będąc jednym z tych, którzy podjęli w Polsce zadanie zespolenia socjalizmu naukowego z ruchem robotniczym, był przekonany o rewolucyjnych możliwościach tkwiących w masach ludowych, trzeźwo jednak spoglądał na aktualny stopień ich samowiedzy, świadomości rewolucyjnej. Zamiast chłopomańsko deklamować i korzyć się przed tzw. „cywilizacją chłopską“, mówił surową prawdę o tym, że lud nie zna w pełni przyczyn swojej niedoli, bo gdyby je pojął, „to już dawno wybrnąłby z błota niedoli i łez, w którym obecnie zostaje.“ [37] Z tych poglądów wynikały i wnioski o literaturze ludowej. Przygotowała go do nich rewolucyjna demokracja. Dobrolubow na zarzuty, że rzekomo w swojej wspaniałej analizie twórczości Ostrowskiego pominął zagadnienie ludowości w dramatach wielkiego pisarza, odpowiadał: „Niby to nie dostrzegaliśmy ludowości u Ostrowskiego! Przecież właśnie od niej zaczęliśmy, mówiliśmy o niej i na niej skończyliśmy. Rozważaliśmy, w jakim stopniu utwory Ostrowskiego są wyrazem życia ludu i jego dążeń, a cóż to jest, jeśli nie ludowość?“ [38] Właściwie zrozumienia ludowość była według poglądów rewolucyjnego demokraty „wyrazem życia ludu i jego dążeń“. Z pozycji marksizmu tak też rozwijał swoje poglądy na zagadnienie ludowości Białobłocki. Był jak najdalszy od fetyszyzowania, jak mówił, „poezji na nutkę ludową wyśpiewanych.“ [39] Najgłębszą treść ludowości utworu czy twórczości pisarza upatrywał „w poglądach na świat i życie“. Polemizując ze swoistą odmianą ludomanii narodnickiej, utrzymującą, że prawdziwą działalność pisarską w służbie mas ludowych mogą rozwijać tylko artyści z nich wywodzący się, Białobłocki rozbija tę mitologię pisząc: „Życie ludu trzeba odtwarzać

jak najwierniej i jak najbezstronniej, ale to może zrobić niekoniecznie człowiek pochodzący z ludu. Trzeba tylko, by pisarz znał dobrze lud, widział jego życie i odczuł wszystko to, co sprzyja, grozi, pociesza, smuci, przynosi korzyść i szkodzi chłopkowi."[40] Jest to nowe pojmowanie ludowości. Mogło się ono zrodzić tylko na gruncie dostrzeżenia nowych sił historycznych, przewodzących masom ludowym w walce o wyzwolenie społeczne proletariatu. Trzeba tu wyjaśnić jedno: wiadomo, że socjaliści polscy okresu „Proletariatu" nie umieli jasno postawić sprawy hegemonii klasy robotniczej w ruchu rewolucyjnym mas, ale wiadomo, że myśl taka kiełkowała u nich i znajdowała niekiedy zewnętrzny wyraz w działalności praktycznej. Przyjaciel Białobłockiego Edmund Płoski był autorem znanej odezwy Komitetu Centralnego „Proletariatu": Do pracujących na roli, w której demaskował zdradziecką rolę burżuazji, obszarnictwa i rządów carskich wobec interesów mas chłopskich. „My, socjaliści — pisał w odezwie — w imię Waszych potrzeb i interesów walkę podjęliśmy i gotujemy zgubę i zagładę wszystkiemu, co ciemięży pracujący lud." Odezwa kończyła się wezwaniem do pracujących chłopów, aby stawali do walki o „wspólne nad wrogami zwycięstwo".

Na gruncie proletariackiej świadomości reprezentowania interesów mas ludowych rodziło się marksistowskie pojmowanie przez Białobłockiego sprawy ludowości w literaturze jako sprawy odzwierciedlenia życia ludu, zrozumienia jego potrzeb, historycznych żądań i dróg działania. Takie pojmowanie zagadnienia już u początków marksistowskiej estetyki w Polsce zachowuje walor postulatu ideowo-artystycznego po dziś dzień.

3

W dwóch jeszcze różnych dziedzinach pełną płodność okazywały głoszone przez Białobłockiego poglądy estetyczne rewolucyjnych demokratów: w dziedzinie oceny roli powieści oraz w dziedzinie zadań krytyka. Żywotność tych poglądów uwarunkowana jest jak najściślej doświadczeniami praktyki rewolucyjnej, jako element której Białobłocki traktował swoją działalność krytyka literackiego, oraz obserwacjami, jakich dostarczała mu ówczesna literatura polska.

Wiadomo, jaką wagę przypisywał powieści Czernyszewski. Jego własna powieść Co robić była najpopularniejszym narzędziem propagandy idei rewolucyjnych. Białobłockiemu sprawy te były doskonale znane. Świetnie orientował się, jak doniosłą rolę w uświadomieniu społecznym odegrała powieść rosyjska XIX wieku. Dawał nawet temu wyraz, pisząc z dobrą znajomością rzeczy: „...niegdyś prasa rosyjska znajdowała się w bardzo ciężkich warunkach, ale to w bardzo słabym stopniu stosowało się do powieści; toteż gdy publicysta nawet nie mógł pisnąć o prawach człowieka w zastosowaniu do chłopa, Gogol, Turgieniew, Tołstoj i inni analizowali i krytykowali poddaństwo u samych jego podstaw i w najdalszych konsekwencjach."[41] Nie przejmował jednak Białobłocki martwego schematu. Wysoko ceniąc gatunek powieściowy, nie wychodził z założeń jakiegoś doktrynerstwa estetycznego. Ocenę taką sugerowała mu ówczesna literatura polska. Dostrzegał w niej cenne wartości poetyckiej twórczości Konopnickiej, którą uważał za największą z po-

etów okresu. Ale najbardziej widoczny był przecież bujny rozwój prozy, zwłaszcza prozy powieściowej w literaturze polskiej po roku 1864. Przecież mimo różnych zastrzeżeń właśnie Orzeszkową najwyżej oceniał Białobłocki: „najwięcej utalentowaną i najwyraźniej formułującą ideały społeczne współczesne (mieszczańskimi — nazwie je krytyk, przyp. S. S.) ze strony pozytywnej i negatywnej, zdaje mi się, jest u nas Orzeszkowa.“ [42] Wyróżni Kraszewskiego, Bałuckiego, Jeża, Zacharyasiewicza, Awans powieści jako gatunku literackiego po roku 1864 nie uszedł uwagi Białobłockiego. Bardzo wysoko ocenił tzw. powieści tendencyjne pozytywistyczne za ich krytyczne elementy wobec przeżytków feudalnych. „Czytajmy — mówi o powieściach Orzeszkowej, przypominając Pana Grabę — jej wielokrotne i wszechstronne analizy czczości i demoralizacji życia szlachty naszej, gdzie z taką werwą wykazuje, iż przyczyną tych zjawisk jest sobkostwo w wychowaniu i braki społecznego zainteresowania się w życiu.“[43]

Szczególne podkreślanie znaczenia powieści wiąże się ze współczesnymi Białobłockiemu doświadczeniami jej rozkwitu, wiąże się z tym, że coraz intensywniej wdzierały się do niej elementy krytyki społecznej. Wysoko cenił jej rozległe możliwości poznawcze i ideowe. Popularność powieści na nią właśnie kierowała główną uwagę krytyka literackiego. Broniąc zadań ideowych i poznawczych literatury dostrzegał i musiał dostrzegać, że powieść reprezentuje, może reprezentować, najszersze możliwości poznawcze.

W liryce dostrzegał jej największą siłę emocjonalnego oddziaływania na czytelnika, jej siłę — powiedziałbym — mobilizacyjną (poezję nazwał „najwspanialszą sztuką“). W powieści przede wszystkim cenił to, co przecież nazywał najważniejszym zadaniem literatury: jej wielkie możliwości poznawcze. „Obecnie — twierdził — powieść moralnie zrównała się z nauką i publicystyką, lecz za to przyjęła na siebie i wszystkie uciążliwe warunki ich wysokiej godności“.[44] Takich obserwacji dostarczał rozwój realizmu krytycznego zarówno w literaturze rosyjskiej jak i w polskiej. Jest dowodem dużej dojrzałości naszego krytyka, że obserwacji tych nie absolutyzował, że unikał schematycznego wartościowania gatunków literackich, określania jakiegoś gatunku jako „najważniejszego“. Sprzyjała takiemu spojrzeniu głęboko ideowa ocena współczesnej mu literatury polskiej, w której bystro zaobserwował, że twórcą związanym najsilniejszą więzią z masami była w tym czasie Konopnicka — wówczas przede wszystkim tworząca w zakresie liryki. Sprzyjało temu także właściwe krytykowi rozeznanie się w naszym dziedzictwie literatury narodowej. Trudno było nadmiernie „wywyższać“ powieść w dziedzinie literatury, skoro w literaturze narodowej najwyższe osiągnięcia widziało się w twórczości Mickiewicza. Daleki więc od fałszywej absolutyzacji rodzajów w literaturze, stwierdzał tylko po prostu fakt: powieściopisarze „badają i odtwarzają właśnie te zjawiska, którymi w danej chwili społeczeństwo jest zajęte, z całą prawdą życiową, przez co dają materiał myśli społecznej, samowiedzę społeczeństwa o zjawiskach odbywających się w nim samym zwiększają potężnie, gdyż tysiące ludzi czyta powieść i czytanie zaleca innym tysiącom, a na studia suchej, naukowej pracy tłumy nie mają czasu, ani są do tego przygotowane“. [45]

Z pozycji rewolucyjnego ideologa proletariatu określał również Białobłocki zadania krytyki literackiej. Uważał swoją praktykę za ideologiczną reprezentację w literaturze walczących mas. Zadania jej widział w oświetlaniu

istotnych zjawisk i przeobrażeń w literaturze i ocenianiu ich z punktu widzenia tego, „na ile mogą być pożyteczne i czy przyjmie dane utwory naród na swą duchową własność". Z materialistycznych poglądów na literaturę wyrastało zrozumienie zadań krytyki literackiej. Tu miał Białobłocki bogatą skarbnicę doświadczeń w działalności swoich poprzedników. Dobrolubow w artykule Kiedy nastanie ów dzień, z którego Biołobłocki cytował ocenę powieści Turgieniewa W przededniu, pisał: „...za główne zadanie krytyki literackiej uważamy objaśnienia tych zjawisk rzeczywistości, z których zrodziło się dzieło literackie." [46] Nasz krytyk prawie parafrazował te słowa: „...najważniejszym zadaniem krytyki jest wyświetlić, jakiemu zwrotowi życiowemu zawdzięcza swoje narodzenie każdy nowy utwór będący na pozór płodem swobodnego natchnienia." [47] Znowu przy konfrontowaniu tych sądów nie chodzi bynajmniej o jakąś jałową „wpływologię". Istotna treść tych zbieżności tkwi w tym, że rewolucyjni demokraci wypracowali skuteczny oręż z krytyki literackiej, oręż walki rewolucyjnej. Białobłocki sięgał po niego, bo był on mu potrzebny w aktualnej walce, jaką toczyła rewolucyjna partia polskiej klasy robotniczej. Potrzeba ta była w pełni odczuwana przez jej najwybitniejszych przywódców. „W sferze stosunków moralnych — czytamy w programie „Proletariatu" z września 1882 roku — walczyć będziemy... tworząc literaturę, która da poznać ludowi prawdy naukowe nie ubarwione przewrotnymi tendencjami wyzyskiwaczy. W działalności tej trzymać się będziemy zasady, że tylko to, co stwierdzone jest przez naukę, co broni słuszności i w imię prawdy przemawia, przyczynić się może do moralnego rozwoju proletariatu, przewrotna zaś zasada, usprawiedliwiająca popieranie przesądów z obawy usunięcia z życia ludu moralnego gruntu, nigdy i nigdzie przez nas naśladowana nie będzie."

Gdy wskazujemy na głębokie uzasadnienie polityczne działalności krytyczno-literackiej Białobłockiego, na takie jej pojmowanie przez niego, trzeba wyraźnie się zastrzec, że krytyka nie była dlań osłoną przed cenzurą dla uprawiania propagandy politycznej. Ta mieściła się w zupełności w jego krytyce, nadawała jej sens ideowy, ale nie była to tylko propaganda *à propos* literatury. Była to sama propaganda rewolucyjnych idei w życiu literackim. Do tego miał prawo i obowiązek jako rewolucjonista. I nigdy to nie umniejszało wartości krytyki. Ideowa walka o ideową literaturę jest przecież podstawowym zadaniem każdego krytyka marksistowskiego. To zadanie nadaje dopiero sens jego krytyce. Białobłocki nie uprawiał tylko polityki na marginesie krytyki literackiej, uprawiał politykę w samej krytyce. Dążył do wypracowania jej założeń i norm estetycznych. Dążył do ideowego oddziaływania na pisarza i czytelnika, przede wszystkim na czytelnika. Taka zasada tkwiła u podstaw jego działalności literackiej. Czy normy te i zasady estetyczne umiał wypracować? Z tego, co się powiedziało, wynika, że po części — tak. Tylko po części. Musimy pamiętać, że jesteśmy u początków marksistowskiej estetyki w Polsce, i nie tylko u nas. Podwaliny pod nie kładli twórcy socjalizmu naukowego. W czasach Białobłockiego rozwinięcie i ugruntowanie ich było dopiero zadaniem. Nasz krytyk podejmował je. Był uzbrojony w doświadczenia najwyższych osiągnięć estetyki przedmarksistowskiej. Twórczo przejmował najlepsze zdobycze rewolucyjnej demokracji. Rozwijał je i włączał jako integralną część ideowego i estetycznego uzbrojenia marksi-

stowskiego krytyka. Sięgał po oręż najpodatniejszy. Nie mógł bezpośrednio nawiązać do nikogo w Polsce. Dembowskiego z całą pewnością nie znał, a'e mimo woli złożył mu najwyższy hołd, gdy wspominając N i e b o s k ą k o m e d i ę ocenił ją wysoko, wychodząc z tych samych założeń ideowych (nie estetycznych), co polski krytyk rewolucyjno-demokratyczny. Dembowski dramat ten uważał za „hymn grobowy staremu światu", widział w nim zapowiedź „zupełnej reformy społecznej, która zwycięstwo żywiołów ludowych sprawi". Białobłocki w pełni podziela ten pogląd; na podstawie jednak doświadczeń ruchu rewolucyjnego proletariatu krytyk związany z nim może już odrzucić pomyłki w przecenianiu dramatu i dostrzec w nim jego najistotniejsze wartości: „...N i e b o s k a k o m e d i a — dopełnia krytyk marksistowski swego nieznanego poprzednika — stawia proroczo kwestię proletariatu i obrzuca pogardą ideał szczęścia mieszczańskiego..." [49]

W tych dwóch ocenach, obu dokonywanych z pozycji rewolucyjnej, jak w soczewce skupia się więź tradycji rewolucyjnej w Polsce, choć zabrakło jej ogniw bezpośrednich. I jak w soczewce skupia się w nich też obraz odmienności etapów historycznych i stopnia dojrzałości do rozwiązań zadań wyzwolenia mas ludowych. Mimo wszystko jednak nie można przecież doszukiwać się u Białobłockiego wypracowanych dostatecznie marksistowskich zasad estetycznych. Był początkującym, choć bardzo utalentowanym krytykiem. Wypracował u nas ogólne, podstawowe zasady estetyki marksistowskiej i jest to właściwie owoc dwuletniej działalności krytycznej. Wzbogacał w niej swoje pojmowanie i uzasadnienie postaw eestetycznych. Bardziej widoczny postęp od początku aż po przerwanie pracy krytyczno-literackiej trudno dostrzec. Najbardziej dojrzałe prace napisał w pierwszym roku działalności. Nie ma też od nich odwrotu i w następnym okresie. U końca lub, być może, prawie u końca jego krótkotrwałej praktyki krytyczno-literackiej widnieje żarliwa, pełna bojowego zaangażowania polemika z idealistą-obskurantem Massoniuszem w obronie dialektyczno-materialistycznej estetyki i zasad ideowego uczestnictwa sztuki, literatury w walce społecznej, w walce klasowej po stronie uciskanych mas.

W praktyce krytyczno-literackiej, najbardziej bezpośrednio zaangażowanej, w bieżącej walce polskiego ruchu socjalistycznego, jak najbardziej wolnej od tendencji do abstrakcyjności (ale nie od świadomie formułowanych uogólnień), wiele istotnych zagadnień ideowo-artystycznych uchodzi uwagi Białobłockiego. Czasem powtarza komunały w rodzaju „język poprawny", „styl piękny" itd. Wyraźnie cechuje go niechęć do drobiazgowych, smakoszowskich analiz estetycznych. Gorzej, gdy istotne problemy nie są przez niego dostrzegane lub dotyka ich tylko mimochodem. Informując np. czytelnika polskiego o wydaniu zbioru powieści rosyjskiego pisarza Albowa napisze: „Mając przed sobą trzy w jeden tom złączone powieści... z góry oświadczam, że ograniczamy się do zaznaczenia ich stanowiska społecznego pomijając ocenę estetyczną, gdyż sądzimy, że w ogóle k r y t y k i ś c i ś l e e s t e t y c z n e pisarzy obcych tylko wtedy przynoszą korzyść, gdy dotyczą utworów genialnych i w sztuce nowe torujących drogi." Wbrew temu twierdzeniu jednak Białobłocki nie odgranicza krytyki „ściśle estetycznej" od krytyki ze „stanowiska społecznego". Najwięcej „cięgów" dostaje się przecież Massoniuszowi za takie pryncypialne rozgraniczenia i uznanie przez niego krytyki ideowej, tendencyjnej za bezsensowną.

Dalecy jesteśmy od Pisariewowskiej „likwidacji estetyki“, niewątpliwie jednak praktyka krytyczna Białobłockiego dostarcza dowodów niedoceniania czy niedopracowania pewnych istotnych zagadnień analizy artystycznej. W krytyce Firduziego zakończy Białobłocki swoje wywody wskazując na reakcyjność ideologii autora i nieudolność artystyczną jego obrazu dramatycznego następującym stwierdzeniem: „...p. Łętowski ma talentu bardzo mało, poziom umysłowy bardzo niski, a pretensje bardzo wygórowane. Z takimi aspiracjami i zapędami nie tworzy się dzieła sztuki żywego, tchnącego zagadnieniami wieku i pokolenia, ale jakiś zjełczały hymn na cześć zastałości i strupieszałości form martwych... Że taki objaw staje się marnym równie dla sztuki, jak dla życia tego jawnie dowodzi utwór p. Łętowskiego.“

Jest rzeczą oczywistą, że Białobłocki dopracował się tylko pewnych, ale za to najistotniejszych zasad estetyki marksistowskiej. Widoczne są też więc luki, niejasności, w zupełnie odosobnionych przypadkach budzi się przypuszczenie, że pierwszy nasz socjalistyczny krytyk literacki ześlizguje się z reprezentowanych przez siebie pozycji ideowo-estetycznych. Że popada w niekonsekwencje. Najjaskrawiej widać to bodaj w następującym cytacie ze wspomnianego już kilkakrotnie omówienia powieści Albowa: „Przyznaję najzupełniejszą słuszność tym rosyjskim krytykom, którzy nie odmawiają talentu p. Albowowi, robią mu tylko zarzut z tego, że nie trzyma za puls społecznego życia, że zwraca uwagę na objawy nienormalne, chorobliwe, a swój dar poglądu psychologicznego zużywa na wyjaśnienie wyjątkowych, patologicznych wypadków, pomijając te wielkie niedokładności, które wikłają życie klas całych. Tak, uwaga taka może być słuszna, lecz z drugiej strony, trudno zmuszać autorów do pisania nie tego, co inni szczególnie znają, tylko tego, co według nas jest ważnym. Obecnie zaś nie sam Albow zagłębia się w błoto psychologiczne, gdzie co chwila to wariację, samobójstwo, nałogowe pijaństwo spotkać można. Widać, że te obrazy autorom są dobrze znane, że są powszechne i w chwilach natchnienia wstają z taką wyrazistością przed okiem ich wyobraźni, iż muszą pisać o tym, a nie o czym innym.“

Trzeba jednak do tego rodzaju wypowiedzi Białobłockiego podchodzić z dużą ostrożnością: nie tłumaczyć zdarzających się czasem młodemu krytykowi niezręczności sformułowań jako błędów ideowych. W świetle jego licznie w tym rozdziale przytoczonych wypowiedzi, pochodzących z różnych artykułów z okresu dwuletniej działalności krytycznej, dostatecznie przekonaliśmy się, że był krytykiem postulującym, dalekim od „immanentnej“ krytyki dzieł; mierzył je społeczną przydatnością w walce klasowej, zdecydowanie uznawał hierarchię ważności problematyki dzieł. Cenił wysoko pisarzy ukazujących zgodnie z rzeczywistością „wielkie niedokładności, które wikłają życie klas całych“. Skąd więc ta przesadna obrona „wolności pisarza“, którą gdzie indziej tak przenikliwie umiał rozważyć? Odpowiedź po części tkwi w wyżej cytowanym fragmencie, któremu jednak nie można zaprzeczyć dezorientującego sformułowania. Białobłocki stwierdza, że uwaga pisarza skierowana jest na patologię, „błoto psychologiczne“, chorobliwe objawy itd. Ale rację takiego skupienia uwagi na tych szcze-

gólnych zjawiskach Białobłocki motywuje tym, że są powszechne, że posiadają dużą doniosłość społeczną. I tu krytyk ma więcej racji, niż by się na pozór mogło wydawać. Po prostu bardzo przenikliwie obserwuje pewne przeobrażenia w Rosji po zabójstwie Aleksandra II, w okresie spotęgowania się reakcji, pogromu ruchu rewolucyjnego i nagminnego szerzenia się wśród inteligencji mieszczańskiej nastrojów dekadencji, rozpaczy, „duchowego paraliżu", jak pisał Uspieński, któremu Białobłocki poświęcił obszerny szkic ilteracki.

*

Dobiegamy końca próby analizy poglądów estetycznych Białobłockiego. Dostrzegliśmy, że krytyk ten zdecydowanie rozwijał swoje poglądy na sztukę w kierunku marksizmu. Kształtował swoje poglądy w atmosferze walki; ideowy udział w niej był dlań potężnym impulsem rozwoju od estetyki rewolucyjnej demokracji ku marksistowskiej. Widzieliśmy, że w wielu wypadkach stawał pewną stopą na jej gruncie i twórczo rozwijał problemy teoretyczne, które narzucała mu konkretna praktyka krytyczno-literacka. W jego dorobku myśli estetycznej zaobserwować można nie tylko wypracowanie ogólnych zasad marksistowskiej estetyki, która stała się w nieporównanie dojrzalszej postawie wytyczną rozwoju naszej współczesnej literatury. Obserwować możemy także ponadto wskazania i sugestie, które jeszcze dotąd nie znalazły wystarczającego rozstrzygnięcia. Tu myśl Białobłockiego jest nie tylko poprzedniczką naszych współczesnych poglądów na literaturę, ale może stać się i cenną inspiratorką. Dlatego do szczętu zapomniane zasady estetyczne Białobłockiego są nie tylko zasadami, w których widoczne są elementy naszych współczesnych bardziej dojrzałych w wyniku rozwoju historycznego poglądów na sztukę, ale w niektórych przypadkach — naszymi przewodniczkami. Przejawia się w tym nie tylko wielka siła marksistowskiej myśli, lecz także niezwykłe zwycięstwo naszego pierwszego marksistowskiego krytyka literackiego sprzed siedemdziesięciu lat.

Samuel Sandler

Monografia, z której pochodzi poniższy rozdział, zastała wykonana w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk.

PRZYPISY

[1] Br. Białobłocki: Jan Turgieniew, Ateneum 1883, t. IV (XXXII), str. 180—181.

[2] Tamże, str. 183. Białobłocki wykazuje świetną znajomość dzieł rewolucyjnych demokratów: Bielińskiego, Czernyszewskiego, Dobrolubowa, Pisariewa, Sałtykowa-Szczedrina. Wszystkich z wyjątkiem Czernyszewskiego wspomina w swych artykułach z wielkim uznaniem. Oczywiście o Czernyszewskim nawet wzmiankować nie mógł. Samo wspomnienie nazwiska wielkiego rewolucjonisty było w carskiej Rosji zakazane. W. W. Stasow mówił o nim jako o nieznanym autorze książki O estetycznym stosunku sztuki do rzeczywistości (Stasow: Dwadzieścia pięć lat rosyjskiej sztuki, 1883). Lenin w pracy Jakiego dziedzictwa się wyrzekamy (1897) musiał ze względu na cenzurę powoływać się na Skałdina, gdy w istocie miał na myśli Czernyszewskiego.

[3] G. W. Plechanow: Estetyczna teoria M. Czernyszewskiego. Cyt. wg N. A. Dmitriewej: Tradycje rosyjskiej krytyki rewolucyjno-demokratycznej. Materiały do studiów i dyskusji... nr 6 r. 1951, str. 229.

[4] M. Czernyszewski: Stosunek estetyczny sztuki do rzeczywistości. Wyd. polskie: O sztuce, PIW, 1952, str. 80.

[5] W. I. Lenin: Materializm a empiriokrytycyzm. Dzieła, t. 14. Książka i Wiedza, str. 410.

[6] Adam Schaff: Narodziny i rozwój filozofii marksistowskiej.

Książka i Wiedza, 1950, rozdz. XI: Zaczątki myśli marksistowskiej w Polsce. Szerzej te zagadnienia omawiam w rozdziale II i IV monografii.

[7] Błbicki: Szkice estetyczne p. M. Massoniusza. Dodatek miesięczny do Przeglądu Tygodniowego 1885. Półrocze pierwsze, str. 114.

[8] Odpowiedź na odpowiedź p. Massoniusza w kwestii estetyki. Przegląd Tygodniowy 1885, nr 28 z dn. 12 lipca.

[9] Błbicki: Szkice estetyczne...

[10] Tamże.

[11] Tamże.

[12] Tamże.

[13] Tamże.

[14] Tamże.

[15] B. M. Albow, Powiesti. Przegląd Tygodniowy 1884, nr 10 z dnia 9 marca.

[16] Bronisław Białobłocki: Współczesna beletrystyka rosyjska. I. Gleb Uspieński. Dodatek miesięczny do Przeglądu Tygodniowego 1883, półrocze pierwsze, str. 233.

[17] Tamże, str. 232.

[18] M. Czernyszewski: op. cit., str. 50.

[19] M. A. Dobrolubow: Królestwo mroku. Dzieła wybrane. Wyd. polskie. Książka i Wiedza. 1950, str. 76.

[20] Bł.: Z życia i literatury cesarstwa. III. Przegląd Tygodniowy 1883, nr 41 z dnia 7 października. Podkr. moje, S. S.

[21] Bronisław Białobłocki: Współczesna beletrystyka rosyjska, str. 232. Podkr. moje, S. S.

[22] W. G. Bieliński: Dzieła zebrane. Moskwa, t. III 1948, str. 798. Cyt. za N. A. Dmitriewą: Tradycje rosyjskiej krytyki rewolucyjno-demokratycznej. Materiały do studiów i dyskusji, 1951, nr 6, str. 244.

[23] Dobrolubow: Królestwo mroku, str. 77. Podkr. moje, S. S.

[24] Błbicki: Taniec krzywego artyzmu z kulawą logiką. Obraz dramatyczny w jednej odsłonie na tle dziejowym p. Juliana Łętowskiego. Przegląd Tygodniowy 1883, nr 44 z 4 listopada.

[25] Szkice estetyczne p. M. Massoniusza.

[26] Bł.: Maria Konopnicka. Poezje, Seria druga. Przegląd Tygodniowy 1883, nr 31, z dn. 5 sierpnia.

[27] Błbicki: Szkice estetyczne p. M. Massoniusza.

[28] Bł.: Maria Konopnicka...

[29] B. B.: J. Iwaniuk: Główne zasady teorii polityki ekonomicznej od Adama Smitha do teraźniejszych czasów. Przegląd Tygodniowy 1883, nr 23, z dn. 10 czerwca.

[30] Bł.: Z życia i literatury Cesarstwa, III.

[31] Br. Białobłocki: Jan Turgieniew.

[32] Błbicki: Szkice estetyczne p. Massoniusza. Podkr. moje, S. S.

[33] B. B.: Maria Konopnicka...

[34] Białobłocki: Zniżenie ideału. Przegląd Tygodniowy 1884, nr 7 z dn. 17 lutego.

[35] Br. Białobłocki: Jan Turgieniew.

[36] Bronisław Białobłocki: Współczesna beletrystyka rosyjska, str. 589.

[37] Tamże, str. 590.

[38] M. A. Dobrolubow: Promień światła w królestwie mroku. Dzieła wybrane. Wyd. polskie, str. 253. Podkr. moje, S. S.

[39] Błbicki: Maria Konopnicka.

[40] Bronisław Białobłocki: Współczesna beletrystyka rosyjska str. 589. Podkr. moje, S. S.

[41] Bł.: Z życia literatury Cesarstwa.

[42] Białobłocki: Zniżenie ideału.

[43] Tamże.

[44] Bł.: Z życia literatury Cesarstwa, III.

[45] Bronisław Białobłocki: Współczesna beletrystyka rosyjska str. 232.

[46] M. A. Dobrolubow: Kiedy nastanie ów dzień? Dzieła wybrane. Wyd. polskie, str. 319.

[47] B.: Albow, Powiesti.

[48] Edward Dembowski: O dramacie w dzisiejszym piśmiennictwie polskim. Rok 1843, t. VI, s. 11. Cytuję za L. Przemskim: Dembowski jako teoretyk literatury. Pamiętnik Literacki, 1950, z. 2.

[49] Białobłocki: Zniżenie ideału.

RUSŁAN I LUDMIŁA

Ofiarowanie

Dla was, władczynie mojej duszy,
Dla was, dziewczęta pełne krasy,
Baśń, którą wieków pył przyprószył
Dziś przeżywając złote wczasy,
Pod szmer przeszłości gadatliwej
Pisałem oto wierną dłonią;
Przyjmijcie dar mój błyskotliwy!
Nie chcę pochwały. Nie dbam o nią,—
Słodka nadzieja żyje we mnie,
Że dziewczę z czułym niepokojem
Zechce, być może, potajemnie
Spojrzeć na grzeszne pieśni moje.

Jest nad zatoką dąb zielony,
Na dębie złoty łańcuch lśni:
I całe noce, całe dni
Wędruje po nim kot uczony;
Zwróci się w prawo — śpiewa pieśni,
A w lewo — bajkę opowiada.

Tam dziwy są: jest upiór leśny,
Siedzi wśród drzew rusałka blada;
Tam zwierz, widziany tylko z rzadka,
Wyciska ślady ciężkim krokiem;
Na kurzych nóżkach stoi chatka,
Co nie ma wcale drzwi ni okien;
Tam las i jar są pełne widm,
A kiedy przypływ fal uderzy
O piach nadbrzeżnych pustych wydm,
Trzydziestu zjawia się rycerzy,
Z wód wyłaniają się na piasku,
A z nimi wraz ich morski piastun;
Królewicz tam przechodzi obok
I potężnego cara mami;
Tam w oczach ludu, prując obłok,
Ponad lasami i morzami
Czarownik niesie bohatera;
W lochu królewna obumiera,
A bury wilk jej wiernie służy;
Tam z Babą Jagą moździerz duży
Sam przez się w drogę się wybiera;
Tam Kościej złotem swym się krztusi;

Tam ruski duch — tam zapach Rusi!
I ja tam byłem, piłem miód,
Tam zobaczyłem dąb zielony;
Siedziałem pod nim; kot uczony
Swe bajki prawił tak jak wprzód.
Pamiętam jedną z nich: i oto
Światu przekażę ją z ochotą.

Pieśń pierwsza

Odległe dzieje dni minionych,
Klechdy zamierzchłej już przeszłości.

Gromadą synów otoczony,
Pośród przyjaciół swych i gości
Do uczty siadł Włodzimierz-słońce;
Szła jego córka ukochana
Za mąż za księcia, za Rusłana,
Więc zdrowie ich nieustające
Pił ciężkim miodem z roztruhana.
Jeść długo kazał zwyczaj stary,
Stół obiegały zwykle długo
Szklanice, dzbany, srebrne czary
I płynął trunek złotą strugą.
Pienił się w kubkach, szumiał w głowie
Napełniał serca wesołością,
Godnie go leli podczaszowie
I nisko się kłaniali gościom.

Słów odgłos w jeden gwar się zlewa,
Tłum gości brzęczy rozbawiony,
Lecz nagle miły śpiew rozbrzmiewa
I płyną gęśli składne tony.
Umilkli wszyscy. Głos Bojana
Dźwiękami słodkiej pieśni mówił
Sławiąc Ludmiłę i Rusłana,
I wieniec, który Lel im uwił.

Lecz namiętnością już znękany
Nie pije Rusłan zakochany;
Przygląda się swej młodej żonie,
I niecierpliwi się i płonie
I szarpie wąs niepostrzeżenie,
I liczy każde okamgnienie.
Posępni, z zachmurzonym czołem
Za gwarnym, za weselnym stołem
W milczeniu trzej rycerze młodzi
Siedzą; przed nimi puste dzbany,
I kubek stoi zapomniany
I już ich trunek nie obchodzi;

Głusi na wieszczy śpiew Bojana,
Wzrok opuścili w niemej złości;
Są to rywale trzej Rusłana;
W ich zawiedzionych duszach gości
Jad nienawiści i miłości.
Pierwszy z nich Rogdaj, dzielny wojak,
Co mieczem swoim w krwawych bojach
Obręb kijowskich pól rozszerzył;
Drugi — to Farlaf, samochwała, —
Na ucztach sława jego grzmiała,
Lecz nie zabłysnął wśród rycerzy;
Wreszcie ostatni — Ratmir młody,
Chan, co chazarską ziemią włąda;
Nie bawią ich weselne gody,
Biesiada dla nich — nie biesiada.

Lecz goście wstają już od stołu,
Do młodej pary więc po społu
Zbliża się ciżba pomieszana:
Spuściła skromnie wzrok Ludmiła,
Jakby się w sercu zasmuciła,
I radość bije od Rusłana.

Ale ogarnął mrok przyrodę
I północ rzuca swą zasłonę;
Bojarzy, upojeni miodem,
Senni, wynieśli się z pokłonem.
Pan młody czeka zachwycony,
Już w myślach pieści wdzięki żony,
Wstydliwą pojąc się urodą;
Lecz wielki książę z cichym smutkiem,
I z rozrzewnieniem, w słowie krótkim,
Pobłogosławił parę młodą.

Wreszcie Ludmiłę poczet dworzan
Prowadzi do ślubnego łoża;
Pogasły światła w pustych salach
I lampkę nocną Lel zapala.
Nie zazna serce już zawodu,
Już miłość niesie dar bogaty
I na kobierce z Carogrodu
Opadną wnet zazdrosne szaty...
Słyszycie? Oto szept miłości
Na całowane płynie wargi,
Oto ostatniej nieśmiałości
Brzmią ciche, przerywane skargi;
Małżonek rozkosz już przeczuwa,
Tę rozkosz, która wnet się stanie...
Wtem grom uderzył, smuga jasna

Strzeliła dymem, lampka zgasła,
Dokoła wszystko mrok zasnuwa,
Wszystko zadrżało niespodzianie
I z grozy struchlał duch w Rusłanie...
Ucichło. W ciszy tej ponurej
Rozległ się dziwny głos dwukrotnie,
Ktoś wzbił się czarnym dymem w górę
I we mgle zniknął bezpowrotnie...
W łożnicy pusto; narzeczony
Zerwał się z łoża przerażony,
Twarz zimnym potem się pokryła...
Przebóg! Gdzie jest kochanka miła?
Cały dygoce, chłodną dłonią
Nocnego mroku pyta o nią...
Ręce powietrze puste gonią,
Chwytają... Nie ma! Gdzie Ludmiła?
Porwała ją nieznana siła.

Ach, gdy się kocha nadaremnie,
A żądza niesie cierpień wiele,
Choć żyć jest źle i nieprzyjemnie,
Żyć jednak można, przyjaciele!
Ale po długich, długich latach
Objąć kochankę upragnioną,
Poza nią nie dostrzegać świata,
I kiedy już się stała żoną
Na zawsze stracić... o, rozpaczy,
Wolałbym chyba umrzeć raczej!

A Rusłan jednak żyje nadal.
Wnet zabrzmi głos wielkiego księcia,
Który nad córką swoją biada,
Na los pomstuje i na zięcia.
Dwór cały i Rusłana wzywa:
„Gdzie jest Ludmiła nieszczęśliwa?“ —
Woła i twarz mu płonie żarem.
Nie słyszy Rusłan. „Przyjaciele,
Pamiętam, biliście się śmiele,
Zmiłujcie się nade mną, starym!
Kto z was mi zwróci radość duszy,
Kto za mą córką w pogoń ruszy?
Czyj będzie trud nienadaremny,
Temu — rozpaczaj, cierp, nikczemny!
Miałeś jej losy powierzone! —
Temu — Ludmiłę dam za żonę,
Dziedzictwo dziadów z nim podzielę.
Kto z was jest gotów, przyjaciele?“...
„Ja“ — rzekł nieszczęsny narzeczony.

„Ja, ja!“ — krzyknęli wraz z Rogdajem
Farlaf i Ratmir ucieszony!
„Siodłamy konie, wszystkie kraje,
Świat cały chętnie przebiegniemy,
Na krótko z nami się rozstajesz;
Nie miej obawy: już jedziemy“.
Starzec w boleści słuchał niemej
I do nich — roniąc łzy — w podzięce
Wyciąga drżące swoje ręce.
Wychodzą razem wszyscy czterej;
Rusłan śmiertelnie jest zgnębiony,
Pogrąża go w rozpaczy szczerej
Myśl o straconej narzeczonej.
Dosiedli rączych swoich koni;
Już hufiec brzegiem Dniepru goni,
Pędzi w kłębiącej się kurzawie,
Już w dali go nie widać prawie,
Aż wreszcie całkiem z oczu ginie...
Lecz długo jeszcze wielki książę
Przebiega wzrokiem po równinie
I w ślad za nimi myślą dąży.

Rusłan przeżywa rozpacz cichą,
Zmysły się mącą, pamięć gaśnie;
Farlaf przez ramię patrzy z pychą,
Podparł się w boki i tak właśnie
Nadęty jedzie za Rusłanem.
Rzecze: „W świat się wyrwałem z trudem,
Kiedyż się spotkam z wielkoludem,
Kiedyż go w ręce swe dostanę?
Dopieroż to się wróg wykrwawi,
Padną zazdrosnych żądz ofiary,
Niech się mój wierny miecz zabawi,
Niech się zabawi koń mój kary!“

W zuchwałych myślach chan chazarski
Ludmiłę trzyma już w ramionach
I niemal tańczy jeździec dziarski,
Tak gra w nim krew nieposkromiona.
Śmiałej nadziei upust dał:
To konia swego puszcza w cwał,
Ostrogą drażni raz i wtóry,
To znów mu każe stawać dęba,
Albo też sadzić przez pagóry.

Rogdaj milczący i ponury
Z lękiem nieznany los swój zgłębia;
Zazdrość nurtuje go głęboko,

Ogarnia trwoga niespodziana,
I nienawistne swoje oko
Kieruje często na Rusłana.

Rywale razem tak jechali
Tą samą drogą cały dzień.
Pociemniał Dniepru brzeg w oddali,
Od wschodu płynie nocy cień;
Już Dniepr spowiła mgły powłoka
I koń strudzony popas czuje;
Lecz oto droga ich szeroka
Z szeroką drogą się krzyżuje.
„Czas się rozjechać w różne strony,
Los wskaże, która z dróg jest dobra!“
I każdy koń, na wiatr puszczony,
Sam sobie dalszą drogę obrał!

Co czynisz, biedny mój Rusłanie,
Sam jeden w pustce tej niezmiennej?
Zda się Ludmiłę niespodzianie
Ujrzałeś w kształcie mary sennej.
Spadł ci miedziany hełm na oczy,
Wypuszcza wodze mocna ręka,
Przez pola koń twój wolno kroczy
I w duszy, co się smutkiem nęka
Nadzieja ginie, gaśnie wiara.

Wtem ukazuje się pieczara;
Płyną z niej światła mdłe promienie.
Wstępuje rycerz pod sklepienie
Sędziwe wiekiem jak przyroda.
W pieczarze starzec: siwa broda,
Pogodny wygląd i spojrzenie;
Przed starcem lampki blask przyćmiony,
A on nad księgą pochylony,
Przerzuca jej pożółkłe strony.
Z uśmiechem rzecze do Rusłana:
„Bądź pozdrowiony, skoroś jest tu,
Gdzie starość życia zapomniana
Każe mi trwać od lat dwudziestu.
Lecz przewidziany dzień przeze mnie
Nastał — wiedziałem, że nastanie,
Zetknął nas los nienadaremnie:

Siądź i wysłuchaj mnie, Rusłanie.
Odkąd zabrakło ci Ludmiły
Twój duch niezłomny traci siły,
Ale okrutne przeznaczenie

Odmieni się niepostrzeżenie.
Wiarą radosną i wytrwałą
Zwalczaj zgryzoty swe złowrogie,
Jedź naprzód! Mieczem, piersią śmiałą
Na północ toruj sobie drogę.

Rusłanie, wiedz, że twój krzywdziciel,
Czarownik straszny i wszechmocny,
To pięknych dziewcząt uwodziciel,
Czarnomor — władca gór północnych.
Do jego schronu żaden wzrok
Dotychczas nigdy nie przenikał,
Ty pierwszy tam postawisz krok
I ty tam zgładzisz nikczemnika.
Nie wolno mi powiedzieć więcej:
Przyszłość, co z losów twych wynika,
Musisz we własne ująć ręce".

Nasz rycerz do nóg padł starcowi,
Dłoń ucałował mu radośnie,
Świat w jego oczach się odnowił,
Minęła rozpacz, serce rośnie.
Zda się powtórnie żyć zaczyna;
Wtem znowu smutek błysnął w oku...
„Znana mi troski twej przyczyna,
Ale rozproszę twój niepokój" —
Powiada starzec — „Niepokoi
Twe serce miłość czarownika,
Lecz ona — wierzaj mi — dziewoi
Nie ima się i nie dotyka.
Może on gwiazdę z nieba strącić,
Zagwiżdże — księżyc zadrży w nocy,
Lecz żeby prawa czasu mącić —
Jeszcze nie posiadł takiej mocy.
Zazdrośnie i lękliwie chroni
Drzwi bezlitosne, twarde zamki,
Ale dostępu nie ma do niej,
Do pięknej, udręczonej branki.
Dokoła snuje się jak cień,
Przeklina złe wyroki nieba...
Lecz dość, rycerzu, mija dzień
I odpoczynku ci potrzeba".

Z miękkiego mchu usłane łoże
Zwiastuje sen i zapomnienie.
Gasnący płomień rzuca cienie,
Lecz Rusłan wzdycha, spać nie może...
Na koniec rzecze: „Ojcze, poradź.

Jak z chorą duszą się uporać,
Sen nie jest snem, już lepiej nie żyć.
Ach, zechciej serce me odświeżyć
I świątobliwe słowo przemów.
Daruj zuchwałe to pytanie
Ty, co się stałeś niespodzianie
Mym dobroczyńcą, powiedz, czemu
Samotnie życie twoje płynie
I kto cię wysłał na pustynię?"

Z westchnieniem starzec odpowiada:
„O smutnym kraju mym rodzinnym
Już zapomniałem. Jestem Finnem,
W dolinach wypasałem stada,
W beztroskich dniach młodości mojej
Znałem pieczary skalne, zdroje,
Gęste dąbrowy i rozłogi
I to, co dawał los ubogi.
Ale niedługo się cieszyłem
Pogodnych dni spokojem miłym.
Mieszkała wówczas nieopodal,
Jak gdyby kwiat w ustroniu świeży,
Naina. Słynna wśród młodzieży
Była niezwykła jej uroda.
Pewnego dnia, gdy moje stada
Na łące wyprawiały harce,
Szedłem i grałem na fujarce;
Przede mną, szemrząc, potok spadał,
A nad potokiem tym dziewczyna
Młoda i piękna — wianek wiła.
Porwała mnie przeznaczeń siła...
Rycerzu, była to Naina!
Podbiegłem do niej i zuchwałe
Spojrzenie przypłaciłem klęską,
I miłość tego dnia poznałem
Wraz ze słodyczą jej nieziemską
I męką, która targa ciałem.

Gdy szósty miesiąc już upłynął
Drżąc uczyniłem jej wyznanie
I rzekłem: „Kocham cię, Naino".
Ale cóż mogła znaczyć dla niej,
Tak dumnej, boleść ma nieśmiała?
Głosem, co cień nadziei grzebie,
Naina chłodno powiedziała:
„Pasterzu, ja nie kocham ciebie!"
I nagle zapadł mrok dokoła:

Dąbrowy cień, rodzinne strzechy,
Ani pasterzy gra wesoła —
Nic nie dawało mi pociechy,
Ożywić serca nikt nie zdołał.
Więc zamyśliłem dnia pewnego,
Żeby się wymknąć fińskim brzegom,
Ruszyć przez morza obszar siny
Z drużyną dzielną na wyprawę
I tam bitewną zdobyć sławę
Dla pozyskania mej Nainy.

Zebrali się rybacy śmiali,
Poszukiwacze przygód zbrojnych
I po raz pierwszy brzękiem stali
Rozbrzmiał mych ojców kraj spokojny.
Pełen nadziei mknąłem w dale,
A ze mną druhów mych załogą;
Przez dziesięć lat i śnieg i falę
Barwiła krew szkarłatna wroga.
Wieść o mnie świat obiegła cały:
Nikt się nie oparł naszej mocy;
Chełpliwe roty uciekały,
Gdy na nie spadał miecz północy.
W bój szliśmy groźnym huraganem,
Łupy dzieliliśmy i dary,
By potem z wrogiem pokonanym
Przyjaźnie siąść do wspólnej czary.
Lecz w sercu pełnym wciąż Nainy
Jedno taiło się uczucie,
W bitewnym zgiełku, w gwarze uciech
Szukałem brzegów mej krainy.
„Czas wracać — rzekłem — bracia moi,
Żelazo zbędnej odtąd zbroi
Zanieśmy na rodzinne progi".
Ledwiem to rzekł — plusnęły wiosła,
I mknęliśmy, wyzbyci trwogi
Wprost do ojczyzny naszej drogiej,
Dokąd nas dumna radość niosła.

Spełniły się oczekiwania,
Płomiennych marzeń treść ukryta!
O, upragniony dniu spotkania,
Tyś wreszcie dla mnie też zaświtał!
U stóp Nainy niewzruszonej
Złożyłem miecz mój zakrwawiony,
Korale, perły oraz złoto;
Pałając żądzą i tęsknotą,
Jak jeniec stałem przed nią smętnie,

A ona drzwi rozwarła szerzej
I wyszła, mówiąc obojętnie:
„Ja cię nie kocham, bohaterze!“
Ach, cóż ci, synu, mówić mam,
Gdy sił mi brak już i sposobu?
Zostałem sam, zupełnie sam
Z uśpioną duszą u wrót grobu.
Pamiętam boleść, która trwa —
Myśl wraca do niej, uporczywa,
I wtedy ciężka, gorzka łza
Po siwej brodzie mojej spływa.

Lecz słuchaj: w mych rodzinnych stronach
Pustelnia jest nieprzenikniona,
Cudowna wiedza tam istnieje.
Wśród ciszy, co w wieczności ginie
W dalekiej głuszy, w drzew gęstwinie,
Mieszkają siwi czarodzieje;
Ich myśl do spraw mądrości płynie;
To, co się działo, co się dzieje,
Wszystko, co w przyszłe dni wybiega —
I śmierć i miłość — im podlega.

I oto ja, miłości głodny,
Powziąłem zamysł niezawodny,
By użyć mocy tego daru,
I w sercu dumnym, w sercu chłodnym
Rozniecić miłość siłą czarów.
Więc uwolniłem się od świata,
Żeby podążyć w mroczne knieje,
I tam, gdzie uczą czarodzieje,
Spędziłem nie liczone lata.
Przyrody straszną tajemnicę
Jasnym umysłem mym zgłębiłem:
Poznałem zaklęć groźną siłę —
Miłości czułej obietnicę!
„Naino, sen się staje ciałem,
Tyś teraz moja! “ — pomyślałem.
Ale kto inny był zwycięzca:
Mój los — gnębiciel i ciemięzca.

Młodą nadzieją ożywiony,
W pragnieniu swym nieposkromiony,
W pomroce leśnej, w ciszy głuchej
Czynię zaklęcia, wzywam duchy —
Grom strzałą przeszył chmurę ciemną,
Zaczarowany wicher zawył,
Ziemia zatrzęsła się od wrzawy

I oto siedzi tuż przede mną
Staruszka siwa i sędziwa,
Zapadłe oko w mroku błyska,
Schylone plecy garb uciska,
I starcza głowa jej się kiwa;
Smutna, krusząca się ruina.
Rycerzu, była to Naina!
Dusza zamarła — przerażona,
Wzrok po upiornej twarzy pełzał,
Nie chciałem wierzyć, że to ona
I zawołałem, cały we łzach:
„To ty, Naino? Czy być może?
Gdzie są twe wdzięki niezrównane?
Ach, powiedz, czyż wyroki boże
Sprawiły straszną tę przemianę?
Czy dawno porzuciłem świat,
Gdzie żyła ona, ta jedyna,
Czy dawno? Mów!“ „Czterdzieści lat —
Odpowiedziała mi Naina —
„Dziś ósmy krzyżyk już zaczynam.
Co robić — brzmi jej pisk żałosny —
Lat przeleciały szumne roje,
Minęły obie nasze wiosny,
Jesteśmy starzy obydwoje.
Lecz słuchaj: niechaj cię nie nęka
Płochej młodości mej utrata
Jestem, co prawda, siwiuteńka
I, może, trochę też garbata;
Jam już nie ta, co niegdyś była,
Anim tak piękna, ani miła;
Lecz słuchaj — oto tajemnica;
Wyznam ci: jestem czarownica!“
I rzeczywiście, w tej godzinie
Nagle mi mowę odebrało,
Byłem zupełnie głupi przy niej
Wraz z moją wiedzą doskonałą.

Lecz straszna rzecz: zaklęcia słowo
Zapanowało nad mym losem
I moje bóstwo siwowłose
Pałało do mnie żądzą nową.
Krzywiąc uśmiechem wstrętne wargi
Grobowym głosem potwór stękał,
Szeptał miłosnych wyznań skargi.
Ach, cóż to była za udręka!
Wzrok wbiłem w ziemię, cały drżałem;
Ona mówiła tłumiąc kaszel
Głosem od zmysłów ociężałym:

„Poznałam wreszcie serca nasze,
Widzę, że są stworzone one
Dla namiętności, którą płonę.
Uczuciom już się nie opieram,
Jestem miłości twej spragniona,
Pójdź, niechaj wezmę cię w ramiona,
O, miły, miły, patrz: umieram...“

A przy tym cały czas, Rusłanie,
Mrugała okiem, kwiląc cienko,
A przy tym fałd na mym kaftanie
Czepiała się zgrzybiałą ręką;
A przy tym — ja obumierałem,
Zamknąłem oczy przed tym piekłem
I nagle z krzykiem się wyrwałem;
Nie mogłem dłużej znieść, uciekłem.
Wołała za mną: „O, niegodny!
Zmąciłeś spokój mój pogodny,
Dni niewinności mej dziewczęcej!
Zdobyć mą miłość byłeś rad,
A gdy zdobyłeś — nie dbasz więcej;
Oto mężczyźni pełni zdrad!
Uwiódł mnie, nędznik, uwiódł wstrętnie,
A pokochałam tak namiętnie...
O, jaka hańba! Zdrajca, gad!
Lecz biada ci, tyś cześć mą skradł!“

Tak z nią rozstałem się i oto,
Odkąd umarła miłość młoda,
Żyję samotnie z mą zgryzotą,
A cała moich dni osłoda,
To spokój, mądrość i przyroda.

Życie dogasa i mogiła
Już na mnie czeka, już mnie wzywa,
Ale staruszka pamiętliwa
W nienawiść gniewną przemieniła
Miłosny żar, co dogorywa.
Złość w czarnej duszy nie ustanie
I nienawiścią swą starucha
Dosięgnie ciebie też, Rusłanie;
Lecz nienawiści moc jest krucha!

Nasz rycerz słuchał opowieści
Z uwagą chciwą: ani cisza
Jasnego oka snem nie pieści,
Ani w zadumie nie usłyszał,
Jak lecąc, cicho noc szeleści.

Lecz dzień już niebo opromienia...
Rycerz składając dziękczynienia,
Uścisnął starca-czarownika;
Nadzieja serce mu przenika;
Wychodzi wreszcie. Dosiadł konia,
W siodle poprawił się i mknie.
„Mój ojcze, nie opuszczaj mnie!“
I pognał przez rozległe błonia.

Mędrzec go żegnał przed podróżą,
Wołając w ślad: „Szczęśliwej drogi,
Jedź do małżonki swojej drogiej
I niech ci rady starca służą!“

przełożył **Jan Brzechwa**

SESJA RADY KULTURY I SZTUKI

JAN WILCZEK

O sytuacji w krytyce*)

Zadaniem naszym na dzisiejszej naradzie jest określić, jaką rolę pełni krytyka w walce o współczesną naszą sztukę i kulturę, czy krytyka nasza wypełnia swe odpowiedzialne zadanie kształtowania i pobudzania twórczości — czy, oceniając właściwie rolę współczesnej sztuki, zbliża twórcę i jego dzieło do mas odbiorców i czy podnosi chłonność odbiorczą szerokich mas narodu w dziedzinie sztuki.

Cechą szczególną naszego zebrania jest to, że po raz pierwszy stawiamy problem krytyki wspólnie dla wszystkich jej dziedzin i specjalności. Dotychczas spotykaliśmy się zwykle na terenie którejś ze sztuk, przy konkretnych problemach danej dyscypliny — z natury najczęściej był to teren literatury. Tak było dotychczas — mimo że idea wspólnej narady krytyków od dawna kołatała do drzwi i domagała się realizacji.

Ale dopiero dziś po raz pierwszy spotykamy się wszyscy razem wspólnie i radzić będziemy wspólnie — krytycy i teoretycy sztuki wszystkich dziedzin — literatury, plastyki, muzyki, teatru, filmu i architektury.

Trzeba sobie powiedzieć wyraźnie — krytyka nasza rosła i rozwijała się równolegle z poszczególnymi dziedzinami sztuki. Było to oczywiście zjawiskiem naturalnym. Partia nasza — słusznie i mądrze — kierowała dotąd każdą tendencję rozpatrywania krytyki w ogóle na konkretne, aktualne, ważne zagadnienia, dotyczące wszystkich, lub też poszczególnych dziedzin sztuki. Już w pierwszym, początkowym okresie walki o zasadnicze, podstawowe tezy realizmu socjalistycznego staraliśmy się łączyć ściśle teorię z praktyką. Dopiero dziś, w oparciu o wszystkie tamte, uzyskane na poprzednich środowiskowych naradach, wyniki, mając za sobą okres kilkuletniego doświadczenia, możemy stawiać problem krytyki sumarycznie dla wszystkich dziedzin łącznie.

I jest dziś niewątpliwie konieczne to sumujące, uogólniające rozważenie osiągnięć i błędów. Wszyscy czujemy dobrze, że jest w dziedzinie krytyki wiele spraw, których rozwiązać się nie da fragmentarycznie — jest wiele spraw takich, o których musimy porozmawiać kolektywnie i zaangażować do realizacji postulowanych wniosków szeroki zespół czynników.

Miniony okres trzech lat, okres bujnego rozwoju poszczególnych dziedzin sztuki i okres wzmożonej walki ideologicznej o zwycięstwo realizmu socjalistycznego w naszej sztuce, jest okresem rozwoju polskiej współczesnej krytyki.

Stały, postępujący rozwój ilościowy działu krytyki jest zjawiskiem bezspornym. Alarmistyczne wołanie, że krytyki nie ma, że krytyka nie istnieje — jest błędem. Kolega Markiewicz słusznie zauważa, że od roku 1951 obserwujemy już rokrocznie napływ nowych kadr, nowych piór recenzyjnych i krytycznych. Rzeczą dla nas jednak ważną, przy całej naszej radości z faktu wzrostu liczbowego krytyki, jest zastanowić się nad tym, jak aktualnie przedstawia się jej jakość.

Ryzykuję już w tym miejscu posta-

*) Fragmenty referatu wygłoszonego na posiedzeniu Rady Kultury i Sztuki.

wienie tezy — oczywiście dyskusyjnej: — Wydaje mi się, że w krytyce literackiej i artystycznej obserwujemy obecnie poważny rozwój ilościowy tej dziedziny — przy jednoczesnym braku wzrostu jej jakości.

Według mnie dwa momenty składają się na tę sytuację: Po pierwsze, trzeba stwierdzić duże społeczne pobudzenie zainteresowań i wielkie ożywienie się dyskusji wokół sprawy współczesnej kultury. Ale, po drugie — równocześnie mamy do czynienia z pewnego rodzaju rozluźnieniem ideologicznym, które nie pozwala nam posunąć się naprzód, powoduje jakby dreptanie w miejscu i umożliwia nawrót do starego. Pojawiać się zaczyna zjawisko dużego liberalizmu w stosunku do metody, jaką się krytyka w swej wypowiedzi posługuje. Rozpatrzeć to warto dokładniej.

Jest rzeczą bezsprzeczną, że w dziedzinie krytyki zdobyliśmy na przestrzeni ostatnich lat poważne osiągnięcia z zakresu teorii i historii sztuki. Nasi czołowi twórcy, historycy sztuki, teoretycy literatury i sztuki dali nam na gruncie metody realizmu socjalistycznego w ostatnich latach wiele poważnych dzieł, będących trwałym wkładem w dziedzinie naszej wiedzy o współczesnej sztuce i kulturze. Dokonaliśmy wielkiej pracy przyswojenia kulturze polskiej licznych podstawowych osiągnięć naukowych i teoretycznych Związku Radzieckiego — udostępniliśmy w ten sposób szerokim kołom inteligencji twórczej podstawowe elementy przodującej radzieckiej teorii realizmu socjalistycznego. Jest to odcinek naszej pracy niezwykle ważny, stwarzający zdrową podstawę prawidłowego rozwoju naszej rodzimej nauki o sztuce. I w tym zakresie nasze osiągnięcia są naprawdę duże. Gdziekolwiek poza granicami naszego kraju pokazujemy dorobek nasz z tej dziedziny — wszędzie spotykamy się z wyrazami uznania. Ale co z tego wynika? Czy osiągnięcia te wpływają na poziom i charakter naszej krytyki aktualnej — przynajmniej w tym zakresie, w jakim tego należało oczekiwać — czy podnoszą one poziom i pogłębiają znaczenie naszej krytyki? Wydaje mi się, że nie. Przeciwnie, zarysowała się niepokojąca dysproporcja gatunku między tzw. krytyką wielką, poważną, a krytyką bieżącą, codzienną. Dysproporcja ta idzie tak daleko, że na odcinku tzw. aktualnej krytyki używać się już zaczyna niemal innego języka, innego stylu. Nie chodzi tu o różnicę poziomu — chodzi o różnicę w metodzie, często o różnicę podstaw ideologicznych. Czy możemy na przykład powiedzieć, że przyswojenie sobie bogatego zasobu materiałów radzieckich dodało naszej krytyce bodźca, czy natchnęło ją tym charakterystycznym, radzieckim duchem bojowości, ofensywności i bezkompromisowości? Czy przeniesienie dyskusji radzieckich na nasz grunt zaostrzyło nasze dyskusje i spory — na wzór towarzyszy radzieckich? Wydaje mi się, że nie tylko nie nastąpiło nic podobnego, lecz daje się zaobserwować zjawisko odwrotne — są wypadki, gdy dyskusję radziecką przenosi się na nasz grunt w sposób wynaturzony, niekompletny, wyretuszowany subiektywnie. Obserwujemy ostatnio — prawdopodobnie na fali specyficznie pojętej „walki ze schematyzmem i deklaratywnością" zjawisko łagodzenia, woalowania stylu — oderwania od marksistowskiej terminologii i bolszewickich jasnych określeń, nazywających rzeczy i sprawy po imieniu. Prowadzi to oczywiście nieuchronnie do mętniactwa, do subiektywistycznego ujmowania zjawisk — do nieodpowiedzialności za sformułowania. Doprawdy, nierzadko np. zagadnienia plastyczne rozwiązywane są na łamach Materiałów do

Studiów i Dyskusji bardziej bojowo od polemicznych artykułów Przeglądu Artystycznego, mimo że kierownictwo obu tych pism jest wspólne. Zagadnienia historyczne polskiej plastyki rozwiązuje się po marksitowsku, używając naukowych określeń, natomiast w problematyce współczesnej sztuki używa się często języka ubogich ideologicznie. Zjawisko to oznacza lęk przed konfliktem, w języku partyjnym określamy go mianem oportunizmu — zjawisko to sprowadza niebezpieczeństwo ześlizgiwania się na pozycje burżuazyjnej estetyki i mieszczańskiego mętniactwa.

Ten rozdział, to zróżnicowanie dyscyplin idzie już tak daleko, że tzw. dziedzina krytyki wielkiej, dziedzina badań nad sztuką, staje się dziedziną odrębną, nie mającą jakby nic wspólnego z areną tzw. krytyki aktualnej. Już w obu tych dziedzinach zaczynają pracować specjaliści — inni ludzie. No i oczywiście następuje nieuchronne rozwarstwienie kadr: piszący i co gorsze najzdolniejsi, najbardziej twórczy — zaczynają drogę pod prąd: od życia na olimp, od współczesności — do tzw. poważnych badań.

W tym stanie rzeczy krytykę współczesną poczyna charakteryzować brak inicjatywy, zanik samodzielnego formułowania prawd. Czy jest to jałowość odpowiadająca zjawiskom zastoju? Nic podobnego. Wszystkie dziedziny sztuki wykazują dużą aktywność twórczą i co za tym idzie — duże pobudzenie dyskusyjne. Dyskusja toczy się i trwa. Twórcy czytają, dyskutują, określają. W rozgwarze tych dyskusji i ocen można łatwo wyczuć tendencje aktualne, narastające problemy i napięcia. Krytycy mają świadomość tego stanu rzeczy — najczęściej pozostawiają to rozpoznanie dla siebie — do czasu. Przyzwyczailiśmy się już bowiem do tego, że dany problem i jakieś narosłe i nabrzmiałe zagadnienie musi doczekać się specjalnej narady. Tak było np. z zagadnieniem naturalizmu w plastyce. Problem ten przecież narastał — rozdźwięk między ówczesną krytyką oficjalną, a tym, co się ówcześnie mówiło, doszedł już do takiego stanu zróżnicowania, że wszystko to, co się przed naradą w Radzie Państwa pisało o plastyce, przestało mieć jakikolwiek związek z rzeczywistością.

Przyzwyczailiśmy się już do narad, jako do zebrań ważnych, na których partia ujawnia aktualny etap i daje wskazówkę: „tędy". I krytyka po takiej naradzie przez kilka tygodni ma pełne ręce roboty. Odrabia zaległości. Krytykę naszą charakteryzuje deklaratywne powoływanie się na tzw. etapy — powoływanie się najczęściej bierne — każdy krok indywidualny, każda próba samodzielnego wybiegania naprzód witana jest z zasady nieufnie. Nasze pisma społeczne, artystyczne i kulturalne zaczynają pracować w sposób planowy, z coraz ściślej określoną tematyką dnia, z coraz precyzyjniej działającą kolumną rocznic — ale ten ścisły, codzienny plan, sporządzony jest według dziwnego kalendarza, w którym nie ma „jutra". Krytyce brak perspektyw na przyszłość, naszej krytyce w coraz większym stopniu brak zdolności przewidywania, krytyka traci swą twórczą, postulatywną funkcję.

Jak to się dzieje, jakie są źródła takiego stanu rzeczy?

Nasze osiągnięcia w zakresie budownictwa i organizacji życia na nowych, socjalistycznych podstawach, dowody siły i nieograniczonych możliwości ustroju w tworzeniu nowych wartości narodowych skupiły wokół naszej partii, wokół ludowego Rządu, wokół polskiej klasy robotniczej większość narodu pod sztandarami i w szeregach Frontu Narodowego. Ten właśnie Front Narodowy — ideologiczny i polityczny

wyraz procesu przekształcania się naszego narodu w naród socjalistyczny, krzepnie i staje się potężną, realną siłą napędową przyspieszającą nasz marsz ku socjalizmowi.

Front Narodowy rozwija się na bazie realnych zwycięstw, osiągnięć i dokonań gospodarczych i ustrojowych — nasyca się równocześnie głęboką treścią kulturalną, zawierającą nie tylko nowe, cenne wartości współczesne, ale obejmującą wszystko to, co w tradycji naszego narodu i w jego kulturze było w przeszłości najcenniejsze, najbardziej postępowe — i przez to klasyczne, trwałe, stanowiące nasz rodzimy polski wkład w kulturę ogólnoludzką. Naród polski dziś dziedziczy, przejmuje całą swą cenną spuściznę narodową — i to dziedzictwo jest jego siłą. Naród nasz jednocześnie pomija to, co było jedynie historią a nie tradycją, co było wstecznictwem i błądzeniem a nie postępem i rozwojem. Przejmując z tradycji to, co postępowe — zdobywamy elementy przyspieszające nasz marsz w przód, w postęp, w nowy socjalistyczny świat. Głęboko unaradawiając swoją kulturę przeciwstawiamy się imperialistycznemu kosmopolityzmowi — jednocześnie wzbogacamy naszą sztukę i naszą kulturę, skarbiec i siłę postępowego, internacjonalistycznego świata.

Oczywiście, że rosnąca nasza siła każe wrogowi u nas przylec, wtopić się w cień, każe mu utajać się, zmieniać oblicze i formy działania.

Stan naszej rzeczywistości jest już taki, że bombę zegarową, materiał łatwopalny, czy opiłki do łożysk cennych maszyn można podrzucać jedynie przy zachowaniu maksymalnej ostrożności — mimochodem. Również już reakcyjnych teorii i wrogich haseł głosić jawnie nie można. Plotkę, insynuację polityczną, „pseudoproblemy“ z dziedziny estetyki, problemy zarażone fałszem, dwulicowością można podrzucać albo podpowiadać jedynie z głupia frant. Wróg stara się dziś wyglądać porządnie i obkuwa się w marksizmie.

W atmosferze Frontu Narodowego pozytywnym elementem przemian zachodzących w świadomości inteligencji twórczej jest niewątpliwie fakt pogłębienia się uczucia pewności — ugruntowanego na fakcie odzyskania godności twórcy, którą inteligencji oddał nasz ustrój — fakt poczucia bezpieczeństwa, zaufania w przyszłość i w dalszy rozwój i rozkwit kultury naszego narodu, ugruntowane na świadomości pogłębiającego się kontaktu twórcy z masami.

Natomiast momentem niewątpliwie ujemnym i niebezpiecznym jest tracenie z oczu ostrości konfliktów, które jeszcze dziś istnieją i fałszywe rozumienie istoty i przebiegu walki klasowej, która się toczy na drodze budownictwa nowego ustroju.

Front Narodowy nie jest objawem zawieszenia walki — lecz przeciwnie, zaangażowaniem w walkę szerokich mas narodu. Nie jest on przejawem zacichania walki, lecz przeciwnie: jest rozciągnięciem frontu walki, pogłębieniem mobilizacji sił — rozprzestrzenieniem rewolucyjnej bojowości i czujności na cały naród.

Tymczasem atmosfera ideologiczna Frontu Narodowego, która jest rezultatem zdobycia dla naszych idei i dla budownictwa socjalistycznego większości narodu — pojmowana jest niestety przez wielu jako moment przesilenia, zwycięstwa, po którym spać już można spokojnie. Są również i tacy, którzy idee Frontu Narodowego rozumieją wręcz jako polityczny gest wyciągnięcia ręki Rządu do mas, ze słowami: „no dobrze — sami czujemy, że musimy trochę złagodzić kurs“. Pewne zjawiska są współzależne. I tak przed proklamowaniem Frontu Narodowego mieliśmy podobne zjawisko, kiedy na-

piętnowanie afery gryfickiej tłumaczono sobie jako odwrót od idei spółdzielczości produkcyjnej. Podobnie krytykę schematyzmu w literaturze i prymitywizacji naturalistycznej w plastyce niektórzy próbowali interpretować jako przejawy kompromitacji resortu Ministerstwa Kultury, który przecież, jak to się mówi „akuszerował sztukę" i jest za wszystkie schematyzmy i sprymitywizowania odpowiedzialny.

W atmosferze Frontu Narodowego zapomina się często o tezie Lenina, który ostrzegał, że wróg klasowy broni się tym zacieklej i tym bardziej zdecydowanymi na wszystko metodami, im bardziej jest osaczony i im bliższa jest jego ostateczna likwidacja. Nieświadomość tego, że walka klasowa u nas nie zamiera, lecz jedynie zmienia swą formę, że przechodzi z form walki jawnej i otwartej na formy bardziej przemyślane, bardziej perfidne i bardziej zaciekłe — sprowadza zaburzenia w świadomości wielu twórców i krytyków, osłabia zdolność rozpoznawania stosunku między konfliktami antagonistycznymi i nieantagonistycznymi. Wywołuje to z gruntu fałszywy, nieusprawiedliwiony i niebezpieczny nastrój samouspokojenia się, sprowadza to swoisty daltonizm na przejawy walki klasowej — prowadzący nieuchronnie do ideologicznej ślepoty. Wydaje mi się, że zrozumienie tego zjawiska na etapie dzisiejszym jest problemem decydującym.

My, żyjący i tworzący w warunkach demokracji ludowej, w oparciu o zwycięstwo rewolucji socjalistycznej w Związku Radzieckim, w oparciu o przykład, o doświadczenie i o zdobycze kultury radzieckiej — mogliśmy i możemy szybciej przechodzić poszczególne etapy walki o nowy ustrój, dane nam jest jeszcze pewniej, bezwzględniej zakładać i kształtować nowe elementy nadbudowy ustroju, o który walczymy. Nasza partia — przewodniczka narodu polskiego, bogata w oręż marksizmu-leninizmu, mogąca czerpać sprawdziany swych decyzji z ogromnego doświadczenia i wspaniałego wzoru WKP(b) — pierwszej, zwycięskiej „brygady szturmowej" socjalizmu — ma możność szybciej prowadzić naród przez poszczególne etapy walki o nowy ustrój, ma możność pewniej formułować wskazania dla polityki kulturalnej. Możność analizy poszczególnych etapów rozwojowych kultury i sztuki Związku Radzieckiego rzuca snop jasnego światła na nasze aktualne problemy, pozwala nam to lepiej właśnie nasze trudności rozumieć i rozwiązywać.

Rolę partii w zakresie polityki kulturalnej widać w trosce o to, aby szybko powstawały i aktywnie włączały się w aktualną walkę narodu poszczególne elementy nadbudowy — właśnie sztuka współczesna, krytyka, publicystyka kulturalna. Partia nasza, zgodnie ze wskazaniami Lenina i Stalina, doceniając w pełni ważność odcinka kultury walczy nieugięcie o partyjną literaturę i sztukę, o partyjną teorię sztuki i o partyjną krytykę artystyczną. Prowadzi i uczy, wskazuje na błędy i na niedociągnięcia, krytykuje i wskazuje kierunki walki. W tej formie, specyficznej dla naszych warunków i okresu, w którym działamy, rola partii — przodownicy narodu — ujawnia się w zakresie kultury. Byłoby źle tej roli nie doceniać i nie dostrzegać — byłoby śmieszne na te przejawy kierownictwa partii boczyć się. Swoista forma dyktatury proletariatu na etapie Frontu Narodowego nie zanika, uwaga partii zwrócona na odcinek kultury nie słabnie i rosną — a nie zmniejszają się — jej wymagania. Nierozumienie istoty tego stanu rzeczy doprowadziło ostatnio do zjawiska niewczesnego krytycyzmu w stosunku do dezyderatów i postanowień partii, zapędziło niektó-

rych twórców, a nawet krytyków, na pozycje politykowania, dyskutowania i polemizowania ze wskazaniami partii.

Niebezpieczeństwo burżuazyjnego estetyzmu i groźby nawrotu elementów postimpresjonistycznych w naszej sztuce, wywołane brakiem czujności i spowodowane niedostatecznym rozprawieniem się z obciążeniami naszej przeszłości — wywołane jest przez krytykę.

Wiadomo było, że stawianie zagadnienia walki o doskonałość warsztatu artystycznego bez obwarowania się ideologicznego, bez podkreślenia partyjności sztuki, bez wyjaśnienia bazy odpowiednio rozumianej tradycji, może być niebezpiecznie wykorzystane przez wszystkich, na których ciążą formalistyczne i burżuazyjno-estetyczne ciągoty. Należało być czujnym, należało dokonać zasadniczego rachunku z przeszłością. Ma głęboką rację tow. Ważyk, nawołując stale przy tej okazji do wyraźnego, ideologicznie słusznego obrachunku z tradycją, do wydobycia postępowej tradycji, postępowych, a więc klasycznych wzorów. Bo zaiste wiele nieporozumień wypływa właśnie z tej kwestii. Nie wszystko musi być w porządku w tej dziedzinie, skoro po dyskusji o schematyzmie wypływa nagle teoria realizmu w plastyce, jako „malarskie widzenie przestrzeni" — albo problem teatru Brechta, który w ujęciu Puzyny jest „teatrem prostoty", a dla Pomianowskiego najwyższym aktualnie doznaniem artystycznym, filozoficznym i ideologicznym.

Wspomnieliśmy przed chwilą o stalinowskiej zasadzie umiejętności dostrzegania i kultywowania tego, co nowe i świeże. Cechą charakterystyczną naszej krytyki jest to, że we wszystkich dziedzinach coraz rzadziej stosuje się w ocenie dzieł któregoś z artystów miarę drogi artystycznej samego twórcy. Coraz rzadziej stawia się problem tak, aby móc rozpoznać, co dana książka, co dany utwór dla samego artysty stanowi: element postępu i rozwoju, czy błądzenia i cofania się. Łączy się to bezpośrednio w ogóle z problemem naszych młodych kadr artystycznych, z problemem debiutantów, młodych pisarzy i plastyków, poetów, kompozytorów.

Posłuchajmy, co pisze krytyk J.P. na łamach Przeglądu Kulturalnego w dniu 19 — 25 marca br. witając kolejną symfonię młodego, wybitnie uzdolnionego kompozytora Bairda: „Druga symfonia Bairda jest jego ostatnim dziełem i utwierdziła nas ona w przekonaniu, że mamy tu do czynienia z dojrzałym muzycznie twórcą. Druga symfonia utrzymana jest ogólnie biorąc, w tym samym klimacie co pierwsza, chociaż koncepcja całości jest inna. Mamy więc znowu dwie partie liryczne, refleksyjne, smętne w nastroju... mamy patetyczne „bairdowskie" partie tutti orkiestry o pełnym fortissimo. Symofnia ma trzy części (largo, allegro, non troppo allegro) potraktowane swobodnie... largo w przeważającej części liryczne, rozbija się na kantylenie drewnianych instrumentów dętych w ich ciemnych rejestrach — po nich przychodzi rozbudowana partia tutti, po którym jednak kompozytor wraca do początkowego nastroju. (Tu kilka podobnych szczegółów opuszczam). Pierwsza część posiada więc ogólnie smutny, żeby nie użyć słowa beznadziejny nastrój, którego nie jest w stanie rozwiać następna... partia. Działanie tej części jest tym silniejsze, że liryka Bairda jest zwykle głęboko emocjonalna, w tym zaś dziele te emocje są dojrzalsze i bardziej pogłębione. Druga symfonia sprawia wrażenie zakończenia pewnego etapu rozwojowego twórczości Bairda: dany typ emocjonalizmu osiągnął punkt kulminacyjny...

O ile pamiętamy, debiut Bairda przed

kilku laty był debiutem dla tego tak radośnie witanym, że na tle ówczesnych kompozycji jego pierwsze dzieło „symfonieta“ błyszczało jasnością, optymizmem, melodyjnością. Dlaczego się tego Bairdowi nie przypomina, dlaczego się nazywa uzyskiwaniem dojrzałości, emocjonalności — staczanie się w formalizującą „beznadzieję“?

Jeśli teraz na palcach wyliczymy krótko te wszystkie niedostatki, które wymieniliśmy przed chwilą, będziemy mieli komplet zjawisk, których nie sposób nazywać inaczej, jak zjawiskiem odpartyjniania się krytyki. Krytyka nasza straciła poczucie frontu walki, odsunęła się na tyły lub zeszła na terytoria, gdzie grozi jej ześliznięcie się w drobnomieszczański estetyzm. Charakterystyczne jest to, że ostatnio zagadnienie współczesnego odbiorcy sztuki, jego wymagań, a co najważniejsze jego sądów i ocen, zostało nie tylko całkowicie zapomniane, ale jest przedmiotem pewnego rodzaju zdenerwowania w kołach krytyków, kiedy się ten problem porusza. Powoływanie się na sąd opinii publicznej, na oceny, jakie padają na publicznych dyskusjach nad daną sztuką, czy nad danym dziełem, wywołują skrzywione uśmiechy i nie brane są zupełnie pod uwagę. Dobrze jest wspomnieć, że wielu twórców niejednokrotnie podkreśla fakt, że rozmowa z czytelnikiem czy widzem dała mu więcej, niż wszystkie krytyki fachowe o jego dziele razem wzięte. Jest rzeczą korzystną wsłuchiwanie się w głos mas, jest celowe wsłuchiwanie się w głos mas. Nigdy od mas, od problemów nurtujących te masy, od ich zagadnień i żądań odrywać się nie należy.

Wydaje mi się, że warto powiedzieć kilka słów o zjawisku naszego profesjonalizmu, naszej specjalizacji w dziedzinie krytyki. Dyskusja na ten temat wyjaśniłaby wiele w zakresie tych koniecznych wymogów, jakie trzeba postawić człowiekowi, który pretenduje do miana krytyka-twórcy. Dałaby może materiał i wskazówki, co uczynić, by dać naszym krytykom możność dokształcania się, wzbogacania swej wiedzy o życiu. Nie do pomyślenia na pewno jest twórca, któremu brak pasji, żarliwości walki, wyraźnej świadomości, o co się bije, co pragnie swą działalnością spowodować, przeprowadzić i osiągnąć. Nie do pomyślenia, jak w każdej twórczości, która jest istotnie twórczością — jest koniunkturalność, karierowiczowstwo, dwulicowość. Krytyk — jako twórca — musi być aktywistą walki o jutro, o nową sztukę, o nową kulturę, musi się w tej walce zaangażować bez reszty i wszystkimi dostępnymi mu środkami: piórem, i słowem, i działaniem — piórem swej twórczości, słowem w dyskusji kawiarnianej i nie kawiarnianej — działaniem aktywnym, działaniem, które nie polega tylko na tym, aby napisać artykuł, gdy zamówią, ale iść tam, gdzie się coś dzieje i decyduje, i włączać się w to działanie i decydowanie. Działalność krytyka nie powinna się ograniczać jedynie do pisania, krytyk powinien interesować się, co się dzieje w wydawnictwach, powinien inicjować dyskusje, decydować o zakupie dzieł, być w pełnym tego słowa znaczeniu działaczem kulturalnym. Udoskonalimy w ten sposób anonimowe konwentykle redakcyjne, zespoły oceniające, podniesiemy fachowość i odpowiedzialność tego aparatu, który ma wpływ na kształtowanie się sztuki.

Co czynić, aby skorygować istniejący stan rzeczy? Pozwalam sobie zarysować zaledwie kilka podstawowych problemów, które Rada Kultury i Sztuki i zgromadzeni na dzisiejszej naradzie koledzy rozpatrzeć powinni.

I. Problem pierwszy — to problem ideologiczny. Dopilnujmy pełnej odpo-

wiedzialności za słowo i niezafałszowanej partyjności postawy naszych krytyków. W dobie Frontu Narodowego chodzi nam o jakość, a nie o ilość. Bądźmy czujni, dopilnujmy partyjności i żarliwości, która nie liczy się z niczym i nie uznaje dwóch prawd — jednej w sali obrad, drugiej w kawiarni.

II. Na drugim miejscu stawiamy problem kadr. Jeśli mówimy o upartyjnieniu krytyki, jeżeli pragniemy, aby nasi krytycy stanowili grupę partyjnie myślących i partyjnie działających aktywistów frontu polityki kulturalnej, musimy zastosować w stosunku do nich te same zasady polityki personalnej, jakie stosujemy do wszystkich innych odpowiedzialnych i cennych pracowników.

Trzeba zrobić wszystko, aby stworzyć pojęcie „zastrzeżonej nomenklatury" dla czołowych twórców wszystkich dziedzin, również i dla tej dziedziny twórczości, jaką jest krytyka. Opiekować się tymi twórcami i baczyć, aby robili to, do czego powołują ich możliwości i uzdolnienia i bronić ich przed tymi wszystkimi funkcjami, które odbierają im możność tworzenia. Jeśli jednak stawiamy problem opieki nad naszymi czołowymi, wysokokwalifikowanymi kadrami, to postawmy również problem selekcji, weryfikacji, kwalifikacji zawodowych wobec wielu, którzy nie tylko pretendują do zawodów krytyka, ale niestety działają już, przynosząc większą szkodę niż pożytek.

III. Przedyskutujmy i ustalmy, w jaki sposób w trosce o właściwy dobór kadr przeprowadzić tę selekcję i weryfikację piszących. Byłoby oczywiście błędem widzieć ten problem w płaszczyźnie jakichś posunięć administracyjnych, ale przecież trzeba sobie powiedzieć, że na innych odcinkach udało się nam przeprowadzić uporządkowanie sprawy kadr, a odcinki te były nie mniej skomplikowane. Myślę tu konkretnie o sprawie tłumaczy. Dokonał takiego uporządkowania związek twórczy literatów, środowisko twórców nie na drodze komisji kwalifikacyjnej, ale na drodze tworzenia takiej atmosfery i powagi tej specjalności, że wiele elementów niepotrzebnych odpłynęło z tej dziedziny, nie utrzymało się. Dziś wydawnictwa nasze liczą się już z opinią Związku, z oceną, jaką Związek Literatów stosuje w zakresie kadr tłumaczy. Wydaje mi się, że na odcinku krytyki należy Związki Twórcze powołać do tego, aby przeprowadzały analizę głęboką stanu kadr i przedsięwzięły jakąś przemyślaną akcję dla koniecznej poprawy składu kadry piszących i decydujących o sprawach sztuki.

IV. Głęboko przedyskutujmy i przemyślmy wszystkie konieczne kroki, które by ustaliły zagadnienie szkolenia kadr fachowych dla dziedziny krytyki we wszystkich jej specjalnościach i kategoriach. Na tej sali zebrani są wszyscy zainteresowani tym problemem. Mamy możność sformułowania precyzyjnego planu koordynującego szkolenie kadr we wszystkich wyższych uczelniach i instytutach naukowych, na Uniwersytetach, Akademiach Sztuk, Wydziałach Dziennikarskich i przy Związkach Twórczych.

V. Dopilnujmy, aby Związki Twórcze zaktualizowały odpowiednie formy ornizacyjnego życia i kolektywnej pracy krytyków artystycznych. Przedyskutujmy, jak działa i jak działać powinna komisja krytyki Związku Literatów Polskich, sekcja muzykologów przy ZKP, sekcja krytyków plastycznych i teatralnych, sekcja krytyki dziennikarzy itp., jakie formy organizacyjne przyjąć dla sprawozdawców i recenzentów.

Wszystkie te problemy konkretne wymagają dla ich rozwiązania szerokiego i planowego współdziałania resortu kultury i sztuki i Związków Twórczych oraz szerokiego aktywu działaczy sztuki i kultury. Wymagają uruchomie-

nia i ludzi i środków. Wszystkie te zagadnienia mogą się stać i powinny się stać elementami planowej, kolektywnej ofensywy podjętej dla udoskonalenia naszej krytyki. Rada Kultury i Sztuki jest instytucją właściwą dla takiego kolektywnego podjęcia akcji.

Jeśli te problemy rozwiążemy, jeśli po przyjęciu wytycznych ideologicznych zmierzających do upartyjnienia naszych krytyków uporządkujemy zagadnienie kadr, ustalimy formy szkolenia i formy organizacyjnej pracy twórczej krytyków — wierzę, że urzeczywistnimy prawdę, że krytyka — to ważna dziedzina twórczości, że krytycy — to aktywiści i twórcy pierwszej linii frontu walki o nową, socjalistyczną kulturę i sztukę Polski Ludowej.

Jan Wilczek

ADAM WAŻYK

Klasyczna miara estetyki*)

Tow. Wilczek w swoim celnym referacie, stawiając sprawę niedojrzałości naszej krytyki, słusznie mówił, że wytworzyły się niejako dwa odrębne obszary krytyki, posługujące się odrębnymi kryteriami artystycznymi. Jeden dział to marksistowskie badanie literatury. Mamy tu poważne osiągnięcia. w pracach Żółkiewskiego, Kotta, Wyki, Markiewicza i innych. Badacze literatury wytwarzają i wytworzyli sobie już pewne kryteria artystyczne. W krytyce literackiej, która omawia utwory dzisiejsze, nie widzimy nawiazania do tych kryteriów artystycznych. Idzie o to, aby mierzyć dzieła sztuki miarą klasyków.

Naród, który dziedziczy dobra kulturalne przeszłości, czyta przede wszystkim klasyków narodowych i obcych. Klasycy stają się miarą estetyczną dla narodu. Jaką miarą naród ma mierzyć dzieła mówiące o życiu dzisiejszym? Dzieła te powinny być przede wszystkim prawdziwe, ale nie istnieje prawda artystyczna bez słusznej estetyki. Słuszna estetyka musi brać za punkt wyjścia klasyków realizmu.

Mówimy o niedojrzałości naszych krytyków. Jest to ocena ogólna, ale ocena słuszna. Chciałem zapytać, czy nasi krytycy nie znają podstawowych idei politycznych, pojęć i poglądów społecznych marksizmu-leninizmu? Na pewno znają. Na czym więc polega niedojrzałość ideologiczna, przejawiająca się w naszej krytyce? Dzieła sztuki posługują się obrazami artystycznymi. Oceniać sens emocjonalno-ideowy obrazu artystycznego — na tym polega w istocie cała sztuka krytyczna. Owe obrazy istnieją w danej specyfice sztuki i bez wniknięcia w specyfikę danej dziedziny nie można ustalić właściwej oceny. Specyfika nie jest niczym innym, jak historycznie nagromadzonym doświadczeniem w danej dziedzinie. W rachubę wchodzi doświadczenie realizmu, doświadczenie z okresu wznoszenia się, a nie z okresu dekadencji kultury. I znowu okazuje się, że decydująca dla strony artystycznej realizmu socjalistycznego jest rola klasyków.

W Związku Radzieckim, zanim jeszcze wyklarował się postulat realizmu socjalistycznego, pisarze powzięli rezolucję: uczyć się u klasyków. Jest to jedyna odtrutka artystyczna na wszelkie ciągoty formalizmu: estetyzujące, antyestetyczne i naturalistyczne. Kiedy wy-

*) Przemówienie na Sesji Rady Kultury i Sztuki.

klarowały się postulaty realizmu socjalistycznego — wysunięto hasła artystyczne: doścignąć i prześcignąć klasyków. Hasło ambitne. Nie tylko chodzi o to, że ambitne. Trzeba zrozumieć treść tego hasła.

O realizmie socjalistycznym mówimy kilka lat, ale tego hasła nie słyszałem i dlatego, jak mi się wydaje, nasza krytyka drepcze od lat na miejscu. Może są zresztą ludzie, którym zależy na tym, żeby tego hasła nie głosić, może się go boją, ale nie sądzę, żeby stanowili większość. Od lat drepczemy na miejscu w estetyce, a skutek jest opłakany. Każdy, kto pisuje krytyki i powtarza formułę o odbiciu rzeczywistości i o jedności formy i treści, ma prawo wymyślać sobie estetykę, ponieważ takowa nie istnieje. To nieprawda — takowa istnieje, tylko nie jako zbiór przepisów, ale jako zespół orientacyjnych kryteriów.

Dlatego sądzę, że pierwszym zadaniem krytyka jest odpowiedzieć na pytanie, co nas łączy z klasykami i co nas od nich dzieli. Odpowiedzieć konkretnie, w ramach danej dziedziny, w granicach danej specyfiki, czy to będzie powieść, czy liryka, malarstwo, rzeźba czy muzyka. Dzieli nas bardzo wiele i łączy nas bardzo wiele. Nowa treść życia, nowa tematyka, nowe idee, to nas niewątpliwie dzieli, ale sposób ukazywania zjawisk ogólnych w zjawiskach konkretnych i wiele innych rzeczy powinno nas łączyć. Powiem krótko i węzłowato — nieco metaforycznie: nie szczepi się realizmu socjalistycznego ani na drzewie impresjonistów, ani formalistów, ale i nie szczepi się na drzewie naturalistów. Szczepi się na drzewie klasyków.

Być może — szczepionki na drzewie naturalistów wydają owoce jadalne i względnie nawet pożywne, ale co do wartości kalorycznej i co do witamin, to z biegiem czasu okazuje się, że tych wartości brak, a co do smaku takich owoców, to nie mam żadnych wątpliwości — smaku nie mają.

Twierdzę więc, że wstępnym i głównym zagadnieniem artystycznym dla krytyka jest odpowiedź na pytanie, co nas łączy i co nas dzieli od klasyków. Pytanie to trzeba rozwiązywać na wielu płaszczyznach.

Pozwolę sobie wskazać przykładowo na kilka płaszczyzn, najbardziej zaniedbanych. Więc np. — system poglądów moralnych, dziedziczonych przez ludzkość i przekazywanych jej w dziełach klasyków. U wielu naszych młodych pisarzy ten system jest naruszony.

Weźmy dla przykładu kompozycję utworu w zależności od treści i idei. Albo weźmy dla przykładu styl pisarski. Pod tym względem panują u nas dzikie nieporozumienia nie tylko nie zwalczane, ale popierane przez krytyków.

Weźmy tak istotną sprawę, jak ludowe widzenie świata. Pod tym względem klasycy bynajmniej nie zadowalają nas w pełni. Ale o ile człowiek widziany przez Prusa, przez Konopnicką, przez Kraszewskiego jest bliższy naszemu ludowi, niż postaci wielu nowych, dzisiejszych powieści, a krytyka nie raczy tego zauważyć.

Bez orientacyjnej miary klasyków nie można, moim zdaniem, postawić należycie kwestii typowości, tej kwestii, która się wysuwa jako naczelna w tej chwili. Mam wrażenie, że wielu krytyków nie docenia samego faktu, że zagadnienie typowości znalazło się w referacie tow. Malenkowa na XIX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Sam fakt ten świadczy, jak wielką wagę przywiązuje do tego zagadnienia Partia Lenina - Stalina. Świadczy to o tym, że partia widzi w tym kluczowe zagadnienie rozwoju realizmu: Marksizm-leninizm nie jest do-

gmatyczny i sądzę, że powinniśmy w tym widzieć dalsze rozwinięcie estetyki marksistowskiej, że sformułowanie tow. Malenkowa powinno być skrupulatnie przestudiowane i powinno stać się przedmiotem obszernych dyskusji.

Mnie się wydaje, że sformułowanie tow. Malenkowa jest odpowiedzią na fałszywe interpretacje typowości w praktyce pisarskiej i w teorii. Jak dotychczas interpretowano typowość? Brano zdanie z Engelsa o typowych postaciach w typowych sytuacjach, odrywano to zdanie od całokształtu poglądów turystycznych Engelsa, odrywano je od praktyki klasyków realizmu, którą Engles wysoko i wnikliwie oceniał i na podstawie której mówił o typowości. W ten sposób można było to zdanie wyrwane z Engelsa interpretować w sensie statystyczno-faktograficznym: w tym sensie typowa postać stawała się średnią statystyczną, postacią szarą, prawdopodobną według naturalistycznego prawdopodobieństwa, a typowa sytuacja stawała się sytuacją najczęstszą. Formuła typowości stawała się czynnikiem antydramatycznym i odgrywała bardzo dużą rolę w fałszywej teorii bezkonfliktowości.

W takiej interpretacji Rewizor Gogola na pewno nie jest utworem realistycznym. Ba, sam Balzak, tak ceniony przez Engelsa, nie mieściłby się w realizmie. Przy takiej interpretacji znaleźli się nawet estetycy i krytycy, którzy łaskawie wybaczali Balzakowi i Gogolowi ich nieprawdopodobieństwa i twierdzili, że w XX wieku obowiązuje większa doza prawdopodobieństwa niż w XIX. I rzeczywiście, ta większa doza prawdopodobieństwa obowiązuje w poetyce szarego człowieka i świata widzianego na szaro, słowem, w realizmie na szaro. Proszę towarzyszy, pozwolę sobie nazwać ten realizm na szaro — postnaturalizmem. Prosty człowiek nie jest szarym człowiekiem, prosty człowiek jest barwny i bujny, pełen humoru, prosty człowiek nie widzi świata na szaro, chyba tylko pod wpływem i naciskiem złej literatury. Nie mierzmy więc typowości miarą postnaturalizmu, ale miarą klasyków.

Sformułowanie tow. Malenkowa sprzeciwia się tej interpretacji statystyczno-faktograficznej i postnaturalistycznej. Sądzę, że to sformułowanie tow. Malenkowa rzuca nowe światło równocześnie i na stronę ideową i na stronę artystyczną typowości. Typowe jest to, co jest politycznie trafne i mobilizujące. W sformułowaniu tow. Malenkowa mowa jest o obrazie artystycznym, a więc należy uwzględniać, jaki jest sens uogólniający obrazu artystycznego. Tow. Malenkow pisze: „Świadome przejaskrawienie nie wyklucza typowości, lecz w pełniejszej mierze ujawnia ją i podkreśla.“

Jak należy rozumieć to przejaskrawienie, to wyostrzenie obrazu? Jeśli nie zastosujemy tu miary klasyków, to wpadniemy w histerię, w ekspresjonizm, w bebechowatość. Przed tym należy ostrzec pisarzy, malarzy i artystów. Trzeba zdawać sobie sprawę, że przejaskrawiali wszyscy klasycy, każdy po swojemu, i trzeba przyjrzeć się temu sposobowi przejaskrawiania, który jest realistyczny.

Na przykład krytycy paryscy, współcześni Balzakowi, twierdzili, że Balzak wprowadził do swoich powieści zamiast paryżan — czerwonoskórych Indian Fenimora Coopera. A co to jest typowa sytuacja w teatrze? Jest taka dziesięciominutowa scena u Szekspira, w której Ryszard III skłania do małżeństwa wdowę po zamordowanym przez siebie królu. Jest to scena typowa dla stosunków dynastycznych, ale w tym skrócie realistycznym na pewno nie jest prawdopodobna, jeśli będziemy mierzyli ją łokciem postnaturalizmu.

Rocznica Wiktora Hugo przypomnia-

ła nam, że miliony prostych ludzi na całym świecie wzruszały się i wzruszają nadal włosami i zębami matki Cosetty. Hugo opowiadał rzeczy nieprawdopodobne, ale prawdziwe i typowe.

Sytuacja z Rewizora nigdy się nie zdarzyła w Rosji. Wymyślił ją Puszkin i podsunął Gogolowi. Zdarzyła się dopiero po 100 latach w Niemczech. Ta sytuacja jest typowa, bo ujawnia w przejaskrawieniu najbardziej charakterystyczne cechy carskiej biurokracji. A to, że się zdarzyła później w Koepenick, świadczy, że ta typowość carska była podobna do typowości pruskiej.

Moim zdaniem w całym teatrze Czechowa jest przejaskrawiona pewna strona psychiki ludzkiej. Niedawno czytałem recenzję pewnego krytyka o wystawieniu Wujaszka Wani. Między innymi krytyk ten twierdzi, że postać Heleny jest nieokreślona i chwali tę nieokreśloność. Sądzę, że krytyk ten zdemaskował się po prostu jako wyznawca dekadenckiej estetyki. Postać Heleny, przynajmniej u Czechowa, jest zupełnie określona. Sprawa polega na tym, że Czechow wyolbrzymiał podteksty. Czechow doszedł do tego przez odkrycie specyficznych cech teatru. Ani Helena, ani inna postać nie przestała być przez to realistyczna i rosyjska, a że u nas wielu krytyków nie zastanawia się nawet nad tym, które postaci Czechowa na naszej scenie zachowały charakter rosyjskiego życia, a które okazały się rozkosznie nieokreślone i bez ojczyzny — to już jest kwestia dekadenckiej estetyki tych krytyków.

Mieliśmy próby komentowania sformułowań tow. Malenkowa, w oderwaniu od miary klasycznej. Próby takie prowadzą do wynaturzenia estetycznych usprawiedliwiających wszelkie jaskrawości i wybryki, do przedstawiania ludzi budujących socjalizm jako ludzi do połowy unurzanych w błocie. Skoro mówimy o zagadnieniu typowości w obrazie artystycznym, to musimy przede wszystkim skończyć z fałszywą i szkodliwą teorią, jakoby powieść realizmu socjalistycznego wywodziła się pod względem literackim z reportażu. Powieść realizmu socjalistycznego często czerpie materiał z tych samych źródeł obserwacji co reportaż, ale pod względem literackim wywodzi się z dorobku klasyków powieści.

Adam Ważyk

NARADA SATYRYKÓW

ZBIGNIEW MITZNER

Tradycja satyry polskiej i zadania satyry w Polsce Ludowej*)

1. W analizie naszych błędów i osiągnięć, zdobyczy i zaniedbań, sukcesów i zapóźnień przychodzi nam z pomocą twórcza myśl naszych radzieckich przyjaciół. Nie tylko sam przykład satyry radzieckiej towarzyszy nam w codziennej naszej pracy. Od przyjaciół radzieckich otrzymujemy wspaniałą pomoc z jasnych, prostych i mądrych sformułowań teoretycznych. Słowa o satyrze, wypowiedziane z trybuny XIX Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego przez towarzysza Malenkowa, znalazły szerokie rozwinięcie w prasie radzieckiej, a w szczególności w szeregu obszernych artykułów w radzieckich miesięcznikach. Pierwszy z tych artykułów ukazał się w partyjnym Komuniście i nosił tytuł K l a s y c y s a t y r y r o s y j s k i e j i l i t e r a t u r a r a d z i e c k a. W artykule tym wezwanie partii, stwierdzającej, że potrzeba narodowi radzieckiemu nowych Gogolów i nowych Szczedrinów, znajduje głębokie uzasadnienie i szerokie rozwinięcie.

Literatura polska nie wydała twórców i dzieł na miarę Gogola i Szczedrina. Błędem jednak byłoby sądzić, że w pracy naszej dzisiejszej nie mamy o co się w przeszłości narodowej oprzeć. Preciwnie: nurt postępowy satyry płynie niezmiennie w literaturze polskiej, reprezentując najszlachetniejsze dążenia postępowych twórców. Kolebka literatury polskiej jest jednocześnie kolebką polskiej satyry. Biernat z Lublina czy Rej, Kochanowski czy Wacław Potocki są zarówno wielkimi twórcami literatury narodowej jak i wielkimi satyrykami. Wielkie nazwiska okresu Oświecenia, nazwiska Krasickiego, Trembeckiego, Naruszewicza, Węgierskiego, Zabłockiego, Niemcewicza i innych są to nazwiska pisarzy poświęcających dużą część swej twórczości satyrze. Romantyzm nie przerywa tej tradycji. Mickiewicz i Słowacki niejednokrotnie satyrą w utworach swoich się posługują. Mamy świetny rozwój satyry polskiej na przełomie i w drugiej połowie wieku XIX. Mamy Prusa, Lama i młodego Sienkiewicza, mamy Rodocia, Bałuckiego, Blizińskiego, Wilkońskiego. Mamy w poprzednim okresie świetną komedię Fredry, mamy ją i potem w twórczości Zapolskiej. Mamy wielki rozwój czasopiśmiennictwa satyrycznego, poczynając od osiemnastowiecznego Monitora poprzez Zabawy Przyjemne i Pożyteczne, Wiadomości Brukowe, Momusa, Pszonkę, poprzez liczne pisma galicyjskie z krakowskim Diabłem na czele, mamy stworzone wzory twórczości satyrycznej we wszystkich niemal rodzajach pisarskich: w wierszu, we fraszce, w utworze dramatycznym, felietonie, noweli i powieści.

Była i musiała być w Polsce satyra, jeśli istniała walka ludzi postępu ze złem, z krzywdą społeczną, jeśli byli pisarze, którzy podejmowali trud demaskowania panujących klas społecznych. Satyra bowiem najlepiej i najskuteczniej celom tym służyła. Tradycje satyry polskiej szczególnie są bogate, gdy chodzi o walkę ze szlachtą i szlachetczyzną, gdy chodzi o walkę najpierw o polepszenie doli chłopów, a potem o radykalną przemianę ustroju wsi, a więc

*) Referat wygłoszony na II Ogólnopolskiej Naradzie Satyryków.

o likwidację feodalizmu. Odgłosy tych walk w satyrze polskiej jak i w całej literaturze, walka o likwidację pozostałości szlachetczyzny trwały długo jeszcze po uwłaszczeniu chłopów, długo jeszcze w okresie powstawania i rozwijania się kapitalizmu w Polsce. W boju tym satyra była ostrą negacją istniejącego stanu rzeczy, choć twórcy jej nie mogli dać wyraźnego obrazu przyszłości. Kapitalizm, powstający na gruzach feodalizmu, nie wszystkim przynosił zadowolenie i zaspokojenie szlachetnego pożądania sprawiedliwości, nowego, sprawiedliwego układu stosunków społecznych. Toteż ani Kraszewski w Pamiętniku panicza, ani Lam w swoich powieściach i felietonach, ani Prus w wielu swych kronikach tygodniowych nie są bynajmniej apologetami kapitalizmu — przeciwnie, występują niejednokrotnie przeciwko nowemu układowi stosunków i przeciwko nowym, burżuazyjnym władcom.

Dzieła stworzone przez Gogola i Szczedrina były tak olbrzymie, siła ich wyrazu była tak wielka, że w artykule Komunisty, o którym mówiłem, stwierdzono: „W ideowym przygotowaniu rosyjskiej rewolucji wielką rolę odegrała klasyczna rosyjska satyra XIX wieku". Trudno nam słowa te w całości zastosować do naszych twórców satyrycznych i do naszej rewolucji. Burżuazja w Polsce, jej krytycy i historycy literatury, jej wydawcy i ideologowie potrafili w dużej mierze ukryć postępowy nurt sztuki, literatury polskiej, a przede wszystkim satyry. Wydaje się to nieprawdopodobne, a jednak jest prawdą, że Kraszewskiego Pamiętnik panicza został przez nas wznowiony dziś po 70 latach całkowitego przemilczenia. Nie mogła burżuzja rosyjska i nie mógł carat odebrać narodowi rosyjskiemu Gogola i Szczedrina. W Polsce burżuazja potrafiła wyrywać i niszczyć najbardziej postępowe karty literatury polskiej, na których płoną gniew i oburzenie postępowych pisarzy. Takie fałszowanie historii potrzebne było burżuazji w epoce imperializmu, w obliczu zaostrzających się walk klasowych, wzrostu sił i świadomości klasy robotniczej, rozwoju jej rewolucyjnej partii. Dążeniem burżuazji było niedopuszczenie do zrozumienia przez pisarzy epoki, w której żyli, i złączenia ich sił z siłami klasy robotniczej.

Te zabiegi są chyba najistotniejszą treścią dziejów literatury polskiej w pierwszych czterdziestu latach XX wieku. Ciekawe, iż satyra tego okresu w obliczu narastających konfliktów, w obliczu rewolucji 1905 roku, zwycięstwa Rewolucji Październikowej, wobec faszyzmu, pierwszej wojny światowej i grożącej drugiej, mniej ma w sobie zapalczywości i siły, niż satyra epoki Polski szlacheckiej czy też nawet satyra drugiej połowy wieku XIX. Postępowy nurt tych lat czterdziestu staje się wyrazem czegoś, co nazwać by można było dobrą wolą, a nie wolą walki o zwycięstwo. Oczywiście, mówię tu o ogólnym charakterze epoki, bo niewątpliwie wiele antyfaszystowskich wierszy Tuwima, piosenek Szenwalda, gorących utworów Pasternaka, felietonów Boya czy Słonimskiego, bajek Hertza zachowa się w żywych tradycjach naszej satyry — ale powiedzieć o niej można, iż w tym okresie była z różnorodnych względów — i ze względu na niedojrzałość polityczną twórców i ze względu na warunki ucisku faszystowskiego — niewspółmierna do epoki kończącego się imperializmu i nadchodzącej rewolucji, epoki narastania w kraju naszym sił, które obalić miały kapitalizm i utrwalić władzę ludową.

Sytuację twórców postępowych wielu poprzednich okresów określić można słowami fraszki Słowackiego:

Szli krzycząc: „Polska! Polska!“ —
wtem jednego razu
Chcąc krzyczeć zapomnieli na ustach
wyrazu;
Pewni jednak, że Pan Bóg do synów
się przyzna,
Szli dalej krzycząc: „Boże! ojczyzna!
ojczyzna“!
Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał
się krzaka,
Spojrzał na te krzyczące i zapytał:
„Jaka?“

Na końcowe to pytanie dopiero w naszych czasach dana została odpowiedź.

Wiele trudu poświęcono już i wiele jeszcze trzeba poświęcić, by wydobyć na jaw wszystkie postępowe tradycje satyry polskiej. Czy trzeba to czynić, czy jest to potrzebne, czy służyć ma to tylko skorygowaniu naszego poglądu na literaturę polską? Nie. Nie tylko dlatego. Świetne utwory pisarzy polskich przeszłości służyć nam muszą za znakomite wzory formy literackiej, języka i czegoś jeszcze więcej. Na tych utworach uczyć się możemy umiejętności widzenia życia i jego opisywania. Uczyć się możemy bezwzględności wobec wrogów, zapału w walce. Pragnąc oprzeć naszą twórczość satyryczną na zasadach realizmu socjalistycznego, niepodobna nie patrzeć, nie zbliżyć się do dzieł satyryków-realistów poprzednich epok. Pamiętając, iż epoka nasza inne przed satyrą stawia zadania. Nie mniejsze, ale nowe i większe.

2. Na pierwszej naszej naradzie w roku 1948 padały w dyskusji głosy, zwiastujące koniec satyry w Polsce. Celem narady było wówczas zwrócenie uwagi twórców na nową i szeroką problematykę życia wewnętrznego Polski. Chodziło o to, by satyra, zaostrzając i pogłębiając swą walkę z wrogiem zewnętrznym, z imperializmem, we wszystkich jego odmianach i postaciach, umiała dostrzec wroga wewnętrznego, by umiała ujrzeć Polskę jako wielkie dla siebie pole walki. Rozlegały się wówczas głosy krótkowidzów politycznych, głoszących, że walki takiej nie ma i być nie może, albowiem obszarnicy i kapitaliści są już wywłaszczeni, obaleni jako klasa, a bić leżącego to nieładnie i nieetycznie. Z tym fałszywym poglądem na naradzie ówczesnej toczyliśmy energiczną walkę. Toczyliśmy następnie walkę o wprowadzenie tematyki wewnętrznej do naszych czasopism satyrycznych, do naszych teatrów satyrycznych, do naszych utworów i do naszych rysunków.

Powiedzmy sobie szczerze, że choć na naradzie pogląd w sprawie „niebicia leżącego“ został przezwyciężony, tematyka dotycząca wroga wewnętrznego, spekulanta i kułaka, szpiega i dywersanta, sabotażysty i plotkarza powoli i z trudem dochodziła i dochodzi jeszcze swoich praw. Tymczasem czas nie chce się zatrzymać, byśmy mogli dotrzymać mu kroku. Nie chcą zatrzymać się budowniczowie Warszawy i Nowej Huty, nie chcą zatrzymać się chłopi w swoim marszu do spółdzielczości produkcyjnej, nie chce zwolnić kroku Polska, która przekroczyła już połowę Planu Sześcioletniego — ta Polska, która wówczas kończyła dopiero drugi rok Planu Trzyletniego. I oto nieubłaganie nielitościwy czas, poganiany przez naszych przodowników pracy i racjonalizatorów, poganiany coraz bardziej rosnącą świadomością narodu, przyspiesza kroku i stawia przed nami nowe zadania, nie zwalniając bynajmniej z zadań dawnych, ale ciągle nieprzestarzałych.

Powiedziałbym, iż zadania satyry dzisiaj w Polsce koncentrują się w trzech węzłowych punktach:

Pierwszy — to dalsza nieubłagana walka z wrogami Polski, pokoju i socjalizmu, bo Polska, pokój i socjalizm mają tych samych wrogów. Walka z

imperializmem, walka z jego dążeniami do rozpętania nowej wojny, walka z jego sługusami socjaldemokratycznymi, titowskimi, watykańskimi i temu podobnymi.

Drugi —to walka z wrogiem wewnętrznym: kułakiem, szpiegiem, sabotażystą, dywersantem, spekulantem; walka z tym, co jawnie czy niejawnie jest obrońcą kapitalizmu, co zagraża władzy ludowej i budowie socjalizmu w naszym kraju.

Trzeci punkt węzłowy — to nowe zadanie. To wypracowanie metod satyry we wszystkich sposobach jej rozległego działania, jako formy krytyki i samokrytyki.

Prawdą jest, iż satyra w epokach poprzednich, w feodalizmie i kapitalizmie stanowiła i w Polsce wyraz istniejących sprzeczności. Nieprawdą jest, jakoby rola satyry zanikała, jakoby satyra ulec miała likwidacji w ustroju likwidującym klasy i ich sprzeczności. Przeciwnie, zadania sztuki i literatury, a przede wszystkim satyry, stają się w tej nowej epoce, która jest już epoką Związku Radzieckiego, staje się epoką Polski, a stanie się epoką całej ludzkości, zadania satyry — powtarzam — stają się szersze, większe i ważniejsze niż były kiedykolwiek. Są to te zadania, które nauka Lenina i Stalina wyznacza krytyce i samokrytyce jako motorom postępu w socjalizmie i w komunizmie. Satyra, pozostając literaturą piękną (żeby powtórzyć przymiotnik słusznie przypomniany przez Fadiejewa) — jest sposobem artystycznego ustokrotniania krytyki i samokrytyki.

Na pierwszej naszej naradzie litowano się nad biednymi, leżącymi na ziemi wrogami. Okazuje się, iż byłoby rzeczą nieopatrzną, lekkomyślną lekceważyć tych „leżących" wrogów, którzy przez władzę ludową zostali pokonani, ale którzy nigdy nie skapitulowali. Ci leżący mają jeszcze nieraz dość sił, by strzelać i mordować, mają dość sił, by starać się zakłócić rozwój naszego przemysłu, zakłócić funkcjonowanie naszego aparatu handlowego; oni to starają się tysiącznymi sposobami zagrodzić chłopom drogę do oparcia swej gospodarki na zasadach kolektywnych, tym samym zagrodzić im drogę do podniesienia się na wyższy poziom życia materialnego i duchowego.

I to jeszcze nie wszystko. Myli się ten i szerzy błędne teorie, kto głosi, że nie sztuka być satyrykiem stawiającym sobie za zadanie umacnianie władzy ludowej, obronę pokoju i socjalizmu wówczas, gdy pracować mu wypada w kraju, w którym rządzi władza robotniczo-chłopska. Przeciwnie, i w takich warunkach podstawowa cnota satyryka — odwaga — jest tu jak najbardziej potrzebna. Kapitalizm to nie tylko bankierzy i fabrykanci. Kapitalizm obalony w swych twierdzach, w bankach i dyrektorskich gabinetach pozostał w wielu miejscach, do których sięgnąć musi pióro i ołówek satyryka. Kapitalizm pozostał w dużym stopniu w świadomości ludzkiej, w nawykach, w błędnych teoriach, głoszonych niejednokrotnie i dziś jeszcze z wysokości uniwersyteckich katedr i ambon. Gdy partia na ostatnim swym plenum wzywa nas do walki z biurokratyzmem i wszelkimi przejawami samowoli i demoralizacji, gdy wzywa nas do walki z nastrojami zgniłego liberalizmu, z mieszczańskimi nałogami, z kumoterskimi siuchtami, jest to wezwanie do walki z pozostałościami kapitalizmu w świadomości ludzkiej, w ludzkich nałogach i narowach. Błędem jest sądzić, że dekret o reformie rolnej czy ustawa o nacjonalizacji przemysłu załatwiły już wszystko w Polsce i że nic dla nas w Polsce do roboty nie zostało. Błędem jest sądzić, że wszystkie pozostałości kapitalizmu, że wszystkie bur-

żuazyjne poglądy i przesądy, drobnomieszczańskie nawyczki da się wyplenić przy pomocy jakiejkolwiek ustawy. Miejsce nasze, jak powiedział Majakowski, jest tam, gdzie nie może nic załatwić ustawa. Walka nowego ze starym stanowi motor działania i motor rozwoju. To nowe liczyć ma prawo na naszą pomoc, na nasze talenty i zdolności. Mają one na wszystkich etapach przyspieszać zwycięstwo nowego i mają pomagać mu w walce ze starym. Mamy w tradycjach naszej satyry podobne sformułowanie zadań w Kodeksie szubrawskim, który mówił, iż „zamiarem Towarzystwa (pozostającego pod prezydencją Jędrzeja Śniadeckiego) jest, nie mając na celu żadnych szczególnych osób, wyświecać szpetność tych przywar i nałogów, które z natury swojej nie mogą być prawem powściąganymi, są jednak dla społeczności bardzo szkodliwe, a u nas z dawna pospolite, i co gorsza, że w powszechniejszym mniemaniu za występki i wady najczęściej nie są poczytywane".

Ażeby raz nareszcie skończyć z teorią o rzekomej konieczności obumierania satyry w socjalizmie, stwierdźmy jak najmocniej, że — przeciwnie — okres budowy socjalizmu i komunizmu przynosi rozkwit satyry. I odwrotnie — imperialistyczna faza kapitalizmu przynosi upadek satyry, gdyż burżuazja w tym okresie staje się niezwykle czuła na wszelkie objawy krytyki panujących stosunków i stara się krytykę tę wszelkimi sposobami udaremnić. Stąd upadek pism satyrycznych na Zachodzie, stąd brak większych utworów satyrycznych na Zachodzie, stąd walka z postępowymi satyrycznymi twórcami na zachodzie Europy i w Ameryce.

Odnosimy się jak najbardziej samokrytycznie do naszej twórczości, ale na całą działalność naszą spojrzymy innym, nieco życzliwszym okiem, gdy zajrzymy na przykład do pewnego pisma satyrycznego ukazującego się w języku polskim, w którym znajdziemy taki typowy dla tego pisemka wierszyk:

Ten się martwi — dla zmartwienia.
Tamten — bombą wodorową. —
Ów — że przez ucho igielne
    Nie chce przeleźć słoń!
(Potrzebne im do zbawienia!) —
Faramuszki! — daję słowo. —
O te hece nieśmiertelne —
    Niech się martwi koń!

Życie, bracie, dla frasunku —
Zostaw kiepskim idiotom!
Sam idź śmiało z losem w szranki —
    Żyjesz tylko raz! —
Na życiowym posterunku
Daj upust swoim tęsknotom:
Do miłości — do bogdanki —
    Póki jeszcze czas!

Póki radość życia czujesz —
Niechaj ci nadzieja świeci.
Nie przejmuj się, że rozpacza
    Zawiedzony ktoś!
Nic tu nie wykombinujesz!
Ptakiem — przez miłość przelecisz,
Życie zmieni cię w oracza
    I będziesz miał dość! —

Bo w tym mętnym kontredansie —
Ludzie żyją jak w potrzasku.
Jedni drugich ideą łudzą,
    By móc pić i jeść!
Przeżyj życie, jak w romansie,
A kręcenie biczów z piasku... —
Zostaw innym, niech się trudzą.
    Zresztą pal ich sześć!

Pustka w sercu, w wyobraźni.
Marazm. Rozdwojenie jaźni. —
Narodowa stanu racja —
    Legendarny mit!
Jak kto chce — niechaj się błaźni.
Rezygnuj z takiej przyjaźni.

Wiwat! — niech żyje negacja! —
Z towarzystwem — kwit!

A więc żyj, używaj świata,
Póki cię urokiem wabi. —
Wysącz z życia nektar boski —
Nim nastąpi kres!
Szybko zbiegną dobre lata. —
A choć życie cię oszwabi,
To w mogile prześnisz troski —
No, bo szkoda łez.

Tak wygląda satyra emigranckiego, londyńskiego pisma Pokrzywy w najbardziej aktualnym przykładzie, zaczerpniętym z numeru styczniowego z roku bieżącego. I niech nam już teraz nikt nie mówi o upadku satyry w Polsce Ludowej, a o jej rzekomym wspaniałym rozkwicie w warunkach burżuazyjnej demokracji.

3. Wielu z nas narzeka niejednokrotnie na brak tematu. Wszystko wydaje się już ograne, już załatwione. Taki impas twórczy, który od czasu do czasu przechodzi wielu z nas, a może i wszyscy, wynika z niedostatku świadomości politycznej, z niedostatku uzbrojenia w naukę, którą nam dali Marks, Engels, Lenin i Stalin. Jeszcze raz osaczony podżegacz wojenny, jeszcze raz hełm z hitlerowską swastyką, jeszcze raz pohańbiona nowojorska Statua Wolności. Tymczasem tysiączne sposoby działania imperializmu, tysiączne codzienne jego zbrodnie popełniane na szerokich jeszcze obszarach kuli ziemskiej, części Azji, Afryki, Europy Zachodniej, Ameryki i Australii, jego walki wewnętrzne i tragikomiczne sprzeczności uchodzą naszej uwagi. Nie znajdują w nas świadomych twórców i artystów, którzy by umieli swym przekonywającym słowem, swą energiczną kreską przemówić do naszych odbiorców i przekonać ich jeszcze mocniej, jeszcze bardziej o zbrodniczości imperializmu, o konieczności jego upadku, o konieczności zwycięstwa ludów i zwycięstwa socjalizmu. Aby w tej dziedzinie tworzyć nowe przekonywającę utwory, od fraszki poczynając, a na powieści czy komedii kończąc, trzeba nie tylko znajomości realiów, ale trzeba i głębokiej wiedzy politycznej, która pomogłaby nam w tworzeniu z tych realiów przekonywającego i wymownego obrazu artystycznego.

Podobnie w walce z wrogiem wewnętrznym. Na VIII Plenum Komitetu Centralnego naszej partii pokazano nam wiele przykładów działalności wroga, pokazano nam szerokie pole naszego działania. Zadanie bowiem polega nie tylko na przychwyceniu zrzuconych skoczków spadochronowych i wymierzeniu im sprawiedliwości — to uczyniły władze naszego bezpieczeństwa — ale i na tym, by fakt ten uczynić dla wszystkich jak najbardziej całkowicie zrozumiałym. By na fakcie tym zdemaskować stosunek imperialistów do Polski, by zdemaskować klikę emigrancką. Zadaniem naszym jest, operując tymi przykładami, wzmacniać nienawiść ludzi w Polsce do imperializmu, a tym samym potęgować miłość do socjalizmu i zapał budowania socjalizmu.

Nasze niemoce twórcze, nasze twórcze zapaści zlikwidowane zostaną, gdy przy pomocy podniesienia naszej świadomości politycznej zdołamy ujrzeć ogromne, nieogarnione pole, jakie satyrze odaje nasz ustrój, który satyry nie toleruje, ale który satyry potrzebuje. Uświadomienie sobie tej roli powinno przyczynić się do podniesienia naszej pracy, naszej twórczości na wyższy poziom, do pogłębienia politycznego naszych utworów. Jest to tym bardziej konieczne, że bez tej świadomości politycznej, bez głębokiego poznawania życia w Polsce, w jego wspaniałej zmienności, w jego twórczości, nie możemy spełnić owego trzeciego zadania satyry, o którym mówiłem, a

które postawiłbym na pierwszym punkcie porządku dziennego naszej obecnej narady. Powiem więcej: uświadomienie sobie przez twórców satyrycznych we wszystkich dziedzinach ich zadań w dziele krytyki i samokrytyki pozwoli im wypełniać nie tylko wielkie zadania na tym polu, ale i na obu poprzednich. Wszystkie te zadania ze sobą się wiążą. Ale nie bez powodu kładę nacisk na tym ostatnim.

Oczywiście, ten nowy, wielki krok naprzód, który pragniemy uczynić, aby satyrę naszą, życzliwą Polsce Ludowej, postępową, popierającą wysiłki budowniczych socjalizmu, uczynić satyrą partyjną, wymaga rozważenia szeregu problemów, dotyczących teorii satyry. Domaga się postawienia ich, przedyskutowania tutaj, przemyślenia i skonfrontowania z zamiarami, planami i możliwościami twórczymi każdego z nas.

4. Jednym z tych podstawowych zagadnień jest sprawa typowości. Nie bez powodu jako najważniejsze znalazło ono całkowite swoje wyjaśnienie na XIX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Wyjaśnienie to sprowadza się w najprostszym skrócie do stwierdzenia, iż sprawa typowości w sztuce, w literaturze, a w szczególności w satyrze — to nie sprawa arytmetyki, ale polityki. Nie przeciętna statystyczna ma kierować twórcą przy ocenie spostrzeganego zjawiska, ale jego myśl polityczna, odgadująca treść tego zjawiska i jego znaczenie. Powiedzmy sobie szczerze: na odcinku typowości spotykaliśmy się i spotykamy jeszcze dzisiaj z wieloma nieporozumieniami. Nieporozumienia te można by przedstawić na takim satyrycznym przykładzie, że poeta nie powinien pisać wierszy, w których jakąkolwiek rolę odgrywałby deszcz, śnieg czy też grad, albowiem przeciętna liczba dni z opadem wynosi w Gdańsku 142 na rok, w Warszawie 140, a w Tarnowie nawet tylko 112.

Jest to punkt widzenia, który reprezentować mogą chyba tylko bezduszni dyrektorzy miejskich przedsiębiorstw oczyszczania miast, a nie ludzie rozumiejący znaczenie sztuki w naszym ustroju. Zagadnienie typowości dla nas satyryków sprowadzać się musi do problemu, abyśmy w twórczości naszej umieli zajmować się zagadnieniami, błędami, pomyłkami, przekroczeniami, wadami, które są typowe jako błędy, pomyłki, przekroczenia i wady, a nie jako wynik przeprowadzanych statystyk. Byłoby bardzo źle w Polsce, a przecież źle nie jest, gdybyśmy stwierdzili, że nasze ataki na biurokratycznych dyrektorów mają swe uzasadnienie w tym, iż istotnie połowa wszystkich dyrektorów w Polsce plus jeden są to ohydni, bezduszni biurokraci. Ponieważ tak nie jest, ponieważ mamy głębokie i niczym niezachwiane przekonanie, że większość dyrektorów w Polsce to ludzie dobrze wykonujący swoje obowiązki, satyra, tępiąca złe dyrektorskie nawyczki, nie ma na celu pognębienia wszystkich noszących to zaszczytne miano i pełniących tę odpowiedzialne funkcje, ale ma na celu wytępienie wad panoszących się wśród części dyrektorów.

Nikt nam nie da, bo dać nie może, wyczerpującego katalogu wszystkich wad i typów ludzkich, którymi zająć się powinna satyra. Nikt za nas roboty tej nie zrobi, albowiem należy ona do naszych właśnie zadań. Rzecz w tym, że czujność i bystrość spojrzenia satyryka dojrzeć musi w przypadkach pozornie nietypowych, pozornie niezwykle oryginalnych przejaw owej właśnie typowości wad i błędów. Może najlepiej sprawę tę wyjaśnić na przykładzie. Przed kilkoma tygodniami w Radomiu czy też w Kielcach jeden z najwybitniejszych naszych pianistów

miał dziwną przygodę. Przybył do tego miasta na koncert, wyszedł na estradę, a licznie zgromadzona publiczność powitała go grzmotem oklasków. Ponieważ nasz wirtuoz przybył pociągiem w ostatniej chwili, nie zdążył zapoznać się z terenem swojego występu. Tak więc wyszedłszy dopiero na estradę, rozejrzał się na lewo, rozejrzał się na prawo, szukając fortepianu. Ale, o dziwo, fortepianu nie było. Speszony tą przeszkodą w wykonaniu koncertu, ukłonił się grzecznie publiczności i wycofał za kulisy. Organizatorzy wytłumaczyli mu, że uważali za naturalne, że Kędra przyjedzie z fortepianem zapakowanym obok koszuli i szczotki do zębów w podręcznym neseserze.

Wydarzenie, zdawałoby się, zgoła nietypowe, groteskowe, jakby powiedzieli ludzie uważający niesłusznie groteskę za coś najbardziej haniebnego. Czy satyryk ma prawo opisać tę kielecką czy też radomską przygodę pianisty? Czy musi badać, jak często podobne wypadki w Polsce się zdarzają? Czy na przykład nie wydarzyło się, że kazano gdzieś Maklakiewiczowi przyjechać na koncert z własnymi organami? Jeśli satyryk bacznie i pilnie obserwuje życie, jeśli obserwuje niektóre niezadawalające przejawy naszego życia artystycznego i jeśli obserwuje nie zawsze zadawalającą działalność Artosu i innych placówek upowszechnienia sztuki, to połączy sobie przygodę Kędry z przygodą Sztompki w Krynicy, któremu Artos po koncercie nie przygotował kolacji, a na nocleg wyznaczył miejsce w budynku ze względu na swój brud i zaniedbanie niesłusznie noszącym nazwę hotelu; jeśli połączy sobie przygodę Kędry z innymi podobnymi wydarzeniami, uzyska głębokie przeświadczenie o typowości tej przygody. Historia Kędry to przejaskrawienie, do którego satyra ma prawo, o czym mówił towarzysz Malenkow, gdyż takie przejaskrawienie, jak widzimy, jest nie tylko prawem sztuki, ale i prawem życia.

Z problemem typowości wiąże się niewątpliwie wołanie o nowych Gogolów i Szczedrinów. Do zadań satyry należy niewątpliwie opieranie się na konkretnych faktach i wydarzeniach, na znajomości konkretnych faktów z rzeczywistości, na wiązaniu pracy satyryków z wielkimi zadaniami naszych towarzyszy i przyjaciół korespondentów robotniczo-chłopskich. Komentowanie jednak, opracowywanie artystyczne tych konkretnych faktów z podawaniem nawet konkretnych nazwisk, adresów i okoliczności, nie uwalnia satyryków od większych i szerszych zadań. Na to właśnie zwraca uwagę partia. Spełniając tę swoją rolę codziennej, żmudnej i potrzebnej krytyki, satyra sięgać musi po wielkie uogólnienia, stwarzać typy ludzkie, które by dawały nazwiska wadom i przywarom pospolitym w naszych warunkach, tak samo, jak nazwiska bohaterów Gogola czy Szczedrina pozwalały po imieniu nazywać ludzi i przywary tamtej epoki. Jest to nie tylko wołanie o wielką formę satyryczną. I fraszka może być uogólnieniem, a najbardziej rozwlekła powieść może nie dawać uogólnienia.

„Satyra — czytamy w artykule Komunisty — jako jeden z rodzajów literatury pięknej jest w stanie okazać wielką pomoc partii w sprawie komunistycznego wychowania mas pracujących. Partyjność satyry przejawia się przede wszystkim o tyle, o ile głęboko i bezlitośnie podchwytuje ona typowe postacie i cechy i odsłania wszystkie negatywne przejawy rzeczywistości".

Satyrę, jak wynika z tego sformułowania, interesują przede wszystkim ujemne cechy naszego życia; to jest jej specyfika. Powiedzmy sobie szczerze, iż pokutują u nas błędne poglądy na satyrę. Oto na przykład w dyskusji

nad plakatem satyrycznym niektórzy towarzysze z Żerania zaproponowali, by każdy taki plakat składał się z reguły z dwóch części: jednej satyrycznej i drugiej panegirycznej. A więc z jednej strony przeciwko pijaństwu portret pijaka — z drugiej: człowiek trzeźwy. Z jednej strony bumelant, z drugiej — pracowity. I tak dalej i tak dalej. Wydaje mi się, że ten pomysł racjonalizatorski nie zasługuje ani na zarejestrowanie, ani na szerokie rozpowszechnienie. Istotą tego pomysłu jest dążenie do zlikwidowania roli satyry jako sztuki (powtarzam słowa Kommunisty) „odsłaniania wszystkich negatywnych przejawów rzeczywistości". Pomysł tych dyskutantów, rozszerzony na inne dziedziny, doprowadzić by mógł do wydania przez Ministerstwo Zdrowia zarządzenia, aby w aptekach razem z lekarstwem sprzedawano jednocześnie słodkie na to lekarstwo antidotum. Z leczeniem chorób przy takim trybie postępowania byłoby niedobrze. A przecież satyra w naszych warunkach to nie co innego jak lekarstwo na choroby społeczne — lekarstwo nieraz niemiłe i niesmaczne dla chorego, ale pożyteczne. Zadaniem naszym jest, aby nasze lekarstwa satyryczne, warzone w naszych laboratoriach twórczych, były jak najostrzejsze i jak najszybciej i najskuteczniej działające.

Walka z typowymi błędami, wadami, przywarami, szeroko jeszcze rozplenionymi w życiu naszej wspaniale rozwijającej się Polski Ludowej, nie może polegać na tym, że przy każdej okazji napotykać będziemy na tarcze chroniące te błędy wielkimi i cenionymi przez nas osiągnięciami. Sukcesy produkcyjne Żerania, radość, która przejmuje każdego z nas, gdy widzi piękne, lśniące i śmigłe „Warszawy", nie mogą nas powstrzymać przed skrytykowaniem dyrekcji Żerania, jego Rady Zakładowej, czy też partyjnej egzekutywy za to, że na Żeraniu nie ma odpowiednio prowadzonej roboty kulturalno-oświatowej, że nie ma świetlicy. Mamy bowiem głębokie przekonanie, że postawienie tej roboty na Żeraniu we właściwy sposób podniesie również jeszcze bardziej produkcję. Napisaliśmy o tej sprawie w Szpilkach dlatego, że uważamy właśnie za typowe oddzielanie spraw kulturalno-oświatowych od spraw produkcyjnych, że jest to typowy błąd, który należy zwalczać.

Zagadnienie typowości stanowi niewątpliwie węzłowy punkt dalszego rozwoju satyry polskiej i podniesienia jej na wyższy poziom. Jest to rozwinięcie hasła rzuconego na poprzedniej naszej naradzie: zwrócenia uwagi twórców na problemy wewnętrzne. Ale przy dostrzeganiu tych problemów zadanie twórcy polega na dokonywaniu świadomej ich selekcji i segregacji. Niestety, mamy dziś do czynienia z wieloma utworami, to prawda, dotyczącymi tematyki wewnętrznej, ale typowymi pod jednym tylko chyba względem: typowymi dla naszych słabości, pomyłek i błędów. Satyryk patrzeć musi politycznie na wszystko, co widzi, odkrywać związki między poszczególnymi zjawiskami i wyciągać odpowiednie wnioski. Ma nie gubić się w drobiazgach i szczegółach, ale posługiwać się nimi dla przeprowadzenia dowodu w rzeczach większego i głębszego znaczenia. Wówczas, gdy pewien jest swej słuszności, ma prawo, o którym mówił towarzysz Malenkow, do śmiałego przejaskrawiania, ma prawo do przedstawienia swojej racji w sposób jak najbardziej przekonywający.

5. Poprzez zagadnienie typowości i w związku z nim przechodzimy do problemu postawionego na początku referatu, do problemu zasad, którymi kierować się ma satyra jako krytyka. Znamy rozróżnienie uczynione przez Stalina między krytyką twórczą i krytyką prze-

radzającą się w oszczerstwo. Znamy sprawę Zoszczenki.

Wielokrotnie Lenin i Stalin zwracali uwagę na twórcze znaczenie krytyki. Feliks Dzierżyński mówił:

„Siła nasza tkwi właśnie w tym, że nie ukrywamy swych bolączek, stoją bowiem przed nami olbrzymie zadania i cele. I jedynie uświadamiając sobie te cele w skali światowej, możemy otwarcie wskazać wszystkie nasze braki. Białogwardziści i nasi zachodnio-europejscy wrogowie nie rozumieją tego, a ponieważ to ja prowadziłem kampanię o podniesienie wydajności pracy, ponieważ odsłaniam bolączki w przemyśle metalowym i w innych gałęziach przemysłu — mnie właśnie ogłaszano bardzo często w prasie białogwardyjskiej za ich sojusznika. Sądzę, że tacy sojusznicy nie wyjdą im na zdrowie. My możemy powiedzieć teraz: „co ustrojowi radzieckiemu wychodzi na zdrowie, to burżuazyjnemu na pohybel“ — i jesteśmy w stanie pozwolić sobie na luksus ujawniania braków“. (Pisma Wybrane, str. 297).

Satyra więc jako krytyka potrzebna jest w naszym dzisiejszym życiu w Polsce tak samo, jak potrzebna mu jest sama krytyka. Z tym zastrzeżeniem jednym jedynym, o którym mówi Dzierżyński, aby twórca uświadamiał sobie zawsze, w każdym momencie, do jakiego celu zmierzamy i co realizujemy. Satyra z reguły zajmuje się negatywnymi stronami życia. „W ogóle nie jest konieczne — czytamy w artykule Komunisty — by każdy utwór satyryczny kończył się ukaraniem negatywnego bohatera, zdjęciem go ze stanowiska itp.“ Ale w każdym utworze satyrycznym, dodajmy do tego, istnieć, żyć i walczyć musi pozytywny bohater. Kim jest ten tajemniczy pozytywny bohater negatywnego utworu? Rozpatrując Gogolowskiego Rewizora Bieliński powiedział, iż tym bohaterem jest w Rewizorze śmiech. Opierając się na tym sformułowaniu, powiedzieć można, iż pozytywnym bohaterem każdego utworu satyrycznego w najbardziej bezwzględny i bezkompromisowy sposób biczujący szkodników naszego życia, pozostałości kapitalizmu w świadomości ludzkiej, wszystkie pieniące się jeszcze bujnie wady — że tym pozytywnym bohaterem musi być autor tego utworu.

Jak rozumiem to sformułowanie? Rozumiem je w ten sposób, że podnosząc najdrażliwsze kwestie autor-satyryk ożywiony być musi jak najgłębszą troską o to, co w życiu naszym jest wielkie i wspaniałe. Musi być prokuratorem oskarżającym w najbardziej energiczny sposób wady i błędy, prokuratorem stojącym w obronie tego wszystkiego, czym Polska żyje i rozwija się. Z każdego, najostrzejszego naszego utworu przemawiać musi do czytelnika, do widza, do słuchacza głębokie przekonanie autora, jego słuszna i sprawiedliwa intencja. Zadaniem autora satyrycznego jest być ożywionym tym samym wielkim zapałem, którym są ożywieni najlepsi budowniczowie Polski socjalistycznej; a zadaniem jego jako pisarza i artysty jest umieć ten swój zapał przekazać swemu odbiorcy. Na pytanie, jak to uczynić, odpowiedź jest prosta: trzeba myśleć politycznie, być samemu głęboko przekonanym i mieć wysoko opanowaną swoją sztukę.

Wydaje mi się, iż nie ma potrzeby na szczęście szerzej mówić u nas dzisiaj w Polsce o błędach Zoszczenkowskich czy też o pomyłkach Demiana Biednego. Wydaje mi się, iż satyrycy nasi unikają tych błędów, że ilość utworów, które by podejrzewać można o oszczercze intencje nie jest wielka, aczkolwiek przejawy takie zdarzają się. Odwrotnie natomiast, satyra nasza, powiedzmy to szczerze, i nasi redaktorzy, cierpią raczej na nadmiar ostrożności.

Tak bym nazwał naszą satyrę: zbyt ostrożna! Nie znaczy to, bym nawoływał do jakiegoś awanturnictwa, do sieczenia na oślep, gdzie popadło i kogo popadło. Trochę więcej jednak odwagi i śmiałości właśnie w krytyce na pewno by nam nie zaszkodziło. Przyczyny tego, że satyra nasza jakże często — zbyt często — bywa ani zimna, ani gorąca, że bywa letnia, jak woda do płukania ust, są te same, o których mówiliśmy przedtem. Człowiek nie znający życia, człowiek nie znający praw rządzących historią, człowiek nie uzbrojony marksistowsko-leninowską teorią, człowiek nie śledzący bieżących wydarzeń politycznych, porusza się w tym nowym, ogromnym, wspaniałym życiu naszej Polski jak ślepiec na ulicy wielkiego miasta. Musimy, jeśli chcemy wypełnić zadania satyry jako krytyki, szeroko otworzyć oczy i szeroko otworzyć nasze umysły. Musimy umieć budzić uczucia ludzkie, a więc sami musimy żyć bujnymi i wielkimi uczuciami naszej epoki.

Pozytywność satyry nie przejawia się i nie może się przejawiać w dopisywaniu na końcu utworu kilku pozytywnych wykrzykników. Pozytywność satyry jako krytyki przejawia się w pozytywnej roli, jaką powinna ona odgrywać. A odegranie przez satyrę roli pozytywnej — to gromienie i demaskowanie wszystkiego, co jest złe i szkodliwe.

Narzekamy często, że przy wypełnianiu tego zadania, przy próbie wypełniania tego zadania natrafiamy na wiele trudności i przeszkód. Takie objawy rzeczywiście się zdarzają. Ale cóż one oznaczają? Czy oznaczają, że to, co robimy, jest niesłuszne? Nie. Oznaczają one coś wręcz przeciwnego. Są tacy, co głaskać nas będą wówczas, gdy gubimy się w nic nie mówiących ogólnikach. A potępiać wówczas, gdy skutecznie dobieramy się do skóry sobiepankom, biurokratom, kumotrom i temu podobnym. Krzyk, który się nieraz podnosi przeciwko satyrykowi, że się waży i znieważa, jest krzykiem potwierdzającym celność uderzenia, trafność spostrzeżenia. Takimi krzykami nie powinniśmy się zrażać. Poczucie dobrze spełnionego obowiązku powinno nam równoważyć niezadowolenie, które niejednokrotnie widzimy. Wielu ludzi nie lubi krytyki. Cóż dziwnego, że wielu ludzi nie lubi satyry. Może nie dlatego, czym już jest, ale dlatego, czym być może i czym być powinna.

Dwa błędne poglądy hamują w pewnym stopniu właściwy rozwój naszej satyry. Pierwszy z tych poglądów bierze się z nierozbitej do końca jeszcze u nas sławetnej teorii bezkonfliktowości. Przeszkadza rozwojowi satyry mylne i szkodliwe założenie, że w Polsce wszystko już jest doskonałe i wspaniałe. Wobec takiego założenia wszelkie wskazywanie na błędy, na rzeczy szkodliwe urasta do miary malkontenctwa. Jedna z naszych koleżanek-satyryczek miała w tej dziedzinie zatarg z redakcją pewnego dziennika. Na podstawie korespondencji, nadesłanej do tego dziennika, napisała felieton, krytykujący funkcjonowanie jednej z pralni warszawskich, przetrzymującej zbyt długo oddane do oczyszczenia spodnie korespondenta. Student-korespondent skarżył się w swoim liście, co znalazło uwzględnienie również w felietonie, iż postępowanie pralni dezorganizuje mu życie i naukę, gdyż, posiadając jedną tylko parę spodni, nie może wychodzić z domu. Redakcja pisma felietonu nie zamieściła, uznając go za oszczerczy, gdyż jej zdaniem rzucał on cień na sprawę położenia młodzieży studenckiej w Polsce Ludowej.

Taki punkt widzenia uważać można za szkodliwy. Satyryk, piszący swój utwór, musi apelować do świadomości ogółu, który przecież nie patrzy na

sprawę rozbudowy szkolnictwa wyższego w Polsce, na sprawę sześćdziesięciu paru tysięcy stypendiów, na sprawę dopuszczenia szerokich rzesz młodzieży robotniczo-chłopskiej do nauki— poprzez tę jedną, nieszczęsną parę spodni. Wydaje się, że w Polsce wystarczająco wiele uczyniono dla upowszechnienia i rozwoju nauki, abyśmy się mieli peszyć tym, że jeszcze niejeden student nie posiada kilku garniturów w swojej szafie. Gdy patrzymy na ten problem także z punktu widzenia szerszego, widzimy, jak wiele w Polsce w tej dziedzinie osiągnięto, i wiemy, że w miarę rozwoju naszego przemysłu i całej gospodarki dojdziemy na pewno do tego, że studenci będą mieli po kilka garniturów w różnych kolorach i na różne pory roku. Ale wydaje mi się, że to niesłuszne odkładać krytykę bumelanckiej pralni do czasu, gdy studenci w redakcji pisma będą mogli przedkładać swoje skargi ubrani w nienagannie skrojone smokingi.

Na sekcji małych form Stowarzyszenia Dziennikarzy w dyskusji nad małymi formami w Expresie Wieczornym odkryliśmy jeden jeszcze argument w sprawie śmiałej, satyrycznej krytyki. Doszliśmy do przekonania w toku dyskusji, że bywa nie tylko satyra przechodząca w oszczerstwo, ale często także się zdarza pochwała i panegiryk będące w rezultacie właśnie oszczerstwem. Jeśli w prasie naszej spotyka się często pochwały ekspedientów sumiennie odważających mąkę, albo konduktora, który prawidłowo wydał resztę z pięciu złotych, to takie pisanie w rezultacie nasuwać może czytelnikowi myśli zgoła przerażające: iż to w Polsce normalny objaw, że ekspedienci w MHD nabierają na wadze, a konduktorzy kradną pieniądze pasażerom, co, jak wiemy, jest nieprawdą.

Punktem wyjścia satyry musi być założenie i głębokie przekonanie, że zasadniczy rozwój Polski jest słuszny, ale że na drodze tego rozwoju spotyka się szkodnictwo, które trzeba zwalczać. I że zwalczanie tego szkodnictwa jest potrzebne.

Drugi pogląd przyczynia się do hamowania satyry w sposób odwrotny. Głosi on, że ponieważ w Polsce trwa i zaostrza się walka klasowa, że ponieważ klasy wyzyskujące w Polsce nie są jeszcze całkowicie zlikwidowane, że w tej sytuacji wysiłek satyry skierowany być winien tylko przeciwko wrogom zewnętrznym i wewnętrznym — z całkowitym pominięciem szkodnictwa przejawiającego się już w powstających i rozwijających się formach życia socjalistycznego. Pogląd ten głosił na przykład, że wszelka krytyka niedociągnięć naszego handlu uspołecznionego stanowiła w pewnym okresie niejako poparcie dla inicjatywy prywatnej, niejako apologię handlu prywatnego. Jest oczywiście rzeczą jasną, że do zadań satyryka, jak i całej naszej literatury, należy chronienie nowego i obrona nowego przed starym; w tym wypadku obrona handlu uspołecznionego przed kapitalistycznymi i spekulanckimi atakami. Zagadnienie tylko polega na tym, w jaki sposób ma satyra te swoje obrończe funkcje wykonywać? Chyba w ten sposób właśnie, że będzie tępiła to, co stanowi wady nowych socjalistycznych form, to, co tylko wrogowie mogą przedstawiać jako objawy nierozłącznie z tymi formami związane. Musimy sobie uświadamiać, że na tych właśnie błędach żeruje wróg, że błędy te szerokim masom są znane, że podjęcie walki z nimi nie stanowi ujawnienia jakichś głęboko ukrytych tajemnic, ale przeciwnie — witane jest z radością i z wielkim zrozumieniem przez szerokie rzesze.

Fakt, że wypada nam działać w skomplikowanej sytuacji społecznej, w

momencie gorącej walki klasowej i budowania podstaw socjalizmu, musi oczywiście wpływać na naszą świadomość twórczą. Niemniej jednak walka ze starym dla satyryków nie może ograniczać się do walki ze starym wyrażanym bezpośrednio przez wrogów socjalizmu i Polski, ale także i z tym starym, która czepia się nowego, usiłuje na nim pasożytować, które usiłuje je zniweczyć.

Przezwyciężenie obu tych błędnych poglądów usiłujących ograniczyć zasięg działania satyry stanowi jedno z podstawowych założeń dla rozwoju satyry jako krytyki.

6. Jeśli satyra ma przekonywać najszersze masy ludowe i jeśli budzić ma uczucia najszerszych mas ludowych, ważne jest zagadnienie środków, którymi mamy operować. Wiemy, że skala tych środków jest bardzo rozległa. Że satyra operować może ironią i sarkazmem, szlachetnym patosem i subtelnym żartem. Jeden tylko ze środków działania satyry wydaje się niesłusznie budzić wątpliwości. Jest to śmiech. Jest to humor. W artykule Kommunisty czytamy:

„Prawdziwie satyryczny utwór powinien wywoływać śmiech z wszystkiego, co przeszkadza marszowi naprzód... Humor, wszystko co komiczne, śmiech wyrażają poczucie przewagi nowego nad starym, prawdy nad kłamstwem, słusznej sprawy nad niesłuszną. W śmiechu, humorze satyry radzieckiej powinno też wesoło rozbrzmiewać poczucie światowych, historycznych zwycięstw narodu radzieckiego, poczucie tego, że nowe jest niezwyciężone".

Ponieważ wokół sprawy śmiechu i humoru nagromadziło się u nas wiele fałszywych poglądów, chciałbym zagadnienie to rozwinąć. Publicznie, w druku, ogłoszono u nas teorię, że przedstawianie wroga w sposób śmieszny jest rozbrajaniem czujności narodu. „Wróg śmieszny przestaje być groźny" — czytaliśmy wydrukowane czarno na białym w Nowej Kulturze. Gdyby to twierdzenie miało istotnie jakieś marksistowskie podstawy, musielibyśmy dojść do przekonania, że sam Marks nie był marksistą. We wspomnieniach Fryderyka Lessnera o Marksie czytamy: „Jego zmysł humoru był niewyczerpany, jego śmiech — niezwykle serdeczny. Kiedy naszym towarzyszom udało się wywalczyć jakie zwycięstwo w jakimkolwiek kraju, dawał wyraz swojej radości w sposób nieokiełznany, wykrzykując radośnie i porywając tym samym za sobą całe otoczenie. Jakże się cieszył z każdego sukcesu wyborczego naszych towarzyszy w Niemczech, z każdego wygranego strajku... Z ataków wroga wyśmiewał się tylko; ironia i sarkazm, z jakimi o nich mówił, sprawiały prawdziwą satysfakcję słuchaczom"! (O Karolu Marksie, Zbiór wspomnień i artykułów. Str. 80).

Cóż Marksowi dawało tę siłę wyśmiewania się z tak potężnych jeszcze w owym okresie, o ileż potężniejszych niż dzisiaj wrogów klasy robotniczej? To samo, co nam daje tę siłę — wielokrotnie wzmożoną potężnymi zwycięstwami klasy robotniczej, zwycięstwem Rewolucji Październikowej, utworzeniem Związku Radzieckiego, zwycięstwem nad faszyzmem, obaleniem władzy kapitalistów w naszym kraju i wielu innych krajach Europy, powstaniem Ludowych Chin, jednym słowem — całkowitą zmianą sytuacji w świecie, w której istnieje potężny obóz socjalizmu i pokoju. Głoszenie teorii, że z wrogów jeszcze co prawda mocnych i silnych śmiać się nie należy, jest teorią naturalistyczną. Naturalizmem bowiem jest widzieć tylko wycinek dzisiejszego świata: Ridgwaya i Bradleya, Tito i Czang Kai-szeka, siły policyjne państw kapitalistycznych i ich bomby atomo-

we. Tak widziany wróg rzeczywiście jest tylko groźny i nic więcej. Jeśli jednak waszyngtoński Kapitol, kwaterę armii atlantyckiej z Fontainebleau czy podmiejski pałac Tito z Belgradu zestawimy z całą prawdziwą rzeczywistością naszego świata i z jego perspektywami rozwojowymi, wówczas trudno się nie śmiać. Śmiech jest wyrazem zwycięstwa i zapowiedzią zwycięstwa, które jest pewne, niezależnie od tego, jak wielkie na tej drodze przeszkody wróg zdoła jeszcze nagromadzić.

Swą wnikliwą analizę dzieła Franciszka Rabelais w zakresie śmiechu autora Gargantui i Pantagruela radziecka pisarka Jewnina tak zakończyła:

„Umieć trafnie określić perspektywy obumierania atakowanego świata i wcielić go w takie kształty, aby, wyprzedzając proces historyczny, zmusić wszystkich do śmiechu z tego świata; umieć naprzód już cieszyć się zwycięstwem, radośnie głosić nowe zasady, nowe promienne ideały w wyzwalanym świecie; tak zabójczo ośmieszyć, tak bezpowrotnie pogrzebać, odnaleźć i wystawić na wieczne pośmiewisko najbardziej niskie i występne cechy wroga — oto na czym polega największa sztuka Rabelaisowskiej walki ideologicznej, zawartej w jego śmiechu".

Marks napisał: „Ostatnia faza formacji dziejowej jest jej komedią".

Tak jest. I to, co się dzisiaj rozgrywa przed naszymi oczami, jest wielką komedią ustępującego świata kapitalistycznego. Wystarczy przeczytać parę gazet zachodnio-europejskich lub amerykańskich, aby uśmiać się serdecznie widząc, jak olbrzymie zamieszanie na giełdach i w rządach wywołała radziecka inicjatywa pokojowa. Ci panowie, głoszący, że zbroją się w imię pokoju, mówią dzisiaj o „groźbie pokoju". Jakże ohydni, a jednocześnie śmieszni są wówczas, gdy wychodzi jasno na jaw, że wojna na Korei, że zbrojenia — to tylko żądza zysków, a nie jakieś tam rzekome ideały. Jakże śmieszni są ci przywódcy państw kapitalistycznych, usiłujący godzić swe zbrodnicze cele z zachowaniem choćby szczątków wpływów wśród własnych narodów. Prezes senatu belgijskiego oświadczył niedawno, że jest przeciwnikiem ratyfikowania przez Belgię układu ogólnego, a to z następujących powodów: układ ogólny wiąże Belgię sojuszem wojskowym w sposób nierozerwalny na dłuższy okres czasu z szeregiem państw; a cóż się stanie, jeśli w jednym z tych krajów, należących do układu ogólnego, dojdą do władzy komuniści? Wtedy — powiada pan prezes senatu — będziemy związani sojuszem wojskowym z jakimś krajem rządzonym przez komunistów. Z tego wynika, że ponieważ jestem wrogiem komunistów, wobec tego potępiam układ ogólny.

Któż nam udowodni, że pan prezes senatu belgijskiego nie jest jedną z najśmieszniejszych postaci naszych czasów, komicznie szamoczących się wśród imperialistycznych sprzeczności i uciekających w taką sofistykę przed istotną opinią własnego narodu. Śmiech to nie pomniejszanie znaczenia wrogów, ani lekceważenie ich siły. Śmiech to wyraz naszej siły i głębokie przekonanie o tym, jakie będą ostateczne wyniki historycznej walki. Dlatego nie bójmy się humoru, nie bójmy się budzić śmiechu — śmiech, radość i wesołość są naturalnym wynikiem zmienionych w Polsce stosunków społecznych i zmienionego radykalnie układu stosunków w świecie. Mówił o tym towarzysz Stalin, przemawiając na pierwszej wszechzwiązkowej naradzie stachanowców:

„Podstawą ruchu stachanowskiego było przede wszystkim gruntowne polepszenie materialnego położenia robotników. Życie stało się lepsze, towarzysze. Życie stało się weselsze. A gdy ży-

cie jest wesołe, to i praca idzie dobrze. Stąd wysokie normy wydajności. Stąd bohaterowie i bohaterki pracy. W tym przede wszystkim jest źródło ruchu stachanowskiego. Gdybyśmy mieli kryzys, gdybyśmy mieli bezrobocie — plagę klasy robotniczej, gdyby żyło się nam źle, ciężko, niewesoło, wówczas nie mielibyśmy żadnego ruchu stachanowskiego. Nasza rewolucja proletariacka jest jedyną na świecie rewolucją, która zdołała pokazać ludowi nie tylko swe rezultaty polityczne, lecz i rezultaty materialne. Spośród wszystkich rewolucji robotniczych znamy tylko jedną, która jako tako zdobyła władzę. To Komuna Paryska. Ale istniała ona niedługo. Wprawdzie próbowała rozbić kajdany kapitalizmu, ale nie zdążyła ich rozbić, a tym bardziej nie zdążyła pokazać ludowi pomyślnych materialnych wyników rewolucji. Nasza rewolucja jest jedyną, która nie tylko rozbiła kajdany kapitalizmu i dała ludowi wolność, ale zdołała prócz tego dać ludowi warunki materialne do dostatniego życia. Na tym polega siła naszej rewolucji, to, co ją czyni niezwyciężoną. Oczywiście, dobra to rzecz wygnać kapitalistów, wygnać obszarników, wygnać carskich zbirów, wziąć władzę i uzyskać wolność. To rzecz bardzo dobra. Ale niestety sama tylko wolność bynajmniej jeszcze nie wystarcza. Jeżeli nie starcza chleba, nie starcza masła i tłuszczów, nie starcza wyrobów włókienniczych, mieszkania są złe, to na samej tylko wolności daleko nie zajedziesz. Bardzo trudno, towarzysze, żyć samą tylko wolnością. Aby można było żyć dobrze i wesoło, trzeba dobrodziejstwo wolności politycznej uzupełnić wartościami materialnymi. Charakterystyczna właściwość naszej rewolucji polega na tym, że rewolucja ta dała ludowi nie tylko wolność, ale i wartości materialne, ale i możliwość dostatniego i kulturalnego życia. Oto, dlaczego życie stało się u nas wesołe i oto na jakim gruncie wyrósł ruch stachanowski". (Zagadnienia Leninizmu, str. 461).

Oto stalinowski wykład ścisłego związku między budowaniem socjalizmu, poprawą warunków bytu ludzi i ich samopoczuciem. Powiedzieć można, iż śmiech, humor, wesołość i radość — to również są dobra, które klasa robotnicza wydarła burżuazji i które dzisiaj jak najszerzej upowszechnia. W ustroju kapitalistycznym wśród nędzy, głodu i bezrobocia śmiech i humor rzadko zjawiają się wśród ludzi. Socjalizm, budujący ludzkie szczęście, sprzyja rozkwitowi śmiechu. „Śmiejmy się, bo kto wie, czy świat potrwa jeszcze trzy tygodnie" — tak zwiastował upadek feodalizmu i narodziny świata burżuazji Beaumarchais. Dziś powiedzieć możemy: śmiejemy się, albowiem wiemy na pewno, że nasz świat, który budujemy, przetrwa wieki!

Satyra, której by zakazano posługiwać się humorem, nie tylko skazana by była na niedowład twórczy, ale utraciłaby równocześnie jeden z zasadniczych i najmocniejszych sposobów swego artystycznego i politycznego oddziaływania. Dążenie do sztucznej powagi, do nadawania wszelkim utworom, nawet satyrycznym, felietonowi czy komedii satyrycznej grymasu powagi, nie ma nic wspólnego z marksistowską oceną roli humoru i śmiechu w życiu ludzkim.

Oczywiście, jak każda broń satyryczna, humor i śmiech wymagają umiejętnego posługiwania się nimi. Pokutują jeszcze tendencje wywoływania śmiechu za wszelką cenę, łechtania słuchacza, a przede wszystkim widza, sposobami z arsenału drobnomieszczańskich kalendarzy, nie mające nic wspólnego z wysokimi wymaganiami, jakie stawiamy sztuce satyrycznej. Na szpaltach naszych gazet, zwłaszcza prowincjonalnych, na naszych estradach pokutuje

jeszcze śmiech drobnego burżuja, nie mający nic wspólnego z wielkimi zadaniami wychowawczymi, jakie sobie stawiamy. To wszystko razem jednak, o czym zawsze pamiętać trzeba, nie może dyskwalifikować śmiechu i humoru w satyrze. Gdy mówimy o śmiechu i humorze, pytać musimy zawsze tak, jak pytamy w innych przypadkach: ale jaki?

My satyrycy głęboko chyba przekonani jesteśmy, że śmiech i humor wysokiego gatunku, wysokiej klasy artystycznej, kierowane świadomą myślą polityczną, odgrywać mogą olbrzymią rolę w walce z wrogiem, przyczyniać się mogą do niszczenia tego wroga, przyczyniać się mogą także do rozwoju człowieka w Polsce. Możemy być przekonani, że humor i śmiech wykonawcom Planu Sześcioletniego dawać może nowe siły przy realizowaniu ich zadań na wszystkich odcinkach. Istnieje olbrzymia potrzeba śmiechu i humoru wśród mas ludowych. Masy ludowe tworzyły swój humor i swój śmiech, tworzyły swoje pieśni, przypowiastki, przysłowia i bajki w najtrudniejszych warunkach, wśród najcięższego ucisku, śmiechem odpowiadając na ucisk panów. W tym humorze ludowym znajduje się również głębokie uzasadnienie dla naszego satyrycznego śmiechu i humoru. Z tego śmiechu i humoru nie tylko nie należy rezygnować, ale przeciwnie pogłębiać go. Odrzucając wszelkie pozostałości burżuazyjne i drobnomieszczańskie sięgać trzeba do żywych źródeł tradycji ludowej, czerpać z nich i twórczo je rozwijać.

Będziemy mogli być dumni ze swoich dzieł, gdy potrafią one budzić zdrowy, piękny, mądry śmiech wyzwolonego człowieka.

7. Mówiliśmy o wielu trudnościach, z którymi zmagają się satyrycy przy podejmowaniu swojej nowej roli w Polsce Ludowej. Mówiliśmy o trudnościach, wynikających z braku świadomości politycznej, z niedostatku wiadomości politycznych, z braku zrozumienia podstawowych założeń teoretycznych satyry na naszym etapie rozwojowym. Wypada nam mówić także o trudnościach, które znajdują się na zewnątrz nas, a wymagających także rozwiązania. Powiedzieliśmy, iż satyra w kraju budującym socjalizm staje się jedną z najważniejszych form krytyki. A jeśli tak jest, to przypomnijmy sobie, iż na XIX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego towarzysz Malenkow powiedział między innymi:

„Błędem jest sądzić, że krytyka oddolna może rozwijać się sama przez się, samorzutnie. Krytyka oddolna może narastać, rozszerzać się jedynie pod tym warunkiem, że każdy, kto występuje ze zdrową krytyką, będzie przekonany, iż znajdzie w naszych organizacjach poparcie, a wskazane przez niego braki będą rzeczywiście usuwane. Trzeba, żeby organizacje partyjne i pracownicy partyjni, wszyscy nasi kierownicy przodowali w tej sprawie i dawali przykład uczciwego i sumiennego stosunku do krytyki. Obowiązkiem wszystkich kierowników, zwłaszcza działaczy partyjnych, jest stwarzanie takich warunków, żeby wszyscy uczciwi ludzie radzieccy mogli śmiało i bez obawy występować z krytyką braków w pracy organizacji i instytucji".

Niewątpliwie satyra u nas w Polsce Ludowej odegrać będzie mogła swą rolę krytyki pod warunkiem, iż nie tylko sami twórcy satyryczni, ale i szeroki aktyw naszej prasy, naszych wydawnictw, kierownictwo naszych teatrów, naszych organizacji kulturalnych, szeroki aktyw społeczny i polityczny zrozumieją dokładnie, jakie jest znaczenie satyry w okresie budowy socjalizmu i jak wielkie są jej zadania.

Satyra, która jest krytyką, sama — jak człowiek powietrza — potrzebuje

krytyki, i z tym jest u nas najgorzej. Nie mamy krytyki satyry, a krytykę zastępuje niejednokrotnie posztu̇rchiwanie, czy też stawianie zarzutów nie mających żadnego uzasadnienia. Mówiliśmy o tym, że satyrycy przepracować muszą szereg podstawowych zagadnień z teorii swojej twórczości. Przydałoby się to także wielu zabierającym głos w sprawach satyry i to szkoda, że nie zabierającym przeważnie głosu publicznie w prasie lub na zebraniach, ale pokątnie i na ucho. Brak wszelkich kryteriów w ocenie, brak chęci zapoznania się z naszą twórczością satyryczną, brak chęci zapoznania się z licznymi radzieckimi pracami teoretycznymi — wszystko to razem wzięte doprowadza do tragikomicznych wystąpień.

Natomiast z teoretycznym uogólnieniem w sprawach satyry wystąpiła niedawno z ramienia Polskiego Towarzystwa Filologicznego p. Maria Szpachta, rozprawkę swoją opierając na zasadzie, że satyra jest to krótki wierszowany utwór o treści dydaktycznej. I tu właśnie jest pole walki, na którym wybić się musimy z poglądami nie tylko filologów z warszawskiego Uniwersytetu. Tu jest pole walki, gdzie przychodzą nam z pomocą krytycy radzieccy, stwierdzający, iż satyra jest to „szczególny rodzaj artystycznego poznania i zobrazowania rzeczywistości, który korzystając ze specyficznych sposobów typizacji, najbardziej jaskrawo i ostro obnaża przeciwieństwa społeczne“ (Wychodcew i Jerszow: Śmielej rozpracowywać teorię radzieckiej satyry, Zwiezda, nr 2, rok 1953, str. 152). Jest to rozwinięcie ustępu o satyrze z przemówienia towarzysza Malenkowa, który mówił o satyrze w beletrystyce, dramaturgii, kinematografii itd.

Z tego radzieckiego sformułowania wynika jasno, iż satyra zarówno w literaturze, jak w grafice, jak w teatrze i filmie stanowić powinna najbardziej wyczulony instrument politycznego działania. Dlatego też sprawa satyry i u nas dziś w Polsce Ludowej, to nie tylko sprawa sekcji satyry w Związku Literatów Polskich, nie tylko część prac sekcji małych form Stowarzyszenia Dziennikarzy, to nie tylko sprawa Szpilek, czy też dwóch, trzech teatrów satyrycznych. Satyra domaga się i domagać się będzie swoich praw we wszystkich dziedzinach naszej sztuki, na wszystkich odcinkach, we wszystkich jej przejawach. Satyra bowiem we wszystkich tych dziedzinach ma olbrzymią rolę do odegrania.

Inna sprawa, czy potrafi ją odegrać. Prawdą jest, iż satyra nasza zamyka się dotychczas zbyt często, zbyt uporczywie w wąskich ramach małych form. Niewątpliwie jest to kwestia krótkiego oddechu naszych twórców satyrycznych, ale z drugiej strony jest to także kwestia braku jakiejkolwiek pomocy ze strony krytyki i ze strony miarodajnych czynników wielu naszych instytucji kulturalnych. Jestem przekonany, że bez pomocy na przykład Centralnego Zarządu Teatrów, bez przełamania obecnego jego stosunku do komedii, nie będziemy mieli współczesnej komedii w Polsce. Jestem przekonany, że przetrzymywanie ponad rok interesującej powieści satyrycznej w czytelnikowskim biurku nie sprzyja rozwojowi powieści satyrycznej. I tak dalej i tak dalej.

Dążąc do rozwoju naszej twórczości w wielkie formy, nie możemy zgodzić się na jakiekolwiek lekceważenie czy też przemilczanie naszej twórczości w formach małych. Ta twórczość małych form, twórczość pisarzy, dziennikarzy i karykaturzystów, ma wielkie znaczenie polityczne i nieraz artystyczne. Potrzeba małych form nie będzie malała, ale będzie z rozwojem życia naszego coraz bardziej rosła. Małe formy

zaspokajają wielki głód satyry milionów czytelników naszych gazet, naszych czasopism, widzów przedstawień estradowych, słuchaczy radia. Chodzi o to, aby zostało stwierdzone i powiedziane, że twórczość satyryczna nie dyskryminuje z natury rzeczy pisarza, publicysty, czy też grafika, że mała forma tak samo jak i duża może być dobra, może być i zła, może być szmirą i kiczem, może być i arcydziełem. Powiedziane być musi, że twórczość satyryczna w Polsce Ludowej ma to samo znaczenie co każda inna twórczość w każdej innej dziedzinie sztuki, w każdym innym dziale literatury, że domaga się ona swoich praw, gdyż chce wypełnić swoje obowiązki.

Powiedziałbym, że wymienienie specjalnie satyry na XIX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego zmieniło u nas w pewien sposób sytuację satyry. Nikt już otwarcie nie kwestionuje potrzeby satyry i samego jej istnienia. Można by powiedzieć jednak, że o ile wielu lubi już satyrę, o tyle nie lubi jeszcze satyryków. Oto problem: czy ci, którzy oddają się satyrze, którzy uprawiają dziś satyrę, potrafią udźwignąć ten ogrom zadań, które przed satyrykami ma prawo dziś postawić partia i władza ludowa?

Na to pytanie można odpowiedzieć negatywnie. Wiele przyczyn (kilka z nich wyliczyłem) złożyło się na to, że mówiąc językiem biurokratycznym stan naszych kadr satyrycznych nie jest dobry. Lekceważenie satyry z różnych ośrodków płynące i w różny sposób się objawiające spowodowało porzucenie twórczości satyrycznej przez wielu pisarzy, publicystów i grafików, a jednocześnie zahamowało dopływ nowych sił. Sytuację należy rozwiązać nie w ten sposób, że krytyka przestanie was przemilczać, że będziemy was zapraszać do konkursów, że będziemy dawali sprawozdania z waszych zebrań, gdy twórczość wasza stanie na najwyższym poziomie; ale odwrotnie: będziemy was krytykować, będziemy o was pisać, otworzymy przed wami wszelkie możliwości, abyście mogli twórczość swoją doskonalić i rozwijać, aby zachęcić młodych ze wszystkich sił do poświęcenia się satyrze.

Znając wszystkie słabości i błędy naszych twórców satyrycznych, poetów, prozaików, felietonistów, publicystów, karykaturzystów, możemy stwierdzić bez żadnej zarozumiałości, ale sądząc trzeźwo, że istnieje w Polsce nie najgorsza kadra satyryczna, z której opieka, koleżeńska pomoc i krytyka uczynić mogą zaczątek świetnego zespołu satyryków Polski socjalistycznej. W tym zespole, rozsianym po całym kraju, pracującym samodzielnie, w gazetach, w czasopismach, w Szpilkach, w Radio istnieje niewątpliwie wielka suma dobrej woli i ochoty do podniesienia swojej twórczości na wyższy poziom artystyczny i polityczny, do oddania swoich zdolności, swoich talentów i swojej sztuki w służbę naszej partii i naszej Ojczyzny. Mamy głębokie przekonanie, że na tej drodze narada dzisiejsza stanowić może poważny krok naprzód. Trzeba tylko tę chęć, tę dobrą wolę, te zdolności i talenty ożywić głębokim zapałem przekonania.

Chcemy być istotnie godni wezwania Lenina, który mówił: „Zrozumiejmy więc i my zadania i właściwości nowej epoki. Nie będziemy naśladowcami tych marksistów od siedmiu boleści, o których Marks mówi: „posiałem smoki, a w plonie okazały się pchły“.

Zbigniew Mitzner

STEFAN KLONOWSKI

Z dziejów Gorkiego w Polsce

Maksym Gorki, „najwybitniejszy przedstawiciel sztuki proletariackiej", był — jak mówi Lenin — „dzięki swym wybitnym dziełom literackim ściśle związany z ruchem robotniczym Rosji i całego świata". Istotnie — niemal natychmiast po ukazaniu się jego pierwszych opowiadań Gorki zyskał sobie sławę i popularność, stał się ukochanym pisarzem szerokich mas pracujących — nie tylko w Rosji, ale i na całym świecie. Kiedy w dziesięć lat zaledwie od wydrukowania jego pierwszego opowiadania Makar Czudra (1892) trzydziestoparoletni Gorki zostaje wybrany członkiem Akademii, a car nie zatwierdza tego wyboru, Czechow i Korolenko oświadczają publicznie, że zrzekają się wobec tego godności akademików. Już w owym czasie dzieła Gorkiego rozeszły się w Rosji w nieznanej zupełnie dotąd ilości — pół miliona egzemplarzy. Są też tłumaczone na wiele języków świata i ukazują się w różnych krajach europejskich od razu w zbiorowych wydaniach, np. w Niemczech już w 1902 r. ukazało się równocześnie siedmiotomowe wydanie berlińskie i pięciotomowe lipskie. Sztuki Gorkiego grywane są we wszystkich prawie stolicach i większych miastach europejskich, w Berlinie np. w ciągu dwu lat wystawiono Na dnie 200 razy. A kiedy w r. 1905 Gorki zostaje aresztowany, Anatol France pisze: „Sprawa Gorkiego — to nasza wspólna sprawa... Taki talent jak Gorki należy do całego świata. Cały świat żąda jego uwolnienia".

Popularność i sława Gorkiego w Polsce przypada na okres wznoszenia się fali rewolucyjnej. Pod wpływem zaostrzających się walk rewolucyjnych rosyjskiego proletariatu i chłopstwa w latach 1901—1902 wzmaga się ruch strajkowy w Królestwie Polskim. W związku z wojną rosyjsko-japońską zamknięte zostały dla polskiego przemysłu włókienniczego rynki zbytu na Dalekim Wschodzie, zmniejszenie się zaś na skutek wojny zamówień rządowych odbiło się również na polskim przemyśle metalowym. Wywołało to wielki wzrost bezrobocia. Ten pogłębiający się kryzys ekonomiczny, który nastąpił wkrótce po przewlekłym kryzysie przemysłowym — zaostrzył sytuację rewolucyjną w kraju. Na tym tle dochodziło do strajków, demonstracji i ostrych wystąpień polskich mas robotniczych przeciwko rządowi carskiemu. SDKPiL organizowała na ulicach Warszawy bojowe manifestacje antywojenne i burzliwe demonstracje w związku z procesem wybitnego przywódcy robotniczego Marcina Kasprzaka. Cały kraj ogarnęła fala strajków i demonstracji pierwszomajowych. Narastająca w Rosji rewolucja oraz walki klasowe w Królestwie pod wodzą SDKPiL wpływają na radykalizację żywiołów ugodowych (w latach 1901—1902 tworzy się już opozycja lewicowa w PPS z ośrodkiem w Krakowie) i łączą się „nierozerwalnie z walką narodowo-wyzwoleńczą najszerszych warstw społeczeństwa polskiego" [1]).

Wczesna twórczość Gorkiego, o którym leninowska „Iskra" pisała w roku 1902, że jest „utalentowanym wyrazicielem protestujących mas" i „walczy z samowładztwem", twórczość, pełna gwałtownego protestu przeciwko niesprawiedliwości społeczeństwa kapitalistycznego, pełna wiary w siłę człowieka i jego zwycięską walkę o lepsze

jutro, jak najlepiej wyrażała marzenia i dążności polskich mas ludowych, walczących o społeczne i narodowe wyzwolenie. Tu tkwi niewątpliwie źródło owej nagłej i rosnącej w zawrotnym tempie popularności i sławy Gorkiego w Polsce.

Toteż w kilka zaledwie lat po ukazaniu się w Rosji dwóch pierwszych tomów opowiadań Gorkiego (1898) zaczynają się ukazywać jego utwory w języku polskim. W okresie 1900—1907 tj. w okresie narastania i wybuchu fali rewolucyjnej w Polsce ilość ich wzmaga się z roku na rok. Przekłady utworów Gorkiego ukazują się w czasopismach, wychodzą w osobnych odbitkach i w całych zbiorkach opowiadań. Wkrótce też zostaje wydany pierwszy trzytomowy wybór dzieł Gorkiego (Warszawa, 1903 — 1905), zawierający kilkanaście opowiadań w przekładzie Stempowskiego oraz powieść Tomasz Gordiejew w tłumaczeniu Ed. Chwalewika.

Władysław Jabłonowski, publicysta burżuazyjny, o którym jeszcze będzie mowa niżej, pisze w swej broszurze o Gorkim (Warszawa, 1906): „Nikt z pisarzy rosyjskich tak szybko nie pozyskał sobie czytelnika naszego jak Gorki, nikomu tak wrót nie otwarto na oścież — jak jemu... Wydawali go skwapliwie u nas wydawcy rozmaici w większych i mniejszych ogniskach życia: w Warszawie, Lwowie, Krakowie, nawet w Brodach i Stanisławowie. Grono mniej przygodnych wielbicieli, bardziej świadomych rzeczy i bezinteresowniej nią przejętych, zamierzyło wyróżnić ulubionego snać pisarza wydaniem Wyboru pism jego, co u nas spotyka nielicznych wybrańców — i zamiar swój z pietyzmem uskutecznia... Przejęcie się jest tak gruntowne i tak uroczyste, że nie można go sobie tłumaczyć działaniem reklamy, bądź sugestią popularności zdobytej za granicą; trzeba więc przyczyn powodzenia szukać głębiej — w duszy czytelnika, w jej dociągnięciu do poziomu, na którym stoi dusza samego pisarza".

To mimowolne wyznanie w ustach zajadłego, jak się później przekonamy, przeciwnika Gorkiego, świadczy nie tylko o niezwykłej popularności pisarza w Polsce, ale też o fascynującym wpływie, jaki jego rewolucyjna twórczość miała na masy ludowe w Polsce w okresie rewolucji 1905 roku.

Już w 1902 roku ukazują się w dwóch zbiorkach krakowskich w tłumaczeniu Barbary Beaupré Pieśń o Sokole i Zwiastun burzy, dwa manifesty rewolucyjne Gorkiego, głoszące walkę i zwiastujące w symbolicznej formie zbliżanie się rewolucji. Zwłaszcza Pieśń o Zwiastunie Burzy pada, jak na prochy, na rozwijający się ówczesny ruch strajkowy i demonstracje polityczne polskiego proletariatu w przededniu rewolucji 1905 r. Jest to utwór wówczas w Polsce bardzo popularny, przedrukowuje się go w polskiej prasie robotniczej, a nawet rozchodzi się w formie osobnych ulotek [2]).

O wielkim wpływie dzieł Gorkiego na proletariat polski świadczą także wypadki, które zaszły w okresie ruchu strajkowego włókniarzy białostockich. Na początku 1903 roku doszło w Białymstoku na przedstawieniu Mieszczan Gorkiego do wielkiej demonstracji, skierowanej przeciwko rządowi carskiemu. Ta „teatralna" demonstracja, którą policja usiłowała stłumić stosując broń palną na widowni, przeniosła się potem na ulice ogarniając całe miasto [3]).

Tak oto dzieła Gorkiego brały bezpośredni udział w czynie rewolucyjnym polskiego proletariatu, stając się sztandarem łączącym polską klasę robotniczą z rewolucją rosyjską 1905 roku.

Niemały też wpływ wywierał Gorki na młodzież ówczesną, zwłaszcza studencką. Ukazujące się w tym czasie studenckie almanachy i wydawnictwa zbiorowe, skupiające siły pisarskie najmłodszego pokolenia, zawierały z reguły przekłady utworów Gorkiego jako sztandarowe utwory rewolucyjne [4]).

Liczne opowiadania Gorkiego ukazują się w tym czasie w przekładach Beaupré, Stempowskiego, Leo Belmonta, Mondscheina, St. Miłkowskiego i innych. Są to między innymi takie perły nowelistyki Gorkiego jak Czełkasz, Konowałow, Dwudziestu sześciu i jedna itd. Wiele opowiadań ukazuje się w dwóch, a nawet trzech różnych przekładach (Na stepie, Byli ludzie, W więzieniu, Warieńka Olesowa i in). Obok Fomy Gordiejewa przełożona zostaje także druga większa powieść Gorkiego, oskarżająca ustrój burżuazyjny, pt. Troje (tłum. A. Siedlecki, Kraków 1904).

Równocześnie pojawiają się w druku i zostają wystawione pierwsze dramaty Gorkiego.

Bialik podaje w swej książce Dramaty Gorkiego w epoce radzieckiej [5]), że w przededniu pierwszej rewolucji rosyjskiej, w ciągu jednego tylko 1901 roku dokonano w Rosji około 30 przeróbek scenicznych Fomy Gordiejewa, przy czym na pierwszy plan wysuwano w przeróbkach wątek w Fomie Gordiejewie drugorzędny, mianowicie, sceny z drukarzami — tak wielka była wówczas potrzeba widza robotniczego ujrzenia na scenie ostrej krytyki istniejących stosunków społecznych, a przede wszystkim pozytywnego bohatera, robotnika, człowieka pracy. To zadanie właśnie spełnił Gorki w swych pierwszych dwóch dramatach, protestując przeciwko istnieniu „dna" w społeczeństwie kapitalistycznym oraz ukazując w Mieszczanach pozytywnego bohatera, proletariusza gotowego do walki rewolucyjnej.

Nic tedy dziwnego, że rząd carski nie chciał z początku w ogóle zezwolić na wystawienie przez Teatr Stanisławskiego Mieszczan, gdy zaś po skreśleniu szeregu kwestii z tekstu drukowanego uzyskano nareszcie zgodę, policja obawiając się demonstracji, przygotowywała się do przedstawienia jak do walnej bitwy. „Na generalną próbę — wspomina te czasy Stanisławski — zjechał cały „rządzący" Petersburg... W samym teatrze i jego okolicy rozstawiono wzmocniony oddział policji; po placu przed teatrem jeździli konni żandarmi. Można było sądzić, że przygotowuje się nie generalna próba, lecz generalna bitwa" [6]).

Już 22.XI.1902 r., dosłownie w kilka miesięcy po ukazaniu się rosyjskiego oryginału, wystawiono ten dramat na scenie Teatru Miejskiego w Krakowie w przekładzie Adama Grzymały-Siedleckiego. Przekład ukazał się w formie książkowej w r. 1903 we Lwowie. W tym samym roku 1903 wystawiono Mieszczan w Poznaniu i — w innym przekładzie (Bossakowskiego) — we Lwowie z Kazimierzem Kamińskim w roli Tietieriewa. Warszawa ujrzała dramat dopiero po wybuchu rewolucji: 24.XI.1905 r. w oryginale na scenie teatru rosyjskiego z Petersburga, a w 1906 — po polsku w Filharmonii. Przedstawienie rosyjskie stało się powodem wielkiej owacji na cześć Gorkiego. Aktorzy polscy przesłali mu telegram i wieniec z napisem: „Szlachetnemu synowi Rosji Gorkiemu — Artyści sceny polskiej w Warszawie".

Podobnie dzieje się z dramatem Na dnie. W kilka zaledwie miesięcy po ukazaniu się oryginału (grudzień 1902) nakładem tej samej księgarni J. Marchlewskiego w Monachium, która wydała niedawno oryginał rosyjski, wy-

chodzi przekład polski (1903 r.) pióra Aleksandra Zelwerowicza.

W tym samym roku ukazały się jeszcze dwa polskie przekłady tego dramatu: pisarza ukraińskiego Wasyla Szczurata pt. W schronisku nocnym (Brody 1903) oraz Trzcińskiego (Warszawa, z datą 1904).

Na scenie polskiej najpierw wystawił ten dramat Teatr Polski w Poznaniu (16.V.1903) pt. Na dnie życia — w anonimowym przekładzie zrobionym na użytek teatru. W tym samym 1903 roku odbyły się premiery w Krakowie i Lwowie, które skorzystały z przekładu Zelwerowicza. W Krakowie (30.V. 1903) rolę Aktora grał sam Zelwerowicz, Natalii zaś — Stanisława Wysocka. We Lwowie (13.VI.1903) Kamiński grał Barona, a Solski — Aktora. W Warszawie wystawiono po raz pierwszy dramat Na dnie 2 stycznia 1906 roku, a w parę miesięcy później (w maju) przybył z nim do stolicy na gościnne występy Teatr Stanisławskiego powracający do Rosji po swoich wielkich sukcesach w Berlinie.

Dalsze trzy dramaty Gorkiego, poświęcone problemowi inteligencji, wystawione zostały w Polsce również bezpośrednio po ukazaniu się oryginałów rosyjskich. Letnicy — w 1905 roku w Krakowie w przekładzie Konrada Rakowskiego. Dzieci słońca — w 1906 r. w trzy miesiące po premierze rosyjskiej (wg anonimowego przekładu) w Krakowie, z Wysocką, Zelwerowiczem i Jerzym Leszczyńskim [7]). Wreszcie premiera krakowska Barbarzyńców (IX.1906) wyprzedziła (!) nawet wystawienie tego dramatu na scenie rosyjskiej (Petersburg, 1907) [8]).

Przedstawienia teatralne sztuk Gorkiego, podobnie jak jego drobne utwory i pierwsze powieści, spotykają się z niezwykłym entuzjazmem publiczności. Przekłady utworów i sztuk Gorkiego w Polsce należały bowiem niewątpliwie (zgodnie z teorią Lenina o dwóch kulturach) do elementów „kultury demokratycznej i socjalistycznej" [9]) i pod naciskiem moralnym zrewolucjonizowanego w latach 1903—1906 proletariatu narzucały się swą nieodpartą prawdą szerokim masom społeczeństwa, a nawet niektórym przedstawicielom ideologii burżuazyjnej.

Zasadniczo jednak ideologowie kultury burżuazyjnej zwalczali twórczość Gorkiego od początku jej zwycięskiego wkroczenia na łamy polskich czasopism i książek oraz na deski sceniczne. Np. wspomniany już wyżej publicysta burżuazyjny Władysław Jabłonowski, którego Ignacy Chrzanowski nazywa „wytrawnym krytykiem", nie może czy też nie chce zrozumieć problematyki początkowych utworów Gorkiego. Jego szlachetnych i dumnych bosiaków, takich jak Czełkasz czy Konowałow, odsądza on od czci i wiary, czyniąc z nich pospolitych zbrodniarzy, i nie może pojąć, dlaczego autor przeciwstawia tych swoich, jak mówi, „nędzarzy i nędzników" „sytym i dobrze odzianym, tak że ci ostatni wyglądają prawie zawsze jako dziesięć razy gorsze kanalie niż pierwsi" (Książka, 1903, Nr 1). Podczas gdy w tym samym mniej więcej czasie (r. 1902) postępowy pisarz amerykański Jack London mówi o Gorkim, że „to jest szerszeń, który kąsa uśpione sumienia ludzkie i budzi je, aby ruszyły do walki w imię ludzkości" — Jabłonowski we wspomnianej już broszurze czyni z Gorkiego piewcę pierwotnego, żywiołowego anarchizmu, pragnącego wszystko burzyć, przeciwstawiającego się kulturze i rozumowi.

Kiedy po upadku rewolucji 1905 roku następuje okres reakcji stołypinowskiej, atak przeciwko Gorkiemu przybiera na sile.

Ten sam Jabłonowski w swej książce Dookoła Sfinksa (Studia o życiu i twórczości narodu

rosyjskiego) (Warszawa, 1910) atakuje z furią Gorkiego, który jest już wówczas autorem Matki i Wrogów, dwóch utworów powstałych ze ścisłej współpracy Gorkiego z partią bolszewicką i Leninem. Jabłonowski nazywa te utwory „chybionymi", a Gorkiego „niedouczkiem", który wpadł w niewolę „źle przetrawionej i nieopanowanej myślą doktryny" i uczynił ze swego talentu „narzędzie propagandy społecznej" (str. 205).

Z pianą na ustach omawia Jabłonowski artykuły Gorkiego o Ameryce, w których Gorki już na początku XX wieku tak proroczo dojrzał istotę tak zwanej kultury amerykańskiej. „Banalnym zuchwalstwem — woła ten „wytrawny krytyk i publicysta" — tchną kompromitujące wprost utwory: W Ameryce i Mój interwiew, w których Gorki rozprawia się z cywilizacją Zachodu i znęca się, jak tylko może się znęcać umysł rubaszny i pozbawiony kultury, nad tym wszystkim, czego nie jest zdolen zrozumieć i co w nim budzi nienawiść troglodyty" (str. 206).

Przymierze polskiej burżuazji z caratem, które doprowadziło do upadku rewolucji w Polsce, staje się podłożem gwałtownej kampanii przeciwko wielkiemu proletariackiemu pisarzowi. Obok ataków w książkach i prasie działają tajne zarządzenia rządowe. „Specjalne okólniki (carskiego) Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ograniczają a nawet zupełnie zakazują drukowania polskich przekładów dzieł Gorkiego. W państwowych teatrach warszawskich nie wolno wystawiać sztuk Gorkiego" [10]).

Mimo wszystko — słowo Gorkiego w Polsce nie zanika zupełnie. W r. 1909 ukazują się w Małopolsce dwa amerykańskie artykuły Gorkiego: Russki car. Interwiew, Sambor, 1909 (przeł. T. Gł.) oraz Poematy (m. in. Pieśń o Sokole i Pieśń o Zwiastunie Burzy), Lwów—Złoczów, z datą 1908, w przekł. J. Mondscheina, a w następnym roku dramat Ostatni, 1910, przekł. F. B.

Udaje się również wystawić w Warszawie Mieszczan w 1907 w reżyserii Kamińskiego (następne przedstawienie Mieszczan w Warszawie odbędzie się dopiero w r. 1915) oraz w Łodzi w r. 1909—1910 Dzieci słońca, a w r. 1912 — Wassę Żeleznową.

•

Twórczość Gorkiego nie przestaje interesować i pasjonować społeczeństwa polskiego również w okresie międzywojennym. W atmosferze społecznego i politycznego ucisku tych czasów dzieła Gorkiego stają się sztandarem w walce, jaką polskie masy ludowe prowadzą z rodzimą burżuazją i wciąż narastającym faszyzmem. Postać Gorkiego, pisarza i społecznika, jest dla całej postępowej Polski tego okresu wspaniałym symbolem i „przekonywającym wcieleniem wielkiej socjalistycznej kultury wolnego narodu radzieckiego" [11]).

W okresie międzywojennym — prócz paru drobnych pozycji (teraz dopiero przełożony zostaje Makar Czudra i Stara Izergil) — ukazują się wielkie powieści Gorkiego.

W r. 1928 wznowiony zostaje Foma Gordiejew w tłumaczeniu Chwalewika, a w r. 1929 ukazuje się nareszcie po raz pierwszy w Polsce Matka, tłumaczona „z upoważnienia autora" przez Marcelego Tarnowskiego, wydana w serii Najpiękniejsze Powieści Świata w dwóch częściach pod różnymi tytułami (Serce matki i Zwycięstwo matki). Znaczenie uświadamiające tej powieści dla postępowych kół społeczeństwa, zwłaszcza zaś dla proletariatu polskiego, było ogromne. Nic też dziwnego, że wkrótce

(1931 r.) ukazuje się sceniczna przeróbka powieści, przeznaczona, jak głosi karta tytułowa, dla Teatru Robotniczo-Chłopskiego.

Kolejno ukazuje się szereg dalszych powieści Gorkiego, a więc: Życie Klima Samgina w tłum. Karoliny Beylin (1929—1930), Artamonow i Synowie (pod błędnym tytułem Dzieło rodziny Artamonow, tej samej tłumaczki, 1934), Moje uniwersytety, tłum. dra J. P. Zajączkowskiego (1936), U obcych, tłum. H. Pilichowskiej (1937). Wszystkie te utwory, nasycone mocnym ładunkiem społecznym i klasowym, stanowiące wspaniałe wzory socjalistycznego realizmu, skutecznie walczyły w świadomości czytelnika polskiego z literaturą burżuazyjną tego okresu np. z tak fałszywą pod względem formy i zakłamaną w ujęciu rzeczywistości powieścią jak Czarne skrzydła Kadena-Bandrowskiego.

Nowy przekład Pieśni o Sokole pióra Lucjana Szenwalda (Warszawa 1937) świadczy o wpływie, jaki miał w tym czasie Gorki na młodą i najmłodszą polską literaturę „demokratyczną i socjalistyczną".

Mimo ostro działającej cenzury sanacyjnej, która starała się nie dopuszczać w ogóle sztuk radzieckich na scenę polską, udało się w niektórych miastach wystawić w tym okresie Mieszczan (Łódź 1920, Kraków 1925, Wilno i Lwów 1926 itd.) i Na dnie (Łódź 1921, Warszawa 1924 itd.). Ale kiedy Szletyński odważył się wystawić w Łodzi w r. 1936 Jegora Bułyczowa, ukazaniu się tej sztuki na scenie towarzyszyły takie szykany ze strony władz i policji, iż sztuka wkrótce została zdjęta z repertuaru. Lecz słowo Gorkiego wypierane przemocą z desek scenicznych znajdywało inną drogę do swoich słuchaczy: zespół dramatyczny działający przy Akademickim Klubie Literacko-Artystycznym „Akla" (powołanym do życia przez lewicowe organizacje studenckie „Pochodnię" i „Życie") — prześladowany przez policję, wystawia fragmenty Matki (w inscenizacji Natalii Szydłowskiej) w klubach i świetlicach robotniczych w Warszawie.

Publicystyka burżuazyjna stosuje wobec Gorkiego w tym okresie przede wszystkim politykę przemilczania. Wiadomości Literackie, które drukowały spore artykuły o najrozmaitszych trzecio- i czwartorzędnych „wielkościach" literackiego Zachodu, nie zamieszczały z reguły recenzji przekładów Gorkiego, a nawet przemilczały śmierć Gorkiego w r. 1936, choć niby interesowały się tym, co się dzieje „za czerwoną kurtyną(!)" (tytuł ankiety przeprowadzanej przez Wiadomości Literackie w r. 1933).

W ciągu całego dziesięciolecia (1924—1933), które obejmuje bibliografia Toporowskiego, Wiadomości Literackie (poza jedną drobną wzmianką) aż dwa (!) razy pisały o Gorkim. Raz — w r. 1924 (Nr 18) w niepodpisanym artykule pt. Dwóch Gorkich, drugi raz — w 1933 r. (Nr 518) w numerze specjalnym poświęconym „Rosji Sowieckiej'. Oba te artykuły jednak usiłują w sposób specyficzny przedstawić postać Gorkiego, rzucając cień na polityczne oblicze pisarza.

Podobnie negatywny stosunek do twórczości Gorkiego cechuje burżuazyjnego historyka literatury Aleksandra Brücknera, który w 1906 roku pisał, że „Gorki niewiele wnosi do literatury", że „wielkość jego bardzo a bardzo względna" a w swej Historii literatury rosyjskiej (Lwów 1923) nazywa „przeróżne dramaty" Gorkiego i Matkę „utworami bezdarnymi" i tak streszcza powieść Gorkiego: „Romans Matka prawi bez końca o chłopce, co z miłości dla syna-rewolucjonisty bibułę socjalistyczną obnosi,

choć sama o niczym nie wie" (str. 369). Takie streszczenie Matki świadczy najlepiej o „bezdarności", a raczej klasowej niechęci i ślepocie poważnego skądinąd i zasłużonego historyka literatury.

*

Dopiero w Polsce Ludowej w całej pełni oceniono wagę i znaczenie rewolucyjnej twórczości Gorkiego i przystąpiono do masowego wydawania jego dzieł. Takie utwory jak Matka, Artamonow i Synowie, poszczególne części autobiograficznej Trylogii, Klim Samgin oraz Baśni włoskie — ukazały się w wielkich, często stutysięcznych nakładach, a niektóre z nich miały już po kilka wydań.

Czytelnicy polscy otrzymali nowy przekład Matki (Haliny Górskiej. rozstrzelanej przez zbirów faszystowskich) oraz wielu innych utworów jak Foma Gordiejew, Klim Samgin, Wśród ludzi itd. W nowych przekładach ukazują się wszystkie niemal dramaty Gorkiego, wystawiane teraz częściej, niż to się działo dotąd, na scenach stołecznych i prowincjonalnych.

Rewolucyjny dramat Gorkiego Wrogowie (napisany w r. 1906) zostaje teraz dopiero po raz pierwszy w Polsce przetłumaczony, wydany i wystawiony. Po raz pierwszy ukazały się piękne Baśni włoskie, niezwykle ciekawa powieść Życie Matwieja Kożemiakina, 9 stycznia oraz duży wybór publicystyki Gorkiego, zwłaszcza zaś tak aktualne i ważne dla nas dzisiaj szkice o Ameryce. Gorki staje się w Polsce pisarzem coraz szerszych mas czytelniczych.

Gorki jest nam szczególnie bliski i drogi. Bo cele i dążenia Gorkiego są naszymi celami, walka, którą toczył — jest dotąd naszą walką. „Robotnicy i ludzie pracy widzą w Gorkim siebie, swego człowieka, swój los i życie, swoją przyszłość. Dlatego Gorkiego tak kochali, kochają i będą kochali wszyscy ludzie pracy w naszym kraju i w innych krajach" (Mołotow).

Przyswojenie polskiej kulturze dzieł Gorkiego, to nie jest tylko sprawa zaznajomienia naszego społeczeństwa z jeszcze jednym czołowym pisarzem rosyjskim albo radzieckim, lecz ma dla nas znaczenie o wiele głębsze. Słusznie bowiem powiada o nim Kuo Mo-żo: „Gorki uczy nas nie tylko jak trzeba pisać... ale i jak trzeba żyć i walczyć". Obok Gorkiego-wielkiego artysty znamy Gorkiego-bojownika, który walczy o nowe sprawiedliwsze jutro i daje początek nowej literaturze proletariackiej, bliskiej i zrozumiałej dla wszystkich ludzi pracy.

Jednakże nie wszystkie najważniejsze utwory Gorkiego są dziś dostępne polskiemu czytelnikowi. Ci, którzy nie znają języka rosyjskiego, nie mogą na przykład przeczytać ani Czełkasza, ani Konowałowa czy Narodzin człowieka lub też wspaniałego zbioru Po Rusi i wielu innych doskonałych utworów Gorkiego.

Nie mamy także wyboru z olbrzymiej korespondencji Gorkiego, tak ważnego dokumentu dla poznania Gorkiego-bojownika, Gorkiego-pisarza. Wiele spodziewał się po publikacji tych listów „uczeń" Gorkiego, zmarły niedawno pisarz radziecki Pawlenko. Gdy „poznamy Gorkiego jako autora listów — pisał on — postać jego rozbłyśnie nowym blaskiem, wzbogaci się o nowe odcienie. Ujrzymy w całej różnorodności życie pisarza społeczeństwa socjalistycznego, pisarza-budowniczego, genialnego „inżyniera dusz ludzkich" w atmosferze jego pracowni". Poznamy Gorkiego jako organizatora życia literackiego, zawsze czynnego, zawsze czymś pochłoniętego, coś ulepszające-

go — zawsze ogromnie ciekawego życia i ludzi.

Nie ukazał się też dotychczas wybór dzieł Gorkiego, na początek chociażby w rozmiarach radzieckiego jednotomowca, mamy przecież takie wybory i Gogola, i Czechowa, i Korolenki, nawet Kuprina.

Tymczasem, jak pisze Prawda w związku z 85 rocznicą urodzin autora M a t k i (z 25.III.1953), „wielki pisarz rosyjski Maksym Gorki jako genialny artysta słowa należy do pisarzy tej miary, co koryfeusze rosyjskiej literatury klasycznej — Puszkin, Gogol, Lew Tołstoj. Lecz ze względu na jego wpływ na masy pracujące oraz niesłabnącą miłość ku niemu wszystkich ludzi pracy, nie było dotąd na świecie pisarza, który by dorównał Gorkiemu".

Stefan Klonowski

PRZYPISY

1) Tadeusz Daniszewski, Historia ruchu robotniczego w Polsce, IV, str. 18.
2) K. N. Dierżawin, Gorki w Polsze, M. Gorki w sławianskich stranach narodnoj diemokratii, Akadiemija Nauk SSSR, Institut Słowianowiedienija, Moskwa 1951; str. 49.
3) B. Michajłowski i E. Tagier, Tworczestwo M. Gorkowo, Moskwa 1951; str. 54.
4) W. Jabłonowski, Dookoła Sfinksa, Warszawa 1910; str. 154.
5) B. Bialik, Dramaturgija M. Gorkowo sowietskoj epochi, Moskwa 1952; str. 4.
6) K. S. Stanisławski, Moje życie w sztuce, Książka i Wiedza, Warszawa 1951; str. 271.
7) W druku ukazał się inny przekład: Dzieci słońca, Warszawa, 1906, przekład Heleny Radlińskiej-Boguszewskiej.
8) Części wiadomości, dotyczących wystawienia dramatów Gorkiego na scenach polskich, udzielił mi Piotr Grzegorczyk.
9) W. I. Lenin, Dzieła, Tom 20, Książka i Wiedza, str. 9.
10) K. N. Dierżawin, Gorki w Polsze; str. 49.
11) Tamże, str. 51.

WŚRÓD KSIĄŻEK

JACEK BOCHEŃSKI: *Zgodnie z prawem.* Warszawa, 1952, Czytelnik; str. 236.

U podstaw nowego zbioru opowiadań Jacka Bocheńskiego leży sumienna szkoła studiów terenowych i opanowanie teorii rewolucji, dokonującej się współcześnie na wsi polskiej. Swój talent literacki zdradził Bocheński jeszcze w roku 1949, kiedy ukazał się tomik Fiołki przynoszą nieszczęście, chociaż klimat, w którym zamysł tego tomiku powstawał, nie był dobrym klimatem dla 23-letniego debiutanta. Brak należytej czujności ideologicznej ze strony niektórych kierowników ówczesnego życia kulturalnego sprzyjał atmosferze kosmopolitycznego snobizmu, który objawiał się nawrotem tendencji naturalistycznych z burżuazyjnych wzorów powieściowych rodem. Młodzi prozaicy, przeważnie debiutujący dopiero, nie próbowali swych sił w powieści; opowiadania pisał wówczas Czeszko i Zieliński, Borowski i Bocheński. W tym gatunku łatwiej było o migawkową technikę krótkich spięć psychologicznych, podsumowanych efektowną pointą, której zazwyczaj podporządkowana była treść. Taka technika pokrywała matową zasłoną współczesne konflikty, nawet gdy wdarły się do utworu (dominowała bowiem tematyka wojenna), jak w tytułowym opowiadaniu zbiorku Bocheńskiego, gdzie szło raczej o oddanie mrocznych nastrojów zagubionego wśród zaledwie zamarkowawanych współczesnych konfliktów człowieka niż o pokazanie poprzez te konflikty obiektywnej prawdy życia. Tom Zgodnie z prawem, to obrazy współczesnej wsi polskiej. Ten zwrot zainteresowań — to cała rewolucja u pisarza, zwłaszcza jeśli sprawy współczesne nie są dlań jedynie wspomnieniami z mniej lub więcej egzotycznego „terenu", przykrawanymi do pożeranej z gazet wiedzy, lecz poczynają go pasjonować do tego stopnia, że nie brzmi fałszywie deklaracja: „Jako literat, a więc pracownik-propagandysta w najgodziwszym znaczeniu tego słowa, jako człowiek zajmujący się piękną sztuką przekonywania, uważam wszystkie zagadnienia, o których tu piszę, za swoje sprawy osobiste, najgłębiej mnie obchodzące" (J. Bocheński: Apel w sprawie spółdzielczości produkcyjnej, Przegląd Kulturalny, nr 25). Lektura Zgodnie z prawem utwierdza w przekonaniu, że Bocheński zżył się z opisywanymi sprawami i poznał je dokładniej niż niektórzy jego poprzednicy. O ile bowiem proza o problematyce robotniczo-przemysłowej dojrzewa w sposób mniej więcej ciągły (od Fundamentów przez Na przykład Plewa i Węgiel do Lewantów), o tyle rozwój literatury o wsi napotykał na swoiste przeszkody: najpierw hamowała go szkodliwa teza o odrębności pisarstwa wiejskiego, wyrastająca na bazie nieprzezwyciężonych tendencji agraryzmu wraz z jego kultem dla indywidualnie gospodarującego chłopa, potem — chyba pokutujące jeszcze ciągle sądy, że wieś to temat mimo wszystko marginesowy, nie nasycony w tym stopniu patosem budownictwa socjalistycznego co fabryka, produkcja przemysłowa. Nastawienie to, świadczące o powierzchownym zrozumieniu problematyki naszej rewolucji, przyniosło duże szkody. Po przenikliwych reportażach Zalewskiego Traktory zdobędą wiosnę próby powieściowego ujęcia współczesnych konfliktów wiejskich nie przynosi-

ły spodziewanych rezultatów. W ten sposób pogłębił się w literaturze rozdział między miastem a wsią; pojawiające się w powieściach ekipy robotnicze nie ratowały oczywiście sytuacji, która wymagała tym rychlejszej poprawy, że kierownictwo partii, opierając się na gruntownej analizie ekonomiki obecnego etapu przejścia od kapitalizmu do socjalizmu, referatem tow. Bieruta na VII Plenum KC PZPR zwróciło uwagę na potrzebę umocnienia, celem zlikwidowania dysproporcji wzrostu produkcji przemysłowej i rolnej — spójni gospodarczej między miastem a wsią poprzez rozwój elementów socjalistycznej gospodarki na wsi i wzrost wydajności drobnotowarowego gospodarstwa. Wielki Zjazd Spółdzielczości Produkcyjnej uświadomił wszystkim, jak ścisłe związki wytworzyły się między problematyką budowy socjalizmu w mieście i na wsi, pozwolił utwierdzić się w przekonaniu, że na miejsce antynomii „człowiek z miasta" — „człowiek ze wsi" powstaje powołane logiką życia coraz bardziej jednolite pojęcie „człowiek — budowniczy socjalizmu". Fakty te nie mogą pozostać bez rezonansu w naszej literaturze i to rezonansu społecznie skutecznego. Dlatego z radością witamy opowiadania Bocheńskiego — niewątpliwą zapowiedź zmiany na lepsze w naszej literaturze o wsi. Zmiany, która musi nastąpić.

Ewolucja Bocheńskiego od F i o ł k i p r z y n o s z ą n i e s z c z ę ś c i e do Z g o d n i e z p r a w e m potwierdza tezę, że wartość — również estetyczna — utworu literackiego zależy od horyzontu autora, od tego, co on w życiu zobaczy. W F i o ł k a c h pisarz widział chaotyczne odpryski bez ładu i składu, w Z g o d n i e z p r a w e m dojrzał rzeczywiste, typowe konflikty, które stały się czynnikiem organizującym poszczególne opowiadania. Ponieważ konflikty te nie są wymyślone, wyspekulowane jako ilustracja do przemówienia politycznego, a charakterystyka postaci wystarczająco plastyczna, by zaprezentowane charaktery przedstawiały wartość literacką, Bocheński może osiągać sukcesy nie podsycając ciekawości czytelnika przemyślnie skonstruowaną fabułą. Pod tym bowiem względem opowiadania bynajmniej nie wyróżniają się niczym szczególnym, nie poddajemy się przy ich czytaniu magii drażniącego „co dalej?". Jest natomiast Bocheński mistrzem sytuacji, najczęściej dźwigającej konflikt, jak przede wszystkim w opowiadaniu R o z b i t e k, którego treść zamyka się w dwóch krótkich epizodach. Na konstrukcję fabularną nie ma tu właściwie miejsca, prawie całe opowiadanie wypełniają rozmyślania bohatera i dialog. Można by nazwać te opowiadania mówionymi portretami, chociaż technika Bocheńskiego niewiele ma wspólnego z techniką C h a r a k t e r ó w d a w n y c h i n o w y c h Nałkowskiej, charakterystyka dokonuje się tu bowiem przez szkice sytuacyjne, a nie przez globalne określenia. Oczywiście, by puścić taki mechanizm sytuacyjny w ruch, potrzebne są nierzadko retrospektywne wyjaśnienia, przed czym Bocheński nie stroni.

Ta „epizodyczna" budowa opowiadania ma swoje dobre i złe strony. Dobre — bo zmusza pisarza do oszczędności, uczy go skupienia uwagi na sprawach węzłowych, chroni przed gadulstwem literackim czy raczej pseudoliterackim, któremu tak chętnie ulega wielu pisarzy, byle tylko czymś wypełnić paręset stron powieści. Złe — bo sprzyjając zbytniej już lapidarności nie pozwala na wprowadzenie wielu realiów, których ciągle jeszcze z niecierpliwością oczekuje czytelnik książek o wsi, skłania ku swoistemu konstruktywizmowi, który ułatwia izolowanie przedstawianych problemów. Jest to wreszcie for-

ma trudna, wymagająca od pisarza szczególnej dyscypliny w gospodarowaniu materiałem. Bocheński nie zawsze potrafi się na tę dyscyplinę zdobyć. W opowiadaniu np. W ł a d z a, podobnie zresztą jak i w następnych, całkowicie stroni od opisów przyrody, krajobrazu, zjawisk atmosferycznych, zamieszcza natomiast ni stąd ni zowąd pięciostronicowy opis burzy gradowej, burzy co prawda w utworze potrzebnej, ale jedynie z uwagi na skutki, tj. wymłócenia zboża na pniu. Opis ten byłby całkowicie nie na miejscu nawet wówczas, gdyby przypominał najpiękniejsze fragmenty P a n a T a d e u s z a, każdy bowiem utwór ma swoją tzw. poetykę, która jest niczym innym jak wykładnikiem pewnej logiki artystycznej i dlatego jej zamącenie przynosi zgrzyt. Nie pamiętają o tym zwykle początkujący pisarze, wykorzystujący najprzeróżniejsze często reminiscencje z przeczytanej lektury. Albo pisarz — mając coś na ten temat ciekawego do powiedzenia — decyduje się przedstawić różnorodne przejawy przyrody wiejskiej i wówczas tak buduje swój utwór, żeby znaleźć na to miejsce (np. Reymont w C h ł o p a c h), albo też, jak to czyni w zasadzie Bocheński, z nic nie mówiących, a jak twierdzą pośledniejsi pisarze „nasycających utwór realiami życia" *), opisów rezygnuje, i wtedy niespodziewane odstępstwo od reguły brzmieć musi jak Piłat w Credo. Zresztą Bocheńskiemu nie trzeba o tym przypominać, należy mu raczej wybaczyć to szaleństwo, krótkotrwałe właśnie jak gwałtowna burza letnia.

Oto opowiadanie pierwsze, składające się z siedmiu epizodów, zatytułowane W ł a d z a. W kolejnych epizodach zawiera Bocheński: retrospektywne usytuowanie dwóch gospodarstw w Korzeniu Podlaskim — Wojciechowskiego i Olejniczaka, następnie opisuje sytuację Olejniczaka po latach dwudziestu, burzę, która niszczy Olejniczakowi zbiory, przedstawia machinacje kułaka Wojciechowskiego, pragnącego uwolnić się od obowiązku dostawy zboża, po czym przenosi czytelnika do powiatu, by przez konfrontację powiatowych aktywistów z delegatami komitetu wojewódzkiego pokazać popełnione w stosunku do niektórych chłopów błędy, wreszcie, prowadząc opowiadanie ku końcowi, każe działaczom powiatowym naprawić skutki fałszywej polityki. Każda z tych sytuacji, z wyjątkiem właśnie trzeciej (tej z burzą) pozwala na uchwycenie głównych konfliktów za rogi. Właśnie tak bowiem chwyta konflikty Bocheński, w krótkich spięciach, a nie poprzez rozlewny nurt narracji. Stąd właśnie ta nadmierna oszczędność, stąd technika sytuacyjnego szkicu, która każe wierzyć, że pisarz nie napisze słowa na temat nieopanowany gruntownie. To budzi zaufanie, zachęca do lektury.

Bocheński zna się na ludziach, umiejętnie zapuszcza sondę w ich sumienia. Wojciechowski i Olejniczak — to dobre studia psychologiczne. Pierwszy — chytry kułak, który zasłaniając się domniemaną chorobą umysłową i żywiołową klęską, która go rzekomo dotknęła (rzekomo, bo Wojciechowski zdążył swoje zboże zebrać przed burzą i przechowywał je u kamrata), przedstawia się jako człowiek godny politowania i przyjmuje maskującą postawę życiowej rezygnacji, by zwiększyć szanse pozytywnego załatwienia swojego podania o zniżkę przy skupie zboża; drugi — uczciwy chłopina siedzący na czterech hektarach, mający na karku żonę byłego właściciela gospodarstwa, której

*) W parodii Kerna i Kwiatkowskiego (Życie literackie nr 64—65) wygląda to tak: „Był wczesny ranek. Słońce wygodnie rozsiadło się na meblach i przeglądało się w gitarze wiszącej na ścianie. Ptaki za otwartymi oknami zawodziły swe poranne pacierze. Gdzieś daleko rozdzwoniła się sygnaturka. Za stołem siedział czerstwy mężczyzna..."

musi płacić wygórowane alimenty, zsieczony gradem, a mimo to stający na głowie, by wywiązać się ze swoich obowiązków wobec państwa, również składa podanie o zmniejszenie wymiaru zboża. Dwóch ludzi — dwa podania. I oto Wojciechowski dostaje częściowo zniżkę, a Olejniczak — nie, pod obydwiema decyzjami figuruje podpis sekretarza partii, Wójcika. Jak doszło do takich decyzji? W tym właśnie jądro całej sprawy. Motywy podaje Bocheński wyczerpująco, sugestywnie przedstawiając wahające się przy rozpatrywaniu podań pióro sekretarza: streszczają się one w pragnieniu, by po pierwsze — nie załamać planu skupu, po drugie — by nie dopuścić do powtórzenia sytuacji gryfickiej, nie zlikwidować kułaków jako klasy, co byłoby sprzeczne z dyrektywami partii. „Powstała paradoksalna sytuacja" — pisze Bocheński. „Sekretarz partii, postrach kułaków w całym powiecie, w gruncie rzeczy cieszył się dowodami kułackiej potęgi". Trzeba było interwencji towarzyszy z województwa, by pozorną argumentację, mającą swoje podstawowe źródło w niedokładnej znajomości autorów podania, wyprowadzić na właściwy szlak. I tak zawiązują się konflikty, ogrom trudności związanych z akcją skupu zboża nabrzmiewa realnymi sytuacjami, uwypukla się w zasadniczych typowych problemach: rewolucyjnej, klasowej, ale praworządnej i nie gubiącej człowieka za dyrektywami polityki na wsi. Zasługa Bocheńskiego polega na dostrzeżeniu niezmiernie ważnej i jakże aktualnej prawdy, że jedynie dokładna i wnikliwa analiza każdorazowej sytuacji gwarantuje słuszność realizowania wskazówek kierownictwa partyjnego. Jedynie taka polityka pozwala skupić wokół władzy ludowej tych, których ta władza reprezentuje: „Teraz nie pamiętał Olejniczak, że partyjni szli na urzędy i prezesury. Całą swoją nadzieję pokładał w tym, że oni byli przy władzy". Dowodem samodzielności politycznego myślenia autora W ł a d z y jest fakt, że opowiadanie to wychodzi jakby naprzeciw słowom tow. Bieruta: „Głównym zadaniem jest kontrolowanie, aby wymiary dostaw obowiązkowych były zgodne z ustawowymi normami, aby żadne kumoterskie stosunki w terenie nie wypaczały tych norm w praktyce, to znaczy trzeba kontrolować, czy stosowanie wymiarów w poszczególnych gospodarstwach chłopskich odbywa się sprawiedliwie i jak najostrzej zwalczać wszelkie kułackie próby naruszania tej zasady i uchylania się od obowiązkowych dostaw". Właśnie taka literatura jest nam potrzebna, literatura wynikająca z samodzielnej analizy życia dokonanej przez autora.

W drugim opowiadaniu pt. W i o s n a Bocheński podejmuje problematykę spółdzielni produkcyjnej, podobnie jak we W ł a d z y koncentrując swą uwagę na przemianach świadomości ludzkiej, które dokonują się w związku z rozwojem ekonomicznym kraju i słuszną polityką polityczno- wychowawczą. Zagadnienie wykształcenia w świadomości chłopa elementów socjalistycznego sposobu myślenia musi się siłą rzeczy — a już szczególnie w literaturze — wysunąć na pierwszy plan — ponieważ od wyników tej kampanii o duszę chłopską zależy w znacznym stopniu tempo przebudowy wsi i jej zestrajania się z burzliwym rozwojem przemysłu. Jest to zagadnienie o innej specyfice niż utwierdzanie socjalistycznej świadomości wśród robotników, których warsztat pracy stanowi własność ogólnonarodową. Pisał na ten temat Lenin: „Powinniśmy nade wszystko opierać się na tej prawdzie, że tutaj z natury rzeczy niczego metodami przemocy osiągnąć się nie da. Zadanie ekonomiczne przedstawia się tutaj zupełnie inaczej. Tutaj nie ma tego wierz-

chołka, który można ściąć pozostawiając cały fundament, cały gmach. Takiego wierzchołka, jakim w mieście byli kapitaliści, tutaj nie ma. Działać tutaj przemocą — znaczy to zaprzepaścić całą sprawę". Świadomość socjalistyczna zostaje wniesiona na wieś „z zewnątrz", a proces ten opiera się bez reszty na ścisłym rewolucyjnym sojuszu klasy robotniczej i pracującego chłopstwa. Zwiększa się w związku z tym rola państwa. Na drobnotowarowe gospodarstwo chłopskie, które po reformie rolnej stało się główną siłą gospodarczą na wsi, nie działa żaden przymus ekonomiczny w kierunku uspółdzielczenia; przejście natomiast do socjalistycznych form uprawy ziemi jest koniecznością ekonomiczną w skali ogólnopaństwowej ekonomiki, ponieważ tylko dzięki niemu może ulec likwidacji sprzeczność między rozwojem sił wytwórczych a stosunkami produkcji. Oczywiście w rozwoju sił wytwórczych zainteresowane są również masy chłopstwa pracującego. Wniesienie świadomości socjalistycznej polega na zapewnieniu ekonomicznych przesłanek uspółdzielczenia wsi, i na wskazaniu chłopstwu ogólnonarodowych i osobistych korzyści uspółdzielczenia, a więc na umocnieniu sojuszu robotniczo-chłopskiego. Wagę tego problemu w całym jego skomplikowaniu dostrzega Bocheński w opowiadaniu R o z b i t e k, którego bohater, były nadziałowiec, pozostaje jako ostatni poza zrzeszonym kolektywem z powodu opacznych poglądów na wolność samodzielnego gospodarza, mającej większy urok niż znaczne nawet korzyści materialne. W W i o ś n i e Bocheński ukazuje prostą linię zależności między metodami stosowanymi przez kierownictwo spółdzielni a tempem wzrostu świadomości socjalistycznej uspółdzielczonych chłopów, skomplikowany splot czynników społecznych i osobistych w kształtowaniu się tej świadomości, podkreśla wagę wiary w ludzi i nieodrywania się od kolektywu, które to błędy popełnia przewodniczący Karolak w przeświadczeniu, że jedynie on wraz ze swoimi kumotrami posiada „marksistowsko-leninowskie uświadomienie" i że reszta wsi — to reakcja. Jest to oczywiście maska dla nabijania prywatnej kabzy. Gdy po usunięciu przewodniczącego wyzwala się oddolna inicjatywa spółdzielców (w czym walnie pomagają traktorzyści POM-u, ale dzieje tej brygady to osobny temat), „podniosły się śmielej głosy mówiące, że spółdzielczność to rzecz tak samo pożyteczna dla rządu jak dla chłopów", podczas gdy panowało dawniej wśród strużewiaków przekonanie, że „spółdzielczość to nie chłopski interes, tylko rządowy". Nie przekonuje jedynie chwycenie się przez tonącego Karolaka brzytwy: wysłanie do Trybuny Ludu i Chłopskiej Drogi listów szkalujących nowy zarząd spółdzielni, a podpisanych nazwiskami dwóch spółdzielców, oczywiście podpisanych ręką Karolaka. Karolak był za mądry, by uciekać się do tak dziecinnie naiwnego sposobu.

Ostatnie opowiadanie pt. Z g o d n i e z p r a w e m pokazuje, jak wyrastały na wsi kadry kierownicze. Historię rodziny Piechnów, w której ojciec Józef i syn Jan zostali w tym samym dniu zamordowani przez zbrodniczą bandę podziemną, pisze Bocheński z opanowanym umiarem, z proletariacką nienawiścią do wrogów i z proletariackim humanizmem. Synowi Józefa, Kazikowi, który jest funkcjonariuszem Urzędu Bezpieczeństwa, przypada w udziale prowadzenie śledztwa przeciw mordercy jego ojca — „Mikołajowi". W narzuconym sobie przez Kazika kamiennym spokoju tkwi głęboki sens praworządności rewolucyjnej i proletariackiego wymiaru sprawiedliwości, w konfrontacji Kazika z „Mikołajem" ob-

jawia się siła moralności komunistycznej, pod ciśnieniem której łamie się morderca. I kiedy wyrok sześciokrotnej kary śmierci zostaje na mocy dekretu o amnestii zamieniony na piętnaście lat więzienia, pozostała przy życiu rodzina Piechnów odczuwa przez chwilę palący brak zadośćuczynienia moralnego za zbrodnię. Ale właśnie tak jest „zgodnie z prawem", nie idzie tu wszak o osobistą zemstę. Podkreślić trzeba, że wymowa opowiadania wspiera się w znacznym stopniu na charakterystyce Józefa Piechny, niestrudzonego, prostego działacza komunistycznego, który zdobywa sobie serca czytelników i każe niepokoić się o swój los w dramatycznej scenie nocnego najścia bandy. Sztafetę walki przejmują po ojcu synowie. Oni również nie będą znali w swej pracy politycznej kompromisu. Właśnie tak rosną w zaciętej walce z wrogiem klasowym nasze kadry, dzięki którym wieś idzie milowymi krokami naprzód.

Wartość opowiadań Z g o d n i e z p r a w e m nie ogranicza się tylko do trafnie spostrzeżonych typowych konfliktów, chociaż to jest ich wartość podstawowa. Pisaliśmy już o innej zalecie pióra Bocheńskiego: o odpowiedzialności za słowo, o oszczędnej technice pisarskiej. Należy jeszcze zwrócić uwagę na język. Styl Bocheńskiego nie urzeka niczym szczególnym, jest na ogół oschły, rzeczowy, zdania mają budowę jak najprostszą, zamykają się w maksymalnie skróconych okresach, przypominając niekiedy tekst poboczny realistycznego dramatu. Ten telegraficzny styl dobrze na ogół harmonizuje z lapidarnością narracji, myślę jednak, że Bocheński nie powinien się do niego zbytnio przyzwyczajać. Problem ten wyłoniłby się z całą ostrością wówczas, gdyby miejsce meldunków z wysuniętych odcinków frontu walki klasowej na wsi przyszło zająć dojrzałej prozie epickiej. Traktowane z epickim rozmachem losy bohaterów, wielkie obrazowe realizacje podstawowych praw ekonomicznych okresu, wielkie literackie metafory wymagają spiżowego kształtu językowego, dojrzałej i klasycznej budowy zdań, zamykającej wielkie i klasyczne prawdy o życiu, pozwalającej oddać całe jego bogactwo. Dobrze natomiast już dziś odtwarza Bocheński dialogi brzmiące naturalnie jak w żadnym innym współczesnym utworze o wsi. Zawdzięcza to autor zapewne uważnym studiom nad słownictwem i składnią mówionego języka, a także talentowi chwytania dramatycznych walorów dialogu.

Andrzej Lam

JÓZEF MORTON: *Wielkie dni.* Warszawa, 1952. Książka i Wiedza. Tom I — *Otwarta droga,* str. 134, tom II — *Zły wiatr,* str. 199.

Rok wydania (1952) uwidoczniony na stronie tytułowej W i e l k i c h d n i Józefa Mortona jest datą nieco zwodniczą. Informuje wprawdzie o roku, w którym książka dotarła do rąk czytelników, nie mówi jednak zupełnie o latach, w jakich została przez autora napisana. A były to lata 1948/49. Poprawka chronologiczna nie jest tu oczywiście bez znaczenia. Stwarza konieczność przyłożenia do książki nieco innych kryteriów niż te, którymi operujemy na obecnym etapie.

W i e l k i e d n i były pisane w okresie, gdy powieść o powojennej wsi nie miała zbyt wiele pozycji do zaprezentowania. Książka Mortona podejmująca tematykę organizowania władzy ludowej i przeprowadzania reform na wyzwolonej od faszyzmu wsi polskiej byłaby więc wówczas jedną z książek pionierskich. Gdyby szukać odpowiedników w innych tematycznie powieściach, wymienilibyśmy pierwsze

tzw. powieści produkcyjne: Fundamenty Pytlakowskiego, Nr 16 produkuje Wilczka, Na budowie Konwickiego. Oto okres, w atmosferze którego kształtowały się Wielkie dni, okres walki o nowy temat, o nowe treści światopoglądowe, o włączenie literatury w służbę socjalizmu. Dzisiaj, z perspektywy kilkuletnich doświadczeń widzimy wyraźniej niedomogi tych książek, a przecież nie umniejszamy bynajmniej ich znaczenia jako pierwszych prób wprowadzenia do literatury nowych konfliktów naszej współczesności.

Książka Mortona ukazała się w połowie roku 1952, wyprzedzona daleko zarówno przez doświadczenia polityczne i społeczne, jak przez nowe postulaty ideowo-artystyczne, jak wreszcie przez pozycje, które stawały się pierwszą tych postulatów realizacją.

Pisząc o Wielkich dniach nie można również pominąć drugiego zagadnienia. Chodzi mianowicie o miejsce, jakie powieść ta zajmuje w twórczości Józefa Mortona. Przyniosła bowiem ona spojrzenie na rzeczywistość— szersze, bliższe właściwej, klasowej interpretacji zjawisk społecznych. Jest to pierwsza książka Mortona, w której pisarz próbuje wyjść poza dość ciasny krąg zagadnień, w której widzi się szersze perspektywy wydarzeń.

Wielkie dni są próbą zerwania z dawnym upodobaniem Mortona do problemów raczej pobocznych niż centralnych, do notowania drobnych fragmentów życia. Morton zwraca swe zainteresowania pisarskie w kierunku wielkich wydarzeń społecznych i politycznych, podejmuje problemy centralne dla swojej epoki. Jako jeden z pierwszych sięga do tematyki rewolucyjnych przemian społecznych, jakie przyniosła ze sobą Polska Ludowa. Usiłuje wkroczyć na ambitne, trudne, zobowiązujące do wielkiego wysiłku pisarskiego ścieżki realizmu socjalistycznego. Ścieżki w naszej literaturze przez niewielu jeszcze wówczas wydeptane.

Czas trwania akcji Wielkich dni jest bardzo krótki. Zamyka się w kilku miesiącach: od sierpnia 1944 roku do wiosny roku 1954.

Bardzo słusznie rozpoczął Morton swą powieść od obrazu ostatnich tygodni walki z faszystowskim okupantem. Ukazał w ten sposób ideowy i polityczny rodowód współczesności, ukazał, iż ludzie, którzy organizowali nowy ustrój, byli tymi, którzy z pomocą Armii Czerwonej ustrój ten wywalczyli. Bez ukazania tego końcowego, skrótowego obrazu walki z okupantem, dalsze wypadki zawisłyby w powietrzu, zostałyby odcięte korzenie ich historycznego uwarunkowania.

Morton stara się być bystrym obserwatorem opisywanych przez siebie wydarzeń. Wielkie dni nie grzeszą hurra-optymistycznym schematyzmem i niewiele mają wspólnego z dość typowym dla powieści okresu, w którym były pisane, lakiernictwem rzeczywistości. Fakt, że w niektórych fragmentach czujemy patos walki o nowy ustrój społeczny — jest przede wszystkim wynikiem dostrzeżenia przez pisarza wielu trudności w tej walce, ukazania jej nie w chwili mechanicznych, bo nie udokumentowanych w powieści zwycięstw, lecz w procesie długiego przezwyciężania trudności, które są trudnościami z prawdziwego zdarzenia, a nie wymyślonymi przez autora barykadami z papieru, przez które jakże łatwo przeskakują pozytywni bohaterowie niektórych naszych powieści.

Walka o zorganizowanie władzy ludowej, walka o reformę rolną nie jest w Wielkich dniach łatwa. Pierwszy typ trudności — to nieufność wsi, brak uświadomienia nawet wśród biedniaków, grabież dworów. Marcel Kutyba i Michał Kałuża, dwaj komuniści, AL-owcy, pierwsi organizatorzy władzy lu-

dowej w Robowicach — mają ciężką pracę. Nie tylko dlatego, że trzeba walczyć z otwartą wrogością kułaków i niezrozumieniem reszty wsi, ale dlatego również, że im samym brak doświadczenia, że nie zawsze udaje się opanować trudną sytuację, nie zawsze jest pomoc z „góry" powiatowej i wojewódzkiej, nie łatwo jest stosować zasady komunistycznego postępowania w codziennej praktyce.

Bohaterowie Mortona nie dokonują cudów i nie są bez skazy. Marcel Kutyba w życiu osobistym nic nie ma wspólnego ze wzorem komunistycznej moralności — popełnia tu zresztą błąd nie tylko moralny, ale i polityczny, stwarza bowiem atmosferę nieufności wokół siebie jako reprezentanta nowej władzy. Michał Kałuża zaś zbyt łatwo zadawala się samouspokojeniem, przedłużając tym samym dzień otwarcia Uniwersytetu Ludowego w Robowicach, którego jest kierownikiem. Niedoświadczenie w organizowaniu nowej władzy, błędy w taktyce politycznej i w postępowaniu osobistym — oto drugi typ trudności podpatrzonych przez pisarza bardzo trafnie.

Morton stara się nie ulegać na żadnym odcinku łatwiznom schematyzmu. Stąd obok jawnych wrogów klasowych, takich jak były wójt robowicki, jak kułak Zawada, jak jego syn Witek i Staszek Ziarno pozostający na usługach band leśnych, ukazuje wrogów tak sprytnych, zamaskowanych, konspirujących się nawet w szeregach partyjnych, jak Jędrek, spekulant gorzelniany. Stąd — obok działalności wroga — trudności spowodowane brakiem doświadczenia organizacyjnego lub sprawą o wiele groźniejszą i poważniejszą: obsadzaniem nowych stanowisk ludźmi zupełnie nieodpowiedzialnymi, złodziejami i karierowiczami kryjącymi się za szyldem SL-owskiej przynależności organizacyjnej. Wielki fragment ukazujący, jak organizowano starostwo w Psitowie, stawia to zagadnienie w sposób ostry, bez tuszowania. Starosta Pajda oraz dwaj komendanci milicji: Roman i Kazimierz — tworzą szajkę, która ładne wyobrażenie o demokracji daje mieszkańcom miasta Psitowa! Problem poruszony tu przez Mortona był w owych latach problemem wielkiej wagi. Sprawa kadr prawicy PPS-owskiej, a zwłaszcza kadr PSL-owskich na wielu odcinkach dezorganizowała pracę, prowadziła akcję wrogą tym przemianom, jakie niosła ze sobą władza ludowa. Postawienie tego problemu w W i e l k i c h d n i a c h nie jest bynajmniej antyschematyczną manierą, lecz ukazaniem niebezpieczeństw, które niewątpliwie na wielu odcinkach hamowały rewolucyjne przemiany społeczne. Zdemaskowanie i unieszkodliwienie psitowskiej szajki pozwoliło zachować w książce perspektywy właściwego rozwoju dalszych wypadków.

Jest w powieści Mortona ciekawie zarysowana problematyka, jest pewna świeżość, niebanalność w spojrzeniu na niektóre zagadnienia typowe dla owego okresu. Pisarz stara się nie pomniejszać trudności, nie wpadać na mielizny schematyzmu. A jednak, czytając W i e l k i e d n i trudno nie oprzeć się narzucającemu się wrażeniu jakiejś niepełności, braku naprawdę szerokiego, epickiego oddechu, epickiego rozmachu, na jaki powieść ta miała być zakrojona. Wprawdzie tu i ówdzie czujemy coś z owego powiewu wielkich wydarzeń, wprawdzie są sceny takie, jak obrona dworskiego zboża przed kradzieżą, jak dramatyczny konflikt między obowiązującym prawem ludowym a sprawą Mańki, która samowolnie zabiła NSZ-owca, jak pierwsze zebranie partyjne — ogólnie jednak w książce Mortona czujemy wyraźny niedostatek wielkiej dynamiki hi-

storycznych, rewolucyjnych wydarzeń. Nawet przy słusznie i niebanalnie postawionych problemach razi nas często ich ilustratorski charakter, ich „odfajkowywanie“ jako elementów koniecznych, bez rozszerzenia perspektywy politycznej, bez pogłębienia o dociekliwszą wiedzę o życiu. Pisarz nie widzi wszystkich, a zwłaszcza tych bardziej precyzyjnych i skomplikowanych powiązań wielkich wydarzeń z indywidualnymi losami człowieka. Nie ma prawie w książce Mortona wielkich uogólnień, wielkiego obrazu powieściowego. Książka pisana jest od epizodu do epizodu, gubi się w zalewie szczegółów, rozchwiewa — w nieprzemyślanej konstrukcji fabularnej. Czytając W i e l k i e d n i wyczuwa się, że w wielu miejscach dokonano tu skrótów. Są rozdziały, które obejmują zaledwie jedną stronę. Niepowodzeniem pisarza jest fakt, że niektóre partie książki można by jeszcze usunąć, a powieść nie straciłaby zbyt wiele — są bowiem sytuacje rozbudowane zupełnie niepotrzebnie, wiele dłużyzn dialogowych, wiele szczegółów, które nie pogłębiają charakterystyki danego problemu. W książce Mortona można wprawdzie znaleźć wiele realiów, doszukać się wielu ciekawych, typowych dla owego okresu problemów, ale najczęściej odnotywowane są one na jakże kusym, niewystarczającym do szerszych uogólnień materiale życiowym, zamknięte są w przykładach drobnych faktów i pracowicie, ale wąziutko budowanych sytuacji.

To naturalistyczne zagubienie w szczegółach można u Mortona tłumaczyć różnymi powodami. Pierwszy i chyba zasadniczy — to niedokładna, zbyt powierzchowna znajomość wydarzeń owego etapu naszej rewolucji społecznej, nie pogłębiona ideowo i politycznie wiedza o specyfice przerastania reform burżuazyjno-demokratycznych w reformy socjalistyczne. Dlatego w W i e l k i c h d n i a c h gubi się wielki, całościowy obraz wydarzeń tamtych lat, dlatego brak szerszej interpretacji tego okresu, stąd ta nieporadność autora w ustawieniu problemu uspółdzielczenia wsi, stąd zagadnienie ostrości walki klasowej w perypetiach z mieszczką, panią Samborską i w wymyślaniach starego Zawady. Dalszych przyczyn należałoby szukać w samym pisarstwie Mortona, w technice jego warsztatu twórczego, w trudnościach charakterystycznych dla całej jego prozy. Nowa postawa ideowa, nowe spojrzenie na rzeczywistość nie mogły od razu zlikwidować wszystkich niedomogów. Skłonność do szczegółowych a nie zawsze celowych opisów, nieumiejętność budowania zwartej, dynamicznej akcji, trudności w dokonywaniu celowego, podporządkowanego ogólnej koncepcji wyboru faktów — oto błędy, które zaciążyły nie tylko nad W i e l k i m i d n i a m i. Mortonowi dość często w praktyce twórczej bogaty materiał życia przecieka jakoś przez palce — zatraca się wielka waga ludzkich spraw, a zostają naturalistyczne szczegóły zszywane nierzadko grubymi nićmi „literackiej roboty“.

W i e l k i e d n i przede wszystkim notują problemy, nie docierają natomiast do ich głębszych związków z życiem człowieka, nie ogarniają również całości wszystkich skomplikowanych etapów rewolucyjnych przemian. Byłaby to książka typowa dla okresu przynoszącego pierwsze pozycje o tematyce współczesnej. Na obecnym etapie o wiele wyraźniejsza i pełniejsza może być zarówno korektura tych treści poznawczych, jakie książka zawiera, jak i krytyka jej wielu niedociągnięć artystycznych. Oczywiście, krytykować dziś powieść Mortona jest dosyć łatwo. Oczekujemy wielu jeszcze książek o tematyce pierwszych reform na wsi po-

wojennej, książek na pewno pełniejszych i głębszych od powieści Mortona. Ale nie zapominajmy, że będzie to już droga łatwiejsza, bo ułatwiona między innymi przez zwycięstwa i błędy tych, którzy jak Morton przedzierali się pierwsi przez gąszcz trudnych problemów, którzy ambitnie podjęli się realizacji twórczej postulatów jakże młodego wówczas (w latach pisania W i e l k i c h d n i) realizmu socjalistycznego.

Helena Zaworska

N A W I D N O K R Ę G U

CZEMU PAN MAC CARTHY ZARADZIĆ NIE MOŻE

Wśród wielu mistrzów amerykańskiej autoreklamy, którzy przejdą do „historii", figurować będzie niewątpliwie również i nazwisko senatora Mac Carthy'ego, do niedawna mało komu znanego „cowboya" ze Środkowego Zachodu, a dziś symbolu wręcz poważnej części kół rządzących w USA.

W ostatnimo kresie senator Mac Carthy, którego wystąpienia na forum polityki zagranicznej nosiły dotychczas raczej negatywny charakter — mianowicie były to cotygodniowe enuncjacje i rewelacje o „komunistach" w i na czele Departamentu Stanu USA — przeszedł do bardziej aktywnej i pozytywnej działalności. Senator Mac Carthy przystąpił mianowicie do prowadzenia na własną rękę rokowań międzynarodowych. Trzeba przyznać, że nawet wielu wypróbowanym reakcjonistom amerykańskim napsuło to sporo krwi. Tym bardziej że zakres międzynarodowej działalności senatora Mac Carthy nie był najszczęśliwiej wybrany. Senator Mac Carthy — zgodnie ze swą dewizą *cherchez le communiste* — zajął się bowiem kwestią wymiany handlowej pomiędzy krajami świata kapitalistycznego a obozem socjalistycznym.

Jak wiadomo, wspomniana wymiana handlowa została w rezultacie bardzo ostrego i bardzo wszechstronnego nacisku i szantażu amerykańskiego wobec sojuszników i partnerów USA sprowadzona do minimum jeszcze w 1951, a tym bardziej w roku ubiegłym. W ostatnim okresie występują jednak coraz to wyraźniej oznaki, iż tzw. problem wymiany Wschód-Zachód staje się jednym z węzłowych zagadnień ekonomicznych świata kapitalistycznego, a co za tym idzie, przedmiotem niezwykle ożywionych dyskusji. Trzeba też stwierdzić, że kierunek rozwojowy tych dyskusji nie sprzyja powodzeniu akcji senatora Mac Carthy. Coraz więcej bowiem wpływowych kół kapitalistycznych wielu krajów zachodnich dochodzi do wniosku, że wymianę z obozem socjalistycznym należy rozszerzyć, a nie zwęzić jeszcze bardziej. „Rokowania", jakie nawiązał Mac Carthy z armatorami paru państw kapitalistycznych, domagając się od nich podpisania zobowiązań, że nie będą przewozić towarów do krajów obozu socjalistycznego, nie mogły w tych warunkach nie wywołać ożywionych protestów. Wyczyn senatora przyczynił się natomiast, wbrew jego intencjom, do ułatwienia odpowiedzi na pytanie dość istotne dla toczącej się w prasie i wśród kół gospodarczych Zachodu dyskusji: mianowicie, kto ponosi winę za aktualny, wysoce niezadawalający stan wymiany Wschód-Zachód.

25 kwietnia zakończyła się w Genewie konferencja ekspertów handlowych

z ZSRR, Ukrainy, Polski, Czechosłowacji, Rumunii, Bułgarii, Węgier, Albanii i NRD z jednej i Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec zachodnich, Belgii, Holandii, Luksemburga, Danii, Szwecji, Norwegii, Islandii, Finlandii, Włoch, Grecji, Portugalii i Szwajcarii — z drugiej strony. W plenarnych posiedzeniach konferencji, która odbywała się pod auspicjami Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ, uczestniczyli również przedstawiciele Stanów Zjednoczonych. Konferencja genewska miała na celu omówienie problemów związanych ze wzmożeniem wymiany handlowej pomiędzy wschodnią i zachodnią Europą, przy czym zadaniem ekspertów nie było prowadzenie formalnych rokowań handlowych, lecz wzajemne zorientowanie swych krajów w możliwościach i dążeniach drugiej strony w dziedzinie rozwoju handlu Wschód-Zachód. Konferencja genewska, wedle oceny sekretarza generalnego Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ, szwedzkiego ekonomisty Myrdala, była „najdonioślejszym i zarazem najbardziej napawającym otuchą spotkaniem ekspertów handlowych w ciągu ostatnich 6 lat". Myrdal, wskazując, że przeprowadzone rozmowy „miały charakter przygotowawczy i były wstępem do przyszłych pertraktacji handlowych, jakie odbędą się w poszczególnych stolicach", uznał przebieg obrad za „dobry start dla stopniowej normalizacji stosunków handlowych między krajami Europy wschodniej i zachodniej".

Prasa kapitalistyczna dość jednomyślnie podziela opinię Myrdala. Poważny kapitalistyczny dziennik brytyjski Financiel Times, zamieszczając końcowe przemówienie Myrdala, wskazał od siebie, że w Genewie przeprowadzono ponad 100 dwustronnych rozmów pomiędzy uczestnikami konferencji i że te dwustronne rozmowy były w dużym stopniu owocne. Nawet amerykański New York Times z kwaśną miną przyznaje, iż „w Genewie utrzymuje się przekonanie, że postępy osiągnięte w czasie rozmów ekspertów są wystarczające, by usprawiedliwić nadzieje na rozszerzenie wymiany w drodze dalszych pertraktacji dwustronnych".

Nie przesądzając słuszności cytowanych opinii można jednak zainteresować się kwestią, czym prasa zachodnia uzasadnia taki właśnie przebieg obrad genewskich.

Na pierwszy plan wysuwa się niedwuznacznie przyznanie, iż delegaci krajów obozu socjalistycznego wykazali maksimum dobrej woli, traktując perspektywy rozszerzenia wymiany handlowej jako zarazem gospodarczo korzystne i politycznie sprzyjające umocnieniu pokoju. Brytyjski Birmingham Post, organ przemysłu maszynowego Wielkiej Brytanii, pisał: „Atmosfera, jaka wytworzyła się w toku rozmów genewskich była bardzo dobra. Eksperci zachodni byli wręcz zaskoczeni, jak głęboko praktyczny i realistyczny był charakter radzieckich propozycji handlowych... Bardziej rozwinięte kraje bloku wschodniego podkreśliły chęć importu większych ilości surowców potrzebnych dla ich szybko rozwijającego się przemysłu. Fakt ten może mieć doniosłe znaczenie dla tych zamorskich krajów szterlingowych, które w dalszym ciągu poszukują stałych rynków dla swoich głównych surowców. Wiadomo również, że Wschód pragnąłby zwiększyć swój import wyrobów zachodniego przemysłu maszynowego. Jakkolwiek nie ujawniono typu produktów tego przemysłu, które mogłyby być sprowadzane przez kraje wschodnio-europejskie, twierdzi się, iż żądania ich były realne w tym sensie, że nie domagano się sprzedaży takich towarów, o których wiadomo, że znajdują się na embargowych listach w zachodnim systemie licencjonowania eksportu". Z drugiej strony — stwierdził dziennik —

eksperci zachodni byli wręcz „zaskoczeni i nie przygotowani do omówienia ofert przewidujących tak wielkie ilości różnorodnych towarów radzieckich" i dlatego „musieli pośpiesznie kontaktować się ze swymi rządami, prosząc o dodatkowe instrukcje". Agencja Reutera stwierdza również, że „listy towarów eksportowych i importowych, przedłożone przez przedstawicieli krajów wschodnio-europejskich, były w zasadzie i dłuższe i bardziej urozmaicone od tych, jakie przygotowano na konferencję handlową w Moskwie w kwietniu ubiegłego roku". Wiadomo skądinąd, jak bogate i urozmaicone były owe listy z kwietnia roku ubiegłego. Jeśli na agencji Reutera propozycje obecne czynią dużo większe wrażenie, odzwierciedla to w znacznym stopniu drugą przyczynę pozytywnego, zdaniem zachodnich obserwatorów, przebiegu obrad genewskich.

Przedstawiciele państw kapitalistycznych przybyli do Genewy kierując się na ogół rosnącym poczuciem, iż dla ich krajów wzmożenie wymiany z państwami obozu socjalistycznego jest ekonomiczną koniecznością. Amerykańska agencja UP pisze: „Rozmowy genewskie nie natrafiły na przeszkody m. in. dlatego, że Europa zachodnia zaczęła rezygnować z nadziei, by Stany Zjednoczone w dostateczny sposób obniżyły bariery celne. To z kolei sprawiło, iż zaczęły ją jeszcze bardziej interesować oferty radzieckie, niż to miało miejsce w przeszłości". Również amerykańska Washington Star wywodzi boleściwie: „Mądra i owocna na dalszą metę strategia radziecka opiera się na fakcie, że szereg krajów zachodnio-europejskich gorączkowo poszukuje rynków oraz na tym, iż na wschód od tych krajów znajduje się rejon rynków potencjonalnie olbrzymich". Washington Star jest zdania, że tej presji ekonomicznej „nie uda się Stanom Zjednoczonym rozładować ani subsydiami dla zagranicy, ani też politycznym czy ideologicznym poklepywaniem po ramieniu. Siła przyciągająca atrakcyjnych rynków wschodnich i potencjalnych tamtejszych źródeł surowca ma podstawowe znaczenie dla przemysłu krajów Europy zachodniej".

Cytowane opinie amerykańskie potwierdza też pośrednio fakt, że delegacje zachodnio-europejskie na konferencji genewskiej obejmowały również osobistości reprezentujące poważne koła wielkokapitalistyczne. Tak np. Birmingham Post w artykule, w którym zaleca Wielkiej Brytanii, aby była przygotowana do skutecznego udziału w „międzynarodowym wyścigu na rynki wschodnie", ostrzega zarazem rząd brytyjski przed konkurencją w tym oczekiwanym „wyścigu": „Reprezentacja brytyjska w Genewie — żali się pismo — była w porównaniu z reprezentacjami innych krajów dość słabiutka, tym bardziej że składem delegacji zachodnio - niemieckiej zainteresowany był świat wielkiego kapitału Trizonii. Francuzi również nie zapoznawali możliwości. Koła londyńskiej City były faktycznie nieco zaskoczone i czuły się z lekka nieswojo, gdy doszło do ich wiadomości, jak silna, choć wcale nie reklamowana, była handlowa delegacja francuska: w jej skład wchodzili nie tylko przedstawiciele przodujących firm przemysłu maszynowego, ale również reprezentanci znacjonalizowanego Banku Handlu Zagranicznego, Banku Indochin i Messageries Maritimes. Prowadził delegację pan Bernard de Plas, o którym w Londynie sądzą, że jest nieprawdopodobne, by robił cośkolwiek, co dezaprobuje rząd francuski". Birmingham Post zarzuca rządowi brytyjskiemu, iż „za bardzo boi się obrazić Amerykanów", co, zdaniem dziennika, jest tym niesłuszniejsze, że pewne wielkokapitalistyczne koła USA mogą być podobno podejrzewane o „rozwiązanie możliwości podjęcia wkrótce handlu pomiędzy USA i krajami za żelazną kurtyną".

Wspomniano wyżej, iż Birmingham Post jest blisko związany z brytyjskim przemysłem maszynowym. Stanowisko tego pisma nie może więc dziwić nikogo, jeśli dodamy, że portfel zamówień brytyjskiego przemysłu maszynowego skurczył się w ostatnim okresie z równowartości 24 do równowartości 9 miesięcy produkcji i że zarazem „konkurencja amerykańska staje się coraz twardsza.“ (Observer). Rzecz w tym, iż mniej więcej podobne objawy występują w znakomitej większości przemysłów zachodnioeuropejskich i że konkurencja amerykańska oraz amerykańskie bariery celne dają się przedsiębiorcom Europy zachodniej coraz mocniej we znaki.

Delegaci USA w Genewie brali, jak wspomniano, udział tylko w posiedzeniach plenarnych i, jak pisze Birmingham Post, mieli „słabą pozycję“. Nie powinni być zaskoczeni, jeśli dochodzące z USA sygnały (dziennikowi chodzi o debatę w Kongresie w sprawie ustawodawstwa celnego nacechowaną wzrostem protekcjonizmu handlowego w USA oraz zapowiedź radykalnej redukcji tzw. pomocy dla zagranicy — K.W.) będą interpretowane przez Europejczyków jako „ani pomocy, ani handlu“. Nie będą też mogli oni wystąpić z rozsądnym protestem, jeśli ci sami Europejczycy wykorzystają wszelkie możliwości rozszerzenia wymiany z krajami bloku wschodniego“.

Powyższy przegląd dostatecznie zapewne ilustruje wypowiedzianą wyżej opinię, iż senator Mac Carthy, którego można w tym wypadku potraktować jako reprezentatywną osobistość, źle wybrał się ze swą inicjatywą „międzynarodowych rokowań“ w sprawie ograniczenia „wymiany z komunistami“. Uwagi wymaga jednak fakt właśnie owej reprezentatywności rozjuszonego senatora. Londyński dziennik Times pisze, że „w Stanach Zjednoczonych wydaje się zyskiwać na terenie idea, jakoby handel z krajami komunistycznymi był grzechem sam w sobie. Ignoruje się fakt, że w handlu zyskują obie strony i że właśnie w handlu z krajami komunistycznymi zysk może być dla wolnych krajów (wybaczmy terminologię—K.W.) co najmniej równie duży jak dla komunistów. Polityka Mac Carthy'ego, o ile takie pomysły godne są w ogóle nazwy polityki, oznaczałaby stan ogólnej wojny na froncie handlowym“.

Times w pewnym stopniu odsłania więc przyczyny, dla których opinie senatora „zyskują na terenie“ we wpływowych kołach Stanów Zjednoczonych. Rozwój wymiany międzynarodowej jest bowiem ściśle związany z kształtowaniem się sytuacji politycznej. Słusznie pisze organ finansjery szwedzkiej, Finanstidningen, że „o ile polityczne odprężenie będzie się rozwijało w tempie postępu arytmetycznego, może ono spowodować, iż kraje Europy zachodniej zaczną wzacniać swój nacisk na rozszerzenie handlu ze Wschodem w postępie geometrycznym“. Słuszne jest jednak również i odwrotne twierdzenie — wzrost dążenia do szeroko zakrojonej wymiany handlowej sprzyja wzrostowi tendencji pokojowych. Że zaś u podstawy tych dążeń leży — jeśli chodzi o kraje Europy Zachodniej — konieczność ekonomiczna, prosta pochodna praw działających na zwężającym się rynku kapitalistycznym — senator Mac Carthy i jego mocodawcy mogą wprawdzie przeszkadzać, mogą sporo — w przeciwnym wypadku owocnych — wysiłków zniweczyć. W gruncie rzeczy jednak zaradzić temu rozwojowi nie mogą. Jakwiek — mówiąc językiem Birmingham Post — „ze względu na talent do zbytnich uproszczeń“, pan senator i jego bliscy nie są tego skłonni pojąć.

Krzysztof Wolicki

7.V.1953.

DYSKUSJA O SATYRZE RADZIECKIEJ

W referacie sprawozdawczym na XIX Zjeździe KPZR Georgij Malenkow wytknął literaturze radzieckiej, że — zarówno w beletrystyce, jak w dramaturgii i kinematografii — nie uprawia takiego rodzaju twórczości artystycznej, jak satyra. W ciągu 8 miesięcy, które upłynęły od XIX Zjazdu Partii, dyskusja nad zagadnieniami satyry *) rozwinęła się, objęła wszystkie formy i przejawy twórczości satyrycznej, toczy się nadal i wciąga coraz szersze kręgi pisarzy, krytyków i teoretyków literatury, artystów, działaczy teatralnych i filmowych, czytelników i widzów.

Dużo uwagi poświęca zagadnieniom satyry prasa partyjna. W ostatnim numerze zeszłorocznym (22/53) czasopisma KC KPZR Kommunist ukazał się artykuł J. Elsberga Klasycy satyry rosyjskiej a literatura radziecka, omawiający najistotniejsze zagadnienia satyry radzieckiej, jej wielkie znaczenie ideowo-wychowawcze.

Rozwojowi satyry radzieckiej nadawały i nadają kierunek wypowiedzi Lenina i Stalina w sprawie krytyki i samokrytyki w ogóle, i w sprawie satyry w szczególności, a także uchwały KC Partii w sprawach ideologicznych. Konieczność satyrycznego „prześladowania tego, co niecne" głosił Lenin już w roku 1918 w artykule O właściwościach naszych gazet. W roku 1922 Lenin zwrócił uwagę na znakomity wiersz satyryczny Majakowskiego Posiedzeniarze, akcentując polityczne znaczenie wyszydzenia w tym wierszu bolączki nadmiernego i przewlekłego konferowania. Lenin wzywał do śmiałego demaskowania podobnego rodzaju braków i niedociągnięć.

Mówiąc wówczas o różnych głupstwach, jakie popełnia się w okresach przejściowych, w okresach rewolucji — Lenin tak określił partyjną postawę wobec nich: „Na te głupstwa należy patrzeć trzeźwo i nielękliwie, powinniśmy się tego uczyć my, rewolucjoniści.

W rewolucji tej dokonaliśmy tak wiele rzeczy niezaprzeczalnych, które już zwyciężyły ostatecznie i o których wie już cały świat, iż w żadnym wypadku nie mamy się czego detonować i denerwować". (W. I. Lenin. Dzieła, wyd. ros. IV, tom 33; str. 197).

Istotę satyry ujął w prostych słowach Józef Stalin w liście do poety A. Bezymieńskiego (1930) w sprawie dwóch jego utworów satyrycznych: Wystrzał i Dzień naszego życia. „Patos ich — czytamy w tym liście — polega na szczególnym nacisku położonym na niedomagania naszego aparatu i na głębokiej wierze w możliwość naprawienia tych niedomagań. To jest rzeczą główną i w Wystrzale, i w Dniu naszego życia. To stanowi też ich zasadniczą wartość. (J. W. Stalin. Dzieła, Warszawa, 1951, tom 12; str. 205—206).

Na tym właśnie polega twórcza siła życiowa satyry radzieckiej, że — stawiając ostro zagadnienie braków i niedomagań, demaskując i wypalając z życia i świadomości ludzi zacofanych przeżytki burżuazyjne — satyryk daje w swoim utworze wyraz głębokiej wierze w możliwość naprawienia, usunięcia tych braków i niedomagań, wykarczowania tych przeżytków i przywar. Partia dopomogła satyrze radzieckiej w stworzeniu świetnych wzorów krytyki społecznej, prześladowania tego, co niecne, a także wzorów bezlitosnego

*) O jej początkowym przebiegu czytelnik Twórczości znajdzie bliższe szczegóły w numerze 1/53 w artykule Zagadnienie satyry w Związku Radzieckim.

piętnowania imperialistów. Utwory satyryczne i wypowiedzi teoretyczne Gorkiego i Majakowskiego, twóczość Demiana Biednego, A. Tołstoja i Erenburga — wytyczyły szlak rozwoju satyry radzieckiej.

W okresie powojennym partia niejednokrotnie wskazywała pisarzom radzieckim drogi, jakimi powinien pójść rozwój satyry. Uwieńczeniem tej akcji uaktywniania satyry radzieckiej była wypowiedź Malenkowa na XIX Zjeździe Partii.

Omawiając stan satyry radzieckiej w okresie powojennym, Elsberg podkreśla, że tak świetnie opracowywane przez radzieckich satyryków (Simonow, Marszak, Bażan, Erenburg, Gałan, Jakobson i in.) tematy międzynarodowe, piętnowanie reakcji imperialistycznej — nadal pozostają jedną z najważniejszych dziedzin twórczości satyrycznej. Zdaniem Elsberga — w ostatnich latach ostrze satyry radzieckiej o tematyce krajowej przytępiło się z różnych przyczyn, m. in. pod wpływem sławetnej „teorii bezkonfliktowości", pod wpływem nieuzasadnionych sądów, że rzekomo „satyra na tematy wewnętrzne w ogóle nie jest powołana do spełnienia w literaturze radzieckiej jakiejkolwiek wybitnej roli".

Rozwojowi satyry przeszkadzał brak opracowania przez teorię literatury zagadnienia typowości, zaniedbanie prac nad pojęciem typu satyrycznego, które to wyrażenie wyszło niemal z użycia. Przy sposobności warto przypomnieć, jak określił typ satyryczny Gorki, zwracając się do młodych pisarzy:

„Gdy opisujecie jakiegoś lenia, wydrwigrosza, pijanicę Iwanowa, to trzeba uogólnić; przecież nie wyłącznie on, Iwanow, jest leniem, wydrwigroszem, pijanicą, ale są i inni... Nakreślcie typ, opiszcie go tak, ażeby wszyscy wydrwigrosze poznali w tym typie — siebie..." W związku z tym nie od rzeczy będzie też zacytować przytoczone przez Elsberga plastyczne wyrażenie Bielińskiego: „...dla czytelnika każdy typ jest dobrze znanym nieznajomym".

Elsberg wysuwa postulat, by badacze literatury przede wszystkim opracowali zagadnienie wpływu rosyjskiej satyry klasycznej, a zwłaszcza satyry rewolucyjno-demokratycznej, na rozwój satyry radzieckiej.

W licznych artykułach traktujących o zagadnieniach satyry radzieckiej, we wszystkich wystąpieniach w dyskusji o satyrze, w recenzjach i przeglądach utworów pism satyrycznych omawiane są szeroko sprawy teorii satyry.

W opublikowanym na łamach Zwiezdy (Nr 2/53) artykule Wychodcewa i Jerszowa Odważniej opracowywać teorię satyry, autorzy, dociekając przyczyn zahamowania rozwoju teorii satyry, dochodzą do wniosku, iż tu również pokutują resztki wpływów pewnej „teorii" z lat trzydziestych: teorii „satyry pozytywnej", „bezgniewnej", „bezżółciowej". Tym samym zwolennicy tej „teorii" pozbawiali satyrę jej cech najbardziej istotnych: bojowości, ofensywności. W roku 1912 Lenin pisał do redakcji Prawdy: „...Pisać o tym, co szkodliwe, bez „gniewu" — to znaczy. pisać nudno." (W. I. Lenin. Dzieła wyd. ros. IV, tom 35, str. 23). Chybia więc celu satyra pozbawiona gniewu, pasji satyrycznej. Nie rozumieją tego niektórzy teoretycy literatury, a nawet autorzy podręczników teorii literatury (o czym niżej).

„Pomyślny rozwój satyry — czytamy w artykule Wychodcewa i Jerszowa — w znacznym stopniu zależy od głębokiego opracowania teoretycznego jej podstaw estetycznych. Dla stworzenia prawdziwie naukowej teorii satyry zasadnicze znaczenie posiadają prace kla-

syków marskizmu-leninizmu, dorobek krytyki rewolucyjno-demokratycznej, twórczość protoplastów satyry radzieckiej — Gorkiego i Majakowskiego".

Wracam do artykułu Elsberga o znaczeniu satyry klasycznej. „Satyra rosyjska — wywodzi Elsberg — była mocno związana z postępową myślą rosyjską, z ruchem rewolucyjnym... Klasyczna satyra rosyjska XIX wieku spełniła wybitną rolę w ideowym przygotowaniu rewolucji rosyjskiej". Pierwszym teoretykiem satyry rosyjskiej był Bieliński. Klasycy satyry: Gogol i Szczedrin — w szczególności Szczedrin — z całą ostrością stawiali zasadnicze problemy polityczne nurtujące społeczeństwo rosyjskie.

W chłostaniu panującego ustroju biczem gniewnej satyry dla klasyków rosyjskich natchnieniem były ideały rewolucyjno - demokratyczne, „ideały przyszłości" — jak wyraził się Szczedrin. Szczedrin był nie tylko znakomitym satyrykiem, pracował również nad teorią satyry. „By satyra rzeczywiście była satyrą — głosił Szczedrin — by osiągała swój cel, trzeba, po pierwsze — ażeby dawała odczuć czytelnikowi ten ideał, z którego założeń wychodzi jej twórca, a po wtóre, ażeby całkowicie jasno obejmowała świadomością przedmiot, przeciw któremu kieruje swe żądło."

Satyra radziecka pracuje w warunkach historycznych zupełnie innych niż klasyczna satyra rosyjska. Z tych nowych warunków, nowej treści życia i nowych zadań wyrasta nowatorski charakter satyry radzieckiej, która — w przeciwieństwie do burzącej roli satyry rosyjskiej XIX wieku — przyczynia się do wzmocnienia istniejącego ustroju, ustroju radzieckiego.

Ten charakter satyry radzieckiej Elsberg ilustruje na przykładzie satyrycznego ujmowania bytowej strony życia, którą Gogol i Szczedrin trafnie nazywali „drobnostkami życiowymi". Walka klasyków ze „wstrząsającą, bagnistą topielą drobnostek, które opętały nasze życie (Gogol)" nabierała ostrości walki politycznej i rewolucyjno-demokratycznego demaskowania ustroju, który wciąga naród w „bagnistą topiel drobnostek życiowych", ogłupia go i przytępia małostkowością i płytkością powszedniego bytu burżuazyjnego.

„A jak celnie — pisze Elsberg — to obrazowe określenie Gogola i Szczedrina piętnuje dzisiaj otępiający prostego człowieka, służący interesom podżegaczy wojennych i zachwalany przez ich ideologicznych sługusów — „amerykański styl życia". Ustrojowi radzieckiemu, który wyzwala człowieka z niewoli wszelkich „drobnostek", już z samej istoty nienawistne jest wszelkie otępianie i poniżanie człowieka. Tylko ludzie zacofani zamykają się w skorupie „drobnostek", zasklepiają się w kręgu swoich egoistycznych, małostkowych spraw i interesów. Tacy ludzie są — według wyrażenia Majakowskiego — zdolni do „wielu różnych łotrostw i bzdur".

Odtwarzając satyrycznie „drobnostki życiowe" Gogol i Szczedrin rozsadzali podwaliny ustroju obszarniczo-burżuazyjnego. Inaczej ma się rzecz w satyrze radzieckiej. „Krytykując podporządkowanie się „drobnostkom życiowym" — kontynuuje swoje wywody Elsberg — upatrując w tym przeżytek kapitalizmu satyryk radziecki daje do zrozumienia, że takie wady i przeżytki można i należy wykorzenić ze świadomości i z życia, albowiem są one wrogie ogólnemu porządkowi życia radzieckiego. Tym samym satyryk dopomaga w umocnieniu radzieckiego ustroju społecznego".

Uzbrojeni w oręż marksizmu-leninizmu satyrycy radzieccy widzą jasno zwycięstwo nowego nad starym i dlatego twórczość ich przenika taki optymizm,

taka twórcza siła życiowa, jaka — oczywiście — nie mogła być udziałem satyryków klasycznych, którzy rewolucyjne przemiany przyszłości tylko przeczuwali, przewidywali.

Oczywiście, to co stare i negatywne nie ustępuje tak łatwo pod uderzeniami nowego życia, zło maskuje się, przyczaja, a ludzie fałszywi usiłują ukryć swój nędzny charakter. „Satyra radziecka — pisze Elsberg — powinna nauczać rozpoznawać to, co stare, poznawać nosicieli chorób i wad, bez względu na to, pod jakimi ukrywają się larwami i jakimi przeszłymi zasługami się chełpią".

Zadania te wymagają od satyryka śmiałego, bezkompromisowego stawiania i zaostrzania sprawy tych lub owych niedomagań, braków — oczywiście — z zachowaniem poczucia miary i proporcji istniejących w rzeczywistości, z zachowaniem prawdy życiowej. Wywody swoje autor omawianego artykułu zilustrował na przykładach najcelniejszych felietonów satyrycznych opublikowanych w Prawdzie, Krokodylu i innych czasopismach. Elsberg apeluje do pisarzy, by za przykładem Majakowskiego i Biednego, jako autorzy felietonów satyrycznych, brali żywy udział w działalności dziennikarskiej.

Zagadnienie felietonów satyrycznych żywo interesuje krytyków i teoretyków satyry. W omawianym artykule Wychodcewa i Jerszowa również został zanalizowany ten rodzaj twórczości satyrycznej. „Siła i skuteczność znakomitych felietonów Prawdy — piszą autorzy artykułu — tkwi przede wszystkim w szerokim przedstawieniu typowych zjawisk życiowych". Biorąc za podstawę ściśle konkretny fakt felietoniści wydobywają zeń syntezę społeczno-wychowawczą w drodze artystycznego uogólnienia, przy czym nie ograniczają się do demaskowania i piętnowania nosicieli przeżytków, wad i przywar, ale i wskazują palcem ich otoczenie, środowisko, z jakiego czerpią pożywkę.

Autorzy różnych artykułów i recenzji zgodnie podkreślają, iż od pewnego czasu znacznie podniósł się poziom felietonów satyrycznych drukowanych w Krokodylu. Tą stroną działalności tego — również i daleko poza granicami Związku Radzieckiego — bardzo popularnego centralnego czasopisma humorystycznego*) zajął się szczegółowo Guralczyk w artykule recenzyjnym Śmiech śmiechowi nierówny (Oktiabr nr 2/53). Omawiając poszczególne rodzaje satyry uprawiane na łamach Krokodyla; autor artykułu uważa to pismo za „swojego rodzaju twórcze laboratorium radzieckiej literatury satyrycznej", Guralczyk podkreśla wartość świetnych felietonów satyrycznych Krokodyla. Jednak — oprócz felietonu satyrycznego, będącego gatunkiem literackim elastycznym, operatywnym i aktywnym, w którym z takim powodzeniem pracują: I. Riabow, S. Nariniani, A. Wasilew i inni — w Krokodylu od czasu do czasu ukazują się blisko spokrewnione z felietonem — opowiadania satyryczne.

Piętnując zło — przede wszystkim w danym, konkretnym jego nosicielu — autor felietonu ma, zdaniem Guralczyka, ograniczone możliwości tworzenia realistycznej fikcji literackiej, uogólnienie zaś ma w felietonie przeważnie charakter syntezy logicznej, w mniejszym stopniu — artystycznej. „Felieton — pisze autor omawianego artykułu — nie może zastąpić opowiadania,

*) Przy sposobności pragnę poinformować czytelnika, że czasopiśmiennictwo humorystyczne jest szeroko rozwinięte w całym Związku Radzieckim; na przykład na Ukrainie wychodzi dobrze redagowany Perec, na Białorusi — Wożyk, w Gruzji — Niangi, w Azerbejdżanie — Kirpi, w Uzbekistanie — Musztuma, w Tatarii — Czajana. Poza tym — wiele regionalnych, zawodowych, fabrycznych gazet prowadzi stałe działy humoru i satyry.

gatunku bardziej chłonnego i pojemnego, artystycznie bardziej sugestywnego".

W wyborze rodzaju satyrycznego — opowiadania czy felietonu, w wyborze formy i środków artystycznych satyryk powinien kierować się potrzebami społeczno-wychowawczymi i rodzajem zła, które ma zamiar wyśmiać, napiętnować, wyplenić. Guralczyk wyraża pogląd, że satyryk musi uwzględniać specyficzne właściwości satyry i humoru.

Przy sposobności pragnę podkreślić, że teoretyczny problem stosunku humoru do satyry poruszyli w swoich artykułach zarówno Elsberg jak i Wychodcew i Jerszow, odrzucając — ich zdaniem scholastyczną — definicję satyry i humoru zawartą w podręczniku teorii Timofiejewa (1948). Powołując się na Arystotelesa Timofiejew przeciwstawia sobie te dwa pojęcia; uważa on, że „...humor, w istocie swej, jest negacją szczególnej, mniej ważnej strony zjawiska, satyra zaś jest negacją tego, co ogólne, zasadnicze." Według Timofiejewa „... autor postaci humorystycznej odnosi się z sympatią do opisywanego zjawiska, lecz jednocześnie pokazuje w nim poszczególne braki." ...„W tym wypadku, gdy braki, niedociągnięcia w zjawisku nie dają możności ustosunkowania się do zjawiska z sympatią, a ocena ma przybrać surowszy charakter, obserwujemy w postaci humorystycznej wzmożenie pierwiastka negacji; przechodzimy od humoru do satyry".

Celem zbicia tez Timofiejewa Elsberg przytacza określenie W. Bielińskiego, że „...u podwalin satyry powinien leżeć bardzo głęboki humor". Szczedrin również występował przeciw liberalnej „teorii humoru", która głosiła, że humorystyka w stosunku do opisywanych zjawisk kieruje się „wielkodusznością, dobrotliwością i sympatią". „Naturalnie — pisze Elsberg — humor bywa różnorodny, a żartobliwe, humorystyczne opowiadanie o dobrych ludziach radzieckich ma pełne prawo do istnienia. Koncepcja jednak, o której była mowa (Timofiejewa) rozpatruje humor i satyrę w oderwaniu od życia, od walki klasowej, ideowej, zamazuje problem treści tego czy owego utworu humorystycznego, prowadzi do usprawiedliwienia połowicznej i pobłażliwej krytyki niedomagań, do pokpiwania".

Sprawa nakładania barw humorystycznych i satyrycznych wiąże się więc ściśle z dokładnym ustaleniem tych pojęć. Satyra — podobnie jak i humorystyka — wymaga umiejętnego stosowania licznych, właściwych jej odcieni i barw, wymaga pełnego wykorzystania jej niezwykłej elastyczności z największą korzyścią dla sprawy społecznej. Guralczyk określa to tymi słowami: „Siła ciosu wymierzonego przez satyryka musi być obliczana i wytyczana w zależności od tej realnej groźby, jaką dla narodu, dla społeczeństwa przedstawia dane zło. Nieumiejętność obliczenia siły uderzenia, brak proporcji między rozmiarem zła a mocą satyrycznego zdemaskowania powoduje przesunięcie perspektywy i zarazem zakłócenie wewnętrznej jedności, a zatem — także i logiki artystycznej utworu."

Oczywiście, satyryk musi stale pamiętać o jakościowej różnicy pomiędzy — usuwalnym w drodze ideowo-wychowawczego oddziaływania satyry — błędem człowieka radzieckiego a przestępstwem wroga. I do jednego i do drugiego zjawiska należy ustosunkować się nieprzejednanie, bezkompromisowo. W swojej twórczości satyryk nie może jednak ograniczyć się do literackiego ilustrowania ogólnie znanych sytuacji, wymagających interwencji satyryka. Zdaniem Guralczy-

ka... „satyryk powinien być pierwszym odkrywcą, a nie komentatorem. Satyryk nie może poprzestać na rejestrowaniu niedomagań, powinien je ujawniać, odkrywać i pierwszy o nich sygnalizować".

Te cele przyświecają pisarzom uprawiającym wszelkie rodzaje twórczości artystycznej. Toteż w prasie partyjnej, literackiej, artystycznej ukazują się często artykuły na temat zagadnień bajkopisarstwa, satyry estradowej, satyry teatralnej, dramaturgii satyrycznej*). Sprawy satyry są przedmiotem publicznych dyskusji, ankiet wśród czytelników i widzów, przedmiotem narad i konferencji twórców i odbiorców satyry radzieckiej.

8 kwietnia br. na posiedzeniu Prezydium Związku Pisarzy Radzieckich ZSRR odbyła się z udziałem aktywu pisarskiego dyskusja o stanie i drogach rozwojowych radzieckiej komedii satyrycznej. Zagadnienie to niemal nie schodzi ze szpalt prasy. Każda recenzja z nowowystawionej komedii satyrycznej staje się punktem wyjścia do ogólnych rozważań na temat satyry. Przedmiotem dyskusji w Prezydium Związku Pisarzy było pięć nowych sztuk radzieckich. Zguba Pompiejewa M. Wirty, Raki S. Michałkowa, Anonim S. Narinianiego, Bez wymieniania nazwisk ukraińskiego pisarza W. Minki i Szczera rozmowa L. Zorina.

Referat O kilku zagadnieniach satyry radzieckiej wygłosił krytyk i badacz literatury E. Surkow, który na wstępie omówił — znane nam z cytowanego wyżej listu Stalina do Bezymieńskiego — określenie istotnych zadań satyry. W twórczości swej Bezymieński poszedł drogą wytyczoną przez Majakowskiego — zarówno w pojmowaniu istoty satyry, jak i w praktycznym ujęciu jej zadań. Majakowski walczył ze zjawiskami negatywnymi w ścisłym powiązaniu z dążeniem do stworzenia postaci i obrazów pozytywnych, zdrowych, twórczych życiowo. Surkow cytuje słowa wielkiego poety wypowiedziane na publicznej dyskusji o jego znakomitej komedii satyrycznej Łaźnia: „Chciałoby się... dać nie tylko rzecz krytykującą, ale i ożywcze, podniosłe sprawozdanie, jak klasa robotnicza buduje socjalizm".

Najlepsze wzory rewolucyjnej twórczości satyrycznej, najlepsze sztuki współczesne — mówił Surkow — odznaczają się: gruntownym zespoleniem, pełnym powiązaniem negacji z afirmacją, umiejętnością przekształcenia walki z nosicielami wrogich sił w głoszenie tego, co tętni zdrowiem, zdolnością i radością tworzenia. Nie można stawiać i rozwiązywać zagadnień rozwojowych radzieckiej komedii satyrycznej, jeśli się — zdaniem Surkowa — „...nie ustaliło, w jakim stopniu i jak dalece autorzy komedii poprzez negację, poprzez walkę z pierwiastkami wrogimi dochodzą do afirmacji pozytywnych sił naszego społeczeństwa, do nakreślania perspektywy rewolucyjnego rozwoju naszego kraju".

Ze sprawą tą wiąże się zagadnienie ustawienia w komedii satyrycznej po-

*) Rzecz charakterystyczna: publikuje się nie tylko wiele artykułów i prac poświęconych wpływowi satyry klasycznej na kształtowanie się satyry radzieckiej, lecz nawet artykuły okolicznościowe o wielkich poetach i pisarzach ujmuje się pod kątem potrzeb toczącej się dyskusji o satyrze. Np. 14.IV br. w rocznicę śmierci Majakowskiego ukazał się w Litieraturnej Gaziecie artykuł W. Baskakowa Satyra Majakowskiego i tradycje Szczedrina (komedie satyryczne Majakowskiego — Łaźnia i Pluskwa były szeroko omawiane na styczniowej dyskusji o Majakowskim); w artykule Z. Kociubińskiej-Jefimowej poświęconym 40-leciu śmierci ukraińskiego pisarza rewolucyjnego M. Kociubińskiego główny akcent położono na jego spuściznę satyryczną (Rewolucyjna satyra Kociubińskiego, Litieraturnaja Gazieta, Nr 50 z 24. IV. bieżącego roku.)

staci negatywnych i pozytywnych. Do postaci tych należy podchodzić pod kątem widzenia typowości, zgodnie z jej określeniem danym przez Malenkowa na XIX Zjeździe KPZR. Znaczy to, że pisarz powinien w postaciach tych ukazać obrazy zaostrzone, maksymalnie zagęszczone. Na tym właśnie polega specyfika satyry, że ujmuje i przekazuje nam przejawy ujemne — w zagęszczeniu, maksymalnie napinając uwagę widza na tym, co negatywne.

Zdaniem Surkowa, wymaganie typowości, zaostrzenia, zagęszczenia — dotyczy też postaci pozytywnych. Zdarza się, że w niektórych komediach satyrycznych ostro i plastycznie narysowane postacie i typy ujemne przykuwają uwagę widza, natomiast postacie pozytywne jako znacznie bledsze — nie mogą zdobyć sobie jakiejś głębszej sympatii widza.

„Stosunek autora do materiałów wziętych z życia jako tworzywo — mówił Surkow — powinien znaleźć wyraz nie w formie deklaratywnej, ale w moralnym pojedynku, ale w kształcie prawdziwie artystycznego przeciwstawienia sobie dwóch sił społecznych, dwóch różnych charakterów społecznych, z których jeden ma być zdemaskowany, wyśmiany, potępiony, drugi zaś — ma zatriumfować, urosnąć w świadomości czytelnika".

Na przykładzie komedii Wirty Surkow wykazał, iż autor komedii satyrycznej może wydobyć prawdę artystyczną tylko pod warunkiem pełnego i gruntownego odsłonięcia wzajemnego stosunku postaci satyrycznych, negatywnych i pozytywnych — zgodnie z prawdą życiową i psychologiczną. Inny, spotykany w komediach satyrycznych błąd — pozostawianie bohatera pozytywnego na „bocznym torze" wątkowym, niewysuwanie go na pierwszą linię obstrzału satyrycznego — zilustrował Surkow na przykładzie komedii B e z w y m i e n i a n i a n a z w i s k. Satyryk musi koniecznie wprowadzić postacie pozytywne w centrum konfliktu; im silniej zarysowana jest w tym konflikcie postać ujemna, wroga, tym mocniej należy wpleść w konflikt postać przeciwstawną.

„W takich wypadkach — wywodził Surkow — kiedy dramaturg z takich czy innych pobudek rezygnuje z bezpośredniego wprowadzenia do walki pozytywnych sił naszego społeczeństwa, decyzja ta pociąga za sobą osłabienie konfliktu dramatycznego, stępienie ostrza satyrycznego, zamazanie w odtwarzanym zjawisku prawdy życiowej". (cyt. na podstawie stenogramu opublikowanego w piśmie Sowietskoje Iskusstwo, Nr 31 z 15. IV. br).

W wyniku analizy R a k ó w (tę komedię Michajłowa uznano zarówno w omawianej dyskusji jak i w recenzjach prasowych za jedną z najlepszych w ostatnich czasach) Surkow doszedł do wniosku, że satyryk tak powinien rozwinąć tkwiący w żywym tworzywie konflikt, by uzyskał pełny wyraz i nasilenie.

Następną tezę swojego referatu Surkow tak sformułował: „Bojowy cel literatury i sztuki satyrycznej powstaje w sytuacji, kiedy artysta odsłania przyczyny ujemnego zjawiska, glebę, z jakiej wyrosło, jego korzenie, jego dialektykę — wyłania się wtedy, kiedy artysta kreśli przejaw negatywny nie w jego zewnętrznej postaci, ale w trafnie uchwyconych zawęźleniach i stosunkach życiowych, w jego istotnej treści". Pod tym kątem widzenia Surkow dokonał rozbioru A n o n i m u (komedia ta spotkała się z ostrą krytyką w prasie i podczas dyskusji) i S z c z e r e j r o z m o w y.

Ożywiona dyskusja skupiła się głównie wokół trzech zagadnień: 1) stworzenie postaci satyrycznej, 2) wątkowe rozwiązanie konfliktu, 3) rysunek po-

staci pozytywnych i głoszenie afirmacji w komedii satyrycznej. Dyskutanci (Simonow, Sofronow, Pimenow, Kłado) podkreślali trudności, na jakie natrafia pisarz przy tworzeniu postaci satyrycznych. Wiele istotnych momentów do zagadnienia wątka komediowego wniósł Tichonow, który na przykładach z satyry klasycznej i współczesnej udowodnił, iż pod mistrzowskim piórem nawet najbłahszy na pozór splot wydarzeń może stać się zawiązkiem wątkowym wielkiej komedii satyrycznej. O konflikcie i wątku komediowym mówili również Jermiłow, Surow i inni.

W podsumowaniu dyskusji A. Fadiejew uwypuklił znaczenie tradycji szczedrinowskiej dla rozwoju satyry radzieckiej. Satyra klasyczna pełna była humanizmu satyrycznego. Terminem tym Fadiejew określił wypływającą z miłości do człowieka świadomość krzywdy ludzkiej — wywołanej przyczynami społecznymi, które należy usunąć, świadomość rodzącą uczucie gniewu i... „ów szczególny, dotkliwie uderzający, zabójczy, tylko satyrze właściwy śmiech"... Omawiając żywo dyskutowaną i sporną sprawę, czy w komedii satyrycznej należy pokazać pozytywnego bohatera, Fadiejew polemizuje z Surkowem, który postulował stworzenie postaci pozytywnych we wszystkich rodzajach komedii satyrycznej. Fadiejew uzależnia to od stylu i rodzaju utworu. Zdaniem Fadiejewa — trudno wymagać od autora groteski, by pokazał — i to w zaostrzonym obrazie — bohatera pozytywnego, który w grotesce mimo woli mógłby się przeobrazić w coś wręcz przeciwnego: w grotesce autor doprowadza postacie satyryczne do samozdemaskowania.

Józef Spinc

OŚMIU MILIONERÓW I WIDMO

Gęsi na Kapitolu

Kiedy był malutki... kiedy gaworzył o bogactwie narodów, a dobre wróżki historii uczyły go wymawiać tak trudne zdawało się słowa, jak Wolność, Równość, Braterstwo — kapitalizm budził najpiękniejsze nadzieje w sercach szlachetnych. Choć żeglował ku złotym runom dywidend, kompasem był mu zysk, a własność nerwem życia, na masztach jego okrętu płonęły znaki praw obywatelskich, znaki demokracji i niepodległości narodów, z rewolucji czerpał siły napędowe i — podbił świat.

Dziś, kiedy przeżył swój wiek, idzie śladem feudalnych upiorów. To samo okrucieństwo, tępe i bezpłodne, nierozumienie czasów, które idą, ten sam zasnuty bielmem wzrok, niezdolny wniknąć w rzeczywistość, dojrzeć treść zjawisk. Zbieżności historii bywają uderzające.

„Najpotężniejszą bronią Francuzów — pisał car Aleksander I do swego wysłannika w Londynie — jest owo przeświadczenie, jakie wszędzie rozpowszechnić zdołali, że sprawa ich jest sprawą wolności i szczęścia narodów. Ocalenie ludzkości, interes aktualny władzy prawowitej, tudzież powodzenie zamyślonego przez obydwa mocarstwa przedsięwzięcia wymagają, abyśmy broń tę straszliwą wydarli z rąk Francuzów i zawładnąwszy nią, sami z niej słuszny użytek uczynili".

Minęło lat 150 od wynurzeń historiozofa w koronie i John Foster Dulles powtarza w senacie USA opinie samowładcy Wszechrosji: „My też zdołamy na pewno dokonać tego, co potrafili uczynić bolszewicy. Jeśli oni umieli wykorzystać siły moralne i psychologiczne, nam również uda się nimi posłużyć".

Kiedy historia powtarza się zbyt dosłownie, stwarza karykaturę. Aleksan-

der miał w sobie tragizm spóźnionego o piętnaście wieków imperatora. W Kapetyngach idących z uśmiechem na szafot był chorowity wdzięk pustego, ale bezinteresownego gestu. Dulles jest tylko płaski.

„Minęły owe czasy — pisał Marks — kiedy gęganie gęsi mogło ocalić Kapitol". Ale milionerzy nie czytają Marksa. Nie czytują nawet korespondencji carów, choć niestety zdają się ją cytować. Znają tylko księgi kasowe i szyfrowane raporty wywiadów. Dlatego rzeczywistość chcieliby kształtować niczym losy wielkiej spółki akcyjnej, w której mniejszość, stosując odpowiednie chwyty, może rządzić ignorując prawa większości. Polityka to dla nich fuzje interesów, zamiany pakietów akcji, wykupy i wyprzedaże, salda i tantiemy, a nade wszystko, a przede wszystkim — wysokość dywidend. Każdy środek jest dobry w tej „wielkiej grze": bomby i drobnoustroje, armie atlantyckie i papieskie natchnienia. Kiedy zaś rzeczywistość przekreśla kalkulacje, gdy mroźny jej podmuch wdziera się w zacisza central, a narzędzia zawodzą — akcyjne gąsiory usiłują ratować swój Kapitol fałszywych bilansów za pomocą odczynań i zaklęć. Wbrew przestrogom Balzaka myślą, iż powierzona ziemi krew męczenników dla n i c h po wieczne czasy rodzić będzie zbiory. Przywdziewają czapki frygijskie i oczekują cudu. Magią słów uśpić chcą i spętać czujność narodów. Ale jak żart ponury, czy akt samoudręki brzmią w i c h ustach słowa: „Od początku stulecia nadszedł zda się czas burzy na kontynenty Ziemi. Zbudziły się masy Azji, by zrzucić kajdany przeszłości. Wielkie narody Europy stoczyły najkrwawsze swe wojny. Waliły się trony i znikły ich rozległe imperia. Narodziły się nowe narody. Moce dobra i zła zgromadzone są, zbrojne i sobie przeciwstawne jak rzadko dotąd w historii. W obliczu całego świata świadectwo dajemy naszej wierze, iż przyszłość należy do wolnych".

Przyszłości zażegnać się nie da. Istotnie należy do wolnych. Słychać już ich krok.

Ośmiu milionerów

Nadzieją i niepokojem reagował świat na mowę prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nadzieje budził uśmiech pokoju janusowego oblicza, niepokój rodziły zmarszczenia atomowych brwi. Przyczyny tej sprzeczności wyjaśnił sam mówca: „Rozdzieliły się kraje świata, aby pójść dwiema różnymi drogami". I jeszcze: „Sprawdziany prawdy są proste. Przekonać mogą tylko czyny".

Zastosujmy sprawdziany, przyjrzyjmy się faktom.

„Zwycięska kampania Eisenhowera — pisała wielbiąca Amerykę londyńska Daily Mail — wsparta była o kapitały olbrzymie. Nigdy jeszcze w historii Stanów Zjednoczonych nie użyto tak intensywnej techniki nowoczesnej reklamy dla „sprzedania" kandydata wyborcom". Któż jednak był w tej „tranzakcji" z narodem „sprzedawcą"? Nikt z tego nie robi w Stanach tajemnicy: General Motors, US Steel, Chase National Bank, interesy Morgana i Rockefellera. Ci, którzy najpierw wysunęli kandydaturę, a potem sfinansowali kampanię wyborczą.

Nie są również tajemnicą wyniki. „Ośmiu milionerów i ślusarz" — to określenie rządu Eisenhowera znane jest powszechnie w całym Waszyngtonie. „Ślusarzem" jest Mr. Durkin, minister pracy, żółty związkowiec przydany dla okrasy, choć nigdy o nim nie słychać. O tamtych za to jest głośno. Warto więc może przypomnieć sobie nazwiska.

Charles Wilson, prezes General Motors, obecnie minister obrony;

Roger Keyes, wice-prezes General Motors, wice-minister obrony;

Robert Stevens, dyrektor General Electric, minister wojsk lądowych;

Robert Henderson, prezes Federal Reserve Bank, minister marynarki;

Harold Talbot, dyrektor zakładów Chryslera (General Motors) i prezes North American Aviation, minister lotnictwa;

George Humphrey, magnat węglowy i stalowy związany z USSteel, minister Skarbu;

Joseph Weeks, bankier nowojorski, minister handlu;

John Foster Dulles, współwłaściciel firmy Sullivan and Cromwell, radca prawny wielkich banków Wall Street, obecnie sekretarz stanu.

Wcale to zresztą nie wszyscy. Jest jeszcze Winthrop Aldrich, prezes Chase National Bank i szwagier Rockefellerów, ambasador w Londynie, jest David Dillon, bankier Hitlera i zwierzchnik Forrestala, ambasador w Paryżu, jest pani Clare Booth-Luce, ordynatowa na Time, Life i Fortune, ambasadrissa w Rzymie i wielu, wielu innych.

Tych to ludzi powołał prezydent do władzy. Był to czyn wyraźny i każdego może przekonać. Sprawdziany prawdy istotnie zdają się proste. Czego jednak chcą, dokąd idą ci milionerzy? Czyżby w przyszłość, która „należy do wolnych"?

Najlepiej chyba odpowie sam prezydent Eisenhower. Było to w Peorii, 2.X.1952. Zwycięski kandydat ogłosił wtedy swe credo:

„Rok 1929 był ostatnim rokiem naszej pomyślności w czasach pokoju. Odtąd aż do wybuchu II wojny światowej, gospodarka nasza nie wykazała żadnego wzrostu wydajności na głowę. W 1939 r., po 7 latach działania Nowego Ładu (Roosevelta — JS), 9 i pół miliona Amerykanów było bez pracy. Wówczas nadeszła II wojna światowa i stała się dźwignią, dzięki której ruszyła produkcja amerykańska, znikło bezrobocie. II wojna zdziałała to, czego Nowy Ład nie był zdolny dokonać. Blisko trzecią część wysokiej produkcji pięciu pierwszych lat powojennych zawdzięczaliśmy konieczności zaspokojenia ostrych braków powstałych w czasie wojny. Na ich pokrycie poszło 140 miliardów dolarów oszczędności wojennych. Właśnie gdy ostre braki zrodzone z wojny zaczynały znikać, a gospodarka zaczynała słabnąć, przyszła wojna w Korei. Produkcja zbrojeniowa dźwignęła gospodarkę na nowo".

Zaczynamy rozumieć. Troska o ludzi pracy spędza sen z oczu prezydenta. Robotnik amerykański tuczył się na wojnie, teraz bieduje w czasie pokoju. Trzeba im pomóc. A prezydent Eisenhower jest człowiekiem uczynnym.

I mężnym. Mówił przecież: „Musimy być gotowi odważyć się na wszystko dla naszego kraju". A kraj to naród, spragniony pokoju, wolności i pracy. I mówił jeszcze: „W ostatecznym rachunku tornister żołnierza nie jest tak ciężki jak łańcuch niewolnika". Czyżby miał na myśli zerwanie łańcucha, który go skuwa z General Motors i Chase National?

...i widmo

W oczach monopoli wszystko jest „komunistycznym manewrem": pokój, niepodległość narodów, prawa obywatelskie. Są ludzie, którzy w wichrach historii, obalających trony, widzą tylko przeciąg i skutek złośliwych intryg towarzyszy podróży wehikułem dziejów. Maluczko a dowiemy się jeszcze, że drogą perfidnego anachronizmu V kolumna Moskwy, zmówiona z czerwonym Jeffersonem, narzuciła ongiś młodej republice ustawę zasadniczą żywcem wzorowaną na konstytucji Stalinowskiej. A już Lincoln był niewątpliwie „wtyczką" bolszewicką, o czym wie każdy agent FBI, chociażby z kartotek podsłuchu telefonicznego.

Wolność godną najwyższych pochwał widzą milionerzy w Grecji Peryklesowej i republikańskim Rzymie. Daleka — cieszy się szacunkiem nawet obu Hooverów i braci Dulles. Ale gdy dotarła do żelaznych bram wielkiej demokracji — „wszyscy, gdyby na widmo tyraństwa, spoźrzeli na wolność", jak pisał Staszic.

Jeszcze w czasach „bałkańskich" panikę na giełdach budziło widmo wojny. Akcje spadały na wieść o „ochłodzeniu stosunków". Dziś zimna wojna stanowi żywioł konieczny dla życia monopoli. Niczym wystawione na słońce mrożone owoce rozlewają się w maź upadłości, gdy tylko na nie padną ożywcze promienie przyjaźni narodów świata. Jak fotoelektryczne komórki na blask, tak one czarną plamą reagują na „widmo pokoju".

Lecz oto dziś prezydent państwa, którego polityka od lat ośmiu cieniem śmierci zawisła nad ludzkością, oświadcza głośno i wyraźnie: „Domagamy się prawdziwego i zupełnego pokoju w całej Azji, podobnie jak w całym świecie... Żadne ze spornych zagadnień, wielkich czy małych, nie jest nierozwiązalne, o ile istnieje wola uszanowania praw wszystkich krajów".

Jakże dokładnie, jak niemal co do litery słowa te pokrywają się ze słowami premiera Malenkowa: „Nie ma takich spornych lub nierozwiązanych zagadnień, których nie można by rozwiązać drogą pokojową na podstawie wzajemnego porozumienia zainteresowanych krajów". Prezydent Eisenhower głosi więc zasadę, która była zawsze kamieniem węgielnym polityki ZSRR, i odrzuca politykę wojny, którą od dwóch blisko stuleci uprawia najkrwawsza, najbezwzględniejsza burżuazja świata.

Czy na pewno, czy istotnie odrzuca? Zdawałoby się, że tak. Bo oto prezydent wymienia pięć przykazań, które odtąd mają być drogowskazem dla Stanów Zjednoczonych: „1. Żadnego narodu — jako narodu — nie można uważać za wroga, albowiem cała ludzkość pragnie pokoju, braterstwa i sprawiedliwości; 2. Żaden kraj nie może osiągnąć trwałego bezpieczeństwa i dobrobytu będąc w izolacji, nie może tego osiągnąć inaczej jak w czynnej współpracy z innymi bratnimi krajami; 3. Każdy kraj ma nieodebralne prawo stworzenia według własnego wyboru formy rządów i ustroju gospodarczego; 4. Nie może być usprawiedliwiona żadna próba jakiegokolwiek kraju narzucenia formy rządu innym krajom; 5. Żaden kraj nie może oprzeć swej nadziei trwałego pokoju na wyścigu zbrojeń".

Piękny program! Każdy z nas mógłby podpisać go oburącz! U nas — ale nie w USA. Tam bowiem za głoszenie takiego właśnie programu setki obywateli skazano na długie lata więzienia, a mowa prezydenta nie otwarła im bram wolności. Tam właśnie ów program nazwano komunizmem, uznano za zbrodnię przeciwko bezpieczeństwu państwa i nastawiono na ściganie go cały olbrzymi aparat policyjny. Tam również, choć prezydent mówi o swobodnym krążeniu idei, kat Korei, generał Van Fleet, oświadczył w senacie: „Jedynym dobrym komunistą jest komunista nieżywy!" A przyklaskują mu wpływowi bardzo politycy i jeszcze bardziej wpływowi milionerzy. Tam nawet najwyżsi dygnitarze państwa, ci w których ręku leży ster polityki, urzędów swoich nie mogą sprawować bez zezwolenia policji. John Foster Dulles nie u kongresu, nie u wybrańców ludu szukał votum ufności, ale u tajniaków. I w szybkości, z jaką wydali mu certyfikat, upatrywał tytuł do chwały.

Prezydent Eisenhover swój mandat ma od narodu. Sądzić więc wolno, a nawet sądzić należy, iż stoi on ponad FBI. Ale to jeszcze nie załatwia sprawy. Nad FBI są wielkie monopole, ich przedsta-

wiciele zasiadają w rzędzie, ich wyznaniem wiary jest wojna. Czy to im przeciwstawiał się prezydent proklamując program pokoju i stwierdzając, że pragnie go cały naród amerykański?

Tu zaczynają ogarniać nas wątpliwości.

Monopole Ameryki uważają za wroga każdy naród, który odmawia płacenia im nieograniczonej daniny zysków i chcą zdławić przemocą ruchy wolnościowe narodów Azji i Afryki walczących o niepodległość społeczną. A już szczególną wrogością darzą monopole 800 milionów ludzi, którzy zerwali ich jarzmo. Na sam tylko Phenian monopole zrzuciły półtora miliona bomb.

Lecz prezydent Eisenhover postawy tej nie potępia, skoro widzi w Korei agresję koreańską, w Vietnamie widzi vietnamską, a nie dostrzega wcale agresji USA i francuskiej.

Monopole Ameryki widzą gwarancje dobrobytu dla siebie w wyzysku innych krajów, w odmowie innej współpracy jak na zasadzie lenna. Dla podboju krajów Europy ukuły plan Marshalla, a Punkt 4 Trumana służy im za narzędzie uciskania krajów zależnych i kolonialnych.

Lecz prezydent Eisenhover postawy tej nie potępia, skoro wysuwa projekt rozszerzenia planu Marshalla na cały świat.

Monopole Ameryki żądają wydania polskich fabryk dawnym fabrykantom, oddania polskiej ziemi dawnym obszarnikom, powrotu pruskich junkrów na Śląsk i Mazury, zrównania z ziemią Żerania i Nowej Huty.

Lecz prezydent Eisenhover żądań tych nie potępia.

Monopole Ameryki utrzymują faszyzm w Hiszpanii, narzuciły faszyzm w Grecji, popierają faszyzm w Jugosławii. Torują mu drogę we Francji i Włoszech i Niemczech zachodnich. Obalają i narzucają rządy we wszystkich republikach Ameryki Łacińskiej. Pół globu zasiały tysiącem baz wojennych, by wesprzeć władzę swoich marionetek.

Lecz prezydent Eisenhower działań tych nie potępia, choć dosyć trudno przyjąć, by o nich nie wiedział.

Monopole Ameryki wszystkie swoje nadzieje pokładają w wojnie, opierają na długotrwałym wyścigu zbrojeń. W sojuszu z Waszyngtonem Adenauer buduje na nowo armię hitlerowską. W Paryżu sekretarz stanu Dulles domaga się dla Bonn hegemonii w Europie, grożąc w razie odmowy cofnięciem wasalowi pomocy przeciwko ludowi Francji — a na Wschodzie montuje nowe bazy agresji.

Lecz prezydent Eisenhower polityki tej nie potępia, skoro oświadcza „gotowość dalszej realizacji tych planów".

Czy jednak należy stąd wnosić, że cała mowa jest aktem propagandy? Nie. Prezydent Eisenhower sam na to pytanie udziela odpowiedzi: „Pragnienie pokoju jest nazbyt wielkie, godzina dziejów zbyt późna, aby jakikolwiek rząd mógł drwić sobie z nadziei ludzkich, ograniczając się tylko do słów, obietnic i gestów. Sprawdziany prawdy są proste. Przekonywać można tylko czynami".

Od zakończenia zmagań z faszyzmem wszystkie niemal czyny w polityce USA były aktami wojny i agresji, przemocy i gwałtu, lekceważenia traktatów i zobowiązań międzynarodowych. Ale przez osiem lat, długich i mrocznych, zdołano ukryć przed narodem amerykańskim źródła światowych konfliktów, maskować przed nim istotną naturę imperializmu Stanów Zjednoczonych. A wyczerpane wojną narody Zachodniej Europy nie miały dość sił, by napór jego odeprzeć. W jarzmie kapitalizmu kula ziemska zdawała się nieruchomieć.

Eppur si muove! — okrzyk astronoma przetrwał stulecia, gdy z władztwa

dławiącej go ciemnoty została w historii tylko grudka błota. Człowiek bowiem władny jest słońce wstrzymać i poruszyć ziemię, stać się panem stworzenia, ale wówczas jedynie, gdy dotrzymuje kroku rzeczywistości. Może ją zmieniać, nie może jej zaprzeczać. Sprawdziany prawdy istotnie są zbyt proste, by prawdę można ukrywać w nieskończoność. Fakty są uparte i dochodzą do głosu.

Faktem, upartym faktem jest rosnąca bez przerwy potęga socjalizmu. Osiem lat temu zastaliśmy zgliszcza, dzisiaj nie widać kresu w rozwoju naszej mocy. Pomnaża ją każda fabryka i maszyna, spółdzielnia produkcyjna, szkoła, szpital czy dom mieszkalny. Brak nam nieraz czasu, by obejrzeć się wstecz, stąd może nie dość dobrze widzimy, jak ogromny już uszliśmy szmat drogi.

Upartym faktem dziejów jest wielkość ZSRR budującego komunizm i wyzwolona siła olbrzyma narodów Azji — Ludowych Chin. Żadne egzorcyzmy i klątwy nic tu nie poradzą.

Handlarze śmierci na ogół umieją rachować. Łatwo być wojowniczym, gdy przeciwnik jest słaby — w obliczu wielkoluda strach mrozi im krew, ale za to przywraca rozum. Łatwo prowadzić wojnę cudzymi rękoma — niebezpiecznie, gdy ręce te sięgają po wolność. W Kenii aresztowano 82.000 ludzi, ale całego narodu nie można zakuć w kajdany. Wieści z Laosu i Kenii, Kolumbii i Gwatemali, przywodzą bolesne wspomnienie 6 miliardów dolarów zatopionych w Chinach. To wszystko są również fakty.

Dolary to broń obosieczna. Amerykańskie dowództwo ogłosiło nagrody dla zdrajców. Premier Churchill, pytany w parlamencie, odparł, że lepiej kupować niż zabijać ludzi; lepiej dać się kupić, niż dać się zabijać. Nie przekonał nikogo, gdyż sam tak nie myśli. Nie przekonał nikogo już choćby dlatego, że wszyscy pamiętają, jak po inwazji Francji premier Churchill powtarzał za największym z Anglików: „Nigdy, nigdy Brytania nie padnie do stóp dumnego najeźdźcy!“ W tej tragicznej godzinie ani naród angielski, ani jego premier nie rozważał co lepiej — dać się kupić, czy zabić? „Będziemy walczyć na lądach, na wodach i w powietrzu, walczyć na wybrzeżach i gruzach naszych miast, walczyć na morzach i walczyć zza mórz — aż po zwycięstwo lub śmierć“. Tak mówił Churchill i w owej chwili był prawdziwie bliski swemu narodowi, mówił jego głosem. Naród angielski kupował wówczas broń, nie kupował zdrajców. Płacił z nawiązką Szajlokowi świata, poznał cenę wolności. Nie sprzedał jej wtedy i nie sprzeda dziś.

Lecz ten, kto życiem własnym okupił wolność, nie położy głowy za pomyślność banków Morgana, koncernów Du Ponta, trustów Rockefelera. Twórcy wielkich cywilizacji, wspaniałe narody Zachodu — Anglicy, Francuzi, Włosi — nie będą przelewać krwi, by na jej fali wezbranej Anders wpłynął na zgliszcza Warszawy, czy McArthur na zgliszcza Pekinu. W Niemczech, które tragicznie okupiły szaleństwo swej burżuazji, nielicznych chętnych znaleźć można jedynie wśród zdobnych w generalskie szewrony pogrobowców Hitlera.

Śmiercią handlują łajdacy, szukają jej tylko straceńcy. A naród amerykański jest młody, pragnie życia i widzi w nim cele bardziej rozległe, niż groby masowe, choćby najwspanialsze. Mówi to coraz głośniej i nie porwie za broń na wiadomość, że Chase National Bank utracić może wkrótce resztę wpływów na Dalekim Wschodzie. Spod sztandaru dolara uchodzą nie tylko rekruci azjatyccy. Uchodzą Europejczycy, a nawet Amerykanie. I to także są fakty, tym boleśniejsze, że zupełnie bliskie.

Widmo pokoju przestaje być zmorą, która w snach tylko dławi milionerów. Nabiera ciała i krwi. Wyrasta w rzeczywistość, wobec której karleją potęgi kapitału i one z kolei stają się widmem. Widmem ginącego świata.

Rozeszły się nasze drogi — mówi prezydent Eisenhower. Istotnie, rozeszły się drogi, ale nie dwóch światów. Rozeszły się drogi narodów i burżuazji. Wszystkich narodów ziemi i wielkiej burżuazji, coraz bardziej, coraz zupełniej osamotnionej.

Długo, niezmiernie długo, rząd mianowany przez monopole Ameryki drwił sobie z nadziei ludzkich, ograniczając się wyłącznie do słów, obietnic i gestów. Aż kłamstwo straciło wartość obiegową. Nikt nie uwierzy obecnie, że król Kambodży został komunistą i agresorem wobec własnego kraju, odkąd domaga się jego niepodległości. Pragnienie pokoju istotnie jest nazbyt wielkie, aby narody można zbywać liczmanem frazesów.

P r a g n i e n i e, to zresztą termin niedokładny. Świat żyje dziś w o l ą pokoju, twardą i stanowczą. Na woli i sile za nią stojącej oparte są nadzieje ludzkości.

Julian Stawiński

KSIĄŻKI NADESŁANE

WYDANIA ZBIOROWE

Trembecki Stanisław — Pisma wszystkie. Wydanie krytyczne. Oprac. Jan Kott. Z prac Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1953. Tom I— str. CIII, 346, 3 nlb i 1 fotografia, tom II— str. 371, 2 nlb i 1 fotogr.

PROZA

Biliński W. — Szósta bateria. Wyd. I. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1953. Str. 286 i 2 nlb.

Brežan Jurij — Na miedzy rośnie zboże. Przekł. z niem. Zofii Petersowej. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 221 i 3 nlb.

Broniewska Janina — Krystek z Warszawy. Wyd. IV. Ilustr. Heleny Krajewskiej. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1953. Str. 162 i 2 nlb.

— O człowieku, który się kulom nie kłaniał. Ilustr. Aleksandra Winnickiego. Wyd. V. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1953. Str. 109 i 3 nlb.;

— Z notatnika korespondenta wojennego. Tom I. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1953. Str. 315 i 1 nlb.

Czechow Antoni — Końskie nazwisko i inne opowiadania. Przekł. z ros. Jerzego Wyszomirskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 26 i 2 nlb.

Czernik Stanisław — Uniwersał Czarnieckiego. Powieść historyczna. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1953. Str. 183 i 1 nlb.

Dumitrin Petru — Droga bez kurzu. Przekł. z rum. Rajmunda Floransa. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Tom I — str. 364 i 2 nlb., tom II — 494 i 3 nlb.

Fallas Carlos Luis — Mateczka Yunai. Przekł. z hiszp. Zofii Szleyen. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 249 i 3 nlb.

Fontane Theodor — Schach z Wuthenow. Przekł. z niem. Teresy Jętkiewicz. Posłowie Marcelego Ranickiego. Okładkę, kartę tytułową i przerywniki projektował Andrzej Heidrich. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 190 i 3 nlb.

Gorki Maksym — Dzieciństwo. Wyd. VI. Przekł. z ros. Krystyny Bilskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 271 i 1 nlb.

Gulia Georgij — Wiosna w Sakenie. Przekł. z ros. Tadeusza Mongirda. Wyd. V. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 146 i 2 nlb.

Hen Józef — Moja kompania. Wyd. II. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1952. Str. 54 i 1 nlb.

Ignatow P. — Życie prostego człowieka. Przekł. z ros. Jana Jerzyńskiego. Wyd. I. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1953. Str. 351 i 1 nlb.

Iljina Helena — Czwarte zwycięstwo. Wyd. IV. Przekł. z ros. Joanny Poraskiej. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1953. Str. 274 i 2 nlb.

Konopnicka Maria — Nasza szkapa. „Czytelnik", 1953. Str. 41 i 2 nlb.

Kostiukowski B. — Znów nastała wiosna. Powieść. Przekł. z ros. Ireny Tuwim i Juliana Stawińskiego. Wyd. I. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1953. Str. 176.

Kowalska Anna — Na rogatce. Wyd. I. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1953. Str. 169 i 1 nlb.

Kraszewski J. I. — Szalona. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 257 i 3 nlb.

— Stara baśń. Powieść z IX wieku. Posłowie Aleksandra Gieysztora. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 391 i 1 nlb.

— Dziennik Serafiny. Wstęp Zbigniewa Mitznera. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 228 i 2 nlb.

Martinow Iwan — Górnicy i inne opowiadania. Przekł. z bułg. Heleny Bychowskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 245 i 3 nlb.

Mikszath Kalman — Nowa Zrimada. Przekł. z węg. Raoula Kamila Porgesa i Marty Okołów-Podhorskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 234 i 2 nlb.

Nałkowska Zofia — Medaliony. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 83 i 3 nlb.

— Dom nad łąkami. Powieść. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1953. Str. 113 i 1 nlb.

Parandowski Jan — Zegar słoneczny. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 136 i 3 nlb.

Prus Bolesław — Powracająca fala. Posłowie Witolda Kochańskiego. Cykl: Książka nowego czytelnika. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 207 i 1 nlb.

Przemski Leon — Szary jakobin. Wyd. II. Inicjały i przerywniki Aleksandra Kruszewskiego. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1953. Str. 323 i 1 nlb.

Reychman Jan — Józef Sułkowski 1770—1798. Ilustr. Mieczysława Kościelniaka. Biblioteka żołnierza, seria V: „Z minionych dni". Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1952. Str. 122 i 2 nlb.

Rzezacz Wacław — Przekł. z czesk. Marii Er-

hardtowej. Przedmowa Andrzeja Sieczkowskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 534 i 2 nlb.

Sabahattin Ali — Wrogowie. Opowiadania anatolijskie. Przekł. z jęz. tureckiego Józefa Bielawskiego i Edwarda Tryjarskiego. Okładkę i przerywniki projektował Jerzy Jaworowski. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 242 i 2 nlb.

Scharrer Adam — Krety. Powieść. Przekł. z niem. Wandy Kragen. Przedmowa i przypisy Marcelego Ranickiego. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 389 i 3 nlb.

Sienkiewicz Henryk — Rok 1656 (Fragmenty V tomu powieści „Potop"). Wyd. II. Ilustr. Krzysztofa Henisza. Biblioteka żołnierza, seria V: „Z minionych dni". Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1953. Str. 150 i 1 nlb.

Stiepanow A. — Port-Artur. Powieść historyczna, tom I. Przekł. z ros. Adama Galisa. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1953. Str. 601 i 2 nlb.

POEZJA I DRAMAT

Baranowicz Jan — Muzyka świerszczy. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 59 i 1 nlb.

Bój to jest nasz ostatni. Wiersze, pieśni, inscenizacje. Wybór i oprac. Jerzego Kleyny. Wyd. I. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 247 i 2 nlb.

Braun Andrzej — Młodość. Wyd. I. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 70 i 2 nlb.

Diakonow Ilia — Wesele z posagiem. Komedia w 3 aktach. Przekł. z ros. Józefa Prutkowskiego i Janusza Minkiewicza. Uwagi inscenizacyjne oprac. H. N. Bojarska. Oprac. muzyczne Marii Walmanowej. Biblioteka świetlicowa „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 169 i 3 nlb.

Gaworski Henryk — Rytm serca. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 73 i 3 nlb.

Gołębiowski Stefan — Trud. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 69 i 2 nlb.

Hertz Paweł — Nowy lirnik mazowiecki. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 24 i 3 nlb.

Iwaszkiewicz Jarosław i Rytard Jerzy Mieczysław — Pensja pani Latter. Obrazy dramatyczne podług powieści Bolesława Prusa „Emancypantki". „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 139 i 1 nlb.

Konopnicka Maria — Z łąk i pól. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 83 i 1 nlb.

Krapiwa Kaudrek — Skowronki śpiewają. Komedia w 4 aktach, 6 obrazach. Przekł. z białoruskiego Wacławy Komarnickiej. Wiersze tłum. Jerzy Litwiniuk. Uwagi inscenizacyjne oprac. Józef Gruda. Melodie białoruskie oprac. Czesław Grudziński. Biblioteka świetlicowa „Czytelnika". „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 118 i 2 nlb.

Nagrabiecki Jan — Rozważania wiosenne. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 62 i 4 nlb.

Nowak Tadeusz — Uczę się mówić. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 52 i 3 nlb.

Piasecki Jan — Spotkamy się „Pod Parasolami". Wodewil w 6 odsłonach. Teksty piosenek: Bogdan Ostromęcki, Roman Sadowski, Zofia Zawadzka, Stanisław Ziembicki. Muzyka: Władysław Szpilman, Henryk Swolkień, Jerzy Wasowski. Uwagi inscenizacyjne oprac. Zenon Wiktorczyk. Biblioteka świetlicowa „Czytelnika". „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 98 i 2 nlb.

Piechal Marian — Wybór poezji. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 223 i 1 nlb.

Pod sztandarami pokoju. Wiersze, pieśni, inscenizacje. Wybór i oprac. Aleksandry Naborowskiej. Biblioteka świetlicowa „Czytelnika". „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 338 i 2 nlb.

Rymkiewicz Aleksander — Niezbrojni zwycięzcy. Wiersze olimpijskie. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 25 i 4 nlb.

Szymborska Wisława — Dlatego żyjemy. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 44 i 2 nlb.

Walka trwa. Montaż sceniczny. W dziesięciolecie ZWM. Biblioteka świetlicowa „Czytelnika". „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 74 i 2 nlb.

Woroszylski Wiktor — Trzy poematy. „Iskry", Warszawa, 1952. Str. 82 i 1 nlb.

Zawadzki Stefan — Cena wolności. Wyd. I „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 53 i 3 nlb.

HISTORIA LITERATURY I HISTORIA

Abelard Piotr — Historia moich niedoli. Przekł. Leona Joachimowicza. Przedmowa i przypisy Andrzeja Nowickiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 193, 3 nlb. i 1 tabl. synchroniczna.

Baranowski B. — Powstania chłopskie na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1952. Str. 157 i 3 nlb.

Bliziński Józef — Rozbitki. Komedia w 4 aktach. Oprac. Janiny Garbaczowskiej. Biblioteka Narodowa, seria I, Nr 143. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław, 1953. Str. 133, 3 nlb i 1 fotokopia.

Borowy Wacław — Studia i rozprawy. Przygotowali do druku: Tadeusz Mikulski, Samuel Sandler i Jerzy Ziomek. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossoliń-

skich, Wrocław, 1952. Tom I — str. VI, 310, 1 nlb. i 1 fotogr.; tom II — str. 382 i 1 nlb.

Dekabryści. Zebrał i opracował Władysław Bortinowski. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1952. Str. 117 i 2 nlb.

Dickens Karol — Klub Pickwicka (fragmenty). Oprac. Zbigniew Żabicki. Przekł. z ang. Włodzimierza Górskiego. Uzupełnili Zofia i Wiktor Popławscy. Wyd. I. Nasza Biblioteka. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław, 1953. Str. 150 i 2 nlb.

Homer — Odyseja. Przekł. Lucjana Siemieńskiego. Wstęp i objaśnienia Tadeusza Sinki. Wyd. V, przejrzane i poprawione. Biblioteka Narodowa, seria II, Nr 21. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław, 1953. Str. CIV, 356 i 4 nlb.

Krasicki Ignacy — Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki (fragmenty). Oprac. Ireny Maciejewskiej. Nasza Biblioteka. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław, 1953. Str. 142 i 2 nlb.

Krasiński Zygmunt — Nie-boska komedia Oprac. Zdzisława Libery i Eugeniusza Sawrymowicza. Wstęp opracowano w Instytucie Badań Literackich. Wyd. II. „Nasza Biblioteka". Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. 136.

Molier — Świętoszek (Tartuffe). Komedia w 5 aktach. Przekł. i oprac. Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Wyd. III, przejrzane. Biblioteka Narodowa, seria II, Nr 40. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław, 1953. Str. XLIX, 88 i 2 nlb.

Niemcewicz Julian Ursyn — Powrót posła. Komedia w 3 aktach. Oprac. Janusza Maciejewskiego. Wyd. II. „Nasza Biblioteka", Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. 109 i 2 nlb.

Pasek Jan Chryzostom — Pamiętniki (Wybór). Oprac. Juliusza Kijasa. „Nasza Biblioteka". Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. 138 i 2 nlb.

Plutarch — Żywoty sławnych mężów. Przekł. Mieczysława Brożka. Oprac. Tadeusza Sinki. Wyd. III, zmienione. Biblioteka Narodowa, seria II, Nr 3. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław, 1953. Str. LXIV, 647 i 4 nlb.

Słowacki Juliusz — Beniowski. Oprac. Eugeniusza Sawrymowicza. Wyd. II. „Nasza Biblioteka". Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. 186, 2 nlb. i 1 medalion.

— Fantazy. Oprac. Stanisława Jerschina. Wyd. II. „Nasza Biblioteka". Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. 160 i 1 nlb.

Słowacki Juliusz — Balladyna. Tragedia w 5 aktach. Oprac. Eugeniusza Sawrymowicza. Nasza Biblioteka. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław, 1953. Str. 227 i 1 nlb.

Sienkiewicz Karol — Dziennik podróży po Anglii 1820 — 1821. Z rękopisu wydał, wstępem i komentarzem opatrzył Bogdan Horodyski. Wyd. I. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław, 1953. Str. XXXVIII, 336 i 3 nlb.

Szekspir William — Hamlet królewicz duński. Przekł. Władysława Tarnowskiego. Oprac. Grzegorza Sinki. Wyd. I. Nasza Biblioteka. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław, 1953. Str. 253 i 3 nlb. wraz z fotogr.

Trzy stylistyki greckie. Arystoteles. Demetriusz. Dionizjusz. Przekł. i oprac. Władysława Madydy. Wyd. I. Biblioteka Narodowa, seria II, Nr 75. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław, 1953. Str. LVII, 269 i 1 nlb.

Władztwo Polski w Prusiech Zakonnych i Książęcych (1454 — 1657). Wybór źródeł. Oprac. i wstęp Adama Vetulani. Wyd. I. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław, 1953. Str. LXVII, 283 i 1 nlb.

ESSAY I KRYTYKA

Podhorski-Okołów Leonard — Realia mickiewiczowskie. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 265 i 3 nlb.

Żeleński-Boy Tadeusz — Obrachunki fredrowskie. Przedmowa Henryka Markiewicza oprac. w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk. Wyd. nowe. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1953. Str. 273 i 3 nlb.

PUBLICYSTYKA

Czasznikow I. — Armia Radziecka wyzwoliciela narodów. Przekł. z ros. A. Czyża. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1953. Str. 114, 2 nlb. i 1 fotogr.

Jurkiewicz Jarosław — Nuncjatura Achillesa Ratti w Polsce. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 134 i 2 nlb.

Karpowicz B. — Urabianie ideologiczne żołnierzy armii amerykańskiej i angielskiej. Przekł. z ros. M. Jeklowej. Wyd. I. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1953. Str. 63 i 2 nlb.

Kęplicz Klemens — Prasa brytyjska donosi... „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 269 i 2 nlb.

Leszczyński L. — Krach ideologii wojennej imperializmu niemieckiego. Przekł. z ros.

Jerzego Nowackiego. Redagował zespół. Terminologię wojskową sprawdził płk. M. Hopman. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1953. Str. 525 i 2 nlb.

Muszkat Marian — Interwencja zbrodniczy oręż polityki Stanów Zjednoczonych. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1953. Str. 174 i 1 nlb.

O Pięcioletnim Planie Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Artykuły i przemówienia: Wilhelm Pieck, Walter Ulbricht i Rudi Kirchner. Ustawa o Pięcioletnim Planie Rozwoju Gospodarki Narodowej Niemieckiej Republiki Demokratycznej na lata 1951—1955. Przekł. z niem. S. Filmusa. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 141 i 2 nlb.

Osmańczyk Edmund Jan — Publicystyka w kraju budującym socjalizm. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 123 i 5 nlb.

Perlo Wictor — Imperializm amerykański. Przekł. z ang. Aleksandra Ewerta. Wyd. I. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 336 i 3 nlb.

Pracki Lucjan — Korespondent wojenny z Korei donosi... Zdjęcia autora książki. Wyd. I. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1953. Str. 246 i 2 nlb.

Szyszkin A. F. — Moralność burżuazyjna oręż imperialistycznej reakcji. Przekł. z ros. Jadwigi Rutowskiej. Wyd. I. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 238 i 2 nlb.

Świątkowski Henryk — Stosunek państwa do kościoła w różnych krajach. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 177 i 2 nlb.

Wielowski J. — Zwycięska armia Chin. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1952. Str. 242, 2 nlb i 2 fotografie.

Wójcicki Bolesław — Prawda o Katyniu. Wyd. II. „Czytelnik", Warszawa, 1953. Str. 218 i 2 nlb.

Zagadnienia polityki międzynarodowej na VI Sesji ONZ. Wybór przemówień. Oprac. i komentarze Manfreda Lachsa. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 650 i 1 nlb.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Aleksandrzak Stanisław — Obrazki. Ilustr. J. Grabskiej i A. Pucka. Wyd. II. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 14 i 2 nlb.

— Przygody pewnej czwórki. Ilustr. Tadeusza Jodłowskiego. Wyd. II. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 14 i 2 nlb.

Bianki Witali — Dziupla. Oprac. Marii Kownackiej. Ilustr. A. Ryłowa. Wyd. II. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952.

Bieniasz Józef — Turul władca puszczy. Ilustr. S. Rozwadowskiego. Wyd. II. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. str. 142 i 3 nlb.

Borudzka Wanda — Dorota i jej towarzysze. Ilustr. Antoniego Uniechowskiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 327.

Broniewska Janina — Siostrzeńcy ciotki Agaty. Ilustr. Heleny Krajewskiej. Wyd. III. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 106 i 2 nlb.

Czaruszyn Eugeniusz — Nikita i jego przyjaciele. Przekł. z ros. Marii Górskiej. Ilustr. autora. Wyd. II. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 55 i 2 nlb.

Gołubow S. — Z iskry rozgorzeje płomień. Przekł. z ros. L. Kaczorowskiej. Ilustr. reprod. z wyd. ros. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 524 i 2 nlb.

Górska Maria — Rękawica. Ilustr. Bogdana Zielenieca. Wyd. II. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952.

Grodzieńska Wanda — Maszynowe wróżki. Ilustr. Mieczysława Piotrowskiego. Wyd. II. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 53 i 4 nlb.

Janczarski Czesław — Przedszkole na Kole. Ilustr. Anny Kopczyńskiej. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 46 i 2 nlb.

Kędziorzyna Maria — Wędrówki szyszkowego dziadka. Ilustr. Anny Seifertowej. Wyd. II. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1953. Str. 63 i 3 nlb.

Konopnicka Maria — O Janku wędrowniczku. Ilustr. Bogdana Zielenieca. Wyd. II. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 32 i 3 nlb.

Kownacka Maria — Kukuryku na ręczniku. Wyd. V. Ilustr. Franciszki Themerson. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 66 i 4 nlb.

— Entliczek-pentliczek. Ilustr. Hanny Czajkowskiej. Muzyka Zofii Konic. Opisy gier i zabaw Dobrosławy Wolnickiej. Wyd. II. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 89 i 3 nlb.

Krzemieniecka Lucyna — O tym jak się rzep do psiego ogona przyczepił. Ilustr. Jerzego Karolaka. Wyd. II. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 15 i 1 nlb.

Mamin-Sibiriak D. N. — Bajeczki Olesi. Przekł. Marii Kowalewskiej. Ilustr. E. Raczewa reprod. z wyd. ros. Wyd. II. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 45 i 2 nlb.

Marszak S. — Wąsaty psotnik. Przekł. J. Minkiewicza. Ilustr. W. Lebiediewa. Wyd. I. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 14 i 2 nlb.

Meissner Janusz — Nocny sygnał. Ilustr. M.

Walentynowicza. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 84 i 3 nlb.

Michałkow Sergiusz — Jeden rym i innych sto. Przekł. Janusza Minkiewicza. Ilustr. Eryka Lipińskiego. Wyd. II. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952.

Morcinek Gustaw — Opierzony kanarek. Ilustr. M. Kościelniaka. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 15 i 1 nlb.

Osiński Z. — List. Ilustr. Stefana Styczyńskiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952.

Puszkin Aleksander — Bajka o carze Sałtanie, o jego synu sławnym bohaterze księciu Gwidonie Sałtanowiczu i o pięknej księżniczce Łabędzicy. Przekł. Jana Brzechwy. Ilustr. Edmunda Bartłomiejczyka. Wyd. II. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 59 i 1 nlb.

— Bajka o śpiącej królewnie i siedmiu junakach. Przekł. z ros. Wandy Grodzieńskiej. Ilustr. Edmunda Bartłomiejczyka. Wyd. II. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 35 i 1 nlb.

Szpalski Karol i Załucki Marian — O dzięciole pelikanie żabie jeżu i bocianie. Ilustr. Antoniego Pucka. Wyd. II. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952.

Tropaczyńska-Ogarkowa W. — Żołnierze Kościuszki. Ilustr. Ludwika Maciąga. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 319.

Turgieniew Iwan — Przepiórka. Przekł. z ros. Pawła Hertza. Ilustr. B. Zielenieca. Wyd. II. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 26 i 4 nlb.

Zieleniec Bogdan i Przyrowski Zbigniew — Pole. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952.

LITERATURA NAUKOWA

Czestnow F. — W świecie fal radiowych. Przekł. z ros. Jana Rościszewskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 222 i 2 nlb.

Historia Polski 1864—1945. Praca zbiorowa. Materiały do nauczania w klasie XI. Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, Warszawa, 1952. Str. 510 i 1 nlb.

REPORTAŻE

Jasienica Paweł — Świt słowiańskiego jutra. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 381 i 2 nlb.

SCENARIUSZE FILMOWE

Lutowski Jerzy — Drzwi pancerne „B". Opowieść filmowa. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 157, 2 nlb. i 1 fotografia.

RÓŻNE

Jodłowski St. i Taszycki W. — Zasady pisowni polskiej i interpunkcji ze słownikiem ortograficznym według uchwał Komitetu Ortograficznego Polskiej Akademii Umiejętności z r. 1936. Wyd. X uzupełnione. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław 1952. Str. 296.

POLSKA LUDOWA (ZAGADNIENIA POLITYCZNE I GOSPODARCZE)

Budujemy socjalistyczną stolicę. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1952. Str. 91 i 2 nlb.

SATYRA

Huszcza Jan — Dożynki w Adamowie. Humoreski i satyry. Ilustr. Jerzego Zaruby. „Czytelnik", 1953. Str. 215 i 4 nlb.

PAMIĘTNIKI, BIOGRAFIE, LISTY

Pamiętnik Seweryna Łusakowskiego. Podał do druku Adam Czartkowski. Wstęp Niny Assorodobrej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1953. Str. 307, 3 nlb. i 1 fotogr.

Spis treści za I półrocze 1953 r,

od Nr 1 (styczeń) do Nr VI (czerwiec) włącznie

Spis treści ułożono alfabetycznie według nazwisk autorów. Gwiazdka (*) przed tytułem oznacza pozycję (recenzję, wzmiankę, przemówienie okolicznościowe) odnoszącą się do danego autora. Cyfry rzymskie oznaczają numer Twórczości, w którym pozycja się ukazała, arabskie — rok wydania.

ZNAKI I SKRÓTY UŻYWANE W SPISIE TREŚCI

art. — artykuł
dram. — dramat
koresp. — korespondencja
kron. — kronika
kryt. lit. — krytyka literacka
om. — omówienie
proza art. — proza artystyczna
przem. — przemówienie
publ. — publicystyka
ref. — referat
rep. — reportaż
tłum. — tłumaczenie
w. — wiersz
zob. — zobacz

B

Bereza Henryk
„Piątka z ulicy Barskiej" Kazimierza Koźniewskiego. om. I/53; „Otwarte wrota" Kazimierza Koźniewskiego. om. III/53; „Płomień na bagnach", „Gwiazdy w jeziorze" i „Rzeki płoną" Wandy Wasilewskiej. om. V/53.

Beria Ł. P.
Przemówienie po śmierci J. W. Stalina IV/53.

Bidwell George
Zbrodnia i kara w Brytanii, art. publ. I/53; Czy kolonia amerykańska? art. publ. III/53; Najgorzej poinformowany naród na świecie. art. publ. IV/53; Pisarze brytyjscy w Ruchu Pokoju. art. publ. V/53.

Bieńkowska Danuta
Dach nad głową, proza art. IV, V, VI/53.

Bieńkowski Zbigniew
Uwagi o realizmie w poezji Wiktora Hugo. kryt. lit. I/53; zob. Niekrasow Mikołaj: Hej, Iwanie! tłum.; W przeddzień Wielkanocy. tłum.; Z „Ostatnich pieśni": Wstęp; Wyrok. tłum. II/53; O poezji Pawła Eluarda. kryt. lit. V/53.

Bierut Bolesław
Stalin twórca niezłomnej braterskiej jedności wolnych narodów, art.; Czcząc świetlaną pamięć Klementa Gottwalda umacniajmy przyjaźń naszych narodów. przem. IV/53; Z referatu na VIII Plenarnym Posiedzeniu KC PZPR. V/53.

Błahij Kazimierz
Narodziny ludzi. rep. V/53.

Bobińska Helena
Soso (Opowieść o dzieciństwie i latach szkolnych Stalina). proza art. I/53.

Borudzka Wanda
*Dorota i jej towarzysze (Rafałowska Barbara). om. IV/53.

Brandys Kazimierz
Obywatele, proza art. I, II, III, IV/53.

Breza Tadeusz
Wypowiedzi autora o „Uczcie Baltazara". III/53.

Broniewski Władysław
Ze „Słowa o Stalinie". w. III/53.

Brzechwa Jan
zob. Puszkin Aleksander: Rusłan i Ludmiła. tłum. VI/53.

Budrecki Lech
„Wiersze i dramaty" Federico Garcia Lorki. om. III/53.

Bystrzycka Zofia
Astry. proza art. III/53.

C

Chróścielewski Tadeusz
Zaoranie miedz. w. VI/53.

Čirlič Bronisław
Iwan Olbracht. kryt. lit. IV/53.

Čech Światopełk
Step. w. V/53.

Czeszko Bohdan
Opowieści zimowe czyli kłopoty władzy, proza art. II/53; Żołnierz gospodarzem. proza art. III/53. Kilka myśli po przeczytaniu zeszytu „Nowych Dróg". art. VI/53.

D

Dyskusja o kulturze na Plenum KC Włoskiej Partii Komunistycznej. kron. II/53.

F

Felis Tadeusz
*Życie za dniówkę (Maciąg Włodzimierz). om. III/53.

Flukowski Stefan
Ballada o Śmiałym. w. IV/53.

Freiligrath Ferdynand
Wolna prasa. w. I/53.

G

Gałkowski Jan
Mazowiecki generał. w. VI/53.

Gisges Jan Maria
Lament nad trumną. w. IV/53.

Gottwald Klement
*Przemówienie Bolesława Bieruta: Czcząc świetlaną pamięć Klementa Gottwalda umacniajmy przyjaźń naszych narodów IV/53.
Gruszczyński Krzysztof
Stalin, inżynier naszych marzeń. w. III/53.
Grzegorczyk Piotr
Jakiego Gogola znamy? Uwagi porocznicowe. art. lit. III/53.
Grzeniewski Ludwik
„Śladami czołgów", tom I, Bogdana Hamery. om. IV/53.
Guillen Nicolas
Moja ziemia jest słodka. w.; Son numer szósty. w.; Son kubańsko-wenezuelski. w.; Rozmowa o Murzynie. w.; Elegia na śmierć Jesusa Menendeza (fragment). w. I/53.
Hamera Bogdan
*Śladami czołgów. tom I (Grzeniewski Ludwik). om. IV/53.
Hertz Paweł
Lenartowicz. kryt. lit. V/53.
Herwegh Georg
Umierający trębacz. w.; Wspomnienie (fragment) w. I/53.
Homer
Odyseja. II/53.
Huszcza Jan
Pamięci Mietka Wnuka. w.; Zwrotki o niepokoju. w. II/53; Dziewczyna. w.; Notatka. w. VI/53.

I

Iwaszkiewicz Jarosław
Przemówienie na Kongresie Narodów w Obronie Pokoju w Wiedniu (12.XII. — 19.XII.). I/53; zob. Neruda Pablo: Standard Oil C-o. tłum.; Anaconda Copper Mining C-o. tłum.; United Fruit C-o. tłum. IV/53.

J

Jarochowska Maria
Gniew. proza art. VI/53.

K

Kamieńska Anna
O Sewerynie Skulskim. not. I/53; List z Ameryki. w.; Skrzypce ojca. w.; Podajcie inną pieśń. w. V/53.
Karczewska Wanda
Mój stary dom. w. IV/53; zob. Czech Światopełk: Step. tłum.; zob. Vrchlicky Jarosław: Do Polaków w Paryżu. tłum. V/53.
Klonowski Stefan
Z dziejów Gorkiego w Polsce. art. VI/53.
Kogut Bogusław
Wieczór w fabryce „Kompressor". w. IV/53.
Koprowski Jan
Reportaż z Piotrkowa. w. I/53.
Kott Jan
Dziennik Samuela Pepysa. om. III/53.
Koźniewski Kazimierz
*Piątka z ulicy Barskiej (Bereza Henryk). om. I/53; *Otwarte wrota (Bereza Henryk). om. III/53; Opowieść o Żeraniu. rep. IV/53.
Książki nadesłane
I, II, III, V/53.

L

Lam Andrzej
„Córeczka. Opowiadania o dzieciach i zwierzętach" Wojciecha Żukrowskiego om. I/53; „Zgodnie z prawem". Jacka Bocheńskiego. om. VI/53.
Lewin Leopold
zob. Herwegh Georg: Umierający trębacz. tłum.; Wspomnienie (fragment). tłum. I/53; Historia WKP(b). w.; Ulica pokoju. w. II/53.
Lorca Federico Garcia
*Wiersze i dramaty (Budrecki Lech). om. III/53.

Ł

Łastik Salomon
Na marginesie czytelnikowskiej serii reportaży. om. III/53; Na scenach warszawskich. kron. V/53.

M

Maciąg Włodzimierz
„Pocisk i słowo" Seweryna Pollaka. om. I/53; „Życie za dniówkę" Tadeusza Felisa. om. III/53.
Malenkow G. M.
Przemówienie po śmierci J. W. Stalina. IV/53.
Mann Henryk
*Podwładny (Ranicki Marceli). om. III/53; *Profesor Unrat (Sowiński Adolf). om. IV/53.
Markiewicz Henryk
*O marksistowskiej teorii literatury (Sandler Samuel). om. III/53.
Maśliński Józef
Występy teatru im. Mossowietu. kron. I/53.
Międzyrzecki Artur
Z poematu „Złote runo": Traktor. w.; Powódź. w. II/53.
Mitzner Zbigniew
Tradycje satyry polskiej i zadania satyry w Polsce Ludowej. ref. VI/53.
Mołotow W. M.
Przemówienie po śmierci J. W. Stalina. IV/53.

Morton Józef
*Wielkie dni (Zaworska Helena). om. VI/53.
Muszkat Marian
Na marginesie dylematu atomowego. art. publ. III/53. Europejskie plany zamachu na kulturę europejską. art. publ. VI/53.

N

Nałkowska Zofia
Mój ojciec. proza art. III/53.
Natanson Wojciech
Na scenach warszawskich. kron.; Występy „Berlińskiego Zespołu". kron. II/53.
Neruda Pablo
Standard Oil C-o. w.; Anaconda Copper Mining C-o. w.; United Fruit C-o. w. IV/53.
Niekrasow Mikołaj
Hej, Iwanie! w.; W przeddzień Wielkanocy. w.; Z „Ostatnich pieśni": Wstęp; Wyrok. w.; Komu na Rusi dobrze się żyje? Rozdz. V, Obywatel ziemski. w. II/53.
Nowak Tadeusz
Ballada nadwiślańska. w. V/53.

O

Ożóg Jan Bolesław
Nauczyciel. w.; Rózia. w. II/53.

P

Państwowy Instytut Wydawniczy — Wyjaśnienie w związku z recenzją Adolfa Sowińskiego o „Ludziach z Seldwili" Gotfryda Kellera. koresp. III/53.
Parandowski Jan
zob. Homer: Odyseja. tłum.; Od tłumacza. not. II/53.
Pauszer-Klonowska Gabriela
Ilja Erenburg w walce o pokój. ref. II/53.
Pepys Samuel
*Dziennik (Kott Jan). om. III/53.
Petrosjan A.
Z dziejów walki o rozkwit literatury radzieckiej. art. II/53.
Piętak Stanisław
Przemówienie wiejskiego aktywisty. w.; Pożegnanie. w. VI/53.
Polanowski Tadeusz
zob. Uhland Ludwik: Oto przekleństwo... tłum.; zob. Werth Georg: W drodze do Düsseldorfu. tłum. I/53.
Pollak Seweryn
Na legitymację zetempowską córki. w.; *Pocisk i słowo (Maciąg Włodzimierz). om. I/53.
Puszkin Aleksander
Rusłan i Ludmiła. Ofiarowanie, Pieśń pierwsza. VI/53.
Putrament Jerzy
List do Stalina. w. III/53.

R

Rafałowska Barbara
„Dorota i jej towarzysze" Wandy Borudzkiej. om. IV/53.
Ranicki Marceli
„Topór z Wandsbek" Arnolda Zweiga. om. I/53; „Podwładny" Henryka Manna. om. III/53; „Bunt rybaków z Santa Barbara" Anny Seghers. om. IV/53.
Sandauer Artur
zob. Teokryt: Charytki czyli Posłanie do Hierona. tłum.; Magia. tłum. III/53.
Sandler Samuel
„O marksistowskiej teorii literatury" Henryka Markiewicza. om. III/53.
U początków marksistowskiej krytyki w Polsce. kryt. lit. VI/53.
Seghers Anna
*Bunt rybaków z Santa Barbara (Ranicki Marceli). om. IV/53.
Skulski Seweryn
Polska. w.; Do dobrej żony. w.; Wolnego. w.; Przyśpiewka. w. I/53.
Słomczyński Maciej
Opowieść o srebrnym łososiu. proza art. V/53.
Słucki Arnold
1920. w.; Matce. w.; Na MDM (Anielka). w.; Na śmierć towarzyszki Fernandez. w. I/53.
Sowiński Adolf
„Profesor Unrat" Henryka Manna. om. IV/53.
Spinc Józef
Zagadnienia satyry w Związku Radzieckim. kron. I/53; Dyskusja literacka po XIX Zjeździe KPZR. kron. II/53; Zagadnienia nowelistyki radzieckiej. kron. III/53; Dyskusja o Majakowskim. kron. IV/53; Radziecka literatura dla dzieci i młodzieży i sprawy kształcenia politechnicznego. kron. V/53. Dyskusja o satyrze radzieckiej. kron. VI/53.
Stalin Józef Wissarionowicz
*Od Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Rady Ministrów Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich i Prezydium Rady Najwyższej ZSRR; * Od Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Rady Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i Rady Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej; *Do Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, do Rady Ministrów Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, do Prezydium Rady Najwyższej ZSRR — w imieniu Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Rady Ministrów i Rady

Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej: Bolesław Bierut, Aleksander Zawadzki. III/53; *Przemówienie G. M. Malenkowa; *Przemówienie Ł. P. Berii; Przemówienie W. M. Mołotowa; *Artykuł Bolesława Bieruta: Stalin — twórca niezłomnej braterskiej jedności wolnych narodów; *Zarząd Główny Związku Literatów Polskich do Związku Pisarzy Radzieckich w Moskwie. IV/53; Współzawodnictwo i entuzjazm pracy mas (Przedmowa do książki E. Mikuliny „Współzawodnictwo mas"); Do tow. Feliksa Kona. Odpis dla sekretarza Biura Obwodowego KC obwodu iwanowo-wozniesieńskiego, tow. Kołotiłowa; Przemówienie w pałacu kremlowskim na uroczystości promowania akademików Armii Czerwonej. V/53. Przeciw wulgaryzacji hasła samokrytyki. VI/53.

Stawiński Julian
W kraju przekreślonej konstytucji. art. publ. 1/53; Rosnące ogniska pożaru. art. publ. II/53; Cezaropapizm imperializmu. art. publ. III/53; Ramię duchowe Waszyngtonu. art. publ. IV/53. Ośmiu milionerów i widmo. Art. publ. VI/53.

Stiller Robert
zob. Freiligrath Ferdynand: Wolna prasa, tłum. I/53.

Strumph-Wojtkiewicz Stanisław
zob. Niekrasow Mikołaj: Komu na Rusi dobrze się żyje? Rozdz. V, Obywatel ziemski. tłum. II/53.

Szleyen Zofia
zob. Guillen Nicolas: Moja ziemia jest słodka. tłum.; Son numer szósty. tłum.; Son kubańsko-wenezuelski. tłum.; Rozmowa o Murzynie. tłum.; Elegia na śmierć Jesusa Menendeza (fragment). tłum. 1/53.

Szymborska Wisława
*Dlatego żyjemy (Trznadel Jacek). om. I/53.

S

Śliwiak Tadeusz
W mieście mojej matki. w.; Tworzenie. w.; Pożegnanie dzieciństwa. w. I/53.

T

Teokryt
Charytki czyli Posłanie do Hierona. w.; Magia. w. III/53.

T. P.
O rewolucyjnej poezji niemieckiej. not. I/53.

Trznadel Jacek
„Dlatego żyjemy" Wisławy Szymborskiej. om. III/53.

U

Uhland Ludwik
Oto przekleństwo. w. I/53.

W

Wasilewska Wanda
*Płomień na bagnach; Gwiazdy w jeziorze; Rzeki płoną (Bereza Henryk). om. V/53.

Ważyk Adam
Rzeka, w. III/53. Klasyczna miara estetyki. red. I/53.

Werth Georg
W drodze do Düsseldorfu. w. I/53.

Wilczek Jan
O sytuacji w krytyce. ref. VI/53.

Wolicki Krzysztof
Według raportu Europejskiej Komisji Gospodarczej... art. publ. I/53; Upadek drobnej własności ziemskiej w Stanach Zjednoczonych. art. publ. II/53; Awanturnictwo wielkich monopoli. art. publ. III/53; Amerykańskie groźby dla pokoju na Bliskim i Środkowym Wschodzie. art. publ. IV/53; O niektórych amerykańskich dobrych radach i niedobrej praktyce. art. publ. V/53. Czemu pan Mac Carthy zaradzić nie może. art. publ. VI/53.

Wyka Jan
Opowieść o ręczyńskich fornalach. w.; Na Sierra Quemada. w. VI/53.

V

Vega Lope de
Młyn. dram. V/53.

Vogler Henryk
Na scenach krakowskich. kron. V/53.

Vrchlicky Jarosław
Do Polaków w Paryżu. w. V/53.

Z

Zarząd Główny Związku Literatów Polskich
Depesza do Związku Pisarzy Radzieckich w Moskwie po zgonie J. W. Stalina. IV/53.

Zaworska Helena
„Wielkie dni" Józefa Mortona. om. VI/53.

Zweig Arnold
*Topór z Wandsbek (Ranicki Marceli). om. I/53.

Ż

Żmigrodzka Maria
„Spór o Mickiewicza" Stefana Żółkiewskiego. om. III/53.

Żółkiewski Stefan
*Spór o Mickiewicza (Żmigrodzka Maria). om. III/53.

Żukrowski Wojciech
*Córeczka. Opowiadania o dzieciach i i zwierzętach. (Lam Andrzej). om. I/53.

Żuławski Juliusz
zob. Vega Lope de: Młyn. tłum. V/53.

Żuławski Mirosław
Rzeka Czerwona. proza art. I, II/53.

SPIS TREŚCI

str.

Józef Stalin — Przeciw wulgaryzacji hasła samokrytyki 3
Bohdan Czeszko — Kilka myśli po przeczytaniu 3 (45) zeszytu Nowych Dróg . 9
Jan Gałkowski — Mazowiecki generał 14
Jan Wyka — Opowieść o ręczyńskich fornalach; Na Sierra Quemada 20
Stanisław Piętak — Przemówienie wiejskiego aktywisty; Pożegnanie 24
Tadeusz Chróścielewski — Zaoranie miedz, fragment poematu „Jackowice“ 29
Jan Huszcza — Dziewczyna; Notatka 35
Danuta Bieńkowska — Dach nad głową 36
Maria Jarochowska — Gniew 92
Samuel Sandler — U początków marksistowskiej estetyki w Polsce . . . 139
Aleksander Puszkin — Rusłan i Ludmiła, przeł. Jan Brzechwa . . . 162

SESJA RADY KULTURY I SZTUKI

Jan Wilczek — O sytuacji w krytyce 175
Adam Ważyk — Klasyczna miara estetyki 183

NARADA SATYRYKÓW

Zbigniew Mitzner — Tradycje satyry polskiej i zadania satyry Polski Ludowej 187
Stefan Klonowski — Z dziejów Gorkiego w Polsce 205

WŚRÓD KSIĄŻEK: Andrzej Lam — Jacek Bocheński „Zgodnie z prawem“; Helena Zaworska — Józef Morton „Wielkie dni“, „Otwarta droga“, „Zły wiatr“ 213

NA WIDNOKRĘGU: Krzysztof Wolicki; Józef Spinc; Julian Stawiński 222

KSIĄŻKI NADESŁANE 239
Spis treści za I półrocze 1953 r. 244

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik“
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk

Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-00-81/83, wewnętrzny 2
Administracja: Wiejska 12, tel. 8-00-81.
Cena zeszytu zł 7.—. Prenumerata kwartalna zł 21.—, półroczna zł 42.—
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca

NOWOŚCI I WZNOWIENIA

Jan Lam
ROZMAITOŚCI I POWIASTKI
Humoreski postępowego pisarza i publicysty z drugiej połowy XIX wieku
Wstępem opatrzył Zbigniew Mitzner
s. 308 zł 12.—

* * *

Andrzej Braun
LEWANTY
Powieść o Stoczniowcach Gdańskich twórcach i bohaterach przemysłu budowy okrętów
Debiut prozatorski
s. 468 opr. płócienna zł 19.—

* * *

Bolesław Karpiński
NA WŁASNE OCZY
Reportaż z wycieczki chłopów woj. kieleckiego do spółdzielni produkcyjnych w Zielonogórskim.
s. 120 zł. 2.—

* * *

Igor Newerly
PAMIĄTKA Z CELULOZY
wyd. 3
powieść
Państwowa Nagroda Literacka I stopnia 1952 r.
s. 520 opr. płócienna zł. 16.—

* * *

Jorge Amado
ŚWIT BRAZYLII
Laureat Międzynarodowej Stalinowskiej Nagrody Pokoju 1951 r.
wyd. 2
powieść
s. 280 opr. płócienna zł. 11.—

F. Czestnow
W ŚWIECIE FAL RADIOWYCH
ilustrowana książka dla młodzieży o zagadnieniach radiofonii
s. 224 zł. 10.—

* * *

Jean Laffitte
DZIEWCZYNA WALCZY
wyd. 2
Powieść o francuskim Ruchu Oporu
s. 288 zł 8,40

* * *

Anna Seghers
SIÓDMY KRZYŻ
wyd. 3
powieść
Posłowie Marcelego Ranickiego
s. 424 opr. płócienna zł. 16,50

* * *

André Stil
PIERWSZE STARCIE
T. I. Pod wieżą ciśnień
Powieść o Francji dzisiejszej ukazująca walkę dokerów z okupacją amerykańską i przygotowaniami wojennymi
Nagroda Stalinowska 1952 r.
s. 288 opr. płócienna zł. 13,50

* * *

Wasilij Żukowski
POEZJE
Wybór wierszy wybitnego klasyka rosyjskiego XIX wieku
Pod redakcją Anatola Sterna
s. 234 zł. 12.—

„CZYTELNIK"

Paweł Kalina
SŁOWNIK NIEMIECKO - POLSKI i POLSKO - NIEMIECKI
Wydanie nowe, przejrzane i uzupełnione
Cz. I: niemiecko-polska S. 752 zł 33.—
Cz. II: polsko-niemiecka S. 732 zł. 33.—
Oprawa płócienna
„CZYTELNIK"

OD FONWIZINA DO ALEKSIEJA TOŁSTOJA
ANTOLOGIA DRAMATU ROSYJSKIEGO
Fonwizin — Gribojedow — Puszkin — Lermontow — Gogol — Ostrowski — Aleksiej Tołstoj
s. 760 oprawa płócienna Zł 45.—
„CZYTELNIK"